

Daniel

Silva

Upadły anioł

The Fallen Angel

przełożyła

Agnieszka Andrzejewska



Mary Read

*Dla Louisa Toscano,
który jest przy mnie od samego początku.
I jak zawsze, dla mojej żony, Jamie,
i moich dzieci, Lily i Nicholas.*

Strzeż się rozlewu krwi. Bądź czujny, bo możliwość ku temu nigdy nie śpi.
Saladyn

SPIS TREŚCI

Spis treści.....	3
Część pierwsza <i>MIASTO UMARŁYCH</i>	5
1.	6
2.	10
3.	17
4.	24
5.	29
6.	34
7.	40
8.	47
9.	52
10.	57
11.	63
12.	69
13.	76
14.	80
15.	86
16.	89
Część druga <i>MIASTO BOGA</i>	96
17.	97
18.	103
19.	110
20.	115
21.	121
22.	124
23.	130
24.	134
25.	140
26.	147
27.	153
28.	158

29.	164
30.	169
Część trzecia <i>STUDNIA DUSZ</i>	174
31.	175
32.	181
33.	187
34.	192
35.	198
36.	205
37.	212
38.	216
39.	223
40.	231
41.	235
42.	241
43.	246
44.	251
45.	257
46.	262
Część czwarta <i>EGO TE ABSOLVO</i>	268
47.	269
48.	273
49.	278
50.	282
Od Autora	286
Podziękowania	290

Część pierwsza

MIASTO UMARŁYCH

1.

WATYKAN

To Niccolò Moretti, dozorca Bazyliki Świętego Piotra, dokonał odkrycia, od którego wszystko się zaczęło. Stało się to o godzinie szóstej dwadzieścia cztery, jednak z powodu całkiem niewinnego błędu przy przepisywaniu w pierwszym oficjalnym oświadczeniu Watykanu podano szóstą czterdzieści dwie. Była to jedna z licznych, mniejszych i większych, omyłek, z powodu których wiele osób doszło do wniosku, że Stolica Apostolska ma coś do ukrycia. I faktycznie, miała. Kościół rzymskokatolicki, jak stwierdził pewien znaczący dysydent, od odejścia w zapomnienie dzieli tylko jeden skandal. Ostatnią rzeczą, której potrzeba teraz Jego Świątobliwości, są zwłoki w świętym sercu chrześcijańskiego świata.

Skandal zdecydowanie nie był tym, czego spodziewał się tego ranka w bazylice Niccolò Moretti. Zjawił się w Watykanie godzinę wcześniej niż zwykle. W ciemnych spodniach i popielatym płaszczu do kolan był prawie niewidoczny, gdy szedł śpiesznie przez pograżony w mroku plac w kierunku schodów bazyliki. Zerknąwszy w prawo, ujrzał światła palące się w oknach na trzecim piętrze Pałacu Apostolskiego. Jego Świątobliwość papież Paweł VII już był na nogach. Moretti zastanawiał się, czy Ojciec Święty w ogóle spał tej nocy. W Watykanie krążyły plotki, że dręczy go ostatnio bezsenność, że noce spędza, pracując w prywatnym gabinecie lub spacerując samotnie po ogrodach. Dozorca widział to już nieraz. Z czasem oni wszyscy tracili zdolność snu.

Moretti usłyszał za plecami jakieś głosy. Odwrócił się i ujrzał, jak z mroku wyłania się dwóch księży z kurii. Zajęci ożywioną rozmową, pomaszerowali w stronę Spiżowej Bramy, nie zwracając na niego uwagi, i znów wtopili się w ciemność. Rzymskie dzieci nazywały ich *bagarozzi* - czarnymi żukami. Moretti użył tego słowa raz w życiu, jako dziecko, i został wówczas zrugany przez samego papieża Piusa XII. Od tamtej pory nigdy już go nie wypowiedział. Gdy człowiek dostanie reprimendę od Namiestnika Chrystusowego, nie powtórzy już swego błędu.

Wszedł po stopniach bazyliki do portyku. Do nawy głównej prowadziło pięcioro drzwi. Wszystkie były zamknięte na stałe, z wyjątkiem tych na samym końcu po lewej, zwanych Bramą Śmierci. Stał w nich ojciec Jacobo, meksykański duchowny, wychudzony, o siwych włosach sterczących jak słoma. Odsunął się, by zrobić miejsce Morettiemu, po czym zamknął drzwi i opuścił ciężką antabę.

- Wróć o siódmej, żeby wpuścić twoich ludzi - rzekł ksiądz.
- Uważaj tam na górze, Niccolò. Nie jesteś już pierwszej młodości.

Duchowny odszedł. Moretti zanurzył palce w wodzie święconej, przeżegnał się i ruszył przed siebie środkiem ogromnej nawy. Ktoś inny pewnie stawałby co chwilę, by rozglądać się z podziwem, on jednak sunął do przodu jak człowiek, który właśnie wszedł do własnego domu. Jako szef *sampietrini*, oficjalnych dozorców Bazyliki Świętego Piotra, przychodził tu co rano przez sześć dni w tygodniu od dwudziestu siedmiu lat. To dzięki Morettiemu i jego ludziom bazylika świeciła niebiańskim światłem, podczas gdy inne wielkie kościoły europejskie zdawały się wiecznie pogrążone w mroku. Moretti uważał się nie za papieskiego sługę, lecz za partnera w przedsiębiorstwie. Do papieży należała piecza nad miliardem katolickich dusz, ale to Niccolò Moretti troszczył się o Bazylikę Świętego Piotra, symbolizującą ich władzę na ziemi. Znał każdy centymetr kwadratowy tej budowli, od wierzchołka kopuły Michała Anioła do głębokich krypt - wszystkie czterdzieści cztery ołtarze, dwadzieścia siedem kaplic, osiemset kolumn, czterysta posągów i trzysta okien. Wiedział, gdzie coś pęka, a gdzie przecieka. Wiedział, kiedy budowla ma się dobrze, a kiedy coś jej dolega. Bazylika, gdy zdarzyło jej się przemówić, szeptała swoje sekrety do ucha Niccola Morettiiego.

W murach bazyliki zwykli śmiertelnicy wydawali się mniejsi, karleli. Moretti, idąc w kierunku Ołtarza Papieskiego, w popielatym płaszczu swego uniformu, wyglądał jak mały szary naparstek. Przykląkł przed konfesją świętego Piotra i zadzierając głowę, spojrział w górę. Blisko trzydzieści metrów nad nim wznosiło się *baldacchino* - cztery kolumny z brązu i złota zwieńczone majestatycznym baldachimem. Tego ranka konstrukcja była częściowo zasłonięta aluminiowym rusztowaniem. Arcydzieło Berniniego, ze swymi ozdobnymi figurami, gałązkami oliwnymi i laurowymi, przyciągało kurz i dym. Co roku w tygodniu poprzedzającym początek Wielkiego Postu Moretti i jego ludzie starannie je czyścili. Watykan to miejsce wiecznych rytuałów; jednym z nich było czyszczenie baldachimu. Zasady tego rytuału ustalił sam Moretti; jedna z nich mówiła, że po ustawieniu rusztowania on wspina się na nie pierwszy. Zaledwie garstka ludzi miała okazję kiedykolwiek zobaczyć widok ze szczytu. Niccolò Moretti, jako szef *sampietrini*, domagał się przywileju podziwiania go w pierwszej kolejności.

Moretti wspiał się na pinakiel przedniej kolumny. Następnie, przypięwszy linę bezpieczeństwa, posuwał się powolutku na czworakach w górę po pochyłości baldachimu. Na samym jego wierzchołku tkwiła kula podtrzymywana przez cztery żebra i zwieńczona krzyżem. Tu znajdował się najświętszy punkt Kościoła rzymskokatolickiego, pionowa oś

biegnąca z samego środka kopuły do grobu świętego Piotra. Symbolizowała ona ideę, na której opierało się całe przedsięwzięcie. „Ty jesteś Piotr, czyli skała, i na tej skale zbuduję mój Kościół”. Gdy pierwsze promienie światła oświetliły wnętrze bazyliki, Moretti, wierny sługa papieża, niemal czuł, jak Bóg stuka go palcem po ramieniu.

Jak zawsze stracił poczucie czasu. Później, podczas przesłuchania przez policję watykańską, nie był w stanie sobie przypomnieć, jak długo przebywał na szczycie baldachimu, zanim ujrzał to po raz pierwszy. Z perspektywy Morettiego, z wysokości, wyglądało jak ptak ze złamanym skrzydłem. Uznał, że to nic ważnego, kawał brezentu zostawiony przez innego *sampietrino*, a może szal upuszczony przez jakąś turystkę. Zawsze czegoś zapominają, pomyślał Moretti, w tym też rzeczy, które nie powinny się znaleźć w kościele.

Tak czy inaczej, należało to sprawdzić, zatem Moretti, dla którego czar już przysł, wycofał się ostrożnie i rozpoczął długą drogę w dół. Ruszył przez transept, lecz już po kilku krokach zorientował się, że to na pewno nie porzucony szal ani brezent. Podchodząc bliżej, dostrzegł krew zaschniętą na świętym marmurze i niewidzące oczy wpatrzzone w kopułę, jak u czterystu posągów zdobiących bazylikę.

- Dobry Boże w niebiesiech - szeptał, biegnąc wzdłuż nawy.
- Zmiłuj się nad jej biedną duszą.

*

Do opinii publicznej dotarło niewiele z tego, co wydarzyło się zaraz po odkryciu Morettiego, ponieważ wszystko utrzymano, zgodnie z tradycją Watykanu, w ścisłej tajemnicy, z odrobiną jezuickiej przebiegłości. Nikt poza murami świątyni nie wiedział na przykład, że pierwszą osobą, którą odszukał Moretti, był kardynał proboszcz Bazyliki Świętego Piotra, surowy Niemiec z Kolonii, o doprowadzonym do perfekcji instynkcie samozachowawczym. Kardynał żył na tym świecie na tyle długo, by umieć docenić wagę problemu, co tłumaczyło, dlaczego nie zgłosił wypadku na policję, tylko wezwał rzeczywistego stróża prawa Watykanu.

Dlatego też pięć minut później Niccolò Moretti był świadkiem niezwyklej sceny - osobisty sekretarz Jego Świątobliwości papieża Pawła VII przeszukiwał kieszenie zmarłej kobiety, leżącej na posadzce bazyliki. Monsinior wyjął z nich jakiś przedmiot, a następnie oddalił się w kierunku Pałacu Apostolskiego. Zanim jeszcze dotarł do swego gabinetu, obmyślił dalszy sposób postępowania. Zdecydował, że muszą rozpocząć się dwa śledztwa, jedno publiczne, drugie dla niego samego. A żeby prywatne śledztwo odniosło sukces, będzie je musiał przeprowadzić człowiek zaufany i dyskretny. Nic dziwnego więc, że na swego

dochodzeniowca monsinior wybrał człowieka w dużym stopniu podobnego do siebie samego.
Upadłego anioła w czerni. Grzesznika w mieście świętych.

2.

PLAC HISZPAŃSKI, RZYM

Konserwator ubierał się w ciemności, po cichu, żeby nie zbudzić śpiącej kobiety. W pozycji, w jakiej znajdowała się w tej chwili, z potarganymi kasztanowymi włosami, z pełnymi ustami, przypominała mu nagą dziewczynę z *Aktu leżącego* Modiglianiego. Na łóżku obok niej położył naładowaną berettę. Potem ściągnął koldrę, odsłaniając jej ciężkie zaokrąglone piersi - arcydzieło było skończone.

Gdzieś odezwał się dzwon kościelny. Z pościeli uniosła się dłoń, ciepła i pomięta od snu, i pociągnęła konserwatora w dół. Kobieta pocałowała go, jak zawsze z zamkniętymi oczami. Jej włosy pachniały wanilią. Na wargach dał się wyczuć słaby ślad wina, które wypila poprzedniego wieczoru w restauracji na Awentynie.

Kobieta puściła go, wymruczała coś niezrozumiałego i odpłynęła z powrotem w sen. Konserwator przykrył ją. Następnie wcisnął drugą berettę za pas spłowiałych niebieskich dżinsów i wyszedł z mieszkania. Chodniki via Gregoriana połyskiwały w półmroku jak obraz świeżo powleczony werniksem. Konserwator zatrzymał się na chwilę w bramie, udając, że sprawdza coś w telefonie komórkowym. Wystarczyło mu kilka sekund, by zauważyć mężczyznę obserwującego go zza kierownicy zaparkowanej lancii. Pomachał do niego przyjaźnie, w geście największej zawodowej zniewagi, i ruszył w stronę kościoła Trinità dei Monti.

Na szczycie Schodów Hiszpańskich wiekowa *gattara* rzucała kawałki jedzenia w stado chudych rzymskich kotów, kłębiących się u jej stóp. Kobieta, ubrana w sfatygowany płaszcz, w chustce na głowie, nieufnie przyjrzała się konserwatorowi, schodzącemu po stopniach na plac. Był mniej niż średniego wzrostu - jakieś metr siedemdziesiąt, nie więcej - i miał szczupłą sylwetkę rowerzysty. Jego twarz była podłużna, z wąskim podbródkiem, szerokimi kośćmi policzkowymi i wąskim nosem, który wyglądał jak rzeźbiony w drewnie. Oczy miał nienaturalnie zielone, włosy ciemne i przyprószone siwizną na skroniach. Właściciel takiej twarzy mógł pochodzić z każdego miejsca na świecie, a konserwator posiadał odpowiednie talenty językowe, żeby ten fakt wykorzystać. W czasie swej długiej kariery pracował we Włoszech i w innych krajach pod różnymi pseudonimami, jako przedstawiciel rozmaitych narodowości. Włoskie służby bezpieczeństwa, wiedząc o jego wcześniejszych wyczynach, próbowały uniemożliwić mu wjazd do kraju, jednak ustąpiły po dyskretnej interwencji Stolicy

Apostolskiej. Z przyczyn, których nigdy nie poznała opinia publiczna, konserwator był obecny w Watykanie siedem lat wcześniej, podczas ataku terrorystów islamskich. Zginęło wówczas ponad siedemset osób, w tym czterech kardynałów i ośmiu biskupów z kurii rzymskiej. Sam Ojciec Święty został lekko ranny. Mało brakowało, a znalazłby się wśród ofiar, gdyby konserwator nie osłonił go przed pociskiem, a później nie odciągnął w bezpieczne miejsce.

Włosi postawili dwa warunki w związku z powrotem konserwatora - że zamieszka w ich kraju pod prawdziwym nazwiskiem i że będzie tolerował sporadyczną obserwację. Pierwszy z warunków przyjął z niejaką ulgą, ponieważ po wielu latach tajnych operacji chciał wreszcie odrzucić te wszystkie fałszywe tożsamości i zacząć w miarę normalne życie. Jednak drugi warunek okazał się bardziej uciążliwy. Zadanie śledzenia go niezmiennie powierzano młodym praktykantom. Początkowo czuł się lekko urażony jako profesjonalista, ale potem zrozumiał, że wykorzystują go do codziennych zajęć specjalistycznych z metod obserwacji ulicznej. Od czasu do czasu wyświadczał studentom przysługę i wymykał się im, zawsze jednak zachowując kilka swoich lepszych sztuczek w rezerwie, na wypadek gdyby znalazł się w okolicznościach wymagających ucieczki z włoskiej sieci.

Było więc tak, że gdy wędrował przez uśpione rzymskie uliczki, jego tropem podążało aż trzech adeptów rozmaitych kursów włoskiej służby bezpieczeństwa. Trasa konserwatora nie przedstawiała dla nich zbyt wielu wyzwań czy niespodzianek. Niosła go w kierunku zachodnim przez centrum najstarszej części miasta, a kończyła się jak zwykle przy Bramie Świętej Anny, służbowym wejściu do Watykanu. Ponieważ, formalnie rzecz biorąc, była to granica państwa, prowadzący obserwację nie mieli innego wyjścia, jak powierzyć konserwatora opiece funkcjonariuszy Gwardii Szwajcarskiej, którzy wpuścili go, ledwie pobieźnie rzuciwszy okiem na jego dokumenty.

Konserwator pożegnał swą obstawę, uchylając kaszkietu, i poszedł dalej via Belvedere, mijając kościół Świętej Anny o murach barwy masła, drukarnię watykańską i siedzibę Banku Watykańskiego. Przy Poczcie Głównej skręcił w prawo, przeszedł przez kilka dziedzińców i stanął przed nieoznakowanymi drzwiami. Za nimi znajdował się niewielki hol, gdzie w oszklonej budce siedział żandarm watykański.

- Gdzie oficer dyżurny? - zapytał konserwator płynnie po włosku.

- Lazio wczoraj wieczorem grało z Mediolanem - odparł żandarm, obojętnie wzruszając ramionami.

Przejechał identyfikatorem gościa wzdłuż czytnika kart magnetycznych, po czym gestem polecił mu przejść przez bramkę wykrywającą metale. Gdy rozległ się przenikliwy

dźwięk, konserwator zatrzymał się i ze znużeniem wskazał ruchem głowy na komputer żandarma. Na ekranie, obok zdjęcia konserwatora (bez uśmiechu), widniała specjalna adnotacja autorstwa szefa watykańskiego Biura do spraw Bezpieczeństwa. Żandarm przeczytał ją dwukrotnie, żeby upewnić się, czy dobrze zrozumiał. Podniósł wzrok i spojrzał wprost w niezwykle zielone oczy konserwatora. W jego opanowanym wyrazie twarzy - na której błąkał się cień szelmowskiego uśmieszku - było coś takiego, że oficer mimowolnie zadrżał. Skinął głową w kierunku kolejnych drzwi i uważnie odprowadził wzrokiem konserwatora, który przeszedł przez nie bez słowa.

A więc pogłoski były prawdziwe, pomyślał żandarm. Gabriel Allon, słynny konserwator malowideł starych mistrzów, emerytowany izraelski szpieg i zamachowiec oraz wybawca Ojca Świętego w jednej osobie, wrócił do Watykanu. Jednym uderzeniem klawisza żandarm usunął plik z ekranu. Następnie przeżegnał się i pierwszy raz od długiego czasu odmówił akt skruchy. Przyszło mu do głowy, że to dziwny odruch, bo nie miał na sumieniu żadnego grzechu, może oprócz ciekawości. Ale to przecież na pewno było do wybaczenia. W końcu nie codziennie zwykły watykański policjant ma szansę spojrzeć w twarz legendzie.

*

Światła fluorescencyjne, przygaszone na noc, cicho szemrały, gdy Gabriel wchodził do głównej pracowni konserwatorskiej Pinakoteki Watykańskiej. Jak zwykle był pierwszy. Zamknął drzwi, zaczekał na uspokajający głuchy odgłos zamków automatycznych, po czym przeszedł wzdłuż rzędu szaf w kierunku czarnych kotar wiszących od sufitu do podłogi po drugiej stronie pomieszczenia. Niewielki napis ostrzegał, że wstęp za kotary jest surowo wzbroniony. Wsunąwszy się przez prześwit, Gabriel podszedł prosto do swego wózka i uważnie przyjrzał się rozmieszczeniu materiałów. Pojemniki z pigmentem i rozpuszczalnikiem leżały dokładnie tak, jak je zostawił, podobnie jak pędzle numer 7 z sobolowego włosia firmy Winsor & Newton, w tym ten z charakterystyczną błękitną plamką na koniuszku, który zawsze kładł pod kątem dokładnie trzydziestu stopni w stosunku do pozostałych. Wyglądało na to, że ekipa sprzątająca jeszcze raz oparła się pokusie wejścia na teren jego pracy. Wątpił jednak, czy koledzy konserwatorzy okazują podobną powściągliwość. Szczerze mówiąc, wiedział z najlepszego możliwego źródła, że jego maleńka, oddzielona kotarami enklawa jest teraz najpopularniejszym miejscem spotkań pracowników muzeum, zastępując w tej funkcji pomieszczenie socjalne z ekspresem do kawy.

Zdjął skórzaną kurtkę i zapalił parę stojących lamp halogenowych. *Złożenie do grobu*, powszechnie uważane za najwspanialsze dzieło Caravaggia, błyszczało w jaskrawym białym

światle. Przez kilka minut Gabriel stał bez ruchu przed monumentalnym malowidłem, z dłonią przyciśniętą do podbródka, głową przechyloną na bok, z oczami utkwionymi w niepokojącym obrazie. Nikodem, bosy i muskularny, patrzył z obrazu na Gabriela, ostrożnie opuszczając martwe blade ciało Chrystusa na kamienną płytę, gdzie miało być następnie przygotowane do pochówku. Oprócz Nikodema znajdował się tam święty Jan Apostoł, który, desperacko pragnąc dotknąć ukochanego nauczyciela po raz ostatni, niechcący otworzył ranę w boku Zbawiciela. Pilnowały ich Matka Boża i Maria Magdalena z pochylonymi głowami, a Maria Kleofasowa w lamencie wznosiła ramiona do nieba. Było to dzieło pełne zarówno niezmiernego smutku, jak i czułości, robiące jeszcze większe wrażenie dzięki rewolucyjnemu wykorzystaniu światła przez Caravaggia. Nawet sam Gabriel, który ślęczał nad malowidłem całe tygodnie, za każdym razem czuł się, jakby przeszkadzał w tym rozdzierającym momencie prywatnego bólu.

Obraz z czasem pociemniał, szczególnie wzdłuż lewego boku płótna, gdzie niegdyś widać było wyraźnie otwór grobu. Niektórzy członkowie wpływowych kręgów włoskiego świata artystycznego - na przykład Giacomo Benedetti, słynny znawca malarstwa Caravaggia z Istituto Centrale per il Restauro - miał wątpliwości, czy grób należy poprawić. Benedetti został zmuszony do podzielenia się swoją opinią z reporterem gazety „La Repubblica”, ponieważ konserwator, któremu zlecono owo zadanie, z niezrozumiałych powodów przed rozpoczęciem pracy nie zasięgnął jego rady. Co więcej, Benedetti uznał za przygnębiające, że muzeum odmówiło podania nazwiska konserwatora do wiadomości publicznej. Przez wiele dni gazety tradycyjnie apelowały do Watykanu, by zerwał zasłonę milczenia. Jak to możliwe, oburzały się, żeby skarb narodowy takiego kalibru jak *Złożenie do grobu* powierzać anonimowej osobie? Burza, jeśli można to tak nazwać, w końcu ucichła, gdy główny konserwator Watykanu Antonio Calvesi potwierdził, że człowiek, o którym mowa, posiada znakomite kwalifikacje i ma w swoim dorobku mistrzowskie odnowienie dla Stolicy Apostolskiej dwóch dzieł: *Ukrzyżowania św. Piotra Reniego* oraz *Męczeństwa św. Erazma Poussina*. Calvesi nie wspominał tylko, że konserwacja obu malowideł, w domku wiejskim na prowincji w Umbrii, uległa opóźnieniu ze względu na operacje, które konserwator przeprowadzał dla tajnych służb wywiadowczych państwa Izrael.

Gabriel miał nadzieję, że Caravaggia również będzie mógł odnawiać w odosobnieniu, jednak zarządzenie Calvesiego, że obraz ma nie opuszczać Watykanu, nie pozostawiało mu wyboru; musiał korzystać z tej pracowni, w otoczeniu stałego personelu. Stanowił obiekt ich niepohamowanej ciekawości, ale przecież tego można było się spodziewać. Przez wiele lat żyli w przeświadczeniu, że mają do czynienia z wyjątkowo utalentowanym, acz

chimerycznym konserwatorem Mariem Delvecchiem, tymczasem okazało się, że jest kimś zupełnie innym. Ale nawet jeśli czuli się oszukani, nie dawali tego po sobie poznać. Wręcz przeciwnie, na ogół traktowali go z delikatnością typową dla ludzi, którzy troszczą się o uszkodzone dzieła sztuki. W jego obecności zachowywali się cicho, świadomi jego oczywistej potrzeby prywatności, i uważali, żeby za długo nie patrzeć mu w oczy, jakby obawiali się tego, co mogą w nich ujrzeć. Przy tych rzadkich okazjach, gdy zwracali się do niego wprost, ich wypowiedzi ograniczały się głównie do zwrotów grzecznościowych i tematów związanych ze sztuką. A gdy służbowe przekomarzania schodziły na politykę bliskowschodnią, z szacunkiem powstrzymywali się od krytykowania jego kraju rodzinnego. Tylko Enrico Bacci, który prowadził intensywną kampanię na rzecz renowacji Caravaggia, sprzeciwiał się obecności Gabriela z powodów etycznych. Czarne kotary nazywał „murem bezpieczeństwa”, a do ściany w swoim gabinecie przypiął plakat z hasłem „Wolna Palestyna”.

Gabriel umieścił na palecie trochę żywicy Mowilith 20, dodał kilka granulek suchego pigmentu i rozrzedził mieszaninę za pomocą rozpuszczalnika Arcosolve aż do uzyskania pożądanej konsystencji i stężenia. Następnie nałożył na głowę opaskę ze szkłem powiększającym i skupił wzrok na prawej dłoni Chrystusa. Zwisała podobnie jak w *Piecie Michała Anioła*, palce wskazywały alegorycznie na róg kamienia grobu. Od kilku dni Gabriel zmagał się z naprawą kilku otarć na knykciach. Nie był pierwszym artystą, który borykał się z tym dziełem; sam Caravaggio stworzył pięć jego wersji, zanim ostatecznie ukończył obraz w roku 1604. W odróżnieniu od jego wcześniejszego zamówienia - przedstawienia śmierci Maryi, które było tak kontrowersyjne, że ostatecznie usunięto je z kościoła Santa Maria della Scala

- *Złożenie do grobu* zostało od razu uznane za arcydzieło, a wieść o nim prędko rozeszła się po Europie. W 1797 roku obraz zwrócił uwagę Napoleona Bonapartego, jednego z największych w historii grabieżców dzieł sztuki i antyków, i został wywieziony na drugą stronę Alp, do Paryża. Tam pozostawał do roku 1817, kiedy to wrócił pod opiekę papieża i zawisł w Watykanie.

Przez kilka godzin Gabriel miał pracownię tylko dla siebie. Później, o ulubionej przez rzymian godzinie dziesiątej, usłyszał trzask zamków automatycznych i ciężkie niemrawe kroki Enrica Bacciego. Po nim przysłała Donatella Ricci, specjalistka od wczesnego renesansu, znana z tego, że szeptała uspokajająco do malowideł, którymi się zajmowała. Jeszcze później zjawił się Tommaso Antonelli, jedna z gwiazd ekipy, która przeprowadziła restaurację Kaplicy Sykstyńskiej; ten zawsze chodził w pracowni na palcach, w obuwiu o podeszwach z krepy, ukradkiem jak nocny złodziejaszek.

Wreszcie, o wpół do jedenastej, Gabriel usłyszał charakterystyczny stukot robionych ręcznie butów Antonia Calvesiego na wyłożonej linoleum posadzce. Kilka sekund później Calvesi wpadł do środka razem z czarną kotarą, niczym matador. Z rozwianym lokiem na czole i wiecznie poluzowanym krawatem roztaczał wokół siebie aurę człowieka śpieszącego się na spotkanie, na które nie ma ochoty. Usadowił się na wysokim stołku i zaczął w zamyśleniu gryźć zausznik okularów do czytania, przyglądając się pracy Gabriela.

- Nieźle! - stwierdził z autentycznym podziwem. - To twoja własna robota czy sam Caravaggio wpadł tu, żeby ci pomóc przy retuszu?

- Poprosiłem go o to - odparł Gabriel - ale nie mógł przyjść.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Jest w więzieniu w Tor di Nona. Zdaje się, że zgarnęli go, jak włączył się z mieczem po Polu Marsowym.

- Znowu? - Calvesi nachylił się nad płótnem. - Na twoim miejscu pomyślałbym o wypełnieniu tych spękanych linii wzdłuż palca wskazującego.

Gabriel uniósł opaskę i wręczył Calvesiemu paletę. Włoch odpowiedział pojednawczym uśmiechem. Sam był zdolnym konserwatorem - w młodości obaj mężczyźni nawet rywalizowali ze sobą - ale już od wielu lat nie pracował z pędzlem przy płótnie. Ostatnio większość czasu zajmowała Calvesiemu pogoń za pieniędzmi. Mimo wszystkich swych ziemskich bogactw w sprawach opieki nad wyjątkową kolekcją dzieł sztuki i antyków Watykan uzależniony był od życzliwości ludzi z zewnątrz. Śmiesznie niskie uposażenie Gabriela stanowiło ułamek tego, co zarabiał za prywatne konserwacje. Jednak była to niska cena do zapłacenia za unikalną szansę naprawy malowidła takiego jak *Złożenie do grobu*.

- Jest jakaś szansa, że skończysz w miarę niedługo? - zapytał Calvesi. - Chciałbym, żeby obraz wrócił do galerii na Wielki Tydzień.

- A kiedy on przypada w tym roku?

- Udam, że tego nie słyszałem. - Calvesi z roztargnieniem przeglądał zawartość wózka Gabriela.

- Masz jakiś problem, Antonio?

- Jutro ma wpaść do muzeum jeden z naszych najważniejszych mecenasów. Amerykanin. Śpi na forsie. Dzięki takim właśnie pieniądzom możemy funkcjonować.

- No i?

- No i poprosił o możliwość zobaczenia Caravaggia. A właściwie to pytał, czy ktoś nie udzieliłby mu krótkiej lekcji na temat restauracji obrazów.

- Nawąchałeś się acetonu, Antonio?

- Może byś mu pozwolił go tylko zobaczyć?

- Nie.

- Dlaczego?

Gabriel przez chwilę w milczeniu spoglądał na obraz.

- Bo to by nie było fair w stosunku do niego - odparł wreszcie.

- Do naszego mecenasa?

- Do Caravaggia. Konserwacja powinna być naszą małą tajemnicą, Antonio. Nasze zadanie to przyjść i wyjść, nie będąc widzianym przez nikogo. I powinno się to odbywać bez świadków.

- A jeśli mi się uda uzyskać zgodę Caravaggia?

- Tylko nie pytaj go o to, gdy będzie trzymał miecz w dłoni.

- Gabriel nasunął opaskę i wrócił do pracy.

- Wiesz co, Gabrielu, jesteś taki sam jak on. Uparty, zarozumiały i o wiele za bardzo zdolny.

- Mogę ci jeszcze w czymś pomóc, Antonio? - zapytał Gabriel, stukając ze zniecierpliwieniem pędzlem o paletę.

- Mnie nie - odparł Calvesi - ale potrzebują cię w kaplicy.

- W której?

- W tej najważniejszej.

Gabriel wytarł pędzel i ułożył go bardzo starannie na wózku. Calvesi uśmiechnął się.

- Masz jeszcze jedno wspólne z Caravaggiem.

- Co?

- Paranoję.

- Caravaggio miał po temu dobre powody. Ja też mam.

3.

KAPLICA SYKSTYŃSKA

Pięćset metrów kwadratowych Kaplicy Sykstyńskiej to chyba najczęściej odwiedzana nieruchomość w Rzymie. Każdego dnia przez jej całkiem zwyczajne drzwi wlewa się kilka tysięcy turystów. Zadzierając głowy, zachwycają się wspaniałymi freskami ozdabiającymi jej ściany i sklepienie, pilnowani przez odzianych w niebieskie mundury żandarmów, których jedynym zadaniem jest bezustannie prosić o *silenzio*. Jednak dopiero stojąc w kaplicy samotnie, można doznać przeżycia takiego, jakie zaplanował papież Sykstus IV, od którego wzięła nazwę. W przyćmionym świetle i bez tłumów dookoła niemal można usłyszeć kardynałów spierających się na dawnych konklawe lub zobaczyć Michała Anioła na szczycie rusztowania, wykańczającego *Stworzenie Adama*.

Na zachodniej ścianie kaplicy widnieje inne arcydzieło Michała Anioła, *Sąd Ostateczny*. Dzieło, rozpoczęte trzydzieści lat po ukończeniu sklepienia, ukazuje apokalipsę i Powtórne Przyjście Chrystusa, kiedy to wszystkie ludzkie dusze wznoszą się do nieba lub spadają do piekła, nagrodzone życiem wiecznym lub skazane na potępienie, a wszystko kłębi się w barwnej udruce. Ten fresk kardynałowie widzą jako pierwszy, gdy wchodzi do kaplicy, aby wybrać nowego papieża; owego ranka był nim zaabsorbowany jeden samotny ksiądz. Wysoki, szczupły i uderzająco przystojny, ubrany w czarną sutannę z szarfą i lamówką w kolorze fuksji, ręcznie uszytą przez kościelnego krawca z okolic Panteonu. Ciemne oczy księdza błyszczały bezwzględnością i surową inteligencją, a zaciśnięte szczęki sugerowały, że niebezpiecznie jest mu się przeciwstawiać - co w dodatku było prawdą. Monsinior Luigi Donati, prywatny sekretarz Jego Świątobliwości papieża Pawła VII, miał poza murami Watykanu niewielu przyjaciół, zaledwie kilku sprzymierzeńców oraz wielu zaprzysięgłych wrogów. Często nazywano go Rasputinem w sutannie, szarą eminencją za papieskim tronem lub też „czarnym papieżem”, co było niepochlebną aluzją do jego jezuickiej przeszłości. Donatiemu to nie przeszkadzało. Choć był pilnym uczniem Ignacego i Augustyna, zwykle bardziej polegał na wskazówkach świeckiego włoskiego filozofa Machiavellego, który twierdził, że dla księcia o wiele lepiej jest, gdy się go boją, niż gdy go kochają.

Wśród licznych grzechów Donatego, przynajmniej w oczach niektórych członków rozplotkowanego papieskiego dworu, były jego niezwykle bliskie powiązania z osławionym szpiegiem i zamachowcem Gabrielem Allonem. Ten duet przeciwstawiał się historii i religii -

Donati, żołnierz Chrystusa, i Gabriel, człowiek sztuki, którego miejsce urodzenia skazało na życie pełne tajemnic i przemocy. Mimo tych oczywistych różnic obaj mieli ze sobą wiele wspólnego. Obaj kierowali się moralnością i zasadami i obaj uważali, że kwestie dużej wagi najlepiej załatwiać bez świadków. W czasie ich długoletniej przyjaźni Gabriel odgrywał rolę zarówno obrońcy Watykanu, jak i człowieka obnażającego jego najmroczniejsze sekrety - a Donati, twardy „agent” Ojca Świętego, służył mu ochoczo za współnika. W rezultacie obaj po cichu działali wiele dla poprawy skomplikowanych stosunków między światową populacją katolików a dwunastoma milionami ich odległych duchowych kuzynów, Żydów.

Gabriel stanął bez słowa u boku Donatiego i wpatrzył się w *Sąd Ostateczny*. Prawie w centrum obrazu, obok lewej stopy Chrystusa, widniał jeden z dwóch autoportretów Michała Anioła, które twórca ukrył we freskach. Tu przedstawił siebie jako świętego Bartłomieja, obdartego ze skóry, być może w niezbyt subtelnej replice na zarzuty krytyków jego sztuki.

- Przypuszczam, że już kiedyś tu byłeś - w pustej kaplicy rozbrzmiał dźwięczny głos Donatiego.

- Tylko raz - odparł Gabriel po chwili. - Jesienią tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego, na długo przed restauracją fresków. Udawałem niemieckiego studenta zwiedzającego Europę. Przyszedłem tu po południu i zostałem, aż dopiero strażnicy zmusili mnie do wyjścia. Następnego dnia...

Urwał. Następnego dnia, mając wciąż jeszcze w głowie obraz końca czasów według Michała Anioła, Gabriel wszedł do holu szarego bloku mieszkalnego na Piazza Annibaliano. Przed drzwiami windy, z butelką wina figowego w jednej ręce i egzemplarzem *Księgi tysiąca i jednej nocy* w drugiej, stał chudy palestyński intelektualista Wadal Zwaiter. Palestyńczyk był członkiem organizacji terrorystycznej Czarny Wrzesień, która dokonała masakry podczas olimpiady w Monachium, i za to na mocy tajnego wyroku został skazany na śmierć. Gabriel spokojnie poprosił Zwaitera, by powiedział, jak się nazywa. Następnie strzelił do niego jedenaście razy, raz za każdego Izraelczyka zamordowanego w Monachium. Podczas kolejnych miesięcy Gabriel wykonał wyrok na pięciu innych członkach Czarnego Września. Był to wstęp do jego wybitnej kariery, która trwała dłużej, niż to sobie zamierzył. Pracując na zlecenie swego mentora, legendarnego asa wywiadu Ariego Szamrona, przeprowadził kilka z najbardziej legendarnych operacji w historii izraelskiego wywiadu. Teraz, sponiewierany i poobijany, wrócił do Rzymu, do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło. A jednym z niewielu ludzi na świecie, którym mógł ufać, był katolicki ksiądz Luigi Donati.

Gabriel odwrócił się plecami do *Sądu Ostatecznego*, spojrzął przez prostokątną kaplicę, przez freski Botticellego i Perugina, na mały pękaty piecyk, w którym palono karty do

głosowania podczas konklawe, i wyrecytował:

- „Dom, który Salomon zbudował dla Pana, miał sześćdziesiąt łokci długości, dwadzieścia szerokości i trzydzieści wysokości”.

- Księga Królewska - odpowiedział Donati. - Rozdział szósty, wers drugi.

Gabriel uniósł głowę w kierunku sklepienia.

- Wasi przodkowie, budując tę dość prostą kaplicę dokładnie według wymiarów Świątyni Salomona, musieli mieć jakiś powód. Ale jaki? Czy chcieli złożyć hołd swoim starszym braciom w wierze, żydom? Czy ogłaszali przez to, że stare prawo zostało zastąpione nowym, że starożytna świątynia została oto przeniesiona do Rzymu razem z zawartością Najświętszego Miejsca?

- Może po trosze z obu tych powodów - odrzekł filozoficznie Donati.

- Bardzo dyplomatycznie, monsinior.

- Szkoliłem się u jezuitów. Zaciemnianie prawdy to nasza mocna strona.

Gabriel spojrział na zegarek.

- Trochę dziwne, że kaplica jest jeszcze pusta.

- Tak - rzucił Donati w zamyśleniu.

- Gdzie się podziali turyści, Luigi?

- Chwilowo dla publiczności otwarte są tylko muzea.

- Dlaczego?

- Mamy pewien problem.

- Gdzie?

Donati zmarszczył brwi i wskazał ruchem głowy na lewo.

*

Klatka schodowa prowadząca od pięknej Kaplicy Sykstyńskiej do najwspanialszej świątyni chrześcijańskiej jest absurdalnie brzydka. Szarozielony tunel o gładkich betonowych ścianach zawiódł Gabriela i Donatego do Bazyliki Świętego Piotra, w pobliże Kaplicy Piety. W centrum nawy żółty brezent przykrywał - ten kształt nie pozostawiał co do tego żadnych wątpliwości - martwe ludzkie ciało. Stali nad nim dwaj mężczyźni. Gabriel znał obu. Jednym z nich był pułkownik Alois Metzler, komendant Gwardii Szwajcarskiej. Drugim - Lorenzo Vitale, szef Żandarmerii Watykańskiej, policji liczącej stu trzydziestu funkcjonariuszy. Dawniej Vitale zajmował się badaniem przypadków korupcji w rządzie, pracując dla potężnej włoskiej Straży Skarbowej. Metzler był emerytowanym żołnierzem armii szwajcarskiej. Jego poprzednik, Karl Brunner, został zabity w ataku terrorystycznym Al-Kaidy na Watykan.

Obaj mężczyźni jednocześnie podnieśli wzrok i patrzyli na Gabriela, idącego nawą u

boku drugiego najbardziej wpływowego człowieka w Kościele rzymskokatolickim. Metzler był wyraźnie niezadowolony. Wyciągnął rękę do Gabriela z chłodną precyzją szwajcarskiego zegarka i raz skinął oficjalnie głową na powitanie. Był tego samego wzrostu i tej samej budowy co Donati, ale Wszechmocny obdarzył go kanciastą twarzą łajdaka. Miał na sobie ciemnoszary garnitur, białą koszulę i srebrzysty krawat bankowca. Rzednące włosy strzygł króciutko; niewielkie okulary bez oprawek obramowywały niebieskie przenikliwe oczy. Metzler miał znajomych w szwajcarskich służbach specjalnych, dlatego słyszał o dawnych wyczynach Gabriela na ojczyźnie. Jego obecność w bazylice była zastanawiająca. Gwoli ścisłości, zwłoki znalezione na terenie Watykanu podlegały jurysdykcji żandarmerii, nie Gwardii Szwajcarskiej - o ile oczywiście w grę nie wchodziło bezpieczeństwo papieża. Gdyby właśnie tak było, Metzler miał wszelkie prawo wtykać nos wszędzie, gdzie tylko miał ochotę. Prawie wszędzie, dodał w myśli Gabriel, jako że istniały miejsca, do których nie wolno było wchodzić komendantowi straży pałacowej.

Donati wymienił spojrzenia z Vitalem, po czym polecił szefowi policji odsunąć brezent. Na pierwszy rzut oka widać było, że ciało spadło ze znacznej wysokości. Został z niego tylko pokrowiec skóry wypełniony uszkodzonymi kośćmi i narządami. Niezwykle było to, że ładna twarz kobiety pozostała prawie nietknięta. Cały był także identyfikator zawieszony na jej szyi. Według niego właścicielka była pracownicą Muzeów Watykańskich. Gabriel nawet nie zadał sobie trudu, by przeczytać nazwisko. Zmarłą była Claudia Andreatti, kustoszka działu zabytków sztuki starożytnej.

Gabriel kucnął przy jej ciele ze spokojem człowieka przywykłego do widoku zwłok i dokonał oględzin, jakby to było dzieło wymagające konserwacji. Była ubrana, jak wszystkie kobiety świeckie w Watykanie, służbowo, ale skromnie; ciemne spodnie, popielaty kardigan, biała bluzka. Wełniany płaszcz był niezapięty i udrapował się na posadzce jak rozpostarta peleryna. Prawe ramię spoczywało na brzuchu. Lewe było wyciągnięte w linii prostej od barku, nadgarstek lekko zgięty. Gabriel ostrożnie odsunął kilka pasm włosów z jej twarzy, odsłaniając oczy, które były otwarte i jakby czujne. Gdy ostatni raz w nie patrzył, przyglądały mu się na klatce schodowej muzeum. Spotkanie miało miejsce kilka minut przed dziewiątą poprzedniego wieczoru. Gabriel właśnie wychodził po wielu godzinach spędzonych przed Caravagiem; Claudia, przyciskając do piersi plik papierów, szła w kierunku swego gabinetu. Wydawała się lekko zmartwiona, ale na pewno nie wyglądała na kobietę, która ma zamiar za chwilę zabić się w Bazylice Świętego Piotra. Właściwie, pomyślał Gabriel, jej zachowanie było nawet lekko kokietyjne.

- Znał ją pan? - zapytał Vitale.

- Nie, ale wiedziałem, kim jest. - To był zawodowy przymus. Mimo przejścia na emeryturę Gabriel nie mógł się powstrzymać przed gromadzeniem pamięciowych dossier ludzi w swoim otoczeniu.

- Zauważyłem, że oboje pracowaliście wczoraj do późna. - Włoch rzucił te słowa niby mimochodem, ale ów fakt wydał mu się istotny. - Według zapisu w księdze na stanowisku ochrony pan opuścił muzeum o dwudziestą czterdzieści siedem. Pani doktor Andreatti chwilę później, o dwudziestą pięćdziesiąt sześć.

- Wtedy ja już byłem poza terenem miasta-państwa, wyszedłem przez Bramę Świętej Anny.

- Wiem. - Vitale uśmiechnął się niewesoło. - Te zapisy też sprawdziłem.

- Czyli nie jestem już podejrzanym w sprawie śmierci mojej koleżanki? - zapytał Gabriel ironicznie.

- Pan wybaczy, signor Allon, ale ludzie jakoś często giną, gdy tylko pan zjawia się w Watykanie.

Gabriel spojrzął znad zwłok na Vitalego. Szef policji, choć już przekroczył sześćdziesiątkę, ze swą przystojną twarzą i trwałą opalenizną przypominał starszego się włoskiego gwiazdora filmowego, z rodzaju tych, którzy jeżdżą *via Veneto* autem z otwartym dachem z młodą kobietą u boku. Gdy pracował w Straży Skarbowej, uważany był za nieugiętego fanatyka, bojownika, który wziął na siebie zadanie wyeliminowania korupcji, plag włoskiej polityki i handlu od wielu pokoleń. Gdy mu się to nie udało, skrył się za murami Watykanu, aby ochraniać swego papieża i jego Kościół. Podobnie jak Gabriel, był człowiekiem przyzwyczajonym do widoku zmarłych. Mimo to wyglądało, że nie jest w stanie patrzeć na kobietę leżącą na posadzce jego ukochanej bazyliki.

- Kto ją znalazł? - zapytał Gabriel.

Vitale wskazał głową na grupkę *sampietrini*, stojących w połowie nawy.

- Dotykali czegoś?

- Dlaczego pan pyta?

- Ona jest boso.

- Jeden but znaleźliśmy obok *baldacchino*. Drugi leżał przed ołtarzem świętego Józefa. Przypuszczamy, że spadły podczas upadku. Albo...

- Albo co?

- Możliwe, że zrzuciła je z galerii na kopule, zanim skoczyła.

- Dlaczego?

- Może chciała sprawdzić, czy naprawdę ma odwagę to zrobić - zasugerował Metzler. -

Moment wahania.

Gabriel spojrział w górę. Tuż nad łaćńskim napisem u podstawy kopuły znajdował się balkon dla zwiedzających. Wzdłuż krawędzi biegła metalowa balustrada sięgająca ludziom do pasa. Mogła utrudnić samobójstwo, ale nie uniemożliwić. Faktycznie, średnio raz na kilka miesięcy żandarmi Vitalego musieli powstrzymać jakiegoś biedaka przed rzuceniem się w świętą otchłań. Jednak późnym wieczorem, gdy bazylika była zamknięta dla turystów, Claudia Andreatti miała całą galerię do swojej dyspozycji.

- Czas zgonu? - zapytał Gabriel cicho, jakby zwracał się do samej zmarłej.

- Nieznany - odrzekł Vitale.

Gabriel rozejrzał się po wnętrzu bazyliki, jakby chcąc przypomnieć Włochowi, gdzie się znajdują. Następnie zapytał, jak to możliwe, że nie ustalono godziny zgonu.

- Raz w tygodniu - zaczął Vitale - Biuro do spraw Bezpieczeństwa wyłącza kamery w celu rutynowej regulacji systemu. Robimy to wieczorami, gdy bazylika jest już zamknięta. Zwykle nie ma z tym problemu.

- Jak długo pozostają wyłączone?

- Od dziewiątej do północy.

- Dziwny zbieg okoliczności. - Gabriel spojrział znów na ciało. - Jakiego pana zdaniem jest prawdopodobieństwo, że postanowiła się zabić w czasie, gdy kamery są wyłączone?

- Może to wcale nie był zbieg okoliczności - rzucił Metzler. - Może rozmyślnie wybrała tę porę, żeby nie pozostało nagranie z jej śmiercią.

- A skąd by wiedziała, że kamery są wyłączone?

- Wszyscy tutaj o tym wiedzą.

Gabriel powoli pokręcił głową. Mimo licznych zagrożeń zewnętrznych, terrorystycznych i innych, środki bezpieczeństwa stosowane w najmniejszym państwie świata były absolutnie niedostateczne. Co więcej, ci, którzy pracowali za murami, cieszyli się wyjątkową swobodą działania. Znali drzwi, których nigdy nie zamykano, kaplice, z których nie korzystano, i składziki, gdzie można było knuć, spiskować czy pieścić ciała kochanków w całkowitym odosobnieniu. Znali też tajne przejścia prowadzące do bazyliki. Gabriel sam znał kilka.

- Czy w tym czasie był w bazylice jeszcze ktoś?

- Nic nam o tym nie wiadomo - odparł Vitale.

- Ale nie możecie tego wykluczyć.

- Zgadza się. Jednak nikt nie zgłaszał niczego podejrzanego.

- Gdzie jest jej torebka?

- Zostawiła ją na galerii przed skokiem.

- Czy czegoś brakuje?

- Raczej nie.

Jednak czegoś musiało brakować, Gabriel był tego pewien. Zamknął oczy i przez moment zobaczył Claudię taką, jaka była poprzedniego wieczoru - ciepły uśmiech, zalotne spojrzenie brązowych oczu, plik dokumentów, które przyciskała do piersi.

I z ł o t y k r z y ż y k n a s z y i.

- Chciałbym obejrzeć galerię - powiedział.

- Pójdę z panem - zaoferował się Vitale.

- To nie będzie konieczne. - Gabriel wstał. - Jestem pewien, że monsinior będzie tak dobry i pokaże mi drogę.

4.

BAZYLIKA ŚWIĘTEGO PIOTRA

Z głównego poziomu Bazyliki Świętego Piotra do podstawy kopuły można się było dostać na dwa sposoby: długą, krętą klatką schodową oraz windą, która mogła pomieścić dwudziestkę dobrze odżywionych pielgrzymów. Donati, nałogowy palacz, zaproponował windę, jednak Gabriel ruszył w stronę schodów.

- Windę wyłącza się po południu, po wypuszczeniu ostatniej grupy turystów. Claudia nie mogła z niej skorzystać późnym wieczorem.

- To prawda - przyznał Donati, spoglądając posepnie na swe ręcznie szyte mokasyny - ale schodów jest kilkaset.

- I przeszukamy każdy z nich.

- Po co?

- Gdy widziałem Claudię wczoraj wieczorem, miała na szyi złoty krzyżyk.

- No i co?

- Teraz go nie ma.

Gabriel wszedł na pierwszy stopień, z Donatim tuż za swymi plecami, i zaczął się powoli piąć. Baczne oględziny klatki schodowej nie przyniosły niczego oprócz kilku wyrzuconych biletów wstępu oraz zmiętej ulotki reklamującej usługi niezbyt świętego przedsięwzięcia z udziałem młodych kobiet z Europy Wschodniej. U szczytu schodów znajdował się podest. W jednym kierunku rozciągał się taras; w drugim balkon widokowy kopuły. Gabriel zerknął przez balustradę na miniaturowe teraz postaci Vitalego i Metzlera, następnie zaczął iść powoli wzdłuż pomostu, ze wzrokiem wbitym w wysłużony marmur pod stopami. Po kilku krokach znalazł krzyżyk. Zapięcie było nienaruszone, jednak złoty łańcuszek został zerwany.

- Możliwe, że zerwała go przed wejściem na balustradę - powiedział Donati, oglądając łańcuszek w świetle jednego z szesnastu okien kopuły.

- Pewnie wszystko jest możliwe. Jednak bardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem jest to, że łańcuszek zerwał ktoś inny.

- Kto?

- Ten, kto ją zabił. - Gabriel milczał przez chwilę. - Jej kark został złamany jak gałązka, Luigi. Złamanie mogło nastąpić przy uderzeniu o posadzkę, jednak moim zdaniem miało

miejsce tu, na górze. Zabójca Claudii prawdopodobnie nie zauważył, że zerwał jej łańcuszek. Ale zauważył buty. Dlatego znaleziono je w tak dużej odległości od siebie. Pewnie cisnął je przez barierkę, zanim uciekł.

- Jaką masz pewność, że ją zamordowano?

- Taką samą jak ty. - Gabriel uważnie obserwował twarz Donatego. - Coś mi się wydaje, że wiesz więcej, niż mówisz, Luigi.

- Przyznaję się bez bicia.

- Czy jest coś, co chciałby pan wyznać, monsinior?

- Tak - odrzekł Donati, patrząc w dół na posadzkę bazyliki. - Możliwe, że osoba odpowiedzialna za śmierć Claudii Andreatti stoi właśnie przed tobą.

*

Wyszli na taras na dachu bazyliki, żeby pospacerować wśród apostołów i świętych. Czarna sutanna Donatego wydymała się i trzepotała na zimnym wietrze. W jednej dłoni, opleciony wokół palców jak paciorki różańca, trzymał złoty łańcuszek Claudii.

- Ona przeprowadzała... - Donati zawahał się, jakby szukając właściwego słowa. - Pewne śledztwo - powiedział w końcu.

- Jakiego rodzaju?

- Takiego, jakie przeprowadza się tutaj.

- Tajne śledztwo - stwierdził Gabriel. - Oczywiście na twoje zlecenie.

- Na żądanie Ojca Świętego - dodał pośpiesznie Donati.

- A jaka była natura tego śledztwa?

- Jak wiesz, w środowisku artystów i kustoszy toczy się zaciekle debata na temat tego, do kogo należą skarby starożytności. Przez całe stulecia wielkie imperia europejskie z bezmyślnym zapamiętaniem rabowały skarby antycznego świata. Kamień z Rosetty, marmury Elgina, wielkie świątynie starożytnego Egiptu... lista nie ma końca. Teraz kraje ich pochodzenia domagają się, by zwrócono im symbole ich dziedzictwa kulturowego. I nierzadko zwracają się do policji i sądów, żeby pomogły im je odzyskać.

- Obawialiście się, że Muzea Watykańskie są narażone na atak?

- Prawdopodobnie tak jest. - Donati zatrzymał się pod fasadą bazyliki i wskazał egipski obelisk w centrum placu. - To jeden z ośmiu w Rzymie. Zostały zbudowane przez rzemieślników z imperium, które już nie istnieje, i sprowadzone tu przez żołnierzy innego nieistniejącego imperium. Czy powinniśmy je odesłać do Egiptu? A co z *Wenus z Milo* czy *Nike z Samotraki*? Czy na pewno byłoby dla nich lepiej, gdyby znajdowały się w Atenach, a nie w Luwrze? Czy wtedy obejrzałyby je więcej ludzi?

- Strasznie jesteś przejęty tym tematem.

- Moi wrogowie często mylnie biorą mnie za liberała, który usiłuje zniszczyć Kościół. W rzeczywistości, mimo mego jezuickiego wykształcenia, próżno szukać większego tradycjonalisty ode mnie. Uważam, że wielkie skarby starożytności powinny być wystawiane w wielkich muzeach.

- A co ma do tego Claudia?

- Zażarcie mi się sprzeciwiała - odparł Donati. - Nie chciałem, żeby ten raport cokolwiek tuszował. Zależało mi, by dostać potencjalnie najczarniejszy scenariusz, nieupiększoną prawdę na temat pochodzenia każdego obiektu w naszym posiadaniu. Zbiory Watykanu należą do najstarszych i największych na świecie. A większość z nich jest całkowicie nieznanego pochodzenia.

- To znaczy, że nie jesteście pewni, skąd pochodzą.

- Ani nawet kiedy je nabyto. - Donati wolno pokręcił głową. - Może nie uwierzysz, ale aż do lat trzydziestych dwudziestego wieku Biblioteka Watykańska nie miała należytego systemu katalogowania. Książki układano według rozmiaru i koloru. R o z m i a r u i k o l o r u - powtórzył Donati z niedowierzaniem. - Obawiam się, że system rejestracji zbiorów w muzeum był niewiele lepszy.

- Czyli poprosiłeś Claudię, żeby podjęła się przeglądu zbiorów w celu ustalenia, czy któryś z obiektów nie jest podejrzanym.

- Ze szczególnym uwzględnieniem zbiorów egipskich i etruskich - dodał Donati. - Ale powinienem nadmienić, że dochodzenie Claudii miało charakter całkowicie defensywny. W pewnym sensie przypominało to sytuację, w której szef kampanii prześwietla swojego kandydata, szukając potencjalnego brudu, który może wywlec jego przeciwnik.

- A gdyby odkryła jakiś problem?

- Rozważylibyśmy dokładnie wszystkie możliwości - odparł Donati z precyzją adwokata. - Długie zastanawianie się jest naszą specjalnością. To jedna z przyczyn, dla których wciąż trwamy, już ponad dwa tysiące lat.

Mężczyźni odwrócili się i ruszyli z powrotem w kierunku kopuły. Gabriel zapytał, jak długo Claudia pracowała nad zleceniem.

- Sześć miesięcy.

- Kto jeszcze o tym wiedział?

- Tylko dyrektor muzeum. I oczywiście Ojciec Święty.

- Czy meldowała ci o jakichś odkryciach?

- Nie. - Donati zawahał się. - Ale byliśmy umówieni na spotkanie. Mówiła, że musi mi

coś pilnie przekazać.

- Co?

- Nie powiedziała.

- Kiedy mieliście się spotkać?

- Wczoraj wieczorem. - Donati zamilkł, po czym dodał: - O dziewiątej.

Gabriel zatrzymał się i odwrócił do Donatego.

- Dlaczego tak późno?

- Kierowanie Kościołem o miliardzie dusz to ogromna praca. Dopiero wtedy miałem czas.

- Jak to było?

- Claudia zadzwoniła do mojego asystenta i poprosiła, żeby przenieść spotkanie na dziś rano. Nie podała powodu.

Donati wyjął papierosa z eleganckiej złotej papierośnicy i postukał nim o wieczko, a następnie zapalił go złotą zapalniczką. Nie pierwszy raz Gabriel musiał przypominać sobie, że ten wysoki mężczyzna w sutannie jest tak naprawdę katolickim księdzem.

- W razie gdyby ci to przyszło do głowy - odezwał się Donati - informuję cię, że ja nie zabiłem Claudii Andreatti. Nie wiem również, dlaczego ktoś chciał, żeby umarła. Ale jeśli wyjdzie na jaw, że miałem się z nią spotkać tego wieczoru, gdy zginęła, znajdę się w niezręcznej sytuacji, mówiąc łagodnie. I Ojciec Święty także.

- Więc dlatego nie wspomniałeś o tym Vitalemu i Metzlerowi.

Donati milczał.

- Czego ty ode mnie oczekujesz, Luigi?

- Chcę, żebyś pomógł ochronić mój Kościół przed kolejnym skandalem. I mnie też.

- Co proponujesz?

- Dwa śledztwa. Jedno przeprowadzi Vitale i żandarmi. Będzie krótkie i dowiedzie, że doktor Andreatti odebrała sobie życie, rzucając się z galerii pod kopułą.

- Rzym przemówił, sprawa zakończona.

- Amen.

- A drugie śledztwo?

- Przeprowadzisz je ty - wyjaśnił Donati. - A o wynikach dowie się tylko jedna osoba.

- Osobisty sekretarz Jego Świątobliwości papieża Pawła Siódmego.

Donati przytaknął.

- Przyjechałem do Rzymu, żeby odrestaurować obraz, Luigi.

- Nie byłoby cię tutaj, gdyby nie poparcie mojego pana i moje. Teraz potrzebujemy, byś

nam się odwdzieczył.

- Jak bardzo jest to w duchu nauki Chrystusa, monsinior.

- Chrystus nie musiał zarządzać Kościołem. Ja tak.

Gabriel uśmiechnął się wbrew sobie.

- Powiedziałeś włoskiej służbie bezpieczeństwa, że potrzebujesz mnie, żebym oczyścił Caravaggia. Coś mi mówi, że nie będą zachwyceni, gdy odkryją, że prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa.

- Przypuszczam więc, że będziemy musieli ich oszukać. Wierz mi - dodał Donati - to nie będzie pierwszy raz.

Przystanęli przy balustradzie. Dokładnie pod nimi, na niewielkim dziedzińcu przed wejściem na watykańską nekropolię, ciało Claudii Andreatti umieszczano z tyłu nieoznakowanej furgonetki. Metr dalej, niczym żałobnik nad otwartym grobem, stał Lorenzo Vitale.

- Na początek będę potrzebował kilku rzeczy - odezwał się Gabriel, obserwując szefa watykańskiej policji. - I chcę, żebyś zdobył je dla mnie bez wiedzy Vitalego.

- Jakich rzeczy?

- Kopię zawartości twardego dysku komputera Claudii, wykaz jej rozmów telefonicznych i całą dokumentację, którą zebrała, dokonując przeglądu zbiorów watykańskich.

Donati skinął głową.

- Tymczasem - powiedział - rozsądnie byłoby rozejrzeć się po mieszkaniu Claudii, zanim Vitale uzyska zezwolenie od włoskich władz i zrobi to sam.

- Masz jakiś pomysł, jak tam wejść?

Donati wręczył Gabrielowi kółko z kluczami.

- Skąd je wzięłeś?

- Zasada numer jeden w Watykanie - odparł Donati. - Nie zadawaj zbyt wielu pytań.

5.

PLAC HISZPAŃSKI, RZYM

Zanim watykańskie biuro prasowe wydało oświadczenie, że doktor Claudia Andreatti, szanowana kustoszka działu zabytków starożytności, popełniła samobójstwo w Bazylice Świętego Piotra, pogłoski o jej śmierci rozeszły się już po rozplotkowanej wiosce znanej jako Stolica Apostolska. W pracowni konserwatorskiej ustała praca, bo personel zebrał się wokół stołów do badań i rozważał, jak to możliwe, że nikt nie zauważył żadnych oznak emocjonalnych cierpień doktor Andreatti, jak można pracować z kimś przez całe lata i prawie nic nie wiedzieć o życiu osobistym tej osoby. Gabriel wymamrotał kilka stosownych słów współczucia, ale przez większość czasu trzymał się w swoim kącie. Przebywał tam, razem z Caravagiem, aż do późnego popołudnia, a potem wrócił w lodowatej mżawce do mieszkania nieopodal placu Hiszpańskiego. Zastał Chiarę opartą o blat kuchenny. Ciemne włosy miała związane na karku aksamitną wstążką. Wpatrywała się w ekran telewizora, gdzie reporter z BBC opisywał historię tragicznego samobójstwa, a przez ekran biegł pasek z napisem ŚMIERĆ W BAZYLICE. Gdy na ekranie pokazało się zdjęcie Claudii, Chiara pokręciła głową.

- Była taka piękna. Jakoś zawsze trudniej zrozumieć, gdy robi to ktoś o takiej urodzie. - Wyjęła korek z butelki sangiovese i naląła wino do dwóch kieliszków. Gabriel sięgnął po swój, ale zawahał się. Intensywnie ciemne wino miało kolor krwi. - Coś nie tak?

- Donati poprosił mnie, żebym obejrzał ciało.

- A to po co?

- Chciał zasięgnąć dodatkowej opinii.

- Według niego to nie było samobójstwo?

- Nie. I ja też tak sądzę.

Opowiedział Chiarze o zerwanym łańcuszku, o butach, które leżały w zbyt dużej odległości od siebie, o przeprowadzanym dyskretnie przeglądzie watykańskiej kolekcji antyków. W końcu powiedział też o pilnym spotkaniu, które miało się odbyć w gabinecie Donatego.

- Teraz rozumiem problem - stwierdziła Chiara. - Atrakcyjna kustoszka ma się spotkać z wpływowym osobistym sekretarzem. Ale do spotkania nie dochodzi i atrakcyjna kustoszka zostaje znaleziona martwa.

- Co daje wszystkim twórcom teorii spiskowych na świecie podstawy do spekulacji, że wpływowy sekretarz jest jakoś wmieszany w sprawę śmierci kustoszki.

- To tłumaczy, dlaczego on cię prosi o pomoc w zatuszowaniu sprawy.

- Tak bym tego nie nazwał.

- A jak?

- Prywatną misją rozpoznawczą, taką jak te, które przeprowadzaliśmy dla Biura.

Siedziba główna izraelskiego wywiadu zagranicznego, mieszcząca się na Bulwarze Króla Saula, nosiła długą, celowo mylącą nazwę, która niewiele miała wspólnego z rzeczywistą działalnością pracujących tu ludzi. Nawet emerytowani agenci, jak Gabriel i Chiara, nazywali ją po prostu Biurem.

- Ta sprawa ma wszelkie zadatki, by stać się kolejnym watykańskim skandalem - ostrzegła go Chiara. - A jeśli nie będziesz uważał, twój przyjaciel monsinior Luigi Donati wrzuci cię w sam jego środek.

Wyłączyła telewizor, nie komentując więcej, i przeniosła ich kieliszki do salonu. Na niskiej ławie stała taca z różnymi rodzajami bruschetty. Chiara bacznie przyglądała się Gabrielowi, gdy wybrał tę z karczochami i ricottą i popił ją sangiovese. Jej oczy, duże i zdradzające orientalne pochodzenie, były barwy karmelu, ze złotymi plamkami. Zwykle zmieniały kolor zależnie od jej nastroju. Gabriel widział, że jest zmartwiona. Trudno było się jej dziwić. Ich ostatnie zadanie zlecone przez Biuro, operacja skierowana przeciw dżihadystycznej sieci terrorystycznej, było wyjątkowo brutalną akcją, która znalazła finał na pustyni Ar-Rab al-Chali w Arabii Saudyjskiej. Chiara miała nadzieję, że konserwacja Caravaggia okaże się końcowym etapem rekonwalescencji Gabriela, początkiem nowego życia, wolnego od grawitacyjnej siły przyciągania Biura. Nie przewidywała tu miejsca na śledztwo prowadzone w imieniu osobistego sekretarza papieża.

- No i co? - zapytała.

- Pyszne!

- Nie pytałam o bruschettę. - Chiara poprawiła poduszki na brzegu kanapy. Zawsze musiała coś poprawiać, gdy była zirytowana.

- Pomyślałeś o tym, co zrobi włoska służba bezpieczeństwa, gdy odkryje, że pracujesz na zlecenie Watykanu? Wyrzucą nas z kraju. Z n o w u.

- Próbowałem to wyjaśnić Donatiemu.

- I co?

- Powołał się na swego zwierzchnika.

- To nie jest t w ó j papież, Gabrielu.

- Więc co miałem mu powiedzieć?
- „Znajdź kogoś innego” - odparła. - To trzy słowa, których musisz się nauczyć.
- Nie mówiłabyś tak, gdybyś widziała ciało Claudii.
- To nie fair.
- Ale taka jest prawda. Widziałem w życiu wiele zwłok, ale nigdy jeszcze takiego ciała, które spadło z wysokości prawie pięćdziesięciu metrów i wylądowało na marmurowej posadzce.
- Co za straszna śmierć. - Chiara patrzyła na deszcz bębniący po niewielkim tarasie wychodzącym na Schody Hiszpańskie. - Na ile masz pewność, że Donati mówi prawdę?
- O czym?
- O swojej relacji z Claudią Andreatti.
- Jeśli pytasz, czy moim zdaniem byli związani uczuciowo, odpowiedź brzmi: nie.
- Dorastałeś przy matce, która nigdy nie opowiadała ci, co działo się z nią w czasie wojny.
- Do czego zmierzasz?
- Każdy ma jakieś tajemnice. Nawet przed ludźmi, którym ufa się najbardziej. Nazwij to kobiecą intuicją, ale zawsze miałam wrażenie, że w życiu monsiniora Donatego kryje się jakaś tajemnica. To człowiek z przeszłością. Jestem tego pewna.
- Wszyscy mamy jakąś przeszłość.
- Ale niektórzy bardziej interesującą od innych. Zresztą, co ty właściwie wiesz o jego życiu osobistym?
- Wiem tyle, żeby mieć pewność, że nigdy nie zrobiłby czegoś tak lekkomyślnego jak wdanie się w romans z pracownicą Watykanu.
- Pewnie masz rację. Ale trudno mi sobie wyobrazić, jak to jest mężczyźnie, który wygląda jak Luigi Donati, żyć w celibacie.
- Radzi sobie, roztaczając aurę całkowitej niedostępności. Poza tym nosi długą czarną spódnicę oraz sypia drzwiami w drzwi z papieżem.
- Chiara uśmiechnęła się i wzięła z tacy bruschettę.
- Widzę przynajmniej j e d n ą dodatkową korzyść z przyjęcia tego zlecenia - powiedziała w zamyśleniu. - Dałoby nam to szansę na zobaczenie prywatnej kolekcji antyków Kościoła. Bóg jeden wie, co tak naprawdę chowają w swoich magazynach.
- Bóg i papież. Ale to zbyt poważna sprawa, żebym przeglądał je sam. Będę potrzebował pomocy kogoś, kto się trochę zna na sztuce starożytnej.
- Mojej pomocy?

- Gdyby nie złowiło cię Biuro, byłabyś teraz profesorem na jakimś ważnym włoskim uniwersytecie.

- To prawda - przyznała. - Ale ja studiowałam historię Imperium Rzymskiego.

- Każdy, kto studiował dzieje Rzymian, wie coś niecoś o ich artefaktach. A twoja wiedza na temat cywilizacji greckiej i etruskiej znacznie przewyższa moją.

- Obawiam się, że to za mało powiedziane, kochanie.

Chiara wygięła jedną brew, po czym uniosła kieliszek do ust. Jej powierzchowność zmieniła się wyraźnie, od kiedy przybyli do Rzymu. Gdy siedziała tak teraz, z włosami opadającymi na ramiona, z rozświetloną oliwkową skórą, wyglądała całkiem jak atrakcyjna młoda Włoszka, którą Gabriel poznał dziesięć lat wcześniej w starym getcie weneckim. Było niemal tak, jakby pozbyli się brzemienia tych wielu długich i niebezpiecznych operacji. Jedynym cieniem na jej twarzy kładło się wspomnienie dziecka, które straciła, gdy przetrzymywał ją dla okupu rosyjski oligarcha i handlarz bronią Iwan Charkow. Od tej pory nie udawało im się spłodzić dziecka. W głębi duszy Chiara pogodziła się z perspektywą, że ona i Gabriel mogą nigdy już go nie mieć.

- Istnieje jeszcze jedna ewentualność - zasugerowała.

- Jaka?

- Że doktor Claudia Andreatti wspięła się na szczyt bazyliki w stanie wzburzenia emocjonalnego i rzuciła się w dół na pewną śmierć.

- Gdy widziałem ją wczoraj wieczorem, nie wydawała się wzburzona. Właściwie... - Gabriel urwał.

- Co?

- Miałem wrażenie, że ona chce mi coś powiedzieć.

Chiara przez chwilę milczała.

- Ile czasu zajmie Donatiemu zdobycie dla nas jej akt? - zapytała w końcu.

- Dzień lub dwa.

- Więc co będziemy robić w tym czasie?

- Sądzę, że powinniśmy ją trochę lepiej poznać.

- Jak?

Gabriel wyciągnął przed siebie rękę, w której trzymał pęk kluczy.

*

Mieszkała po drugiej stronie rzeki, na Zatybrzu, w starym wyblakłym *palazzo*, który przekształcono w stary wyblakły budynek mieszkalny. Gabriel i Chiara przespacerowali się dwukrotnie tam i z powrotem pod bramą, upewniając się, że ich stały zestaw włoskich

szpiegów wziął sobie wolne na noc. W końcu, przechodząc po raz trzeci, Gabriel podszedł do bramy ze swobodną pewnością siebie osoby, która ma w tym budynku jakiś interes do załatwienia, i wprowadził Chiarę do środka. Hol był pogrążony w półmroku, a skrzynka na listy Claudii pękała od korespondencji, na oko nie wybieranej od kilku dni. Gabriel wyjął listy i włożył Chiarze do torebki. Następnie poprowadził ją do podstawy szerokiej głównej klatki schodowej i razem weszli na schody.

Już po chwili Gabriel doznał znajomego uczucia. Szamron, jego mentor, nazywał je „rauszem operacyjnym”. To ono sprawiało, że zaczynał iść na palcach, lekko pochylony do przodu, i oddychać równo, z precyzją respiratora. To ono zmuszało go do instynktownego zakładania najgorszego, że za każdymi drzwiami, za każdym skrytym w mroku rogiem czyha dawny wróg z bronią i rachunkami do wyrównania. Oczy biegały mu nerwowo, a zmysł słuchu, nagle wyostrojony, koncentrował się na każdym odgłosie, nawet bardzo słabym lub blahym - plusku wody w umywalce, ściszeniu koncertu skrzypcowego, płaczu niedającego się ukoić dziecka.

I właśnie płacz dziecka towarzyszył Gabrielowi i Chiarze w wędrówce na podest trzeciego piętra. Gabriel podszedł do drzwi 3B, sprawnie obmacał ościeże, po czym włożył klucz do zamka. Bezgłośnie otworzył drzwi i oboje wsunęli się do środka. Natychmiast zorientowali się, że nie są sami. W kręgu światła lampy, cicho szlochając, siedziała doktor Claudia Andreatti.

6.

ZATYBRZE, RZYM

Ta kobieta oczywiście nie była Claudią, jednak podobieństwo szokowało. To było tak, jak gdyby Caravaggio namalował portret kustoszki, a następnie, zadowolony ze swego dzieła, wykonał kopię, dokładną aż do najdrobniejszego szczegółu - identyczna skala i kompozycja, te same rysy, te same włosy koloru piasku, te same przejrzyste niebieskie oczy. Teraz kopia bez słowa przypatrywała się przez chwilę Gabrielowi i Chiarze, po czym otarła łzę z policzka.

- Co państwo tu robią? - zapytała.

- Jestem kolegą Claudii z muzeum - odparł Gabriel wymijająco. Nagle uświadomił sobie, że gapi się zbyt intensywnie w twarz tej kobiety. Rano, gdy wychodzili z bazyliki, Luigi wspomniał coś o siostrze mieszkającej w Londynie, ale nie mówił nic o tym, że były bliźniaczkami jednojajowymi.

- Pracował pan z Claudią w dziale dzieł sztuki starożytnej? - zapytała.

- Nie - odrzekł Gabriel. - Poproszono mnie, żebym zabrał pewne dokumenty, które ona wypożyczyła z archiwum. Gdybym wiedział, że pani tu jest, nie zakłócałbym pani prywatności.

Wyglądało na to, że kobieta przyjęła jego wyjaśnienie. Gabriel poczuł nagle wyrzuty sumienia. Choć był szkolony w wyrafinowanej sztuce kłamstwa, miał zrozumiałe opory przed mówieniem nieprawdy zjawie zmarłej kobiety. Zjawa właśnie wstała i w półmroku podeszła do niego powoli.

- Skąd je pan wziął? - zapytała, wskazując na klucze w dłoni Gabriela.

- Znalaziono je w biurku Claudii - odparł, a poczucie winy było niczym nóż obracający się powoli w jego klatce piersiowej.

- Czy znaleziono coś jeszcze?

- Co na przykład?

- List pożegnalny?

Gabrielowi trudno było uwierzyć, że nie powiedziała: mój list pożegnalny.

- Obawiam się, że o to będzie pani musiała zapytać watykańską policję - odparł.

- Taki mam zamiar. - Podeszła o krok bliżej. - Jestem Paola Andreatti. - Wyciągnęła rękę. Gdy Gabriel zawahał się przed uściśnięciem jej, zmrużyła oczy z namysłem. - Ach, więc to jednak prawda.

- Co takiego?

- Siostra mówiła mi, że to pan restauruje Caravaggia, panie Allon. Muszę przyznać, że jestem zaskoczona, widząc pana tutaj teraz.

Gabriel uściskał wyciągniętą dłoń. Była ciepła i wilgotna w dotyku.

- Przepraszam - rzekła - ale zanim państwo przyszli, zmywałam naczynia. Niestety, siostra zostawiła niezły bałagan.

- Co to znaczy?

- Wszystko w mieszkaniu było trochę poprzestawiane. Próbowałam przywrócić pozory ładu.

- Kiedy pani ostatnio z nią rozmawiała?

- Tydzień temu w środę. - Odpowiedź padła bez wahania. - Odniosłam wrażenie, że ma dużo pracy, ale wszystko wyglądało normalnie, wcale nie sprawiała wrażenia osoby, która planowała...

Przerwała i spojrzała na Chiare.

- To pańska asystentka?

- Ta pani ma pecha być moją żoną.

Paola Andreatti uśmiechnęła się smutno.

- Chciałabym powiedzieć, że ma pan szczęście, panie Allon, ale czytałam dosyć o pana przeszłości, by wiedzieć, że nie całkiem tak jest.

- Nie powinna pani wierzyć wszystkiemu, co piszą w gazetach.

- Nie wierzę.

Przez chwilę przyglądała się uważnie Gabrielowi. Oczy miała identyczne z tymi, które widział rano, wpatrującymi się martwo w sklepienie Bazyliki Świętego Piotra. Miał wrażenie, że przypatruje mu się duch.

- Chyba powinniśmy zacząć tę rozmowę od początku - powiedziała w końcu. - Ale tym razem proszę mi nie kłamać, panie Allon. Właśnie straciłam siostrę i najlepszą przyjaciółkę na świecie. Nie wierzę, że Watykan wysłał kogoś takiego jak pan, żeby zabrał stąd jakieś tam papiery.

- Nie mam zamiaru pani okłamywać.

- Proszę mi zatem powiedzieć, po co pan tu przyszedł.

- Z tego samego powodu co pani.

- Ja usiłuję się dowiedzieć, dlaczego moja siostra nie żyje.

- Ja również.

Zjawa najwyraźniej odczuła ulgę, że nie jest już sama. Jeszcze przez chwilę zmagala się

sama ze sobą, jakby strzegąc wejścia do swych sekretów. Potem odsunęła się i zaprosiła Gabriela i Chiare do środka.

*

W salonie panował naukowy nieład, półki uginały się pod niezliczonymi książkami, na niskich stolikach piętrzyły się sterty papierów z pozaginanymi rogami i opasłe monografie. Wyczuwalna była atmosfera pośpiechu, jakby niedawna lokatorka goniła za czymś i usiłowała dotrzymać jakiegoś terminu. Paola Andreatti miała rację co do jednego: w mieszkaniu wszystko leżało nieco krzywo, jak gdyby ktoś ruszał każdą rzecz, a potem pośpiesznie kładł na miejsce. Gabriel podszedł do zagraconego biurka i włączył lampkę. Następnie kucnął i obejrzał blat pod kątem. Na środku biurka widniał idealny prostokąt o rozmiarach mniej więcej dwadzieścia pięć na trzydzieści pięć centymetrów, niepokryty kurzem. Podniósł filiżankę z niedopitą kawą i zaniósł ją do kuchni, gdzie Chiara i Paola Andreatti kończyły właśnie zmywać ostatnie talerze. Żadna z nich nie odezwała się, gdy postawił filiżankę na blacie i usiadł przy maleńkim stoliku.

- Czy pani siostra była wierząca? - zapytał.

- Była żarliwą katoliczką. Ale nie jestem pewna, czy faktycznie wierzyła w Boga. - Spojrzała na niego znad zlewu. - Dlaczego pan pyta?

- Nosila na szyi krzyżyk.

- Należał do naszej matki. To jedyna jej rzecz, którą Claudia chciała mieć. Na szczęście była to też jedyna rzecz, której ja nie c h c i a ł a m.

- Pani nie wyznaje tej samej wiary co siostra?

- Ja jestem kardiologiem, panie Allon. Jestem człowiekiem nauki, nie wiary. Uważam też, że w imię religii wyrządzono więcej zła niż w imię jakichkolwiek innych idei w historii ludzkości. Weźmy straszliwy los, jaki spotkał pański naród. Kościół fałszywie napiętnował was jako morderców Boga i od dwóch tysięcy lat ponosicie tego konsekwencje. Powróciliście na rodzinną ziemię i nie możecie wyplątać się z wojny, która nie ma końca. Czy właśnie o to chodziło Bogu, gdy zawierał umowę z Abrahamem?

- Może Abraham zapomniał doczytać szczegóły zapisane drobnym drukiem.

Chiara utkwiała w Gabrielu spojrzenie pełne wyrzutu, jednak po twarzy Paoli przemknął cień uśmiechu.

- Jeśli chce pan zapytać, czy sądzę, że moja siostra nie popełniłaby samobójstwa ze względu na swoją wiarę, odpowiedź brzmi: tak. Ponadto uważała Bazylikę Świętego Piotra za miejsce święte, powstałe z boskiego natchnienia. A poza tym ja jestem lekarzem. Potrafię rozpoznać kogoś, kto nosi się z myślą o samobójstwie. To nie był przypadek mojej siostry.

- Nie miała żadnych problemów w pracy?
- W każdym razie ja nic o nich nie wiem.
- Może był jakiś mężczyzna? - podsunęła Chiara.

- Jak wielu kobietom w tym kraju, mojej siostrze nie udało się znaleźć Włocha, który nadawałby się do małżeństwa czy choćby do poważnego związku. Między innymi dlatego ja wyładowałam w Londynie. Poślubiłam przyzwoitego Anglika. Który po pięciu latach przyzwoicie się ze mną rozwiódł.

Wytarła ręce i zaczęła wkładać świeżo umyte naczynia do szafek. W jej postępowaniu było coś lekko absurdalnego, jak w działaniu kogoś, kto podlewa ogródek, gdy w oddali trzaskają pioruny, jednak zdawało się to przynosić jej chwilowy spokój.

- Bliźnięta są wyjątkowe - rzekła, zamykając szafkę. - Wszystko dzieliłyśmy: brzuch mamy, przedszkole, ubrania. Pewnie się to panu wyda dziwne, panie Allon, ale zawsze zakładałam, że spoczniemy z siostrą w jednej trumnie.

Podeszła do lodówki. Na jej drzwiach, przytrzymywana magnesem, wisiała fotografia obu siostr opartych o reling promu. Nawet Gabriel, który jako artysta lepiej niż inni potrafił ocenić ludzkie ciało, nie wiedział, która jest którą.

- Została zrobiona w zeszłym roku w sierpniu podczas całodziennego rejsu po jeziorze Como - powiedziała Paola Andreatti. - Właśnie się wtedy rozstałam z mężem. Pojechałyśmy same, tylko we dwie. Ja płaciłam, oczywiście. Pracowników Watykanu nie stać na pobyt w pięciogwiazdkowym hotelu. To były moje najlepsze wakacje od wielu lat. Claudia mówiła stosowne rzeczy na temat mego zbliżającego się rozwodu, ale podejrzewam, że w głębi duszy czuła ulgę. Znowu miała mnie mieć tylko dla siebie.

Otworzyła lodówkę, westchnęła ciężko i zaczęła wyrzucać jej zawartość do plastikowego kosza na śmieci.

- W tej chwili - odezwała się - paręset milionów ludzi na całym świecie myśli, że moja siostra popełniła samobójstwo. Ale nikt z nich nie wie, że Gabriel Allon, były agent wywiadu izraelskiego i przyjaciel Watykanu, siedzi teraz przy stole w jej kuchni.

- I wolałbym, żeby tak zostało.

- Jestem pewna, że ludzie Watykanu też. Pańska obecność sugeruje bowiem, że w śmierci mojej siostry chodzi o coś więcej niż tylko o udrękę duszy.

Gabriel nic na to nie odpowiedział.

- Czy wierzy pan, że Claudia odebrała sobie życie?

- Nie - odrzekł Gabriel. - Nie wierzę, że Claudia odebrała sobie życie.

- Dlaczego?

Opowiedział jej o zerwanym krzyżyku, o butach i o niezakurzonej prostokacie na biurku jej siostry.

- Nie była pani pierwszą osobą, która przyszła dziś do tego mieszkania - powiedział. - Ktoś panią uprzedził. Zawodowiec. Zabrał wszystko, co mogłoby naprowadzić nas na trop, w tym laptop pani siostry.

Zamknęła lodówkę i patrzyła w milczeniu na fotografię na jej drzwiach.

- Zauważyła pani, że laptop zniknął, prawda?

- Nie tylko laptop - odezwała się cicho.

- Co jeszcze?

- Siostra nigdy nie szła spać bez napisania kilku linijek w swoim dzienniczku. Trzymała go na nocnym stoliku. Teraz go tam nie ma. - Paola Andreatti spoglądała przez chwilę na Gabriela. - Ile czasu będzie trzeba podtrzymywać to okropne kłamstwo o mojej siostrze?

- Tyle, ile zajmie odkrycie prawdy. Jednak sam tego nie dokonam. Będę potrzebował pani pomocy.

- Jakiego rodzaju?

- Na początek opowie mi pani o swojej siostrze.

- A potem?

- Przeszukamy ponownie mieszkanie.

- Mówił pan przecież, że to zawodowiec.

- Owszem - rzekł Gabriel. - Ale nawet zawodowcy czasem popełniają błędy.

*

Przeszli do salonu i usiedli wśród książek i papierów Claudii. Paola Andreatti opowiadała o swojej siostrze tak, jakby mówiła o sobie samej. Gabriel miał wrażenie, że przesłuchuje zmarłą, której dano możliwość mówienia.

- Czy Claudia używała jakiegoś innego adresu e-mailowego poza watykańskim?

- W Watykanie każdy ma konto prywatne. Zwłaszcza księża.

Podawała mu adres na Gmailu. Gabriel nie musiał go zapisywać - jego niezwyklej umiejętności imitowania pociągnięć pędzla starych mistrzów dorównywała jedynie precyzja jego pamięci. Poza tym, pomyślał, gdy trzeba stanąć do walki z zawodowcami, lepiej zachowywać się jak jeden z nich.

Przystąpili do przeszukania mieszkania. Chiara i Paola Andreatti zajęły się sypialnią, a Gabriel biurkiem. Przeglądał jego zawartość tak, jak wyobrażał sobie, że robiono to w godzinach po śmierci Claudii Andreatti - szuflada po szufladzie, skoroszyt za skoroszytem, kartka po kartce. Mimo całej skrupulatności nie znalazł niczego, co wskazywałoby powód,

dla którego ktoś postanowił ją zabić.

Jednakże ten, kto zjawił się tu przed Gabrielem, faktycznie popełnił błąd; wyszedł z mieszkania, nie opróżniwszy skrzynki na listy. Gabriel wyjął pocztę z torebki Chiary i szybko przerzucił korespondencję. Znalazł wyciąg z karty kredytowej. Płatności dawały pojęcie o typowym życiu w Rzymie, zachowane na zawsze, jak szczątki archeologiczne, w banku pamięci centralnego komputera. Te niczym się nie wyróżniały, ale jedna rzecz go zainteresowała. Wyglądało na to, że dwa tygodnie przed śmiercią Claudia spędziła noc w hotelu w Ladispoli, bezbarwnym kurorcie nadmorskim niedaleko na północ od Rzymu. Gabriel przejeżdżał raz przez to miasto, w innym życiu. Niewiele zapamiętał poza kiepskimi restauracjami i plażą barwy asfaltu. Włożył wyciąg z powrotem do koperty i siedział przez kilka minut, a w głowie tłukło mu się jedno pytanie. Po co kobieta taka jak Claudia Andreatti miałaby spędzać noc w hotelu na włoskim wybrzeżu, zaledwie trzydzieści minut drogi od własnego mieszkania, do tego w środku zimy? Do głowy przychodziły mu tylko dwie rzeczy. Pierwsza miała coś wspólnego z miłością. Druga mogła być przyczyną jej śmierci.

Msza żałobna została odprawiona trzy dni później, w kościele Świętej Anny. Ojciec Święty nie wziął w niej udziału, za to po długiej tajnej debacie gdzieś w komnatach Pałacu Apostolskiego postanowiono, że celebrował ją będzie osobisty sekretarz papieża. Gabriel wszedł do kościoła właśnie w momencie, gdy Donati, odziany w białe szaty, rozpoczął wraz z żałobnikami odmawianie aktu pokuty. Paola Andreatti siedziała w milczeniu w drugim rzędzie z twarzą pozbawioną wyrazu. W jej obecności koledzy Claudii czuli się wyraźnie nieswojo; całkiem jakby dusza zmarłej postanowiła wziąć udział we własnym pogrzebie. Po zakończonej mszy, gdy Paola powoli szła za trumną po via Belvedere, minęła Gabriela bez jednego spojrzenia. Kilka sekund później tak samo postąpił Donati.

Pracownia konserwatorska była tego dnia oficjalnie zamknięta, ale Gabriel postanowił skorzystać z okazji, by spędzić kilka niezakłóconych chwil sam na sam z Caravagiem. Kilka minut po czwartej dostał SMS-a od ojca Marka, asystenta Donatiego, który prosił go, by przyszedł do kawiarni tuż za murami Watykanu w Borgo Pio. Gdy Gabriel się zjawił, młody ksiądz siedział przy stoliku pod oknem, wpatrując się w ekran swojej komórki BlackBerry. Ojciec Mark był Amerykaninem z Filadelfii. Miał twarz ministranta, a oczy kogoś, kto nigdy nie przegrywa w karty - dlatego właśnie pracował dla Donatiego.

- Prezent od monsiniora. - Podał Gabrielowi plastikową torebkę z nadrukiem watykańskiej księgarni.

- Zbiór encyklik Ojca Świętego?

Ojciec Mark skrzywił się. Nie lubił żartów z Jego Świątobliwości. Nie przepadał też za Gabrielem.

- To są wszystkie materiały pani doktor Andreatti dotyczące całej kolekcji antyków, tak jak pan prosił.

- Wszystkie, w tej torebeczce? Prawdziwy cud.

- Pendrive'y - wytłumaczył duchowny. Ojciec Mark może i miał kiedyś poczucie humoru, ale wymazało je osiem lat szkolenia w seminarium.

- A co z jej billingami?

- Pracuję nad tym.

- A e-maile?

- Jesteśmy w Watykanie. Te sprawy wymagają czasu. - Na anielskim obliczu młodego księdza nie odbijały się żadne emocje. Nawet Gabriel nie potrafił stwierdzić, czy trzyma on w ręce strita w kolorze czy parę dwójek. - Monsinior pragnie się dowiedzieć, jak pan zamierza prowadzić swoje śledztwo - rzekł, sprawdzając ekran komórki.

- Najpierw stracę wzrok, czytając parę tysięcy stron dokumentacji dotyczącej pochodzenia waszej kolekcji antyków.

- A potem?

- Niech ksiądz przekaze monsiniorowi, że na pewno dowie się pierwszy.

Duchowny wstał gwałtownie, powiedział, że musi załatwić coś pilnego, i wrócił do Watykanu. Gabriel wsunął plastikową torebkę do kieszeni płaszcza, zawahał się, po czym wybrał automatycznie numer na swoim telefonie BlackBerry. Jakiś szorstki męski głos odpowiedział coś po hebrajsku. Gabriel wymamrotał kilka słów w tym samym języku i szybko się rozłączył, zanim mężczyzna po drugiej stronie zdążył się sprzeciwić. Później siedział jeszcze chwilę w zmroku zapadającym nad wąską uliczką, zastanawiając się, czy właśnie popełnił swój pierwszy błąd.

*

Nie można chyba było otrzymać bardziej niewdzięcznej misji niż mianowanie na kierownika filii Biura w Europie Zachodniej. Szimon Pazner, szef licznie obsadzonej placówki w Ambasadzie Izraela w Rzymie, dźwigał to brzemie wyjątkowo długo. Jego kadencja zbiegła się w czasie z szybkim spadkiem pozycji Izraela w oczach Europejczyków wszelkiego autoramentu. Dawniej jego kraj uważany był za lekko irytujący, teraz zaś Europejczycy odnosili się do przedsięwzięcia syjonistów z niemal powszechną pogardą. Izrael nie był już drogowskazem demokracji na targanym konfliktami Bliskim Wschodzie; stał się łobuzem bez żadnych praw, okupantem oraz zagrożeniem dla pokoju światowego. Znany z braku taktu Pazner nie uczynił zbyt wiele, by pomóc sprawie. Wysokie miejsce na liście skarg Włochów zajmowało jego zachowanie podczas zebrań. Gdy pytano go o taktykę i działania izraelskie, odpowiadał standardowo, iż pragnie przypomnieć swym braciom, że gdyby nie niegodne postępowanie Europejczyków, w ogóle nie byłoby Izraela.

Gabriel zastał Paznera siedzącego samotnie na kamiennej ławce przed Galerią Borghese. Niski i krępy, miał włosy stalowoszarej barwy i porowatą twarz. Rzucił Gabrielowi zdawkowe powitanie w języku włoskim, po czym zasugerował, że lepiej będzie, gdy się przejdą. Skierowali się na zachód przez ogrody ścieżką obsadzoną piniami. Zimne powietrze ciężkie było od woni mokrych liści, palonego drzewa i gotowanego jedzenia - tworzących zapach Rzymu podczas zimowych nocy. Pazner zepsuł go, zapalając papierosa. Zdawało się,

że jest w gorszym humorze niż zazwyczaj, jednak w jego przypadku trudno było mieć co do tego pewność. Rzym go irytował. Jego zdaniem miasto to miało już na zawsze pozostać sercem imperium, które zniszczyło Drugą Świątynię i rozprędziło Żydów na wszystkie strony świata. Był to człowiek obdarzony długą pamięcią, który chował niejedną urazę. Miał ją również do Gabriela.

- Fortunnie się złożyło, że zadzwoniłeś - odezwał się w końcu. - Chcieliśmy z tobą pogadać.

- My?

- Nie denerwuj się, Gabrielu. Nikt z Bulwaru Króla Saula nie ma zamiaru ponownie odwoływać cię z emerytury, nie po tym, co przeszedłeś w Arabii Saudyjskiej. Nawet Stary wydaje się zadowolony, że tym razem zostawiamy cię w spokoju.

- Jesteś pewien, że mówimy o tym samym Arim Szamronie?

- Właściwie to on nie jest już ten sam. - Pazner milczał przez chwilę. - Daleki jestem od mówienia ci, jak masz postępować - powiedział wreszcie - ale dobrze by było, gdybyś go odwiedził następnym razem.

- Kiedy go ostatnio widziałeś?

- Kilka tygodni temu, gdy pojechałem do Tel Awiwu na doroczne zebranie szefów placówek. Szamron tradycyjnie pokazał się ostatniego wieczoru przy kolacji. Kiedyś zostawał niemal do rana, zabawiając nas historyjkami z dawnych czasów, ale tym razem miałem wrażenie, że tylko zachowuje pozory. Nie mogłem przestać myśleć o tym, jak to było za naszej młodości. Pamiętasz, Gabrielu? Gdy Stary wchodził do pokoju, ziemia się trzęsła.

- Pamiętam - powiedział Gabriel z rezerwą. Przez chwilę znów maszerował przez dziedziniec Szkoły Sztuk Pięknych i Rzemiosł Artystycznych Besaleel w Jerozolimie w rozjaśnione słońcem popołudnie we wrześniu 1972 roku. Jakby znikąd pojawił się drobny, ale krzepki mężczyzna o ostrych, rzadko rozstawionych zębach, w okropnych czarnych okularach. Mężczyzna nie przedstawił się, bo też i nie było potrzeby. To był ten, o którym mówiono tylko szeptem. To on wykradł tajne informacje, które doprowadziły do błyskawicznego zwycięstwa Izraela w wojnie sześciodniowej. To on dopadł Adolfa Eichmanna, głównego zbrodniarza Holokaustu, na rogu ulicy w Argentynie.

Jak zwykle, tak i owego dnia Szamron przybył świetnie przygotowany. Wiedział na przykład, że Gabriel wywodzi się z długiej linii utalentowanych artystów, że płynnie mówi po niemiecku z wyraźnym berlińskim akcentem i że jego żoną jest Lea Savir, również studentka sztuki. Wiedział też, że Gabriel, wychowany przez kobietę, która przetrwała obóz nazistowski Auschwitz-Birkenau, potrafi dochować sekretu.

- Ta operacja będzie nosić kryptonim Gniew Boży - powiedział tamtego dnia. - Nie chodzi w niej o sprawiedliwość. Chodzi tylko i wyłącznie o zemstę, zemstę za jedenaście niewinnych istnień pozbawionych życia w Monachium. - Gabriel rzekł Szamronowi, żeby poszukał kogoś innego. - Nie chcę nikogo innego - odparł Szamron. - Chcę ciebie.

To był zaledwie jeden z licznych sporów, w których Szamron wziął górę. Wielokrotnie udawało mu się tak zmanipulować Gabriela, by wykonywał jego polecenia, za każdym razem wymyślając jakiś pretekst, wynajdując jakąś drobną operacyjną sprawę do załatwienia, aby trzymać swego utalentowanego człowieka w zasięgu działań Biura. Szamron życzył sobie, żeby Gabriel zajął należne mu miejsce w gabinecie dyrektorskim na Bulwarze Króla Saula. Jednak Gabriel, w ostatecznym akcie nieposłuszeństwa, odrzucił ofertę i oddał stanowisko dawnemu rywalowi Uziemowi Nawotowi. Przez pewien czas wydawało się, że Nawot będzie tylko marionetką w rękach Szamrona. Jednakże ten, przejąwszy kontrolę nad Biurem, zesłał Szamrona na Pustynię Judejską, tym sposobem przecinając jego więzy ze służbą wywiadowczą, którą stworzył on na swoje podobieństwo. Szamron żył teraz niejako na wygnaniu wewnętrznym, w domu z widokiem na Jezioro Galilejskie. Politycy i generałowie, którzy dawniej zasięgali jego porady, przestali walić do niego drzwiami i oknami. Aby wypełnić sobie czymś czas, reperował stare radia i próbował obmyślić jakiś sposób, by przekonać Gabriela, którego kochał jak syna, żeby ten wrócił do Izraela.

- Jak często dzwoni, żeby mnie sprawdzić?

- Nigdy - odparł Pazner, kręcąc głową dla wzmocnienia przekazu.

- Jak często, Szimonie?

- Dwa razy na tydzień, czasem trzy. Prawdę mówiąc, właśnie skończyłem rozmawiać z nim, gdy zadzwoniłeś.

- Czego chciał?

- Na Bulwarze Króla Saula panuje poruszenie. Są przekonani, że coś się szykuje. Coś dużego.

- Wiemy coś konkretnego o obiekcie?

Pazner zaciągnął się papierosem po raz ostatni i posłał łukiem niedopałek w ciemność.

- Może to być jakaś ambasada lub konsul. Synagoga albo ośrodek kultury. Według nich będzie to miało miejsce na południu, prawdopodobnie w Stambule lub Atenach, ale nie mogą też wykluczyć Rzymu. A my dopiero co skończyliśmy się odbudowywać po ostatnim ciosie. - Pazner zerknął na Gabriela i dodał: - Coś mi mówi, że dobrze pamiętasz tamten atak.

Gabriel nie odpowiedział wprost.

- Czy chodzi o Al-Kaidę?

- Po waszej ostatniej operacji nie ma prawdopodobnie żadnej sieci ani komórki Al-Kaidy zdolnej przeprowadzić poważny atak w Europie. A ponieważ Palestyńczycy nie mają obecnie żadnego interesu w tym, żeby w nas tutaj uderzyć, zostaje nam tylko jeden kandydat.

- Irańczycy.

- Którzy działają poprzez swego ulubionego przedstawiciela.

H e z b o l l a h.

Doszli do Piazza di Siena. Szeroki, pokryty pyłem owalny plac zalewało blade światło księżycy, a odgłosy ruchu ulicznego na Corso były ledwie słyszalne. Można sobie niemal było wyobrazić, że są dwoma ostatnimi żyjącymi ludźmi w bardzo starym mieście.

- Powiedz coś o źródle.

- O źródłach - poprawił go Pazner. - To kombinacja służb wywiadowczych, zarówno agenturalnych, jak i łącznościowych. Wygląda na to, że operację ma przeprowadzić jednostka specjalna Irańskiej Gwardii Rewolucyjnej. Podobno jest też zaangażowany Departament Piąty VEVAK.

VEVAK - był to akronim w języku perskim Ministerstwa Informacji i Bezpieczeństwa Narodowego, potężnej irańskiej służby wywiadowczej. Departament Piąty był jednym z jego najważniejszych wydziałów, ponieważ zajmował się wyłącznie państwem Izrael.

- Według jednego z naszych kontaktów w południowym Libanie - ciągnął Pazner - jakieś sześć tygodni temu grupa agentów Hezbollahu wyjechała z Bejrutu. Uważamy, że ta operacja to akcja czysto odwetowa. Szczerze mówiąc, spodziewaliśmy się czegoś takiego od pewnego czasu. Mają powody być na nas wściekli.

Przez większość ostatniej dekady Biuro prowadziło nie całkiem tajną wojnę przeciw irańskiemu programowi nuklearnemu. Przeprowadzono zamachy na naukowców, systemy komputerowe laboratoriów i innych ośrodków zarażano niszczyielskimi wirusami, a do irańskiego łańcucha zaopatrzenia nuklearnego sprytnie wprowadzono wadliwe części - w tym kilkadziesiąt uszkodzonych wirówek frakcjonujących, co umożliwiło sabotaż czterech tajnych zakładów wzbogacania uranu. Była to jedna z najlepszych operacji Gabriela. Otrzymała trafny kryptonim Arcydziało.

- Czy w którychkolwiek informacjach pojawiło się moje nazwisko?

- Ani razu. Co wcale nie znaczy, że nie podejrzewają, że to ty za wszystkim stoisz. Każdy, kto nie docenia Irańczyków, czyni to na własne ryzyko, także i ty.

- Nigdy ich nie lekceważyłem. Jednak nie mam zamiaru ukrywać się przez resztę życia.

- Nikt ci tego nie proponuje.

- W takim razie c o proponujecie?

- W Jerozolimie jest pięknie o tej porze roku.

- Tak naprawdę jest ponuro. Ale nie o to chodzi. Jestem zbyt zajęty, żeby wyjechać z Rzymu.

- Słyszałem. Wiem też, że twój przyjaciel monsinior poprosił cię, żebyś przyjrzał się samobójstwu w Bazylice Świętego Piotra, jeszcze kiedy leżały tam zwłoki.

- Jestem pod wrażeniem, Szimonie. Skąd wiedzieliście, że tam byłem?

- Ponieważ Lorenzo Vitale powiedział o tym jednemu ze swych dawnych znajomych ze Straży Skarbowej. A ten znajomy powiedział jednemu ze swoich znajomych z włoskiej służby bezpieczeństwa. A on powiedział mnie. Dodał też, że jeśli na zbyt wiele sobie pozwolisz, wsadzi cię do pierwszego samolotu wylatującego z Rzymu.

- Przekaż mu, że przestrzegam ducha i litery naszej umowy.

- I to dlatego asystent Donatiego zaprosił cię dzisiaj na kawę?

- Widzę, że znów namierzasz moją komórkę.

- A skąd ci przyszło do głowy, że kiedykolwiek przestałem? - Pazner przez chwilę siedł w milczeniu. - Przypuszczam, że ta kobieta jednak nie rzuciła się z kopuły bazyliki, prawda?

- Tak, Szimonie.

- Masz jakieś wytłumaczenie, dlaczego została zamordowana?

- Mam teorię, ale nie dam rady jej sprawdzić bez pomocy.

- Jakiego rodzaju pomocy?

- Technicznej - odrzekł Gabriel. - Chcę, żeby Jednostka zbadała zawartość jej komputera.

Miał na myśli jednostkę 8200, która wchodziła w skład izraelskiej agencji wywiadu wojskowego i była odpowiedzialna za rozpoznanie łączności, taki odpowiednik Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Stanach Zjednoczonych. Formalnie podlegała dowództwu wojskowemu, jednak wykonywała zadania dla izraelskiego wywiadu i służb bezpieczeństwa, w tym i dla Biura. Wśród jej byłych pracowników znajdowali się odnoszący największe sukcesy przedsiębiorcy kwitnącej izraelskiej branży nowoczesnych technologii.

- Czy ja dobrze rozumiem? - zapytał Pazner. - Państwo Izrael stoi w obliczu zagrożeń dla swojej egzystencji, zbyt wielu, by je zliczyć, a ty chcesz, by Jednostka poświęcała cenny czas i siły na badanie sprawy śmierci jakiejś Włoszki?

Gabriel się nie odzywał. Pazner odetchnął ciężko.

- Z jakiego okresu potrzebujesz tych danych?

- Z ostatnich sześciu miesięcy. E-maile, historie przeglądania stron, wyszukiwanie informacji.

Pazner zapalił kolejnego papierosa i wydmuchał dym w kierunku księżycy.

- Gdybym miał choć gram zdrowego rozsądku, posłałbym tę sprawę w diabły, i ciebie razem z nią. Ale teraz będziesz moim dłużnikiem, Gabrielu. A ja nigdy nie zapominam o długach.

- Jakże mógłbym ci się kiedykolwiek odwdzińczyć, Szimonie?

- Na początek powiedz swojej żonie, żeby przestała gubić moich ludzi, gdy załatwia sprawy na mieście. Wysyłam ich tam dla jej własnego dobra.

- Zobaczą, co da się zrobić. Coś jeszcze?

- Gdybyś tak przypadkiem zauważył grupę agentów Hezbollahu chodzących po Rzymie, daj mi znać. Ale bądź tak miły i nie wyjmuj pistoletu. I bez tego mam dość problemów.

8.

PLAC HISZPAŃSKI, RZYM

Zabrali się do tej sprawy tak jak do większości spraw w życiu, z operacyjnym opanowaniem i czujnością tajnej ekipy działającej na nieprzyjaznym terenie. Ich celem był zabójca Claudii Andreatti. A teraz, gdy nadeszły jej akta z Watykanu, mieli materiał umożliwiający rozpoczęcie poszukiwań. Mimo wszystko liczyli się także z rozczarowaniem. Te akta były jak informacje wywiadu. A Gabriel i Chiara wiedzieli, że one bywają niekompletne, sprzeczne, mylące, a czasem wszystko naraz.

Pracowali, przyjąwszy założenie, że każdy ich krok jest obserwowany, i dostosowywali do tego swe postępowanie. Zwłaszcza Gabriel nie miał wyboru; musiał nadal wykonywać codzienne obowiązki. Był człowiekiem o wielu twarzach, odbył wiele różnych misji. Dla młodych członków Gwardii Szwajcarskiej, którzy witali go co rano przy Bramie Świętej Anny, był, jak i oni, żołnierzem, tajnym strażnikiem, a niekiedy sprzymierzeńcem. Dla kolegów i koleżanek z pracowni konserwatorskiej był utalentowanym, acz melancholijnym samotnikiem, spędzającym dni za czarną kotarą, sam na sam z Caravagiem i swymi demonami. A dla włoskich szpiegów, którzy każdego popołudnia śledzili go w drodze do domu, był legendarnym agentem o przeszłości tak zagmatwanej, że znali jedynie jej odpryski. Wchodząc do mieszkania, Gabriel niezmiennie zastawał Chiarę pochyloną nad stertą wydruków z komputera. Przez kilka godzin pracował razem z nią, po czym wychodzili na ulice Rzymu i szli na późną kolację. Jadali wyłącznie w niewielkich restauracjach odwiedzanych przez tubylców i nigdy poza domem nie rozmawiali o sprawie.

Mijały dni i ludzie zapominali coraz bardziej o Claudii Andreatti. Wątpliwości związane z faktami podanymi do wiadomości publicznej zmalały, relacje zniknęły z gazet i nawet najbardziej goniące za sensacją strony internetowe z niechęcią doszły do wniosku, że czas już zostawić jej udręczoną duszę w spokoju. Jednak w niewielkim mieszkaniu nad Schodami Hiszpańskimi pytania nie milkły. Niestety, dokumenty przekazane Gabrielowi przez ojca Marka nie przyniosły żadnej odpowiedzi. Instytucja, którą opisywały, miała to szczęście, że przez ponad tysiąc lat papieże sprawowali najwyższą bezpośrednią władzę nad Państwem Kościelnym, terenem żyznym z archeologicznego punktu widzenia, obfitującym w zabytki sztuki etruskiej, greckiej i rzymskiej. Jednak, podobnie jak tradycyjne muzea, Watykan uzupełniał swe przepastne zasoby przez kupno lub dzięki otrzymywanym w spadku

zbiorom prywatnym. Tu zaczynały się potencjalne problemy. Przykładowo, jeśli w jakiejś prywatnej kolekcji znajdował się obiekt wydobyty z ziemi nielegalnie, względnie o niejasnym pochodzeniu, to co wtedy? Jednak wyglądało na to, że mimo drobiazgowego śledztwa Claudia nie odkryła niczego, co mogłoby przysporzyć Watykanowi jakichkolwiek problemów prawnych czy etycznych. Szczerze mówiąc, według tych dokumentów ręce muzealników ze Stolicy Apostolskiej były zdumiewająco czyste.

- Przypuszczam, że kiedyś musi być ten pierwszy raz - powiedziała Chiara. - Zdaje się, że Watykan posiada jedyne muzeum na świecie bez jednego skradzionego posągu ukrytego gdzieś w podziemiach.

- Mają dość innych problemów - odparł Gabriel.

- Więc co robimy?

- Czekamy, aż Jednostka wypełni brakujące miejsca układanki.

Nie musieli czekać długo. Już następnego wieczoru jeden z podwładnych Szimona Paznera, przechodząc obok Gabriela na via Condotti, przekazał mu pendrive zawierający e-maile Claudii Andreatti z ostatnich sześciu miesięcy. Dzień później dostali historię przeglądania stron z adresu IP jej komputera oraz kompletną listę jej poszukiwań w Internecie. Materiał ten dał im wstrząsająco intymny wgląd w życie kobiety, którą Gabriel znał tylko przelotnie - w wiadomości, które czytała, filmiki, które oglądała, sekretne pragnienia, które zawierała białemu okienku wyszukiwarki Google. Dowiedzieli się, że wolała francuską bieliznę od włoskiej, że lubiła słuchać Diany Krall i Sary Bareilles i że regularnie czytywała „New York Timesa” oraz blog znanego katolickiego dysydenta. Fascynowała ją perspektywa podróży do Nowej Zelandii i na zachodnie wybrzeże Irlandii. Cierpiała na przewlekłe bóle pleców. Chciała schudnąć pięć kilo.

Gdy tylko to było możliwe, Gabriel i Chiara odwracali oczy, ale starali się badać jej życie w sieci, jakby to były fragmenty kamiennych tablic z zaginionej cywilizacji. Nie znaleźli niczego, co mogłoby sugerować, że myślała o samobójstwie albo że ktoś chciałby ją zabić - żadnych zazdrosnych kochanków, żadnych długów, żadnych zawodowych ani osobistych problemów. Wyglądało na to, że Claudia Andreatti była najpogodniejszą osobą w całym Rzymie.

Ostatnia partia materiału otrzymanego od Jednostki zawierała spis połączeń telefonicznych z telefonu komórkowego Claudii. Ujawniły one, że w ostatnich tygodniach życia Claudia dzwoniła kilkakrotnie pod jakiś numer w Cerveteri, średniej wielkości włoskim mieście na północ od Rzymu, znanym z etruskich grobowców. Być może nieprzypadkowo leżało ono nieopodal nadmorskiego kurortu Ladispoli. Na prośbę Gabriela Jednostka ustaliła

nazwisko i adres człowieka, do którego należał numer telefonu: Roberto Falcone, via Lombardia numer 22.

*

Następnego dnia, późnym rankiem, Gabriel i Chiara udali się piechotą na tętniącą życiem Stazione Termini i wsiedli do pociągu jadącego do Wenecji. Minutę przed odjazdem spokojnie wysiedli z wagonu i wrócili do zatłoczonego holu z kasami biletowymi. Tak jak się spodziewali, dwaj szpiedzy, którzy szli za nimi od placu Hiszpańskiego, zniknęli. Teraz, wolni od inwigilacji, poszli na pobliski parking podziemny, gdzie Szimon Pazner trzymał zawsze w pogotowiu mercedesa należącego do Biura. Minęło dwadzieścia minut, zanim samochód z piskiem opon wreszcie pokonał stromy podjazd, ale Gabriel nie wyrzekł ani słowa protestu. Prowadzenie samochodu w Rzymie wiązało się ze znoszeniem drobnych upokorzeń w milczeniu.

Przejechawszy przez most, Gabriel podążał wzdłuż murów Watykanu do wjazdu na via Aurelia. Poprowadziła ich ona na zachód, wzdłuż ciągnących się parę kilometrów wysłużonych bloków mieszkalnych, na autostradę A12. Stąd do Cerveteri było zaledwie około dwudziestu kilometrów. Przez większą część drogi Gabriel spoglądał w lusterko wsteczne.

- Ktoś za nami jedzie? - zapytała Chiara.
- Tylko pięciu najgorszych kierowców we Włoszech.
- Jak myślisz, co się stanie, gdy pociąg dotrze do Wenecji, a nas w nim nie będzie?
- Myślę, że zostaną wyciągnięte konsekwencje.
- Wobec nich czy wobec nas?

Znak drogowy poinformował, że zbliża się zjazd do Cerveteri. Gabriel opuścił autostradę i przez kilka minut jechał przez stare centrum miasteczka, a następnie skierował się w stronę domu usytuowanego tuż za granicami miasta, przy via Lombardia 22. Był to skromny dwupiętrowy budynek położony z dala od drogi, z łuszczącym się frontem o barwie ochry i spłowiałymi zielonymi okiennicami wiszącymi pod nieco krzywym kątem. Po jednej jego stronie znajdował się sad, po drugiej niewielka winnica, z krzewami poprzycinanymi na zimę. Za domem, pod walącym się budynkiem gospodarczym, stało zdezelowane kombi z oknami pokrytymi kurzem. W wydeptanym ogródku od frontu warczał na nich i kłapał pyskiem owczarek niemiecki. Zachowywał się, jakby od kilku dni nikt nie dał mu jeść.

- Ogólnie rzecz biorąc - odezwał się Gabriel, patrząc ponuro na psa - nie jest to miejsce, w którym można by się spodziewać znaleźć kustosza.

Wybrał numer Falconego na swojej komórce. Po pięciu dzwonek bez odpowiedzi

rozłączył się.

- Co teraz? - zapytała Chiara.
- Damy mu godzinę. Potem wrócimy.
- Gdzie zaczekamy?
- Gdzieś, gdzie nie będziemy się wyróżniać.
- To niełatwe w takim miasteczku - powiedziała.
- Jakież propozycje?
- Tylko jedna.

Cmentarz Necropoli della Banditaccia leżał w północnej części miasta, przy końcu długiej wąskiej drogi wysadzonej cyprysami. Na parking, w budce, był bar kawowy i tania restauracja. Kilka kroków dalej, w nijakim budynku, który wyglądał dziwnie prowizorycznie, znajdowała się kasa oraz sklepik z pamiątkami. Jedyna pracownica, kobieta o ptasiej twarzy, w ogromnych okularach, wydawała się zdumiona ich widokiem. Najwyraźniej byli tego dnia pierwszymi zwiedzającymi.

Gabriel i Chiara zapłacili niewielką sumę za wstęp, po czym dostali odręcznie narysowaną mapkę, którą mieli zwrócić pod koniec zwiedzania. Udając turystów, zeszli do pierwszego z grobowców i obejrzeni zimne puste komory grobowe. Potem, nie schodząc już na dół, wędrowali po labiryncie grobowców w kształcie uli, zupełnie sami w starożytnym mieście umarłych.

Żeby czas szybciej płynął, Chiara wygłosiła cicho pogadankę na temat Etrusków, tajemniczego ludu, głęboko religijnego, a jednak, według pogłosek, liberalnego w sprawach płci, traktującego kobiety i mężczyzn jak równych sobie pod względem społecznym. Rzemieślnicy etruscy, wysoko zaawansowani w naukach zarówno humanistycznych, jak i ścisłych, nauczyli Rzymian brukowania dróg oraz budowy akweduktów i systemu kanalizacji, a Rzymianie odpłacili im się, ścierając cały lud z powierzchni ziemi. Obecnie niewiele pozostało z ich niegdyś kwitnącej cywilizacji poza grobowcami, tak jak tego pragnęli. Etruskowie bowiem budowali swoje domy z nietrwałych materiałów, ale ich nekropolie miały przetrwać na zawsze. W pomieszczeniach ze zmarłymi chowali naczynia, narzędzia i biżuterię - skarby, które teraz wystawiane były w muzeach całego świata, jak i w salonach bogaczy.

Po zakończonej wycieczce Gabriel i Chiara posłusznie oddali mapkę i wrócili na parking, gdzie Gabriel po raz drugi wybrał numer Roberta Falconego. Znowu nikt nie odpowiadał.

- Co teraz? - zapytała Chiara.

- Lunch - odparł Gabriel.

Poszedł do budki i kupił sześć gotowych kanapek w plastikowej folii.

- Jesteś głodny? - zdziwiła się Chiara.

- To nie dla nas.

Wsiadli do auta i pojechali z powrotem do domu Falconego.

9.

CERVETERI, WŁOCHY

W środowisku zachodnich służb wywiadowczych obawa Gabriela przed psami była znana równie dobrze jak jego dokonania. Nie był to lęk irracjonalny; uzasadniało go mnóstwo empirycznych dowodów zebranych podczas licznych agresywnych potyczek. Prawdopodobnie w samym wyglądzie Gabriela - w jego kocich ruchach, żywych zielonych oczach - było coś, co sprawiało, że nawet w najpotulniejszych psach odzywały się dzikie prehistoryczne bestie, od których wszystkie się wywodziły. Psy nie dawały mu spokojnie przejść, gryzły go, szarpały, a raz, w zasypanej śniegiem dolinie w górach Szwajcarii, stróżujący owczarek niemiecki należący do prominentnego bankiera złamał mu rękę. Gabriel przeżył ów atak tylko dlatego, że strzelił psu w głowę ze swej beretty. Tu, w Cerveteri, z całą pewnością lepiej było nie używać broni, jednak stan pobudzenia psa Falconego sprawiał, że Gabriel nie mógł tego wykluczyć. Nastrój owczarka wyraźnie się pogorszył w ciągu ostatniej godziny. Istniał tylko jeden powód, by trzymać takie niemile stworzenie - Roberto Falcone najwyraźniej ukrywał coś w swoim obejściu, a zadaniem psa było odstraszenie ciekawskich. Na szczęście dla Gabriela, o zwierzę najwyraźniej nie dbano, istniała więc nadzieja na współpracę. Stąd torba z kanapkami z restauracji przy etruskiej nekropolii.

- Może ja to zrobię - zaproponowała Chiara.

Gabriel rzucił jej miazdzące spojrzenie, ale nic nie powiedział.

- Myślałam tylko...

- Wiem, co myślałaś.

Gabriel skrzył w obejście Falconego i wolno jechał wyboistą drogą pokrytą żwirem. Pies natychmiast przypuścił atak na samochód - oczywiście nie od strony pasażera, tylko Gabriela. Biegł przy przednim kole, przystając co chwilę, spinając się do skoku i obnażając wściekle kły. Gdy samochód stanął, pies rzucił się na okno Gabriela z siłą pocisku i usiłował ugryźć go przez szybę. Gabriel patrzył na zwierzę spokojnie, co jeszcze bardziej je rozsierdziło. Pies miał blado-żółte oczy jak wilk, a z pyska toczył pianę, jakby miał wściekliznę.

- Może powinieneś spróbować z nim porozmawiać - podsunęła Chiara.

- Nie uznaję negocjacji z terrorystami.

Gabriel westchnął ciężko i odwinął jedną z kanapek z plastikowej folii, po czym zrobił

szczelinę w oknie i prędko wepchnął w nią kanapkę. Piętnaście centymetrów chleba z szynką parmeńską i serem fontina zniknęło w mgnieniu oka.

- Zdecydowanie nie dba o koszerność - rzuciła Chiara.

- To dobry znak czy zły?

- Zły - odrzekła. - Bardzo zły.

Gabriel wsunął w szczelinę kolejną kanapkę. Tym razem siekacz psa drasnął go w koniuszek palca.

- Wszystko w porządku?

- Na szczęście jestem oburęczny. - Pośpiesznie dał psu jeszcze trzy kanapki, jedną po drugiej.

- Biedak jest wygłodzony.

- Nie zaczynaj się nad nim roztkliwiać!

- Nie dasz mu tej ostatniej?

- Lepiej trzymać ją w zapasie. Muszę coś mieć, żeby mu rzucić, jak skoczy mi do gardła.

Gabriel otworzył drzwiczki, ale zawahał się.

- Na co czekasz?

- Na deklarację intencji.

Otworzył drzwi na dziesięć centymetrów i postawił stopę na ziemi. Z gardła zwierzęcia dał się słyszeć głuchy warkot, jednak pies się nie poruszył. Uszy miał postawione, co, jak przypuszczał Gabriel, nieźle rokowało. Zazwyczaj gdy jakiś pies usiłował rozedrzeć go na strzępy, jego uszy były odchyłone do tyłu, jak skrzydła samolotu szturmowego.

Gabriel położył ostatnią kanapkę na ziemi i powoli wyszedł z wozu. Następnie, nie spuszczać wzroku ze szczęk psa, polecił Chiarze, aby wysiadła. Powiedział to po hebrajsku, żeby pies nie zrozumiał. Wilczur, częściowo nasycony, pochłaniał jedzenie już spokojniej, z żółtymi oczami utkwionymi w Gabrielu i Chiarze, którzy kierowali się do tylnych drzwi. Gabriel zapukał dwa razy, ale nikt nie odpowiedział. Potem poruszył zasuwkę. Zamek był zamknięty.

Wyjął cienki metalowy przyrząd, który zawsze nosił ze sobą w portfelu, i zaczął nim delikatnie manipulować w zamku. Gdy znów ruszył zasuwkę, od razu ustąpiła. Wewnątrz zobaczyli zagraconą sień pełną starych ubrań roboczych i wysokich gumowych butów oblepionych ziemią. Zlew był suchy. Buty również.

Skinął na Chiarę i razem weszli do kuchni. Na blatach piętrzyły się stosy brudnych naczyń, a w powietrzu wisiał gryzący smród spalenizny. Gabriel podszedł do ekspresu do

kawy. Lampka włącznika świeciła się, a na dnie karafki widniała plama przypalanej kawy o barwie smoły. Najwyraźniej maszyna była włączona przez kilka dni - i właśnie przez te kilka dni, uznał Gabriel, pies musiał obywać się bez jedzenia.

- Ma szczęście, że nie spalił całego domu - rzuciła Chiara.

- Nie byłbym taki pewien.

- Czego?

- Tego, że Falcone ma szczęście.

Gabriel wyłączył ekspres i przeszli do jadalni. Światło też nie było zgaszone, a pięć z ośmiu żarówek żyrandola zdążyło się przepalić. Na jednym końcu prostokątnego stołu stał porzucony posiłek, na drugim - karton z wydrukowaną na boku nazwą lokalnej wytwórni win. Gabriel uniósł jedną z klap i zajrzał do środka. Pudło było wypełnione przedmiotami owiniętymi ostrożnie w strony „Corriere della Sera”. Trochę zbyt intelektualna gazeta jak na kogoś takiego jak Falcone, pomyślał. Gabriel oceniał go raczej na „Gazzetta dello Sport”.

- Wygląda na to, że wyszedł w pośpiechu - skomentowała Chiara.

- Albo ktoś go zmusił do wyjścia.

Wyjął z kartonu jeden z przedmiotów i ostrożnie odwinął zadrukowany papier. W środku znajdował się wklęsły fragment ceramiki rozmiaru mniej więcej dłoni Gabriela, ozdobiony wizerunkiem młodej dziewczyny z półprofilu. Miała na sobie plisowaną tunikę i grała na jakimś instrumencie podobnym do fletu. Jej ciało i ubranie miało ten sam kolor terakoty, ale tło było jednolicie czarne.

- Mój Boże - odezwała się Chiara cicho.

- Wygląda na część attyckiego naczynia w stylu czerwonofigurowym.

Chiara skinęła głową.

- Sądząc po kształcie i motywie, powiedziałabym, że pochodzi z górnej części *stamnos*, greckiej wazy do przechowywania wina. Kobieta to naturalnie menada, towarzyszka Dionizosa. A ten instrument, składający się z dwóch piszczałek z trzciny, nazywa się *aulos*.

- Czy to może być rzymska kopia greckiego oryginału?

- Tak przypuszczam. Jednak najprawdopodobniej zrobiono ją w Grecji dwa i pół tysiąca lat temu z przeznaczeniem na eksport do miast etruskich. Etruskowie byli wielkimi admiratorami greckich waz. Dlatego tak wiele ważnych naczyń zostało odkrytych w etruskich grobowcach.

- Co ona robi w kartonowym pudle na stole Roberta Falconego?

- To akurat łatwe. Falcone to *tombarolo*.

Złodziej okradający grobowce.

- To by wyjaśniało obecność psa - powiedział Gabriel.

- I zabłocone buty w sieni. Z pewnością kopał, może nawet całkiem niedawno. - Uniosła gazetę. - Z zeszłego tygodnia.

Gabriel jeszcze raz sięgnął do pudła i wyjął kolejne zawiniątko. Zawierało inną część wazy. Widać na niej było drugą menadę, trzymającą w dłoni *kylix*, płytką czarę do wina. Gabriel przyglądał się malunkowi w milczeniu, po czym zerknął na gazetę. W niej też znajdował się pewien fragment - fragment historii o watykańskiej kustoszce, która popełniła samobójstwo, skacząc z kopuły Bazyliki Świętego Piotra. W relacji nie wspomniano, że kustoszka przeprowadzała tajną inwentaryzację watykańskiej kolekcji antyków. Wyglądało na to, że śledztwo doprowadziło ją tu, do domu *tombarolo*. Może samo to wystarczyło, by zginęła, chociaż Gabriel podejrzewał, że musiało być coś więcej.

Spojrzał znowu na gliniany czerep i powąchał go. Dał się wyczuć chemiczny zapach, podobny do zapachu rozpuszczalników, których sam używał do usuwania werniksu z malowideł. Sugerował on, że fragment został niedawno oczyszczony z ziemi i innych substancji, prawdopodobnie roztworem wody królewskiej. Nawet starszemu człowiekowi mieszkającemu samotnie w zaniedbanym domu trudno byłoby przebywać w takim smrodzie dłużej niż kilka minut. Musiał mieć gdzieś osobne pomieszczenie, w którym zostawiał przedmioty na dłuższy czas bez obawy ich odkrycia.

Gabriel umieścił skorupę w kieszeni kurtki i wyjrzał przez okno na wałacy się budynek gospodarczy na tyłach domu. Pod oknem, ze spuszczoną głową, z położonymi uszami, dreptał tam i z powrotem pies Falconego. Gabriel westchnął ciężko. Następnie poszedł do kuchni, poszukał dużej miski i zaczął wkładać do niej wszystko, co wyglądało na choćby trochę jadalne.

*

Na drzwiach wisiały dwie kłódki produkcji niemieckiej, zardzewiałe od deszczu. Gabriel dłubał w nich, podczas gdy wilczur pochłaniał kolację złożoną z tuńczyka z puszki, bobu, serc karczochów i skondensowanego mleka. Gdy drzwi się otwały, pies na chwilę podniósł łeb, ale zignorował fakt, że Gabriel i Chiara wślizgnęli się do środka. Tutaj odór kwasu był powalający. Gabriel szukał po omacku, zakrywając jedną dłonią usta i nos, aż znalazł włącznik światła. Nad ich głowami zamrugał rząd lamp fluorescencyjnych, oświetlając profesjonalnej klasy laboratorium przystosowane do konserwacji zrabowanych antyków. Jego schludność i porządek pozostawały w ostrym kontraście do reszty gospodarstwa. Jeden przedmiot trochę nie pasował do otoczenia: żelazna pika niczym oszczep zawieszona poziomo na dwóch hakach. Gabriel zbadał ślady błota przy jej szpicu. Były tej

samej barwy i konsystencji co błoto na butach.

- To jest *spillo* - wyjaśniła Chiara. - *Tombaroli* używają jej do wyszukiwania komór grobowych. Wsadzają ją w ziemię, aż usłyszą charakterystyczny brzęk. A gdy już wiedzą, że natrafili na grobowiec czy rzymski dom, wtedy sprowadzają koparki lub czerpaki i wykopują, co się da.

- A potem - powiedział Gabriel, rozglądając się - przynoszą to tutaj.

Podszedł do stołu roboczego. Czysty i biały, przypominał stoły w pracowni konserwatorskiej w Muzeach Watykańskich. Na jednym brzegu leżał stos monografii naukowych o starożytnych imperiach: rzymskim, greckim i etruskim - były to książki tego samego rodzaju, jakie Gabriel widział w mieszkaniu Claudii Andreatti. Jeden tom otwarty był na zdjęciu czerwonofigurowej attyckiej wazy *stamnos* zdobnej w menady.

Gabriel zrobił zdjęcie tej strony w książce swoją komórką, a potem podszedł do regałów magazynu Falconego. Chromowane i nieskazitelnie czyste, wypełnione były antykami ustawionymi według typów: wyroby garncarskie, sprzęt domowy, narzędzia, broń; znajdowały się tu też kawałki żelaza, które wyglądały, jakby je wyciągnięto ze studni czasu. Wszystko to stanowiło dowody szabrownictwa na masową skalę. Niestety, ta zbrodnia była już nie do naprawienia. Artefakty, wyrwane ze swego pierwotnego środowiska, mówiły teraz bardzo niewiele o ludziach, którzy je wytworzyli i ich używali. Na drugim końcu budynku stały cztery zbiorniki ze stali nierdzewnej, mające około półtora metra średnicy i metr wysokości. W trzech pierwszych kadziach znajdowały się fragmenty ceramiki, rzeźb i innych przedmiotów, wyraźnie widoczne w czerwonym płynie. Jednak w czwartej kwas był mętny i niemal przelewał się przez brzegi. Gabriel zdjął ze ściany *spillo* i ostrożnie zanurzył je w płynie. Tuż pod powierzchnią zderzyło się z czymś miękkim i sprężystym.

- Co to? - zapytała Chiara.

- Mogę się mylić - Gabriel się skrzywił - ale chyba znaleźliśmy ciało Roberta Falconego.

10.

PIAZZA DI SANT'IGNAZIO, RZYM

W samym sercu Rzymu, między Panteonem a via del Corso, leży ładny placyk o nazwie Piazza di Sant'Ignazio. W skład północnej pierzei wchodzi kościół nazwany imieniem tegoż świętego, znany głównie ze wspaniałego fresku sufitowego autorstwa jezuity Andrei Pozzo. Skrzydło południowe, po drugiej stronie połączy szarego bruku, zajmuje bogato zdobione *palazzo* z fasadą w kolorze kremowej żółci i bieli. Z balkonu na trzeciej kondygnacji zwieszono są dwie oficjalne flagi, a nad majestatycznym wejściem widnieje herb *Carabinieri*. Niewielka tabliczka oznajmia, że lokal ten zajmuje Wydział Korpusu Karabinierów do spraw Ochrony Dziedzictwa Kulturowego. Jednak w kręgach stróżów prawa jednostka ta znana jest jako Brygada do spraw Sztuki.

W chwili swego powstania w roku 1969 była to jedyna formacja policyjna na świecie oddelegowana wyłącznie do zwalczania intratnego handlu zrabowanymi dziełami sztuki, w tym sztuki starożytnej. Włochy z całą pewnością potrzebowały takiej jednostki, ponieważ ten kraj obfitował zarówno w dzieła sztuki, jak i w profesjonalnych przestępców, zdeterminowanych, by je kraść. W czasie kolejnych dwudziestu lat Brygada wniosła oskarżenia przeciw tysiącom osób podejrzanych o udział w przestępstwach związanych z dziełami sztuki, a także odzyskała wiele głośnych dzieł, między innymi Rafaela, Giorgionego i Tintoretta. Później do Brygady zaczął się wkradać paraliż instytucjonalny. Jej stan liczebny skurczył się do kilkudziesięciu oficerów w wieku emerytalnym - z których wielu kompletnie nie znało się na sztuce - i wewnątrz pięknego *palazzo* praca posuwała się w iście rzymskim tempie. Liczni krytycy tej jednostki twierdzili, że więcej czasu spędza się tam, debatując, gdzie najlepiej zjeść lunch, niż szukając obrazów, ginących we Włoszech co roku w takiej liczbie, że zapelnilyby całe muzeum.

Sytuacja zmieniła się z nastaniem generała Cesarego Ferrariego. Ferrari, syn nauczycieli ze zubożałej Kampanii, w ciągu całej swojej kariery walczył z najtrudniejszymi problemami kraju. W latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, które były we Włoszech czasem krwawych terrorystycznych zamachów bombowych, przyczynił się do unieszkodliwienia komunistycznych Czerwonych Brygad. Następnie, podczas walk z mafią w latach osiemdziesiątych, dowodził neapolitańską dywizją złożoną w większości z członków camorry. Zadanie to było tak niebezpieczne, że żona i trzy córki Ferrariego musiały

pozostawać pod całodobową ochroną. Sam Ferrari był celem wielu zamachów; raz, gdy odebrał przesyłkę pocztową z materiałem wybuchowym, stracił dwa palce i prawe oko. Sztuczne oko, które odtąd nosił, ze swą nieruchomą gałką i twardym spojrzeniem, wywoływało u niektórych podwładnych irytujące wrażenie, że patrzą we wszystkowiedzące oko Boga. Ferrari zwykł wykorzystywać ten efekt, i to z powodzeniem, przy nakłanianiu drobniejszych przestępców, żeby sypnęli swoich mocodawców. Jeden z bossów, którego Ferrari w końcu przyłapał, okazał się winny wysłania owej wybuchowej przesyłki. Po skazaniu mafiosa Ferrari dołożył starań, aby osobiście konwojować go do celi w podłym więzieniu w Poggioreale, gdzie ten miał spędzić resztę życia.

Oddelegowanie do Brygady do spraw Sztuki miało stanowić nagrodę za długą i wybitną karierę. „Parę lat poprzekładasz papierki - powiedział mu szef *Carabinieri* - a potem przejdziesz na emeryturę i będziesz hodować pomidory w swojej wiosce w Kampanii”. Ferrari przyjął stanowisko, po czym zaczął postępować dokładnie odwrotnie. W ciągu kilku dni od przybycia do *palazzo* oznajmił połowie pracowników, że ich usługi nie będą już potrzebne. Następnie przystąpił do modernizowania formacji, która jeszcze chwilę, a zmarłaby na uwiad. Uzupełnił szeregi młodymi rzutkimi oficerami, załatwił pozwolenie na założenie podsłuchu w telefonach znanych przestępców oraz otworzył lokale biura w tych regionach kraju, gdzie złodzieje faktycznie kradli dzieła sztuki, szczególnie na południu. Co najważniejsze, stosował w tej pracy wiele metod, które wypróbował w walce z mafią w Neapolu. Ferrariego niespecjalnie interesowali uliczni żule, bawiący się po amatorsku w kradzież dzieł sztuki; jego celem były grube ryby, bossowie, którzy wystawiali skradzione towary na rynek. Nie minęło wiele czasu, gdy nowe podejście Ferrariego zaczęło procentować. Kilkunastu większych złodziei znalazło się za kratami, a statystyki dotyczące kradzieży dzieł sztuki, chociaż wciąż szokująco wysokie, zaczęły wykazywać tendencję spadkową. *Palazzo* przestało być przybytkiem emerytów; stało się miejscem, do którego wielu najlepszych i najbystrzejszych *carabinieri* szło, by zrobić karierę. A ci, którzy im nie dorównywali talentem, znajdowali miejsce w biurze Ferrariego, tam wpatrywali się w bezlitosne oko Boga.

Kariera we włoskim rządzie, trwająca niemal czterdzieści lat, sprawiła, że generała mało co mogło już zaskoczyć. A jednak wyraźnie się zdziwił na widok legendarnego Gabriela Allona, który wczesnym wieczorem przekroczył próg jego gabinetu, prowadząc za sobą swą piękną, o wiele młodszą, urodzoną w Wenecji żonę Chiare. Ciąg wydarzeń, który ich tu sprowadził, został zainicjowany cztery godziny wcześniej, gdy Gabriel, spoglądając na częściowo zemulgowane ciało Roberta Falconego, doszedł do niemiłego wniosku, że znajduje

się na miejscu przestępstwa, z którego nie może zbiec. Zamiast zawiadomić bezpośrednio władze, zadzwonił do Donatego, który z kolei skontaktował się z Lorenzem Vitalem z watykańskiej policji. Po nieprzyjemnej rozmowie, trwającej około piętnastu minut, ustalono, że Vitale zwróci się do Ferrariego, z którym współpracował przy wielu sprawach. Późnym popołudniem Brygada była już w Cerveteri, a z nią ekipa z wydziału do zwalczania brutalnych przestępstw z Lacjum. A o zachodzie słońca Gabrielowi i Chiarze odebrano broń i wsadzono na tylne siedzenie sedana należącego do żandarmerii, który ruszył w kierunku *palazzo*.

Na ścianach gabinetu Ferrariego wisiały obrazy - niektóre mocno uszkodzone, inne bez ram i bez blejtramów - odzyskane od złodziei lub nieuczciwych kolekcjonerów. Tutaj pozostawały, czasem przez wiele tygodni lub nawet miesięcy, aż można je było zwrócić prawowitym właścicielom. Na ścianie za jego biurkiem, rozświetlony, jakby świeżo odrestaurowany, wisiał obraz Caravaggia *Narodzenie pańskie ze świętymi Franciszkiem i Wawrzyńcem*. Była to oczywiście kopia; oryginał został skradziony z kościoła Świętego Wawrzyńca w Palermo w roku 1969 i ślad po nim zaginął. Odnalezienie go było obsesją Ferrariego.

- Dwa lata temu - powiedział - myślałem, że wreszcie go namierzyłem. Pewien drobny złodziejasek dał mi znać, że wie o domu na Sycylii, w którym obraz jest ukrywany. Zaproponował podanie mi lokalizacji w zamian za to, że nie wsadzę go do więzienia za kradzież nastawy ołtarzowej z kościoła w wiosce pod Florencją. Zgodziłem się i przeprowadziłem nalot na ten dom. Obrazu tam nie było, ale znaleźliśmy to. - Ferrari podał Gabrielowi plik zdjęć z polaroidu.

- Serce się kraje.

Gabriel przerzucił fotografie. Przedstawiły obraz w nie najlepszym stanie po ponad czterdziestu latach spędzonych pod ziemią. Brzegi płótna były paskudnie postrzępione - rezultat wycięcia go z blejtramu żyłką - a sam obraz, niegdyś piękny, szpeciły głębokie rysy i otarcia.

- A co z tym złodziejem, który dał panu cynk?

- Posłałem go za kratki.

- Ale informacja była prawdziwa.

- Tak. Ale przyszła poniewczasie. A w tej branży czas jest wszystkim. - Ferrari uśmiechnął się lekko; uśmiech nie objął sztucznego oka.

- Jeżeli kiedykolwiek odnajdziemy obraz, jego restauracja będzie, ma się rozumieć, niezwykle trudna, nawet dla kogoś z pańskim talentem.

- Obiecuję panu, generale, że jeśli pan go znajdzie, ja go naprawię.
- Za wcześnie jeszcze na obietnice, Allon.

Ferrari wziął od Gabriela zdjęcia zaginionego Caravaggia i schował je z powrotem do akt. Potem zapatrzył się w okno refleksyjnie niczym doża Leonardo Loredan z portretu Belliniego, jakby rozważając, czy posłać Gabriela Mostem Westchnień na kilka godzin do izby tortur.

- Na początku powiem wam wszystko, co wiem. W ten sposób będzie was mniej kusiło, żeby mnie okłamać. Wiem na przykład, że pański przyjaciel, monsinior Donati, najął pana do restauracji *Złożenia do grobu* dla Pinakoteki Watykańskiej. Wiem również, że poprosił pana o obejrzenie zwłok doktor Claudii Andreatti, gdy wciąż jeszcze leżały w Bazylice Świętego Piotra, oraz że zaraz podjął pan prywatne śledztwo i bada okoliczności towarzyszące owemu nieszczęśliwemu wypadkowi. To śledztwo doprowadziło pana do Roberta Falconego. A teraz do mojego gabinetu - zakończył Ferrari.

- Bywałem już w o wiele gorszych miejscach.
- I znowu się pan w nich znajdzie, jeśli nie będzie pan współpracował.

Generał zapalił amerykańskiego papierosa. Trzymał go dość niezgrabnie w lewej ręce. Prawą, tę, u której brakowało dwóch palców, ukrył na kolanach.

- Dlaczego monsinior tak się przejął tą kobietą? - zapytał.

Gabriel opowiedział mu o inwentaryzacji watykańskich antyków.

- Z moich informacji wynika, że był to po prostu rutynowy przegląd.
- Być może od tego się zaczęło. Jednak najprawdopodobniej w którymś miejscu po drodze Claudia odkryła coś innego.

- Wie pan co?
- Nie.

Ferrari przyjrzał się Gabrielowi, jakby nie całkiem mu wierzył.

- Po co pan węszył w domu Falconego?
- Doktor Andreatti kontaktowała się z nim niedługo przed śmiercią.
- Skąd pan to wie?
- Znalazłem jego numer na liście jej połączeń telefonicznych.
- Dzwoniła do niego ze swego watykańskiego biura?
- Z komórki - wyjaśnił Gabriel.
- W jaki sposób p a n u, cudzoziemcowi, przebywającemu w tym kraju czasowo, udało się zdobyć dane z telefonu komórkowego obywatelki włoskiej?

Gdy Gabriel nie odpowiedział, Ferrari zmierzył go spojrzeniem znad koniuszka swego

papierosa, jak snajper ustawiający się do trudnego strzału.

- Najbardziej logiczne wydaje się wytłumaczenie, że zwrócił się pan o pomoc do przyjaciół z dawnej służby. Jeśli tak właśnie było, naruszył pan warunki umowy z naszymi władzami bezpieczeństwa. I tym działaniem bardzo dużo pan ryzykował.

Groźba, pomyślał Gabriel, ale dość łagodna.

- Czy rozmawiał pan z samym Falconem? - zapytał generał.

- Próbowałem.

- I?

- Nie odbierał telefonu.

- Więc postanowił pan włamać się do jego domu?

- Z obawy o jego bezpieczeństwo.

- Och tak, oczywiście - rzucił Ferrari z sarkazmem w głosie.

- A gdy już pan znalazł się w środku, odkrył pan ogromny tajny magazyn dzieł sztuki antycznej?

- Plus *tombarolo* rozkładającego się w kadzi z kwasem solnym.

- Jak pan sobie dał radę z zamkami?

- Większym wyzwaniem był pies.

Generał uśmiechnął się, jak zawodowiec do zawodowca, i z namysłem postukał papierosem o popielniczkę.

- Roberto Falcone nie był pospolitym *tombarolo* - powiedział. - Był *capo zona*, szefem regionalnej sieci rabusiów. Drobnymi złodziejami przynosili mu swoje łupy. Następnie Falcone posyłał to do przemytników i szemranych handlarzy.

- Sporo pan wie o człowieku, którego ciało odkryto zaledwie kilka godzin temu.

- Roberto Falcone był też moim informatorem - przyznał generał. - Moim a j l e p s z y m informatorem. A teraz, przez pana, nie żyje.

- Nie miałem nic wspólnego z jego śmiercią.

- To pan tak twierdzi.

Umundurowany adiutant zapukał i wślizgnął się dyskretnie do gabinetu. Generał odesłał go władczy ruchem ręki i powrócił do rozważań, przyjmując wyniosłą pozę.

- Widzę to tak - odezwał się w końcu - mamy przed sobą dwie możliwości. Pierwsza: działamy, trzymając się ściśle przepisów. To oznacza rzucenie pana na pożarcie wilkom ze służb bezpieczeństwa. Może za tym pójść negatywny rozgłos, nie tylko dla pańskiego kraju, ale i dla Watykanu. Może się zrobić nieprzyjemnie, Allon. Naprawdę, bardzo nieprzyjemnie.

- A druga możliwość?

- Zacznie pan od opowiedzenia mi wszystkiego, co pan wie o śmierci Claudii Andreatti.
- I co wtedy?
- Pomogę panu znaleźć tego, kto ją zabił.

Jednym z plusów pracy w *palazzo* było sąsiedztwo Le Cave. Uważana za jedną z najlepszych rzymskich restauracji, usytuowana była dosłownie kilka kroków od wejścia do budynku, w zacisznym kącie placu. W lecie stoliki stały w równych rzędach na bruku, ale tego lutowego wieczoru tworzyły żalostną stertę pod zewnętrznym murem. Generał Ferrari, który przybył bez uprzedzenia, został natychmiast poprowadzony, razem z dwojgiem swych gości, do stolika z tyłu sali. Kelner przyniósł talerz *arancini di riso* i czerwone wino z rodzinnej Kampanii generała. Ferrari wznosił toast za związek, który, na chwilę obecną, nie został jeszcze skonsumowany. Potem, biorąc z półmiska kulkę ryżową, zaczął opowiadać, nie kryjąc pogardy, o człowieku nazwiskiem Giacomo Medici.

Choć nie był spokrewniony z florencką dynastią bankierską Medyceuszy, Medici podzielał ich pasję do sztuki. Jako pośrednik w handlu dziełami sztuki starożytnej, działający w Rzymie i Szwajcarii, od kilkudziesięciu lat zaopatrywał po cichu w dzieła najwyższej jakości najbardziej znanych marszandów i kolekcjonerów oraz najwspanialsze muzea na świecie. Jednak w 1995 roku lukratywny biznes zaczął mu kuleć, po tym jak władze włoskie i szwajcarskie dokonały nalotu na jego magazyn w strefie wolnocłowej w Genewie i znalazły skarbnicę zabytków sztuki antycznej o nieudokumentowanym pochodzeniu. Niektóre z nich wyraźnie niedawno zostały wydobyte z ziemi. Konsekwencją owego odkrycia było międzynarodowe śledztwo przeprowadzone przez Brygadę do spraw Sztuki, które zakończyło się uwięzieniem kilku wielkich postaci świata sztuki. W 2004 roku pewien włoski sąd uznał Mediciego za winnego handlu zrabowanymi dziełami sztuki i wymierzył mu najsurowszy wyrok, jaki do tej pory wymierzono za takie przestępstwo - dziesięć miesięcy więzienia i grzywnę w wysokości dziesięciu milionów euro. Prokuratura włoska wykorzystwała następnie dowody przeciw Mediciemu, aby doprowadzić do zwrotu zrabowanych przedmiotów przez kilka najbardziej znanych muzeów. Wśród nich znajdował się słynny krater Eufroniosa, który nowojorskie Metropolitan Museum of Art niechętnie zgodziło się zwrócić Włochom w 2006 roku. Medici, którego oskarżono o odegranie kluczowej roli w rabunku naczynia, wcześniej pozował do znanego zdjęcia w muzeum przed gablotą z kraterem, podparty pod boki. Generał Ferrari przedrzeźnił ten jego gest w dniu, gdy krater triumfalnie umieszczono w nowej gablocie w rzymskim muzeum Villa Giulia.

- W ostatecznym rozrachunku - ciągnął Ferrari - Medici ponosi odpowiedzialność za rabunek tysięcy zabytków sztuki antycznej wydobytych z włoskiej ziemi. Jednak nie działał sam. Jego przedsięwzięcie było niczym *cordata*, lina, która ciągnęła się od *tombaroli* przez *capi zoni* do marszandów i domów aukcyjnych, wreszcie do kolekcjonerów i muzeów. Nie zapominajmy też o naszych dobrych znajomych z mafii - dodał. - Nic nie mogło zostać wykopane bez ich aprobaty. I nic nie wchodziło na rynek bez łapówki dla bossów.

Ferrari przez chwilę kontemlował swoją okaleczoną dłoń, po czym na nowo podjął wątek.

- Nie po to poświęciliśmy dziesięć lat i miliony euro, żeby ująć jednego człowieka i jego paru pomocników. Naszym celem było zniszczenie sieci, która powoli ograbiała nas ze skarbów pozostawionych nam w spadku przez przodków. Mimo trudności odnieśliśmy sukces. Jednak obawiam się, że nasze zwycięstwo było zaledwie chwilowe. Rabunek nie ustaje. Właściwie jest gorzej niż kiedykolwiek.

- Miejsce sieci Mediciego zajęła jakaś inna?

Ferrari kiwnął głową i pozwolił sobie na niewielki łyk wina.

- Przestępcy są trochę jak terroryści, Allon. Gdy zabije się jednego terrorystę, na jego miejsce na pewno pojawi się nowy. I prawie na pewno będzie bardziej niebezpieczny od swego poprzednika. Ta nowa sieć jest o wiele bardziej wyrafinowana niż sieć Mediciego. Ich działalność ma zasięg prawdziwie światowy. I oczywiście oni są znacznie bardziej bezwzględni.

- Kto kieruje siecią?

- Sam chciałbym wiedzieć. Może jakieś konsorcjum, ale instynkt podpowiada mi, że to jeden człowiek. Zdziwiłbym się, gdyby miał jakieś jawne powiązania z handlem antykami. To byłoby poniżej jego godności - dodał generał pośpiesznie. - To poważny przestępca, któremu chodzi o coś więcej niż sprzedaż atrakcyjnych skorup. I jest na tyle silny, aby trzymać wszystkich w ryzach, co wskazuje na jego powiązania z mafią. Ta sieć jest w stanie wykopać jakiś posąg w Grecji i sprzedać go kilka miesięcy później w Sotheby's, przy zachowaniu pozorów, że przedmiot ma całkowicie czyste pochodzenie. - Generał przerwał, po czym powiedział: - Dostaje też towar z pańskich rejonów.

- Z Bliskiego Wschodu?

- Ktoś zaopatruje go w artefakty z miejsc takich jak Liban, Syria i Egipt. W tej części świata jest trochę paskudnych ludzi. Człowiek się zastanawia, dokąd idą te wszystkie pieniądze.

- A gdzie w tej układance było miejsce Falconego?

- Gdy kilka lat temu trafiliśmy na ślad jego działalności, przekonałem go, by zaczął pracować dla mnie. To nie było trudne, jako alternatywę miał długi wyrok więzienia. Przesłuchiwaaliśmy go tu w *palazzo* kilka tygodni. Następnie wysłaliśmy go z powrotem do Cerveteri i pozwoliliśmy mu wrócić do swoich grzesznych zajęć.

- Tylko tym razem zaglądaliście mu przez ramię - wtrąciła Chiara.

- Właśnie.

- Co się działo, gdy któryś *tombarolo* przyniósł mu skradzione wazy czy posągi?

- Czasem zdejmowaliśmy je z rynku po cichu i przenosiliśmy w bezpieczne miejsce. Ale zazwyczaj pozwalaliśmy Falconemu je sprzedawać. W ten sposób mogliśmy śledzić ich drogę w nielegalnym obiegu. No i chcieliśmy, żeby cała branża myślała, że Roberto Falcone to człowiek, z którym trzeba się liczyć.

- A zwłaszcza człowiek na szczycie nowej sieci przemytniczej.

- Zdaje się, że pan działał podobnie parę razy w życiu - stwierdził generał.

Gabriel zignorował jego uwagę.

- Jak wysoko zdołał pan go umieścić? - zapytał.

- Zaledwie na pierwszym szczeblu drabiny. - Ferrari zmarszczył brwi. - Nowi nauczyli się sporo na błędach poprzedników. Ci na szczycie nie rozmawiają z takimi jak Roberto Falcone.

- Dlaczego więc rozmawiała z nim Claudia Andreatti?

- Najwyraźniej musiała odkryć podczas tej inwentaryzacji coś, co doprowadziło ją na próg jego domu. Coś na tyle groźnego, że zapłaciła za to życiem. Fakt, że Falcone też został zabity, świadczy o tym, że miało to coś wspólnego z siecią. Szczerze mówiąc, wcale bym się nie dziwił, gdyby w niedługim czasie przybyło kilka trupów.

- Zdaje pan sobie sprawę z tego, co pan sugeruje?

Ferrari skierował swe niewidzące oko na Gabriela i nachylił się nad stolikiem.

- To nie jest sugestia - odparł. - Mówię, że Andreatti odkryła jakiś związek między tą siecią a Watykanem. Co oznacza, że pański przyjaciel monsinior Donati ma na głowie o wiele większy problem niż tylko martwą kustoszkę. A także, że i pan, i ja dążymy do tego samego celu.

- I dlatego jest pan gotów udawać, że ani mnie, ani mojej żony nie było dzisiaj w Cerveteri - skomentował Gabriel. - Ponieważ jeśli ja odkryję, kto zabił Claudię, nie będzie pan musiał męczyć się z likwidacją przestępczej siatki.

- Przyznaję, że jest to całkiem zgrabne rozwiązanie naszego dylematu - rzeki Ferrari.

- A dlaczego nie wyda mnie pan po prostu służbom bezpieczeństwa i nie zajmie się tą

sprawą sam?

- Ponieważ teraz, gdy Falcone nie żyje, jedyne drzwi do nowej sieci zostały mi zamknięte przed nosem. Szanse na zainstalowanie w niej nowego informatora są nikłe. Zdążyli już świetnie poznać moje narzędzia i metody. Znają też moich ludzi, co utrudnia wysyłanie ich jako tajnych agentów. Potrzebuję kogoś, kto pomoże mi zniszczyć tę sieć od wewnątrz, kogoś, kto potrafi myśleć jak przestępca. - Generał przerwał. - Kogoś takiego jak pan, Allon.

- Czy to ma być komplement?

- Tylko stwierdzenie faktu.

- Przecenia pan moje zdolności.

Generał uśmiechnął się znacząco.

- Gdy zaczynałem karierę i pracowałem w wydziale do spraw antyterroryzmu, przydzielono mi sprawę tu, w Rzymie. Pewien palestyński tłumacz został zastrzelony w korytarzu budynku, w którym mieszkał. Okazało się, że nie był to zwyczajny tłumacz. Co do człowieka, który go zabił, nigdy nie udało nam się znaleźć ani jednego świadka, który by go widział. Całkiem jakby zabójca był duchem. - Generał zrobił pauzę. - A w tej chwili siedzi on przede mną, w restauracji w centrum Rzymu.

- Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że posługuje się pan szantażem, generale.

- Jakżeżbym śmiał pana szantażować, Allon. Stwierdziłem tylko, że nasze drogi już się kiedyś skrzyżowały. Wygląda na to, że los nas teraz złączył ponownie.

- Nie wierzę w zrządzenia losu.

- Ani ja - odparł Ferrari. - Ale naprawdę uważam, że jeśli ktokolwiek może rozbić tę siatkę, to pan. Poza tym na pana korzyść działa fakt, że ma pan oficjalne zlecenie w Watykanie.

Gabriel przez chwilę milczał.

- A jeśli mi się uda? - zapytał wreszcie.

- Wykorzystam pańskie informacje i przygotuję oskarżenie, którego nie obali włoski sąd.

- A jeżeli ta sprawa zniszczy moich przyjaciół?

- Zdaję sobie świetnie sprawę z pana bliskich związków z obecnym papieżem i monsiniorem Donatim - powiedział generał spokojnie. - Ale jeżeli Watykan jest zamieszany w coś złego, musi za to odpokutować. Zresztą wiem z doświadczenia, że spowiedź może być dobra dla duszy.

- Jeśli odbywa się bez świadków.

- Tego nie można zagwarantować. Tak czy inaczej, najlepiej pan zadba o interesy swoich przyjaciół, gdy przyjmie moją ofertę. W innym wypadku trudno przewidzieć, jakie brudy mogą ujrzeć światło dzienne.

- To brzmi w dużym stopniu jak szantaż.

- Tak - przyznał generał z namysłem. - Chyba tak.

Uśmiechał się lekko, ale jego sztuczne oko wpatrywało się beznamiętnie w przestrzeń. Całkiem jakby się spoglądało w oko postaci na obrazie, wszyszkowidzące oko bezlitosnego Boga, pomyślał Gabriel, obserwując generała.

*

Pozostał tylko Roberto Falcone - a ściślej, problem, co ujawnić opinii publicznej na temat jego przykrej śmierci. Ostatecznie wszystko sprowadzało się do wyboru strategii. Sprawę można było załatwić po cichu lub jak ujął to Gabriel, poinformować o śmierci Falconego przy dźwięku fanfar i w ten sposób przy okazji pomóc własnej sprawie. Ferrari opowiedział się za tym drugim wyjściem, bo podobnie jak Gabriel skłaniał się w stronę operacyjnej widowiskowości. Poza tym zbliżała się pora planowania budżetu, a czasy były trudne, więc Ferrari potrzebował zwycięstwa, choćby i wymyślonego, aby zapewnić Brygadzie do spraw Sztuki kontynuowanie godnego pozazdroszczenia poziomu finansowania w kolejnym roku budżetowym.

Tak więc następnego ranka Ferrari wezwał dziennikarzy do *palazzo*, zapowiadając, że ogłosi coś ważnego. Jako że nie działo się w tym dniu nic innego godnego uwagi, przybyli tłumnie, w nadziei, że będzie to coś, co pomoże sprzedać nakład lub powstrzyma widza na kilka sekund przed przeskoczeniem na inny kanał. Jak zawsze generał nie zawiódł. Nienagannie ubrany w niebieski mundur karabiniera, zamaszystym krokiem wszedł na podium i rozpoczął opowieść tak starą jak same Włochy. Była to opowieść o człowieku, który sprawiał wrażenie średnio zamożnego, ale w rzeczywistości był jednym z największych rabusiów dzieł sztuki antycznej we Włoszech. Niestety, człowiek ten został brutalnie zamordowany, być może podczas kłótni z kolegą po fachu o pieniądze. Generał nie sprecyzował, w jakich okolicznościach znaleziono zwłoki, choć ujawnił dość makabrycznych szczegółów, by zagwarantować tekst na pierwszej stronie w co bardziej sensacyjnych tabloidach. Następnie, z bezbłędnym wyczuciem czasu doświadczonego showmana, odsunął czarną zasłonę, ukazując skarbnicę artefaktów odzyskanych z warsztatu *tombarolo*. Reporterzy wydali zbiorowy okrzyk zdumienia. Aparaty fotograficzne błyskały, Ferrari uśmiechał się promiennie.

Rzecz jasna, generał nie wspomniał nic o roli odegranej przez emerytowanego

izraelskiego szpiega i konserwatora sztuki Gabriela Allona ani też o nieco makiawelicznej umowie, którą obaj zawarli przy kolacji w Le Cave. Nie wyjawiał także nazwiska kobiety, które szepnął do ucha Gabrielowi przy pożegnaniu na pogrążonym w mroku placu.

Gabriel zaczekał do końca konferencji prasowej generała i wtedy do niej zadzwonił. Ton jej głosu nie pozostawiał wątpliwości, że czekała na jego telefon.

- Do piątej mam zebranie - powiedziała. - Może o wpół do szóstej?
- U pani czy u mnie?
- U mnie jest bezpieczniej.
- Gdzie?
- Krater - rzuciła i rozłączyła się.

W mieście pełnym muzeów i cudów archeologii muzeum Villa Giulia, narodowej skarbnicy zabytków sztuki etruskiej, jakimś cudem udaje się nie zwracać na siebie uwagi. Rzadko kto je odwiedza i łatwo je przegapić. Zajmuje sporych rozmiarów *palazzo* na skraju Ogrodów Villa Borghese, niegdyś wiejskiej rezydencji papieża Juliusza III. W XVI wieku rozpościerał się stąd widok na mury Rzymu i łagodne jasnobrązowe stoki wzgórz Parioli. Obecnie wzgórze te zabudowane były blokami mieszkalnymi, a pod oknami dawnego papieskiego schronienia dudnił szeroki bulwar, przez który piesi przechodzili na własne ryzyko. Zachwaszczony dziedziniec stał się parkingiem dla personelu. Poobijane zderzaki i spłowiały lakier aut świadczyły o niskich zarobkach tych, którzy ciężko pracowali we włoskich muzeach państwowych.

Gabriel przybył kwadrans po piątej i udał się do galerii na drugim piętrze, gdzie w zwykłej szklanej gablocie spoczywał uznawany za jedno z najwspanialszych dzieł sztuki wszech czasów krater Eufroniosa. Niewielki napis informował zwiedzających o skomplikowanej historii naczynia - o tym, jak w 1971 roku zostało zrabowane z grobowca pod Cerveteri i sprzedane Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku za niesłychaną sumę miliona dolarów, i o tym, jak dzięki niezmiernym wysiłkom włoskiego rządu wróciło w końcu do prawowitych właścicieli. Spuściznę narodową udało się ocalić, pomyślał Gabriel, rozglądając się po pustym pomieszczeniu, ale jakim kosztem? Muzeum w Nowym Jorku co roku odwiedza blisko pięć milionów ludzi, natomiast tutaj, w opuszczonych salach Villa Giulia, krater stoi samotnie i smutno pokrywa się kurzem jak bibelot na półce. Jeśli w ogóle gdzieś jest jego miejsce, pomyślał, to w grobowcu etruskiego bogacza, który nabył go od greckiego kupca dwa i pół tysiąca lat temu.

Gabriel usłyszał stukot obcasów. Odwrócił się i ujrzał, jak pasażerem z sąsiedniej galerii nadchodzi ku niemu wysoka elegancka kobieta. Ciemne włosy opadały jej miękko na ramiona, duże brązowe oczy błyszczały inteligencją. Krój jej kostiumu sugerował dodatkowe źródło dochodu niezwiązane z pracą w muzeum, podobnie jak biżuteria pobłyskująca na opalonej dłoni, którą wyciągnęła w kierunku Gabriela. Przytrzymała uścisk o chwilę dłużej, niż było to konieczne, jak gdyby już od dawna czekała na to spotkanie. Była najwyraźniej świadoma, jakie wrażenie robi jej wygląd.

- Spodziewał się pan kogoś w białym kitlu?

- Znam tylko jednego archeologa - odparł Gabriel - a ten zazwyczaj jest utyłany ziemią.

Doktor Veronica Marchese rzuciła mu przelotny uśmiech. Miała co najmniej pięćdziesiąt lat, ale nawet w niekorzystnym halogenowym świetle muzeum można jej było dać ze trzydzieści pięć. Gdy generał Ferrari wymówił jej nazwisko, Gabriel natychmiast uświadomił sobie, że nie jest mu ono obce, pojawiało się dziesiątki razy w e-mailach Claudii. Teraz uzmysłowił sobie, że zna również jej twarz. Po raz pierwszy widział ją przed kościołem Świętej Anny po mszy żałobnej Claudii Andreatti. Stała w jakimś oddaleniu od pozostałych żałobników, ze wzrokiem utkwionym nie w trumnie, tylko w Luigim Donatim. Gabriel zapamiętał, że spojrzenie miała jakby oskarżycielskie.

Teraz minęła Gabriela, by spojrzeć do gabloty z nietłukącego szkła, na malunek na kraterze. Przedstawiał on martwe ciało Sarpedona, syna Zeusa, niesione do grobu przez Sen i Śmierć. Obrazek ten był uderzająco podobny do kompozycji *Złożenia do grobu*.

- Nigdy nie nudzi mi się patrzenie na niego - odezwała się cicho doktor Marchese. - Jest prawie tak piękny jak ten Caravaggio, którego restauruje pan dla Watykanu. - Obejrzała się przez ramię i zapytała: - Nie sądzi pan, panie Allon?

- Szczerze mówiąc, nie.

- Nie podobają się panu greckie wazy?

- Tego nie powiedziałem.

Powoli przesunęła po nim wzrokiem, jakby był posągiem ustawionym na cokole.

- Wazy greckie należą do najbardziej niezwykłych artefaktów na świecie - powiedziała. - Bez nich nie byłoby Caravaggia. I, niestety, istnieją na świecie ludzie, którzy posunęliby się do wszystkiego, żeby je mieć. - Umilkła. - Ale pan nie przyszedł tutaj dyskutować o wartości estetycznej sztuki starożytnej. Jest pan tu z powodu Claudii.

- Przypuszczam, że widziała pani konferencję prasową generała Ferrariego?

- Jak zwykle sprawił, że dziennikarze jedli mu z ręki. - Z jej tonu nie wynikało, żeby była pod wrażeniem. - Ale najwyraźniej sztuki uników uczy się od Watykanu.

Generał ostrzegał Gabriela przed złośliwym poczuciem humoru doktor Marchese. Była absolwentką Uniwersytetu Rzymskiego, uchodziła za czołowy włoski autorytet w dziedzinie cywilizacji Etrusków i pełniła funkcję konsultantki dla Brygady do spraw Sztuki w licznych kwestiach, w tym w sprawie Medicego. Po nalocie na jego magazyn w Genewie przez długie tygodnie badała jego zawartość, starając się określić pochodzenie każdego przedmiotu i ustalić, w miarę możliwości, kiedy został wykopany przez rabusiów grobowców. U jej boku pracowała utalentowana młoda protegowana Claudia Andreatti.

- Wiem od generała, że to dzięki pani Claudia dostała pracę w Watykanie.

- Była moją najlepszą przyjaciółką - odrzekła Veronica Marchese - ale nie potrzebowała mojej pomocy. Claudia była jedną z najzdolniejszych osób, z jakimi kiedykolwiek pracowałam. Tę posadę zawdzięcza wyłącznie sobie.

- Wiedziała pani, że podjęła się inwentaryzacji watykańskiego zbioru dzieł sztuki antycznej. Właściwie to konsultowała się z panią regularnie.

- Widzę, że czytał pan jej e-maile.

- Wiem też, do kogo dzwoniła. Wiem, że przed śmiercią kontaktowała się z Robertem Falconem. Miałem nadzieję, że może pani mi powie, w jakim celu.

Veronica Marchese milczała dłuższą chwilę.

- Claudia mówiła, że odkryła, iż jest jakiś problem z tymi zbiorami - rzekła w końcu. - Myślała, że Falcone jej pomoże.

- Jaki problem?

- Zdaje się, że czegoś brakowało. Wielu rzeczy.

- W magazynach?

- Nie tylko. Również w galeriach.

Gabriel stanął przy niej przed gablotą i utkwiał wzrok w kraterze.

- A gdy Watykan oświadczył, że Claudia popełniła samobójstwo w Bazylice Świętego Piotra?

- Delikatnie rzecz ujmując, miałam wątpliwości.

- Jednak zachowała pani milczenie.

To, co usłyszał, było zeznaniem. Złożyła je nie przed nim, ale przed martwym ciałem Sarpedona.

- To było trudne - powiedziała cicho. - Ale tak, zachowałam milczenie.

- Dlaczego?

- Bo ktoś mnie o to prosił.

- Kto?

- Ten sam człowiek, który poprosił pana, żeby po cichu zbadał pan sprawę jej śmierci.

- Monsinior Donati?

- Monsinior? - Uśmiechnęła się melancholijnie. - Ciągle jakoś trudno mi tak o nim mówić.

*

Kawiarnia w muzeum znajdowała się w dawnej szklarni na głównym dziedzińcu. Gdy weszli, pracownica, sześćdziesięcioletnia kobieta ze szpilkami w siwych włosach, zamykała

już kasę, jednak Veronice udało się ją nakłonić, by zrobiła im jeszcze dwie filiżanki cappuccino. Usiedli razem przy małym stoliku z kutego żelaza w kącie obok treliazu z kwitnącą winoroślą. Deszcz bębnił w szklany dach nad ich głowami, gdy ona oglądała fragment ceramiki, który Gabriel zabrał z domu Falconego w Cerveteri.

- Pańska żona ma doskonałe oko. Ta postać to z całą pewnością wielbicielka Dionizosa. Gdybym miała zgadywać, jest to prawdopodobnie praca malarza Menelaosa, a więc powinna być tu, w Villa Giulia, a nie na stole kuchennym jakiegoś *tombarolo*. - Zwróciła skorupę Gabrielowi. - Szkoda, prawdopodobnie zanim wpadła w ręce Falconego i jego ludzi, była nietknięta.

- Jak została zniszczona?

- Czasem wyroby ceramiczne niszczą *spilli*, używane przez *tombaroli* do lokalizacji grobów. Jednak bywa, że *tombaroli* i pracujący dla nich pośrednicy rozbijają wazy specjalnie. Następnie co jakiś czas rzucają na rynek fragmenty, nie chcąc skupiać na sobie zbyt dużej uwagi. Gdy już wszystkie kawałki znajdą się w rękach jednego handlarza, udają, że dawno zaginiona waza nagle się zmaterializowała. - Pokręciła powoli głową z odrazą. - To dranie. Ale bardzo sprytni.

- I niebezpieczni - dodał Gabriel.

- Na to wygląda. - Zaczęła zapalać papierosa, ale zrezygnowała.

- Przepraszam. - Wsunęła go z powrotem do paczki. - Luigi mówił mi, jak bardzo nie znosi pan tytoniu.

- Co jeszcze pani powiedział?

- Że jest pan jednym z najbardziej niezwykłych ludzi, jakich kiedykolwiek poznał. Mówił też, że byłby z pana wspomniały ksiądz.

- Troszczyć się o obrazy, nie o dusze. Poza tym jestem grzesznikiem bez nadziei na odkupienie.

- Księża też grzeszą. Nawet ci dobrzy.

Wsypała do swego cappuccino trzy saszetki cukru i delikatnie zamieszała. Gabriel powinien był myśleć o sprawie, ale nie mógł przestać się zastanawiać, w jaki sposób życie osobistego sekretarza Ojca Świętego mogło się skrzyżować z życiem kobiety takiej jak Veronica Marchese. Przychodziło mu do głowy kilka scenariuszy, żaden nie był dobry.

- Zdawało mi się, że szpieczy są dobrzy w ukrywaniu swoich myśli - powiedziała.

- Ja jestem już na emeryturze.

- To dobrze. Bo najwyraźniej się pan zastanawia, skąd się znamy ja i Luigi. Dość powiedzieć, że przyjaźnimy się od dawna. Tak naprawdę to ja zasugerowałam przegląd

kolekcji Kościoła.

- Niepokoiła się pani, że może nie być czysta?

- Powiedzmy, że w obecnej sytuacji politycznej uznałam, że mądrze będzie, żeby Luigi wiedział więcej niż jego potencjalni wrogowie.

- Byłaby z pani niezła prawniczka.

- Jestem prawniczką - odparła - oraz archeologiem.

- Dlaczego nie zgłosiła się pani sama do przeprowadzenia inwentaryzacji zbiorów?

- Nie są moje. Poza tym Luigi miał świetną kandydatkę do tego zadania wśród personelu muzeum.

- Claudię.

Veronica Marchese skinęła głową.

- Była urodzonym detektywem. Pracowała wzorowo.

- Ale gdy przeglądałem jej notatki i dokumenty z inwentaryzacji, nic w nich nie wskazywało na jakikolwiek problem. Właściwie wyglądało na to, że wystawiła kolekcji bardzo dobre świadectwo.

- To dlatego, że poradzono jej, by o żadnym ze swoich odkryć nie informowała na piśmie.

- Kto jej poradził?

- Ja.

- Czy Claudia powiedziała pani, czego brakowało?

- Nie wchodziła w szczegóły, mówiła tylko, że nie może się doliczyć kilkadziesiąt obiektów. Nic wielkiego - dodała szybko - ale przedstawiały sporą wartość, to były rzeczy tego typu, które z miejsca nadają prestiż przeciętnemu arabskiemu szejkowi czy rosyjskiemu oligarsze. Sporządziła spis tych przedmiotów i poszła z nim do starego znajomego, który mógł wiedzieć, gdzie można je odnaleźć.

- Do Roberta Falconego?

- Właśnie.

- Skąd Claudia знаła kogoś takiego jak Falcone?

- Był współnikiem jej ojca.

- Sugeruje pani, że ojciec Claudii p r a c o w a ł dla Roberta Falconego?

- Nie. - Veronica Marchese pokręciła głową. - Ojciec Claudii nigdy nie pracowałby dla kogoś takiego jak Roberto Falcone. To Falcone pracował dla n i e g o.

Kobieta za kontuarem przewróciła oczami, dając znak, że chciałaby już zamknąć lokal. Gabriel i Veronica Marchese szybko dopili resztki kawy i wyszli na zewnątrz. Zapadł już

zmrok i w arkadach hulał porywisty wiatr. Veronica w zamyśleniu zapaliła papierosa i zaczęła opowiadać Gabrielowi o Claudii Andreatti rzeczy, które nie znalazły się w jej teczce personalnej w Watykanie. Że dorastała w Tarquinii, dawnym etruskim mieście na północ od Cerveteri. Że jej ojciec, Francesco Andreatti, pracujący na dniówkę robotnik chłopskiego pochodzenia, uzupełniał skromny dochód rodziny za pomocą *spillo* i łopaty. Wyglądało na to, że posiadał rzadki talent do wykopywania zabytków starożytności z pagórkowatych pól Lacjum. Innym jego talentem była niezwykła zdolność do unikania karabinierów i mafii. Wzbogacił się na tym kopaniu, choć wszyscy w Tarquinii myśleli, że jest zwyczajnym kamieniarzem. Także jego córki bliźniaczki.

- Kiedy poznały prawdę o nim?

- Wyznał swoje grzechy, gdy umierał na raka. Powiedział im też o zakopanym stalowym kontenerze, w którym ukrywał swoje znaleziska. Claudia i Paola zawiadomiły karabinierów dopiero po pogrzebie. Miały wtedy zaledwie szesnaście lat.

- Całe to wydarzenie chyba jakoś wyleciało Paoli z pamięci.

- Nie dziwię się, że panu nie powiedziała. To nie jest coś, co córka wspomina z przyjemnością. Niestety, większość z nas ma w drzewie genealogicznym jakiegoś przestępcę. Obawiam się, że to przekleństwo naszego kraju.

- To dość ironiczne, nie sądzi pani?

- Że córka *tombarolo* poświęciła się dbaniu o zabytki starożytności?

Gabriel przytaknął.

- Właściwie to nie był przypadek. Claudia bardzo wstydziła się za ojca i chciała naprawić choć część szkód, które on wyrządził. Rzecz jasna, pilnie chroniła swoją przeszłość. Gdyby środowisko muzealne dowiedziało się, że jej ojciec był złodziejem, rzuciłoby to na nią cień.

- Jednak p a n i wiedziała.

- Powiedziała mi o tym w trakcie śledztwa w sprawie Mediciego. Uznała, że musi, bo pracowałyśmy z generałem Ferrarim. - Veronica Marchese umilkła, a po chwili dodała: - Claudia miała wyolbrzymione poczucie tego, co jest dobre, a co złe. To uwielbiałam w niej najbardziej.

- Czy wie pani, czego dowiedziała się od Falconego?

- Nie chciała mi powiedzieć. Mówiła, że milczenie jest konieczne dla dobra jej śledztwa.

Przeszli obok mieszczącej się w muzeum księgarni, która miała już pozamykane okiennice, i wyszli przez przedni portyk. Z nieba lały się strugi deszczu. Kobieta wyjęła z

torebki pełną kluczy i pstryknięciem pilota zapaliła silnik lśniącego mercedesa SL coupé. Ten samochód nie pasował do muzeum. Podobnie jak sama Veronica Marchese.

- Chętnie bym pana podwiozła - odezwała się przeproszającym tonem - ale mam kolejne spotkanie. Jeśli mogę jeszcze jakoś pomóc, proszę dzwonić bez wahania. I niech pan pozdrowi ode mnie Luigiego.

Ruszyła w kierunku auta, nagle zatrzymała się i odwróciła do Gabriela.

- Wydaje mi się, że jest coś, co działa na pańską korzyść - powiedziała. - Generał Ferrari niedawno odebrał rzeczy warte miliony euro ludziom, którzy zabili Claudię. Teraz będzie im bardzo zależało, by uzupełnić zapasy. Radziłabym panu postarać się o jakiś bardzo atrakcyjny towar.

- I co dalej?

- Rozwalić go - odparła. - I podrzucać im powoli, kawałek po kawałku.

Wsiadła do samochodu i po chwili włączyła się do szalonego ruchu rzymskiej wieczornej godziny szczytu. Gabriel stał jeszcze chwilę, zastanawiając się, dlaczego Luigi Donati nie wspomniał mu nic o tym, że zna najlepszą przyjaciółkę Claudii Andreatti. Księża też grzeszą, pomyślał. Nawet ci dobrzy.

Co to za zupa? - zapytał Gabriel.

- Na gwoździu - odparł Donati.

Uniósł łyżkę cienkiego bulionu do ust i spróbował nieufnie. Siedzieli w ascetycznej jadalni Ojca Świętego na trzecim piętrze Pałacu Apostolskiego. Obrus był biały, tak samo jak habity zakonnicy prowadzących gospodarstwo, które w milczeniu krążyły między jadalnią a przyległą kuchnią. Jego Świątobliwość nie jadł z nimi; pracował przy biurku w swoim niewielkim prywatnym gabinecie usytuowanym dokładnie po drugiej stronie korytarza. Już czternaście lat minęło, od kiedy ten niepokąźny patriarcha Wenecji wstąpił na tron świętego Piotra, jednak nadal utrzymywał rygorystyczny rozkład dnia, a taki wysiłek mógłby wyczerpać o wiele młodszego człowieka. Czynił tak po części, aby utrzymać władzę. Kościół stał w obliczu tylu wyzwań, że jego monarcha absolutny nie mógł sobie pozwolić na sprawianie wrażenia niedołęznego. Gdyby książęta Kościoła spostrzegli, że Jego Świątobliwość zaczyna słabnąć, zaczęłyby się poważne przymiarki do kolejnego konklawe. I pontyfikat papieża Pawła VII, jeden z najbardziej burzliwych w historii współczesnego Kościoła, zatrzymałby się ze zgrzytem hamulców.

- Skąd te głodowe racje? - zapytał Gabriel.

- W wyniku redukcji naszych finansów jakość stawy w niektórych kolegiach i klasztorach w Rzymie zaczyna szwankować. Jego Świątobliwość zwrócił się z prośbą do biskupów i kardynałów, aby unikali wystawnych uczt. Obawiam się, że nie mam wyboru, muszę świecić przykładem.

Uniósł kieliszek z czerwonym winem do światła wpadającego ukosem przez okno i upił ostrożnie łyk.

- Jakie jest?

- Boskie. - Donati ostrożnie postawił kieliszek na stole, po czym pchnął w kierunku Gabriela gruby czarny segregator. - To ostateczny plan naszej podróży do Izraela i na terytoria palestyńskie. Postanowiliśmy to zrobić podczas Wielkiego Tygodnia, co pozwoli Jego Świątobliwości na bezprecedensowy krok zorganizowania obchodów śmierci i zmartwychwstania Chrystusa w mieście, w którym faktycznie miały miejsce. Upamiętni mękę Chrystusa na via Dolorosa, a mszę w Niedzielę Wielkanocną odprawi w Bazylice Grobu

Świętego. Harmonogram przewiduje także przystanek w Betlejem oraz wizytę kurtuazyjną w meczecie Al-Aksa, gdzie zamierza jednoznacznie przeprosić za krucjaty. Gdy rycerze krzyżowi plądrowali Jerozolimę w tysiąc dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, zabili dziesięć tysięcy ludzi na Wzgórzu Świątynnym, w tym trzy tysiące tych, którzy schronili się w Al-Aksie.

- A po drodze w ramach rozgrzewki zabili w Europie kilka tysięcy niewinnych Żydów.

- O ile wiem, za to już przeprosiliśmy - odparł Donati złośliwie.

- Kiedy zamierzacie ogłosić wiadomość o tej podróży?

- W następnym tygodniu podczas audyencji generalnej.

- Za wcześniej.

- Czekaliśmy, jak długo się dało. Chciałbym, żebyś zerknął na ustalenia dotyczące bezpieczeństwa. Ojciec Święty pyta także, czy mógłbyś wziąć pod uwagę towarzyszenie mu w tej podróży w roli osobistego ochroniarza.

- Coś mi mówi, że sam na to nie wpadł.

- Nie - przyznał Donati.

- Postawienie mnie przy Jego Świątobliwości jeszcze bardziej narazi jego bezpieczeństwo.

- Pomyśl o tym.

Donati podniósł do ust kolejną łyżkę bulionu i w zamyśleniu podmuchał na jej zawartość - dziwne, bo zupa Gabriela była już letnia.

- Coś jeszcze cię gryzie, Luigi?

- Podobno wczoraj złożyłeś wizytę w Villa Giulia.

- Jest tam pełno pięknych eksponatów.

- Tak słyszałem. - Donati zniżył głos i dodał: - Trzeba mi było powiedzieć, że masz zamiar się z nią spotkać.

- Nie wiedziałem, że potrzebuję twojego pozwolenia.

- Nie o to mi chodzi.

- Gdy podjąłem się tej sprawy - powiedział Gabriel z łagodnym naciskiem - zapewniałeś mnie, że wszystkie drzwi będą stały otworem.

- Nie drzwi do mojej przeszłości - odrzekł Donati spokojnie.

- A jeśli twoja przeszłość miała coś wspólnego ze śmiercią Claudii?

- Moja przeszłość nie miała n i c wspólnego z jej śmiercią.

Monsinior wypowiedział te słowa takim tonem, jakby kończył modlitwę. Brakowało tylko znaku krzyża i „amen”.

- Chcesz jeszcze trochę zupy? - zapytał, starając się rozładować napięcie.

- Chyba się oprę tej pokusie - odparł Gabriel.

Weszły dwie zakonnice i zebrały naczynia. Chwilę później wróciły z daniem głównym - cienkim plastrem cielęciny, gotowanymi ziemniakami i fasolką szparagową skropioną oliwą. Donati wykorzystał wymianę dań, żeby zebrać myśli.

- Poprosiłem cię o pomoc - powiedział w końcu - bo chciałem, żeby to śledztwo zostało przeprowadzone z pewną dyskrecją. Teraz włączyli się generał Ferrari i karabinierzy, a właśnie tego miałem nadzieję uniknąć.

- Włączyli się, bo moje śledztwo doprowadziło mnie do martwego *tombarolo*, Roberta Falconego.

- Jestem tego świadomy.

- Wolałbyś, żebym uciekł z miejsca zbrodni?

- W o l a ł b y m - powiedział Donati po chwili namysłu - żeby tym bałaganem nie zainteresowały się włoskie władze, które nie zawsze mają na uwadze interes Stolicy Apostolskiej.

- To by nastąpiło niezależnie od moich działań - odparł Gabriel.

- Dlaczego?

- Bo prędzej czy później generał Ferrari skojarzyłby Falconego z Claudią dzięki rejestrowi połączeń z jej telefonu. I kolejnym ogniwiem, do którego by dotarł, byłaby Veronica Marchese. Jeżeli nie byłaby gotowa skłamać w twoim interesie, powiedziała by generałowi, że prosiłeś ją o milczenie. A wtedy generał Ferrari już pukałby do Spizowej Bramy Pałacu Apostolskiego z wezwaniem do sądu w ręce.

- Zrozumiałem. - Donati dziobał jedzenie bez apetytu. - Jak myślisz, dlaczego Ferrari zasugerował, żebyś się z nią spotkał?

- Sam sobie zadaję to pytanie - odparł Gabriel. - Sądzę, że jak każdy dobry śledczy wie więcej, niż ma ochotę zdradzić.

- O mojej przyjaźni z Veronicą?

- O wszystkim.

Za oknem chmura zasłoniła słońce i na twarz Donatiego padł cień.

- Dlaczego mi o niej nie powiedziałeś, Luigi?

- Zaczynam się czuć jak na przesłuchaniu.

- Lepiej, że prowadzę je ja niż karabinierzy.

Donati, nadal okryty cieniem, milczał.

- Może łatwiej będzie, jeśli ja odpowiem za ciebie.

- Proszę.

- Cała ta sprawa podpada pod kategorię „dobre uczynki nie pozostają bez kary” - rzekł Gabriel. - Zaczęło się całkiem niewinnie, gdy Veronica zaproponowała, żebyś dokonał przeglądu watykańskiej kolekcji. Jednak śmierć Claudii postawiła przed tobą dwa problemy. Pierwszy to motyw zabójstwa. Drugi to twoja relacja z Veronicą Marchese. Drobiazgowie śledztwo w sprawie śmierci Claudii ujawniłoby obie te kwestie, stawiając cię w złym świetle. Dlatego forsowałeś oficjalną wersję o samobójstwie, a mnie poprosiłeś, żebym odkrył prawdę.

- I teraz odkryłeś jej mały fragment. - Donati popchnął swój talerz na środek stołu i zapatrzył się przez otwarte drzwi na wejście do prywatnego gabinetu swojego pana.

- Ile ona wie? - zapytał Gabriel.

- Więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Co wcale nie znaczy, że chce to ujawnić publicznie. W takim miejscu jak to plotki i skandal publiczny mogą być fatalne w skutkach. A jeśli ja zostanę w jakiś sposób splamiony, może to zaszkodzić jego pontyfikatowi.

- Najlepiej temu zapobiegiesz, gdy zaczniesz mówić prawdę. Niczego nie ukrywając.

Donati ciężko westchnął i spojrzął na zegarek.

- Mam pół godziny do następnego spotkania Ojca Świętego - powiedział. - Lepiej się przejdźmy. Tu ściany mają uszy.

Podobno Ogrody Watykańskie powstały na ziemi z Golgoty przywiezionej z Rzymu przez świętą Helenę, matkę cesarza Konstantyna; według chrześcijańskiej legendy to ona właśnie odnalazła Krzyż Pański. Teraz, siedemnaście stuleci później, ogrody były edenem o powierzchni dwudziestu trzech hektarów, usianym bogato zdobionymi pałacami, w których znajdowały się różne placówki watykańskiej administracji. Zachmurzone niebo pasowało do nastroju Donatiego. Ze spuszczoną głową, z dłońmi splecionymi za plecami, opowiadał Gabrielowi o poważnym młodzieńcu z niewielkiego miasteczka w Umbrii, który miał powołanie, aby zostać księdzem. Wstąpił do intelektualnie zbuntowanego Towarzystwa Jezusowego, czyli do jezuitów, i stał się głośnym orędownikiem kontrowersyjnej doktryny znanej jako teologia wyzwolenia. Na początku lat osiemdziesiątych, w okresie zamieszek i rewolucji w Ameryce Łacińskiej, został wysłany do Salwadoru, żeby prowadzić ośrodek zdrowia i szkołę. I tam, w departamencie Morazan, stracił wiarę w Boga.

- Teologowie wyzwolenia uważają, że sprawiedliwość tu, na ziemi, i zbawienie wieczne są nierozzerwalnie związane, że niemożliwe jest zbawienie duszy, jeśli ciało, które ona zamieszkuje, tkwi w okowach nędzy i opresji. W Ameryce Łacińskiej takie myślenie sytuowało nas jednoznacznie po stronie lewicowych rewolucjonistów. Junty wojskowe uważały nas praktycznie za komunistycznych wywrotowców. Podobnie jak Polak - dodał. - Ale to osobna opowieść.

Donati przystanął, jakby się zastanawiał, w którym kierunku iść dalej. Wreszcie skręcił w stronę budynku w kolorze ochry, siedziby Radia Watykańskiego. Nad nim wznosiła się jedyna brzydka rzecz w tym mieście-państwie, wieża transmisyjna, która przesyłała wiadomości i programy kościelne do wiernych na całym świecie, coraz bardziej udręczonych sprawami ziemskimi.

- Był taki ksiądz, który pracował razem ze mną w Morazán - kontynuował Donati - hiszpański jezuita, ojciec José Martinez. Pewnego wieczoru zostałem wezwany do sąsiedniej wioski do porodu. Gdy wróciłem, ojciec José nie żył. Miał odrąbaną górną część czaszki, z której ktoś wyjął jego mózg.

- Zabił go szwadron śmierci?

Donati pokiwał głową.

- Dlatego zabrali mózg. To był symbol tego, czego reżim i jego bogaci stronnicy najbardziej w nas nie znoszą: naszej inteligencji i oddania idei sprawiedliwości społecznej. Gdy zwróciłem się do wojskowych, żeby przeprowadzili śledztwo w sprawie śmierci ojca José, dosłownie roześmiali mi się w twarz. I ostrzegli mnie, że jeśli nie wyjadę, będę następny.

- I posłuchałeś ich rady?

- Powiniennem był, ale jego śmierć dodała mi jeszcze determinacji, żeby zostać i dokończyć misję. Jakies pół roku później przyszedł do mnie jeden zbuntowany przywódca. Znał tożsamość człowieka odpowiedzialnego za śmierć ojca José. Ten człowiek nazywał się Alejandro Calderon. Pochodził z ziemiańskiej rodziny o ścisłych powiązaniach z rządzącą juntą. Miał utrzymanie w mieszkaniu w mieście San Miguel. Buntownicy zamierzali go zabić, gdy następnym razem pojedzie do kochanki.

- Dlaczego ci o tym powiedzieli?

- Bo chcieli mojego błogosławieństwa. Którego oczywiście nie udzieliłem.

- Ale nie powiedziałaś im, żeby go n i e zabijali.

- Nie - przyznał Donati. - Nie uprzedziłem też Calderona. Trzy dni później znaleziono jego ciało wiszące głową w dół na latarni na centralnym placu w San Miguel. Nie minęło kilka godzin, gdy kolejny szwadron śmierci zmierzał w stronę naszej wioski, tym razem szukając mnie. Uciekłem przez granicę do Hondurasu i ukryłem się u jezuitów w Tegucigalpie. Gdy już było bezpieczniej, wróciłem do Rzymu, a tu zostałem natychmiast wezwany przez przełożonego naszego zakonu. Zapytał mnie, czy wiem coś o śmierci Calderona. Przypomni mi, że jako jezuita składałem przysięgę posłuszeństwa *perinde ac cadaver*, dosłownie, że nie będę miał więcej woli niż moje własne zwłoki. Odmówiłem odpowiedzi. Następnego dnia rano poprosiłem, żeby zwolniono mnie ze ślubów.

- Wystąpiłeś z zakonu?

- Nie miałem wyboru. Pozwoliłem, żeby zabito człowieka. Co więcej, przestałem wierzyć w Boga. Przecież sprawiedliwy i łagodny Bóg, mówiłem sobie, nie pozwoliłby na to, żeby takiego człowieka jak ojciec José zamordowano w tak makabryczny sposób.

Z budynku Radia Watykańskiego wyszła grupka kardynałów z kurii rzymskiej, za którymi podążali pracujący dla nich księża. Donati zmarszczył brwi i poprowadził Gabriela w kierunku Wieży Świętego Jana.

- Wyobrażam sobie, że porzucenie kapłaństwa trochę przypomina porzucenie służby wywiadowczej. - Donati podjął przerwany wątek. - Jest to celowo długi i skomplikowany proces, aby dać krnąbrnemu kapłanowi dość okazji, żeby zmienił zdanie. Jednak ostatecznie

wróciłem do Umbrii i zamieszkałem samotnie w wiosce niedaleko Monte Cucco. Całymi dniami chodziłem po górach. Może miałem nadzieję, że odnajdę wśród nich Boga. Jednak zamiast niego znalazłem Veronicę.

- Taka kobieta potrafi przywrócić człowiekowi wiarę w Boga.

- I poniekąd to uczyniła.

- Co ona robiła w Umbrii?

- Właśnie skończyła doktorat i przyjechała na wykopaliska w ruinach rzymskiej willi.

Wpadliśmy na siebie przypadkiem na targu. Po kilku dniach byliśmy już nierozłączni.

- Powiedziałeś jej, że byłeś księdzem?

- Opowiedziałem jej w s z y s t k o, łącznie z tym, co wydarzyło się w Salwadorze. Zawzięła się, że wyleczy moje rany i pokaże mi prawdziwy świat, ten, który mnie ominął, gdy siedziałem w seminarium. Wkrótce zaczęliśmy rozmawiać o małżeństwie. Veronica zamierzała uczyć. Ja miałem zająć się obroną praw człowieka. Wszystko było zaplanowane.

- Więc co się wydarzyło?

- Poznałem Pietra Lucchesiego.

Było to prawdziwe imię i nazwisko Jego Świątobliwości papieża Pawła VII.

- To było niedługo po powołaniu go na patriarchę Wenecji - ciągnął Donati. - Szukał kogoś na stanowisko osobistego sekretarza. Słyszał o byłym jezuitcie, który mieszka samotnie w Umbrii. Zjawił się niezapowiedziany i oznajmił, że nie wyjedzie, dopóki ja nie zgodzę się wrócić do kapłaństwa. Spędziliśmy razem tydzień, chodząc po górach, prowadząc spory na temat Boga i tajemnic wiary. Nie muszę dodawać, że Lucchesi wygrał. Zawiadomienie o tym Veroniki było najtrudniejszą rzeczą, jaką w życiu zrobiłem. Ona jest jedyną kobietą, którą kiedykolwiek kochałem i kiedykolwiek będę kochał.

- Żałujesz?

- Człowiekowi czasem przychodzą do głowy różne myśli, ale nie, nie żałuję. Na pewno byłoby łatwiej, gdybyśmy się już nigdy więcej nie zobaczyli, ale ułożyło się inaczej.

- Proszę, powiedz mi, że między wami nic nie ma.

- Poważnie traktuję swoje śluby - rzucił Donati. - Veronica też. Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Zakładam, że wyszła za mąż.

- I to za kogo. Jej mężem jest Cario Marchese. To jeden z najlepiej prosperujących biznesmenów we Włoszech. - Donati przerwał i spojrzał na Gabriela poważnie. - Oraz człowiek, przez którego zginęła Claudia Andreatti.

Gdzieś poza murami Watykanu strzelił gaźnik samochodu, co zabrzmiało jak wystrzał karabinu. Stado gawronów wzbiło się hałaśliwie w powietrze, a następnie odleciało w szyku w kierunku kopuły Bazyliki Świętego Piotra. Gabriel patrzył za nimi przez chwilę, starając się ustalić, co wynika z historii opowiedzianej przez Donatiego. Miał wrażenie, że zagłąda pod powierzchnię nastawy ołtarzowej i natyka się na fragmenty obrazów ukryte pod warstwami farby - tu na posadzce kościoła leży martwa kobieta, tam rabuś grobowców za swoje grzechy rozpuszcza się w kadzi z kwasem, jeszcze gdzieś indziej upadły kapłan szuka Boga w ramionach kochanki. Nasuwały mu się pytania, tysiące pytań, ale wiedział, że nie powinien psuć nastroju chwili, któremu uległ Donati. Szedł więc przy boku monsiniora w roli milczącego spowiednika i czekał, aż przyjaciel dokończy opowieść o swoich grzechach.

- Carlo wywodzi się z czarnej szlachty - kontynuował Donati - czyli rzymskich rodów arystokratycznych, które pozostały lojalne papieżowi po podboju Państwa Kościelnego w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku. Jego ojciec należał do ścisłego grona zauszników Piusa Dwunastego. Miał również bliskie związki z CIA.

- W jakim sensie?

- Był związany z Partią Chrześcijańsko-Demokratyczną. Po drugiej wojnie światowej pracował w CIA, starając się zapobiec przejściu we Włoszech władzy przez komunistów. Przed wyborami w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku przez jego ręce przepłynęły pieniądze z tajnych funduszy CIA, rzędu kilku milionów dolarów. Carlo twierdzi, że oni wręczali jego ojcu walizki pełne pieniędzy w holu hotelu Hassler.

- Wygląda na to, że dobrze się znacie z Carlem.

- Zgadza się - odparł Donati. - Podobnie jak jego ojciec, Carlo ma znaczącą pozycję na dworze papieskim. Zasiada także w świeckiej radzie nadzorczej Banku Watykańskiego, zna zatem kwestie finansowe Kościoła równie dobrze jak ja. Carlo jest człowiekiem, który wchodząc do Pałacu Apostolskiego, nie musi przedstawiać się na portierni. Lubi mi przypominać, że będzie w Watykanie jeszcze długo potem, gdy ja już odejdę.

- Kto powołał go na to stanowisko w banku?

- Ja.

- Dlaczego?

- Ponieważ Veronica mnie o to prosiła. Zresztą Carlo wydawał się idealnym kandydatem: człowiek od wielu lat związany z papieżem, uważany za jednego z najuczciwszych biznesmenów w kraju znanym z korupcji. Niestety, okazało się, że taki nie jest. Carlo Marchese nadzoruje międzynarodowy handel nielegalnie zdobytymi dziełami sztuki starożytnej. Ale to tylko przysłowiowy wierzchołek góry lodowej. Marchese tkwi na

szczyt światowego imperium przestępczego, które ma na koncie wszystko, od narkotyków przez fałszerstwa do nielegalnego handlu bronią. I pierze swoje brudne pieniądze w Banku Watykańskim.

- A ty, osobisty sekretarz Jego Świątobliwości papieża Pawła Siódmego, pomogłeś mu dostać tę pracę.

- Nieświadomie - mruknął Donati defensywnie. - Ale ten drobny szczegół nie będzie miał znaczenia, jeśli zrobi się z tego kolejny skandal.

- Kiedy poznałeś prawdę o Carlu?

- Dopiero wtedy, gdy poprosiłem pewną zdolną kustoszkę, żeby dokonała przeglądu watykańskiego zbioru antyków - odrzekł Donati. - Najpierw stwierdziła, że z Muzeów Watykańskich zniknęło kilkadziesiąt eksponatów. Następnie odkryła powiązania między złodziejami a niejakim Carlem Marchesem.

- Dlaczego chciała się z tobą zobaczyć tego wieczoru, gdy zginęła?

- Powiedziała mi, że ma dowody na udział Carla w procederze. Następnego dnia rano już nie żyła, a wszelkie dowody zniknęły. - Donati potrząsnął głową. - Wyobraź sobie, że Carlo zadzwonił do mnie do gabinetu tamtego popołudnia z kondolencjami. Miał na tyle przyzwoitości, żeby nie pokazywać się na pogrzebie.

- Miał inne sprawy na głowie.

- Jakie?

- Pozbycie się *tombarolo* Roberta Falconego.

*

Minęli Wieżę Świętego Jana i poszli w kierunku lądowiska dla helikopterów w odległej południowo-zachodniej części miasta-państwa. Donati przyglądał się przez chwilę murom, jak gdyby szacując, jak można się na nie wspiąć, po czym usiadł na ławce na krawędzi płyty lotniska. Gabriel przysiadł się do niego i zaczął porządkować w głowie notatki ze swego śledztwa. Jeden element wyróżniał się na tle innych: ostatni telefon Claudii Andreatti w wieczór jej śmierci. Ustalono, że dzwoniła do Villa Giulia, do żony człowieka, który nie musiał się przedstawiać strażnikom przed wejściem do Pałacu Apostolskiego.

- Ile Veronica wie o swoim mężu?

- Jeśli pytasz, czy wie, że jej mąż to przestępca, odpowiedź brzmi: nie. Wierzy, że jest on potomkiem starego rzymskiego rodu, który obrócił swój niewielki spadek w udany biznes.

- Czy ten wpływowy biznesmen wie, że byłeś kiedyś zaręczony z jego żoną?

Donati z mocą zaprzeczył.

- Jesteś pewien?

- Veronica nigdy nie puściła o tym pary z ust.

- A o Salvadorze?

- Wie, że pełniłem tam służbę i że, jak większość jezuitów, miałem problemy ze szwadronami śmierci i innymi żołdakami. Ale nie ma pojęcia, że porzuciłem kiedyś kapłaństwo. Tak naprawdę to bardzo niewiele osób w łonie Kościoła wie o moim krótkim urlopie. Wszelkie wzmianki o tym zostały wyczyszczone z moich akt osobowych, gdy zacząłem pracować dla Lucchesiego w Wenecji. Można by pomyśleć, że to się nigdy nie wydarzyło.

- Trochę jak śmierć Claudii.

Donati nic na to nie odpowiedział.

- Okłamałeś mnie, Luigi.

- *Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa.*

- Nie chcę twoich przeprosin. Domagam się tylko wyjaśnienia, dlaczego pozwoliłeś mi prowadzić śledztwo w sprawie morderstwa, mimo że znasz tożsamość sprawcy.

- Musiałem wiedzieć, ile będziesz w stanie odkryć na własną rękę, zanim przejdziemy do następnego kroku.

- Jakiego kroku?

- Chciałbym, abys dostarczył mi niepodważalnych dowodów, że Carlo Marchese kieruje światową organizacją przestępczą, siedząc w moim banku. A potem zmusił go do odejścia. Po cichu.

- Jest tylko jeden problem - rzeki Gabriel. - Zdaje się, że po mojej wizycie w Villa Giulia odpadł nam element zaskoczenia.

- To prawda. Szczerze mówiąc, mam pewność, że Carlo wie dokładnie, co planujesz.

- Dlaczego?

- Ponieważ zostałeś zaproszony na kameralną kolację jutro wieczorem w jego *palazzo*. Już przyjąłem zaproszenie w twoim imieniu. Postaraj się znaleźć coś przyzwoitego do ubrania - dorzucił Donati, marszcząc brwi na widok skórzanej kurtki Gabriela i jego poplamionych farbą dzinsów. - Nie przeszkadza mi, że paradujesz tak po pałacu, ale czarna szlachta ma bardziej oficjalne zwyczaje.

Gabriel miał jeden garnitur. Włoskiego projektu, ale wykonany przez Biuro, miał ukryte kieszenie na fałszywe paszporty oraz kaburę wszytą w pas spodni, na tyle dużą, że mieściła berettę i zapasowy magazynek. Po długich rozważaniach uznał, że niemądrze byłoby zabierać broń palną na kolację u Carla Marchese'go. Zawiązał bładoniebieski krawat, który Chiara kupiła mu tego popołudnia w sklepie na via Condotti, i z fantazją włożył jedwabną chusteczkę do górnej kieszonki. Chiara nieznacznie poprawiła i krawat, i chusteczkę, po czym poszła do łazienki, żeby skończyć makijaż. Miała na sobie czarną koktajlową sukienkę i czarne pończochy. Włosy puściła luźno na nagie ramiona, a na prawy przegub założyła bransoletkę z pereł i szmaragdów, którą dostała od Gabriela na ostatnie urodziny. Pomyślał, że wygląda zdumiewająco pięknie - i o wiele za młodo, żeby trzymać pod ramię taki sponiewierany wrak człowieka jak on.

- Włóż coś na siebie - powiedział. - Za kilka minut musimy wyjść.

- Nie podoba ci się mój strój?

- Nie może się nie podobać.

- No to o co chodzi?

- Jest dość prowokacyjny. - Wzrok Gabriela omiatał bez żenady całe jej ciało. - W końcu idziemy na kolację z księdzem.

- W domu jego dawnej kochanki. - Musnęła kości policzkowe różem, co wydobyło miodowo-złote plamki w jej dużych brązowych oczach. - Muszę przyznać, że jestem ciekawa, jak wygląda kobieta, której udało się przebić przez pancierz Donatego.

- Nie rozczarujesz się.

- Jaka ona jest?

- Byłaby idealną partnerką dla Donatego, gdyby on wybrał inny zawód.

- To coś więcej niż zawód. I jestem pewna, że Donati miał niewiele wspólnego z jego wyborem.

- Uważasz, że to faktycznie powołanie?

- Jestem córką rabina. Ja w i e m, że to powołanie. - Chiara przez moment sprawdzała swój wygląd w lustrze, po czym wróciła do pracy nad swoją piękną twarzą. - A tak między nami, od początku miałam rację co do Donatego. Mówiłam ci, że to mężczyzna z

przeszłością. I ostrzegałam cię, że on coś ukrywa.

- Nie miał wyboru.

- Czyżby?

- Gdyby powiedział mi prawdę, że chce, abym szedł na wojnę z dobrze ustawionym mafiosem, takim jak Carlo Marchese, skończyłbym pracę nad Caravagiem i wyjechał stąd jak najszybciej.

- To wciąż jest możliwe.

Gabriel spojrzeniem w lustro dał jej do zrozumienia, że się myli.

- Nie masz pojęcia, w co się pakujesz, kochanie. Ja się wychowałam w tym kraju. Znam ich lepiej niż ty.

- Nie wiedziałem, że dzielnica żydowska w Wenecji była terenem tak intensywnych działań mafii.

- Oni są wszędzie. - Chiara zmarszczyła brwi. - I usuwają wszystkich, którzy staną między nimi a ich pieniędzmi, sędziów, polityków, policjantów, w s z y s t k i c h. Carlo już zabił dwoje ludzi, żeby ochronić swój sekret. I nie zawaha się też przed zabiciem ciebie, jeśli uzna, że stanowisz zagrożenie.

- Ja nie jestem politykiem. Ani policjantem.

- Co to znaczy?

- Oni muszą działać zgodnie z przepisami. Ja nie. - Gabriel wyjął chusteczkę z kieszonki i wygładził przód marynarki.

- Przedtem było lepiej.

- Moim zdaniem nie.

- One są teraz bardzo modne.

- Dlatego mnie się nie podobają.

Chiara bez słów włożyła chusteczkę z powrotem do kieszonki marynarki Gabriela.

- Nigdy nie sądziłam, że poznam kobietę o bardziej skomplikowanym życiu uczuciowym niż moje własne - powiedziała, przyglądając się swemu dziełu. - Veronica najpierw zakochuje się w księdzu, który stracił wiarę w Boga. Potem, gdy ksiądz ją rzuca, wychodzi za bossa mafii, który szefuje światowemu syndykatowi zbrodni.

- Donati jej nie r z u c i ł - sprostował Gabriel. - A Veronica Marchese nie ma pojęcia, skąd pochodzą pieniądze jej męża.

- Być może - odparła Chiara bez przekonania. - A może widzi tylko to, co chce zobaczyć, i przymyka oko na resztę. Tak jest łatwiej, zwłaszcza gdy w grę wchodzi duże pieniądze.

- To dlatego za mnie wysłaś? Dla pieniędzy?

- Nie - odrzekła. - Wysłałam za ciebie, bo ubóstwiam twoje fatalistyczne poczucie humoru. Zawsze opowiadasz przerażające dowcipy, gdy się czymś martwisz i starasz się to ukryć.

- Dlaczego niby się martwię?

- Bo przyjechałeś do Rzymu odrestaurować jedno ze swoich ulubionych malowideł. A za chwilę zrobisz sobie wroga z człowieka, który jednym telefonem mógłby kazać cię zabić.

- Mnie nie tak łatwo zabić.

Chiara uniosła włosy i stanęła odwrócona przed Gabrielem. Powoli zapiął jej sukienkę i przycisnął usta do jej karku. W lustrze zobaczył, że Chiara przymyka oczy.

- Jak myślisz, dlaczego on zaprosił nas dziś na tę kolację? - zapytała.

- Mogę się tylko domyślać, że chce mi dać coś do zrozumienia.

- Co masz zamiar zrobić?

- Bardzo uważnie słuchać - odparł Gabriel i pocałował ją ostatni raz w kark. - A potem ja też dam mu coś do zrozumienia.

Państwo Marchese mieszkali kilka minut piechotą od placu Hiszpańskiego, przy cichej uliczce odchodzącej od via Veneto, gdzie nieubłagany bieg czasu jakby się zatrzymał, choć może na krótko, w epoce piękna. Tu był Rzym, o którym turyści marzyli, ale który rzadko mieli okazję ujrzeć, Rzym poetów, malarzy i ludzi bajecznie bogatych. W prywatnym zakątku Carla w Wiecznym Mieście trwało *la dolce vita*, nawet jeśli tylko chwilowo.

To nie był właściwie dom, tylko ogromne *palazzo* w kolorze ochry, stojące pośrodku wielkiego parku. Rezydencja otoczona była żelaznym ogrodzeniem, na którym znajdowały się liczne kamery. Było ich tyle, że dom czasem brano za ambasadę lub budynek rządowy. Na dziedzińcu przed wejściem szemrała barokowa fontanna, a w holu wejściowym witał gości bezręki posąg Plutona, władcy świata podziemnego. Obok niego stała teraz Veronica Marchese, ubrana w powłóczystą suknię z zielonego gniecionego jedwabiu. Przywitała serdecznie Gabriela i Chiare, po czym powiodła ich szerokim korytarzem zawieszonym malowidłami włoskiego renesansu w ozdobnych ramach. Między obrazami, umieszczone na żłobkowanych postumentach na wysokości ich ramion, stały rzymskie popiersia i rzeźby. Obrazy miały wartość muzealną. Podobnie rzeźby.

- Ród Marchese to kolekcjonerzy od wielu pokoleń - wyjaśniła z nutką dezaprobaty w głosie. - Nie mam nic przeciwko obrazom, ale rzeźby są dla mnie niejakim źródłem zażenowania, bo publicznie głoszę, że kolekcjonerzy to prawdziwi rabusie. To całkiem proste: gdyby bogacze przestali je kupować, *tombaroli* przestaliby je wykopywać.

- Pani mąż ma doskonały gust - rzekła Chiara.

- Ma fachowego doradcę - odparła Veronica żartobliwie. - Jednak te nabytki to nie nasza zasługa. Przodkowie Carla zakupili je na długo przed tym, zanim pojawiły się przepisy ograniczające handel zabytkami starożytności. Mimo to usiłuję przekonać go, by przekazał do muzeum choć część tej kolekcji, żeby ludzie mogli je wreszcie podziwiać. Obawiam się, że przede mną jeszcze wiele starań.

Na końcu korytarza znajdowały się szerokie podwójne drzwi, otwierające się na wytworny salon z arrasami na ścianach. Meble były dostojne i eleganckie, podobnie jak goście krążący po salonie. Gabriel spodziewał się kameralnej kolacji na sześć osób, tymczasem w pomieszczeniu znajdowało się ich nie mniej niż dwadzieścia, w tym włoski

minister finansów, gospodarz wpływowego telewizyjnego talk-show oraz jedna z najpopularniejszych sopranistek w kraju. Donati odizolował się od towarzystwa na końcu obitej brokatem sofy. Miał na sobie dwurzędowy księżowski garnitur. Świetnie do tego przygotowany, opowiadał właśnie plotki z kurii rzymskiej dwóm obwieszonym biżuterią kobietom, które słuchały go z zapartym tchem.

Po przeciwnej stronie salonu, otoczony grupką wyraźnie nieźle prosperujących biznesmenów, stał Carlo Marchese. Miał postawę człowieka, który w szkole był najlepszym sportowcem, i zadbany wygląd, jakby przygotował się do sesji zdjęciowej. Niewielkie okulary bez oprawek nadawały jego spokojnym rysom księżowskiej powagi. Gestykulował dyskretnie dłonią, która nigdy nie dzierżyła innego narzędzia niż luksusowe pióro czy srebrny widelec. Jego podobieństwo do Donatiego nie pozostawiało wątpliwości. Wyglądało to tak, jakby Veronica, utraciwszy Donatiego na rzecz Kościoła, zdobyła inną jego wersję, tylko bez koloratki i bez sumienia.

Gdy Gabriel i Chiara weszli do salonu, obróciło się ku nim jednocześnie kilka głów i rozmowy ucichły na kilka sekund, po czym toczyły się nadal, ale już ciszej. Gabriel przyjął dwa kieliszki prosecco od kelnera w białej marynarce i podał jeden Chiarze. Odwróciwszy się, zobaczył przed sobą twarz Carla.

- Jak miło wreszcie pana poznać, panie Allon. - Jedna ręka uściśniła dłoń Gabriela, druga chwyciła go za ramię tuż nad łokciem.

- Byłem na placu Świętego Piotra, gdy terroryści zaatakowali Watykan. Nikt z nas, którzy jesteśmy blisko Ojca Świętego, nie zapomni, co pan uczynił tamtego dnia. - Puścił Gabriela i przedstawił się Chiarze. - Czy pozwoli mi pani wypożyczyć na chwilę męża? Mam pewien mały problem, który muszę z nim omówić.

- Zależy, jaki to problem.

- Zapewniam panią, że całkowicie artystyczny.

Nie czekając na odpowiedź, Carlo Marchese poprowadził Gabriela szerokimi głównymi schodami na trzecie piętro *palazzo*. Przed nimi rozciągał się bezmiar galerii rodowych skarbów: malowidła i arras, rzeźby i zegary, zabytki sztuki starożytnej wszelkiego rodzaju. Carlo odgrywał rolę przewodnika, zwalniając co kilka kroków, by zwrócić uwagę na jakiś interesujący obiekt. Mówił z erudycją człowieka, który dobrze zna się na sztuce, ale również z nutą skrępowania, jak gdyby to, co posiada, było dla niego wielkim obciążeniem. Nawet Gabriel, widząc tyle dzieł sztuki zgromadzonych w jednym miejscu, czuł się niepewnie; miał wrażenie, że chodzi po magazynach pełnych łupów z jakiejś dawnej wojny. Zatrzymał się przed malowidłem Canaletta. Ten rozświetlony obraz placu Świętego Marka wydał mu się w

jakiś sposób znajomy. Nagle przypomniał sobie, gdzie już go widział. Kilka lat temu malowidło zostało skradzione. Sukces w odzyskaniu go, obwieszczony z wielką pompą przez generała Ferrariego, uznano za jeden z wielkich triumfów Brygady do spraw Sztuki.

- Teraz wiem, dlaczego generał nie chciał zdradzić nazwiska właściciela - odezwał się Gabriel.

- Prosiłem go o to. Obawialiśmy się kolejnych włamań, gdyby złodzieje poznali wartość dzieł sztuki w naszych zbiorach.

- Pisano wówczas, że właściciel obrazu odegrał znaczącą rolę w jego odzyskaniu.

- Ma pan dobrą pamięć, panie Allon. Osobiście przeprowadzałem negocjacje dotyczące okupu. Prawdę mówiąc, powiedziałem generałowi Ferrariemu o kradzieży, dopiero gdy sprawa została załatwiona. On aresztował złodziei podczas próby podjęcia pieniędzy. Nie byli z nich żadni zawodowcy.

- Pamiętam - rzekł Gabriel. - Pamiętam też, że zostali zabici niedługo po przewiezieniu do więzienia Regina Coeli.

- Podobno w wyniku jakiejś bójki o terytorium w więzieniu.

A może kazałeś ich zabić za to, że włamali się do szefa, pomyślał Gabriel.

- Czy chciał mi pan pokazać coś konkretnego? - zapytał.

- To. - Carlo wskazał głową ogromne malowidło na końcu galerii. Przedstawiało pokłon pasterzy, choć scena była ledwo widoczna pod grubą warstwą brudu i mocno odbarwionego werniksu. Carlo oświetlił obraz, pstrykając włącznik na ścianie. - Przypuszczam, że poznaje pan artystę.

- Guido Reni - odparł Gabriel - z wydatną pomocą paru swoich najlepszych uczniów, jeśli się nie mylę.

- Nie myli się pan. Jest w mojej rodzinnej kolekcji od ponad dwóch stuleci. Niestety, wiele lat minęło od ostatniej konserwacji. Zastanawiałem się, czy przyjąłby pan to zlecenie, gdy już pan skończy Caravaggia.

- Obawiam się, że mam wcześniejsze zobowiązanie.

- Słyszałem. - Carlo spojrział na Gabriela. - Wiem, że monsinior Donati poprosił pana o zbadanie sprawy śmierci Claudii. - Zniżając głos, dodał: - Watykan to tylko mała wioska, panie Allon. A w wiosce lubi się plotkować.

- Plotki mogą być niebezpieczne.

- Podobnie jak poufne śledztwa w Watykanie.

Carlo opuścił lekko głowę i utkwiał w Gabrielu nieruchome spojrzenie. Większość mężczyzn zwykle unikała patrzenia mu prosto w oczy, ale nie Carlo. Cechowała go chłodna,

arystokratyczna pewność siebie, granicząca z arogancją. Był to też, jak uznał Gabriel, człowiek nieznający strachu.

- Watykan jest jak labirynt - ciągnął Carlo. - Powinien pan wiedzieć, że w kurii są tacy, którzy uważają, że monsinior Donati niechcący otworzył puszkę Pandory, co jeszcze bardziej nadszarpienie reputację Kościoła, a Kościół teraz nie może sobie na to pozwolić. Nie podoba im się też fakt, że postanowił powierzyć tę sprawę człowiekowi z zewnątrz.

- Rozumiem, że podziela pan ich opinię.

- Oficjalnie nie mam zdania na ten temat. Jednak doświadczenie nauczyło mnie, że jeśli chodzi o Watykan, wychylenie się może być niebezpieczne.

- Dla niektórych kobiet nawet śmiertelnie.

Prowokacja była celowa. Wyglądało na to, że tupet Gabriela zrobił na Carlu wrażenie.

- Martwe kobiety są jak skarbcze bankowe - odparł z zaskakującą szczerością. - Niemal zawsze wiążą się z nimi nieprzyjemne tajemnice. - Ze srebrnej kasetki wyjął wizytówkę. - Mam nadzieję, że przemyśli pan jeszcze moją ofertę dotyczącą Reniego. Zapewniam, że się to panu opłaci.

Gdy Gabriel wsuwał wizytówkę do kieszeni, rozległ się dźwięk dzwonka wzywającego gości na kolację. Carlo objął Gabriela w pasie i powiódł go w kierunku schodów. Za chwilę Gabriel zajmował już miejsce obok Chiary.

- Czego chciał? - zapytała cicho po hebrajsku.

- Zdaje się, że próbował mnie wciągnąć na listę płac rodziny Marchese.

- Tylko tyle?

- Nie - przyznał Gabriel. - Chciał jeszcze sprawdzić, czy mam przy sobie broń.

*

Wyszli z *palazzo* niedługo po północy. W powietrzu wirowały miękkie puszyste płatki śniegu wielkości opłatków komunijskich. Przy krawężniku czekał watykański sedan. Zaczął sunąć za Donatim, Gabrielem i Chiara, którzy szli pustą *via Veneto*. Chiara mocno trzymała Gabriela pod ramię. Śnieg osiadał na jej włosach. Donati szedł obok w milczeniu. Chwilę wcześniej, gdy żegnał się z Veronicą, składając oficjalny pocałunek na jej policzku, uśmiechał się. Teraz, mając w perspektywie spędzenie długiej, zimnej nocy w pustym łóżku, wyraźnie sposepniał.

- Czy mi się wydawało - zapytał Gabriel - czy faktycznie dobrze się dziś bawiłeś?

- Zawsze się dobrze bawię. I to jest najtrudniejsze w spędzaniu czasu z Veronicą.

- Więc po co się z nią spotykasz?

- Veronica jest przekonana, że to jakiś jezuicki sprawdzian wiary, że celowo staram się

przebywać blisko pokusy, żeby sprawdzić, czy Bóg wyciągnie dłoń i schwyci mnie, jeśli upadnę.

- Ma rację?

- Nie jest to aż tak w duchu Ignacego. Po prostu lubię z nią być. Większość ludzi nie potrafi zapomnieć o naszej koloratce, natomiast Veronica w ogóle jej nie widzi. Sprawia, iż zapominam, że jestem księdzem.

- A co się stanie, jeśli oblejesz test?

- Nigdy bym do tego nie dopuścił. Veronica też nie. - Donati przywołał gestem samochód, następnie zwrócił się do Gabriela:

- A jak tam twoje spotkanie z Carlem?

- Bardzo rzeczowe.

- Wspominał coś o mnie?

- Mówił o tobie w samych superlatywach.

- Czego chciał?

- Jego zdaniem dobrze by było, gdybym dał sobie spokój ze śledztwem.

- Jak przypuszczam, nie przyznał się do zabicia Claudii Andreatti?

- Nie, Luigi.

- Co teraz?

- Poszukam czegoś bardzo atrakcyjnego - odparł Gabriel - i rozwałę to na kawałki.

- Tylko proszę, niech to nie będzie mój Kościół... ani ja sam, nas nie rozwałaj.

Donati nakreślił swą wąską dłonią dwie uroczyście linie, jedną w pionie, drugą w poziomie, i wsunął się na tylne siedzenie swego samochodu.

*

Zanim Gabriel i Chiara doszli do via Gregoriana, śnieg przestał padać. Gabriel przystanął u podnóża ulicy i spojrzał w górę na kościół Trinita dei Monti. Latarnie były pogaszone - rząd oszczędzał na wszystkim. Miało się wrażenie, że Rzym cofa się w czasie. Gabriela nie zdziwiłoby, gdyby ujrzał w mroku nadjeżdżający z łoskotem rydwan.

Zaparkowane samochody zostawiały niewiele miejsca na chodnikach, więc Gabriel i Chiara szli, jak większość rzymian, środkiem ulicy. Coś trzeszczało w silniku jakiegoś wysłużonego fiata, jakby pękała kora lodowa, ale poza tym nie było słychać żadnego dźwięku, jedynie rytmiczny stukot obcasów Chiary. Gabriel czuł ciepły ciężar jej piersi przyciśniętej do swego ramienia. Wyobraził sobie żonę nagą w ich łóżku, swój osobisty akt Modiglianiego. W jakimś sensie chciałby ją tam zatrzymać, dopóki w jej łonie nie pojawi się dziecko, ale nie było takiej możliwości. Nowa sprawa pochłonęła go bez reszty. Zrezygnowanie z niej

równałoby się porzuceniu częściowo odrestaurowanego dzieła. Będzie dążył do prawdy nie dla generała Ferrariego, ani nawet dla swego przyjaciela Luigiego Donatego, ale dla Claudii Andreatti. Obraz Claudii leżącej bez życia na posadzce Bazyliki Świętego Piotra wisiał teraz w galerii koszmarów jego pamięci: *Śmierć młodej kobiety*, olej na płótnie, autor: Carlo Marchese.

Martwe kobiety są jak skarbcze bankowe. Niemal zawsze wiążą się z nimi nieprzyjemne tajemnice.

Warkot nadjeżdżającego motocykla rozwiął ten obraz w głowie Gabriela. Pojazd pędził prosto na nich, światło reflektora drgało w rytm wibracji na kostkach bruku. Gabriel pchnął lekko Chiarę w kierunku zaparkowanych aut i spojrzał na postać w kasku. Motocyklista prowadził pojazd jedną ręką. Drugą, prawą, trzymał w zanadrzu skórzanej kurtki. Gdy ją wyciągnął, Gabriel ujrzał charakterystyczny kształt pistoletu z tłumikiem przykręconym do lufy. Pistolet skierował się najpierw w pierś Gabriela. Następnie przesunął się o kilka stopni i teraz był wycelowany w Chiarę.

Gabriel poczuł nagle pustkę przy pasie, tam gdzie zwykle trzymał berettę. Ukończył kurs krav magi, izraelskiej sztuki walki, i był wyszkolony w wielu technikach obezwładniania uzbrojonego przeciwnika. Ale niemal wszystkie dotyczyły przeciwnika stojącego blisko, a nie pędzącego na motocyklu. Gabriel nie miał wyboru, musiał uciec się do jednej z głównych zasad pracy operacyjnej Biura - gdy masz niewiele dobrych możliwości, improwizuj, i rób to szybko.

Lewą ręką pchnął Chiarę na chodnik. Potem gwałtownym uderzeniem prawego łokcia odłamał lusterko boczne z najbliższego zaparkowanego samochodu. Cios, choć brakowało mu prędkości, był niezwykle precyzyjny. Napastnik instynktownie skręcił, żeby zrobić unik, jednocześnie odsuwając pistolet z linii celu na ten jeden decydujący moment. Gabriel natychmiast przykucnął. Następnie, gdy zwał się na niego motocykl, wbił ramię w osłonę kasku napastnika, rozdzielając kierowcę, motocykl i pistolet. Motocyklista upadł na bruk, a pistolet wylądował kilkanaście centymetrów poza jego zasięgiem. Gabriel na wszelki wypadek złamał mężczyźnie nadgarstek i kopnięciem strącił mu kask z głowy. Zamachowiec miał cerę Kalabryjczyka. Jego oddech czuć było tytoniem i strachem.

- Masz pojęcie, kim ja jestem? - zapytał Gabriel spokojnie.

- Nie - wydyszał zamachowiec, chwytając się za złamaną rękę.

- To znaczy, że jesteś najgłupszym płatnym mordercą, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi. - Gabriel podniósł pistolet Heckler & Koch kaliber .45 i wycelowwał w twarz napastnika. - Kto cię przysłał?

- Nie wiem - odpowiedział zamachowiec, sapiąc ciężko. - Nigdy tego nie wiem.

- Błędna odpowiedź. - Gabriel przyłożył końcówkę tłumika do jego kolana. -

Spróbujmy jeszcze raz. Kto cię przysłał?

Część druga

MIASTO BOGA

W hali przylotów izraelskiego lotniska Ben Guriona znajduje się specjalny salon zarezerwowany dla personelu Biura. Gdy Gabriel i Chiara weszli tam następnego dnia późnym popołudniem, ze zdziwieniem zauważyli, że w pomieszczeniu znajduje się tylko jeden człowiek. Siedział w jednym z foteli ze sztucznej skóry, skrzyżowawszy grube nogi, i w świetle lampy halogenowej wertował zawartość jakiejś szarej koperty. Miał na sobie ciemnografitowy garnitur, koszulę frakową rozpiętą pod szyją i eleganckie srebrne okulary, o wiele za małe do jego twarzy. Sprawiał ogólne wrażenie dyrektora nadrabiającego zaległości w pracy biurowej w przerwie pomiędzy lotami, co nie było nawet dalekie od prawdy. Od chwili objęcia kierownictwa Biura Uzi Nawot spędzał mnóstwo czasu w samolotach.

- Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt? - zapytał Gabriel.

Nawot podniósł wzrok znad papierów, jakby zaskoczony, że mu przerwano pracę.

- Nie co dzień ktoś próbuje zabić parę agentów Biura w centrum Rzymu - odparł. - Właściwie chyba zdarza się to tylko wtedy, gdy ty tam jesteś.

Nawot włożył papiery do swojej solidnej teczki i podniósł się powoli. Przytył parę kilo od czasu, gdy Gabriel widział go po raz ostatni - czyli nie stosował się do ścisłej diety i programu ćwiczeń narzuconego przez jego wymagającą żonę, Bellę. A może, pomyślał Gabriel, patrząc na nową siwiznę w krótko ostrzyżonych włosach Nawota, po prostu odczuwał stres związany ze swoim ogromnym zadaniem. Trudno się było dziwić. Państwo Izrael ścierało się z niespokojnym światem arabskim i stało w obliczu niezliczonych zagrożeń. Na szczycie listy znajdowała się perspektywa, że program jądrowy Iranu niedługo wyda owoce pomimo prowadzonej z nim przez Biuro i jego sojuszników tajnej wojny, polegającej na sabotażu i zamachach.

- Szczerze mówiąc - powiedział Nawot, unosząc brew - całkiem nieźle wyglądacie jak na ludzi, którzy cudem przeżyli zamach na swoje życie.

- Nie widziałeś siniaków na moim ramieniu.

- Tak się to kończy, gdy ktoś wchodzi do domu człowieka pokroju Carla Marchese'go bez broni. - Nawot zmarszczył brwi z dezaprobatą.

- Zanim przyjąłeś zaproszenie, trzeba było porozmawiać z Szimonem Paznerem. On by ci powiedział parę rzeczy o Carlu, których nie wie nawet twój przyjaciel monsior Donati.

- Na przykład?

- Powiedzmy, że Biuro od jakiegoś czasu ma oko na Carla.

- Dlaczego?

- Ponieważ Carlo nigdy nie był zbyt wybredny, jeśli chodzi o towarzystwo, z którym się zadaje. Ale nie wychodźmy przed szereg - dodał Nawot. - Resztę chce wam powiedzieć Stary. Nie może się was doczekać.

- Czy jest jakaś szansa, że pozwolicie nam wsiąść do następnego samolotu wylatującego z kraju?

Nawot położył ciężką dłoń na ramieniu Gabriela i ścisnął je.

- Obawiam się, że nigdzie stąd nie wyjedziecie - powiedział.

- Przynajmniej na razie.

*

W centrum Jerozolimy, niedaleko Starego Miasta, znajdowała się spokojna, zielona ulica Narkissa. Dom pod numerem 16 był niewielki, zaledwie trzypiętrowy, i częściowo ukryty za solidnym wapiennym murem. Małe balkony ocieniały wybujały eukaliptus; furka do ogrodu skrzypiała przy otwieraniu. W holu znajdował się domofon z trzema guzikami i trzema wizytówkami. Do lokatorów z trzeciego piętra przychodziło niewiele osób, bo też rzadko można ich było zastać. Sąsiadom powiedziano, że pan domu, małowówny człowiek o posiwiałych skroniach i żywych zielonych oczach, jest artystą, który często podróżuje i zazdrośnie chroni swe życie prywatne. Już od dawna w to nie wierzyli.

W salonie wisiało wiele obrazów. Były tam trzy płótna autorstwa dziadka Gabriela, znanego niemieckiego ekspresjonisty Wiktora Frankla, i kilka prac jego matki. Wisiał tam także niepodpisany portret trzy czwarte wymizerowanego młodego człowieka, nad którym jakby unosiło się widmo śmierci. Temu portretowi przyglądał się, pozornie zatopiony we wspomnieniach, Ari Szamron. Ubrany był jak zwykle w wyprasowane spodnie khaki, białą koszulę z oksfordzkiej bawełny i skórzaną kurtkę z nienaprawionym rozdarciem na lewym ramieniu. Gdy do pokoju weszli Gabriel, Chiara i Nawot, pośpiesznie zdusił tureckiego papierosa bez filtra i położył niedopałek na ozdobnym talerzyku, którego używał jako popielniczki.

- Jak tu wszedłeś? - zapytał Gabriel.

Szamron pokazał klucz.

- Zdaje się, że ci go zabrałem.

- Zabrałeś. - Szamron wzruszył ramionami. - Administracja była tak miła, że dała mi drugi.

Administracja - był to wydział Biura, który zarządzał lokalami konspiracyjnymi i innymi bezpiecznymi nieruchomościami. Mieszkanie na ulicy Narkissa niegdyś należało do tej kategorii, ale Szamron przekazał je Gabrielowi jako zapłatę za świadczone usługi - w geście hojności, który, w mniemaniu Szamrona, uprawniał go do wchodzenia do tego mieszkania, kiedy tylko zechciał. Wsunął klucz do kieszeni i przyjrzał się Gabrielowi załzawionymi niebieskimi oczami. Jego dłonie z plamami wątrobowymi obejmowały zagięcie łaski z drzewa oliwnego. Wyglądały jak pożyczone od mężczyzny dwa razy większego niż on.

- Już zaczynałem myśleć, że nigdy więcej się nie zobaczymy - rzekł po chwili. - Zdaje się, że Carlo znowu zbliżył nas do siebie.

- Nie wiedziałem, że jesteście po imieniu.

- Z Carlem? - Na pokrytej głębokimi zmarszczkami twarzy Szamrona ukazał się wyraz głębokiej pogardy. - Od jakiegoś czasu Carlo Marchese zajmuje specjalne miejsce w naszych sercach. Stanowi ponadnarodowe zagrożenie dla przyszłości, jest przestępcą, który nie zna granic, nie wyznaje żadnej religii i nie ma sumienia, gotowym na robienie interesów z kimkolwiek, żeby tylko płynęły pieniądze.

- Kim są jego partnerzy?

- Jak nietrudno zgadnąć, Carlo preferuje przestępczość zorganizowaną. Jest też kimś w rodzaju globalisty, co podziwiam. Robi interesy z rosyjską mafią, japońską jakuzą i chińskimi szajkami, które kontrolują Hongkong i Tajwan. Ale nas najbardziej niepokoją jego powiązania z licznymi gangami z południowego Libanu i doliny Bekaa. Ich członkowie wywodzą się niemal w całości z szyckiego odłamu islamu. Tak się też składa, że są powiązani z najbardziej niebezpiecznym ugrupowaniem terrorystycznym świata.

- Z Hezbollahem?

Szamron kiwnął głową.

- Teraz, gdy już zacząłeś uważać, mam nadzieję, że pozwolisz mi opowiedzieć resztę tej historii.

- To chyba zależy od zakończenia.

- Kończy się tak jak zawsze.

Szamron uśmiechnął się kusząco, uśmiechem, który stosował przy werbunku pracowników, i zapalił kolejnego papierosa.

*

Administracja pozwoliła sobie zaopatrzyć prawie pustą spiżarnię zapasami, które wystarczyłyby dla oddziału wojska. Chiara zajęła się parzeniem kawy, a Gabriel przygotował

tacę z ciasteczkami i innymi słodyczami. Postawił ją przed Nawotem, po czym otworzył drzwi balkonowe prowadzące na taras. Chłodne powietrze popołudnia pachniało eukaliptusem, sosną i lekko jaśminem. Stał tak przez chwilę, obserwując wydłużające się cienie na cichej uliczce, a Szamron opisywał haniebny sojusz między Carlem Marchesem a szyickimi fanatykami z Hezbollahu.

Powiedział, że wszystko zaczęło się zaraz po krótkiej, ale destrukcyjnej wojnie między Izraelem a Hezbollahem w 2006 roku. Po zakończeniu konfliktu zbrojne oddziały Hezbollahu były w rozpadzie. Wojna zniszczyła także sporo rozległej infrastruktury społecznej - szkół, szpitali i budynków mieszkalnych - którą Hezbollah wykorzystywał do kupowania poparcia libańskich szyitów, tradycyjnie zubożałych. Przywództwo Hezbollahu potrzebowało wielkiego zastrzyku pieniędzy, żeby szybko się odbudować i uzbroić na nowo. Nic dziwnego, że zwróciło się do swych najbardziej niezawodnych stronników, Syrii i Iranu.

- Pieniądze przez jakiś czas napływały - ciągnął Szamron - ale wtedy nagle pod stopami Hezbollahu zaczęła się trząść ziemia. Tak zwana arabska wiosna dotarła do Syrii z zaskakującą gwałtownością. A społeczność międzynarodowa w końcu uznała, że czas nałożyć prawdziwe sankcje na Iran z powodu jego programu jądrowego. Mułlowie zostali zmuszeni do oszczędzania pieniędzy. Kiedyś finansowali Hezbollah do wysokości dwustu milionów dolarów rocznie. Teraz to tylko ułamek tej sumy.

Szamron umilkł. Ramiona miał założone na piersi, a głowę przechylił nieco na jedną stronę, jakby właśnie usłyszał znajomy głos z ulicy. Nawot siedział obok niego w identycznej pozycji. Jednak w odróżnieniu od Szamrona, który patrzył na Gabriela, Nawot z wyrazem udawanej obojętności wpatrywał się w talerz wiedeńskich ciasteczek maślanych. Gabriel pokręcił głową. Od jego ostatniej operacji dla Biura minęło wiele miesięcy, ale wyglądało na to, że nic się nie zmieniło oprócz koloru włosów Nawota.

- Hezbollah uświadomił sobie, że na dłuższą metę ma poważny problem. - Nawot podjął wątek porzucony przez Szamrona. - Jako że nie mógł już dłużej liczyć na hojność swoich patronów, musiał wymyślić niezależny, pewny sposób finansowania swoich operacji. Dość szybko zdecydowali, co robić dalej.

- Działalność przestępcza - rzucił Gabriel.

- Na dużą skalę - potwierdził Nawot i porwał jedno ciasteczko z tacy. - Hezbollah jest jak mafijna rodzina Gambino, tylko o wiele potężniejsza. Ale zazwyczaj działają jak pijawki.

- To znaczy, że przyczepiają się do innych organizacji przestępczych?

Nawot przytaknął i poczęstował się kolejnym ciasteczkiem.

- Biorą udział we wszystkim, od handlu kokainą w Ameryce Południowej do przemytu

diamentów w Afryce Zachodniej. Nieźle im też wychodzi podrabianie towarów, od torebek Gucciego do pirackich płyt DVD.

- I są w tym dobrzy - dodał Szamron. - Hezbollah posiada obecnie co najmniej osiemdziesiąt tysięcy rakiet i pocisków zdolnych dotrzeć do każdego centymetra kwadratowego Izraela. Zapewniam cię, że nie sfinansowali ich, wycinając kupony rabatowe z gazet. Fundusze na ich remilitaryzację pochodzą w znacznym stopniu z globalnej przestępczości. A Carlo jest jednym z najbardziej solidnych partnerów Hezbollahu.

- Jak wpadliście na trop?

Szamron przypatrywał się dłuższą chwilę swoim dłoniom, zanim odpowiedział.

- Jakieś pół roku temu udało nam się zidentyfikować ważnego agenta w przestępczym aparacie gromadzenia funduszy Hezbollahu. Nazywa się Muhammad Qassem. Wtedy pracował w czymś, co się nazywa Libański Bank Bizantyjski. Zwabiliśmy go przy pomocy pewnej kobiety na Cypr. Przyparliśmy do muru i przywieźliśmy go z powrotem tutaj.

Szamron powoli zdusił papierosa.

- Podczas przesłuchania Qassem podał nam szczegóły działalności przestępczej Hezbollahu, w tym współpracy z nieznaną wcześniej postacią we włoskiej przestępczości zorganizowanej, Carlem Marchesem. Według Qassema współpraca ta obejmuje wiele aspektów, jednak głównym z nich jest handel zrabowanymi antykami.

- A co Hezbollah wnosi do tej współpracy?

- To ty jesteś ekspertem od nielegalnego handlu antykami. Ty mi powiedz.

Gabriel przypomniał sobie, co generał Ferrari powiedział mu podczas ich spotkania na Piazza di Sant' Ignazio, że sieć otrzymuje skradzione zabytki od kogoś z Bliskiego Wschodu.

- Hezbollah zapewnia regularną dostawę towaru - oznajmił.

- Działa przecież na terenach o największym znaczeniu pod względem archeologicznym na świecie. Sam południowy Liban jest skarbnicą zabytków sztuki fenickiej, greckiej i rzymskiej.

- Jednak te antyki nie są wiele warte, jeśli nie trafią na rynek z zadowalającym świadectwem pochodzenia - rzekł Szamron. - Tu właśnie wkraczają na scenę Carlo i jego sieć. Najwyraźniej obie strony nieźle na tym wychodzą.

- Czy Carlo wie, z kim robi interesy?

- Carlo jest, jak to mówimy, człowiekiem światowym.

- Kto jest przywódcą tej operacji po stronie Hezbollahu?

- Qassem nie potrafił nam tego powiedzieć.

- Dlaczego nie poszliście do Włochów z tym, co wiecie?

- Poszliśmy - odparł Uzi Nawot. - Poszedłem nawet ja osobiście.

- Jaka była ich reakcja?

- Carlo ma wpływowych przyjaciół na najwyższych szczeblach. Jest blisko Watykanu. Nie możemy dorwać takiego człowieka jak Carlo na podstawie słów bankiera z Hezbollahu, wobec którego zastosowano raczej procedury pozasądowe.

- Więc porzucacie sprawę.

- Potrzebne nam było współdziałanie z Włochami w innych sprawach - odpowiedział Nawot. - Od tej pory, niestety, nie odnosimy większych sukcesów w naszych staraniach o ograniczenie przepływu pieniędzy z przestępczych sieci Hezbollahu. Są niewiarygodnie elastyczne i odporne na penetrację z zewnątrz. Zazwyczaj też działają w krajach, które nie są zbyt przyjazne naszym interesom.

- A to oznacza - odezwał się Szamron - że dzięki twojemu przyjacielowi Carlowi trafia się nam unikalna szansa. - Przyglądał się Gabrielowi przez chmurę dymu papierosowego. - Pytanie tylko, czy jesteś gotów nam pomóc?

I oto są, pomyślał Gabriel, otwarte drzwi. Jak zawsze Szamron nie dał mu innej możliwości, jak tylko przez nie wejść.

- Co dokładnie przez to rozumiesz?

- Chcemy, żebyś wyeliminował główne źródło finansowania wroga, który poprzysiągł, że zmiecie nas z powierzchni ziemi.

- Tylko tyle?

- Nie - odrzekł Szamron. - Naszym zdaniem najlepiej dla wszystkich zainteresowanych będzie, gdy wysadzisz z tego biznesu również Carla.

Następnego dnia przypadał piątek, dlatego też w Jerozolimie, tej podzielonej bożej cytadeli na wzgórzu, panowało jeszcze większe napięcie niż zwykle. Wzdłuż wschodnich obrzeży Starego Miasta, od Bramy Damasceńskiej do Getsemani, stały błyszczące w ostrym zimowym słońcu metalowe barykady, pilnowane przez setki izraelskich policjantów w niebieskich mundurach. Wierni wyznania muzułmańskiego tłoczyli się w obrębie murów, w portalach Al-Haram al-Sharif, Wzgórza Świątynnego, trzeciego najświętszego miejsca islamu na świecie. Czekali, aby się dowiedzieć, czy dostaną pozwolenie na modlitwę w meczecie Al-Aksa. Z powodu niedawnej serii ataków raketowych Hamasu restrykcje były surowsze niż zwykle. Kobietom i mężczyznom w średnim wieku pozwalano przechodzić, ale *al-shabaab*, młodzież, zawracano. Kłębiła się w maleńkich podwórkach wzdłuż ulicy odchodzącej od Bramy Lwów i za murami na drodze do Jerycha. Tam brodaty salaficki imam zapewniał ich, że czas upokorzeń odchodzi w przeszłość, że dni Żydów, dawnych i obecnych władców ziemi dwakroć obiecaniej, są policzone.

Gabriel zatrzymał się na chwilę, by posłuchać kazania, po czym ruszył przed siebie ścieżką prowadzącą do Doliny Cedronu. Mijając grób Absaloma, ujrzał wielopokoleniową rodzinę Arabów zbliżającą się od strony Silwan, dzielnicy Wschodniej Jerozolimy. Wszystkie kobiety miały zasłonięte twarze, a najstarszy chłopiec był niezwykle podobny do palestyńskiego terrorysty, którego Gabriel zabił przed wieloma laty w cichej uliczce w centrum Zurychu. Rodzina szła czwórkami, nie zostawiając miejsca dla Gabriela. Żeby nie prowokować incydentu o podłożu religijnym, ustąpił ze ścieżki, przepuszczając ich, ale ten grzeczny gest zgodny z wymogami publicznej etykiety nie spotkał się z żadną reakcją. Kobiety z zasłoniętymi twarzami i patriarcha rodu wspinali się po wzgórzu do murów Starego Miasta. Chłopcy zostali na dole, w prowizorycznym meczecie postawionym na drodze do Jerycha.

Coraz głośniejsze modły z Al-Aksy rozbrzmiewały w dolinie, mieszając się z biciem dzwonów kościelnych na Górze Oliwnej. Podczas gdy dwie z trzech abrahamowych religii tego miasta ścierały się w pięknym sporze, Gabriel patrzył na mrowie nagrobków na cmentarzu żydowskim i zastanawiał się, czy ma siłę odwiedzić grób swego syna, Daniela. Dwadzieścia lat wcześniej, w śnieżną styczniową noc w Wiedniu, Gabriel wyciągnął ciało

dziecka z płonącego na skutek wybuchu samochodu. Jego pierwsza żona, Lea, jakimś cudem przeżyła atak, ale doznała straszliwych poparzeń na prawie całej powierzchni ciała. Teraz przebywała w szpitalu psychiatrycznym na Wzgórzu Herzla, zamknięta w dwóch pułapkach: własnej pamięci i ciała zniszczonego przez ogień. Nękana nerwicą pourazową i depresją psychotyczną, wciąż na nowo przeżywała ten zamach bombowy. Czasem jednak miewała przebłyski przytomności. Podczas jednej z takich chwil, w przyszpitalnym ogrodzie, udzieliła Gabrielowi przyzwolenia na małżeństwo z Chiarą. *Spójrz na mnie, Gabrielu. Nic ze mnie nie zostało. Tylko pamięć.* To była tylko jedna z wielu wizji, które dręczyły Gabriela zawsze, gdy szedł ulicami Jerozolimy. Tu, w miejscu, które kochał, nie mógł znaleźć spokoju. Widział odwieczny konflikt między Arabami a Żydami w każdym słowie i geście i słyszał go zawsze w głosie muezina wzywającego na modlitwę. W twarzach dzieci migają mu duchy ludzi, których zabił. A z cmentarza na Górze Oliwnej dochodziły go ostatnie krzyki dziecka złożonego w ofierze za grzechy ojca.

To wspomnienie, wspomnienie Daniela umierającego w jego ramionach, zmusiło Gabriela do pójścia na cmentarz. Stał przy grobie prawie godzinę, rozmyślając o tym, jakim człowiekiem mógłby być jego syn, czy byłby artystą, jak jego przodkowie, czy znalazłby sobie jakieś bardziej praktyczne zajęcie. Wreszcie, gdy dzwony kościelne obwieściły godzinę pierwszą, położył na grobie kamyczki i poszedł przez Dolinę Cedronu do Bramy Gnojnjej. Przy bramce bezpieczeństwa czekała grupa izraelskich uczniów z regionu Negew. Kolorowe plecaki mieli otwarte do kontroli. Gabriel dołączył do nich na chwilę. Potem, szepnąwszy kilka słów na ucho policjantowi, ominął bramkę z wykrywaczem metalu i wszedł do Dzielnicy Żydowskiej.

Przed nim, po drugiej stronie rozległego placu, wyrastały miodowo-złote herodiańskie kamienie Muru Zachodniego, zwanego też Ścianą Płaczu, kontrowersyjna pozostałość starożytnego muru oporowego, który niegdyś otaczał wielką Świątynię Jerozolimską. W 70 roku naszej ery, po wielomiesięcznym bezlitosnym oblężeniu, cesarz rzymski Tytus nakazał zburzyć Świątynię i zetrzeć z powierzchni ziemi zbuntowanych Żydów z rzymskiej Palestyny. Setki tysięcy zginęły podczas masakry, a Miejsce Najświętsze złupiono i wszystko, łącznie z wielką złotą menorą, wywieziono do Rzymu, co było jednym z najbardziej niechlubnych aktów rabunku w historii. Sześćset lat później, gdy Arabowie podbili Jerozolimę, ruiny Świątyni nie były już widoczne, a Wzgórze Świątynne, uważane przez Żydów za mieszkanie Boga na ziemi, stało się ledwie wysypiskiem śmieci. Arabowie zbudowali złotą Kopułę na Skale oraz wielki meczet Al-Aksa, ustanawiając tym samym islamską władzę religijną nad najświętszym kawałkiem ziemi na świecie. Krzyżowcy odbili

wzgórze muzułmanom w 1099 roku i zamienili ich sanktuaria na kościoły. Był to błąd taktyczny, którego nie zdecydowali się powtórzyć Izraelczycy po zajęciu Wschodniej Jerozolimy w 1967 roku. Obecnie władze izraelskie utrzymywały ścisłą kontrolę nad dostępem do Wzgórza Świątynnego, ale zarząd miejscami świętymi dla muzułmanów oraz świętą ziemią, na której się znajdowały, pozostawał w rękach islamskiej instytucji religijnej o nazwie Waqf.

Część Ściany Płaczu widoczna z placu miała 57 metrów szerokości i 19 metrów wysokości. Jednak autentyczny mur oporowy płaskowyzu Wzgórza Świątynnego był o wiele większy, schodził na 13 metrów poniżej poziomu gruntu i ciągnął się na ponad 400 metrów w głąb Dzielnicy Muzułmańskiej, gdzie skrywały go budynki mieszkalne. Prace wykopaliskowe, prowadzone w warunkach olbrzymiego napięcia politycznego i religijnego, trwały całe lata, ale teraz można było przejść niemal wzdłuż całego muru dzięki specjalnemu tunelowi biegnącemu od placu do via Dolorosa. Przy wejściu czekała na Gabriela młoda kobieta w stroju ortodoksyjnej żydówki, w skromnej spódnicy i chustce na głowie.

- On pracuje bez przerwy w jakimś miejscu przy Jaskini - powiedziała konfidencyjnym tonem. - Zdaje się, że odkrył coś ważnego, bo jest kompletnie wyczerpany.

- Skąd wiesz?

Kobieta zaśmiała się i poprowadziła Gabriela do szczytu wąskich aluminiowych schodków. Wiodły do podziemi Starego Miasta i w przeszłość. Zatrzymał się na chwilę pod Łukiem Wilsona, pomostem, który łączył Wzgórze Świątynne z górną częścią Jerozolimy w czasach Chrystusa, po czym ruszył świeżo wybrukowaną ścieżką u podstawy muru. Ogromne kamienie węgielne świeciły się w świetle lamp i były chłodne w dotyku. Jakies dwa metry nad nimi znajdowały się rojne i gwarne ulice targowe współczesnej Dzielnicy Muzułmańskiej, ale tutaj, w podziemiach czasu, panowała absolutna cisza.

Odcinek tunelu nazywany Jaskinią był właściwie maleńką synagogą podobną do grotty, wybudowaną pod fragmentem muru uważanym za punkt najbliższy starożytnej lokalizacji świętego pomieszczenia z Arką Przymierza. Jak zawsze modliła się tam grupka ortodoksyjnych żydówek, przyciskając z nabożeństwem palce do kamienia. Gabriel minął je bezszelestnie i podszedł do brezentowej zasłony wiszącej kilka metrów dalej. Niewielki, odręcznie wykonany napis ostrzegał przed niebezpieczeństwem i zabraniał zwiedzającym bardziej się zbliżać. Gabriel odsunął zasłonę i spojrzał w dół wykopu głębokiego na jakies sześć metrów. Na jego dnie, skąpany w ostrym białym świetle, klęczał jeden archeolog i delikatnie dłubał w czarnej ziemi maleńką łopatką.

- Co to? - Głos Gabriela rozbrzmiał echem.

- To nie jest „to” - zaprotestował Eli Lawon. Odsunął się na bok, żeby pokazać, nad czym pracuje: bark, ramię i dłoń ludzkiego szkieletu. - Nazywamy ją Ryfką - powiedział. - Jeśli się nie mylę, a raczej na pewno nie, zginęła tej nocy, kiedy zniszczono Świątynię.

- Dowody, profesorze Lawon - sprzeciwił się żartobliwie Gabriel. - Gdzie są dowody?

- Tu wszędzie dokoła - odparł Lawon, wskazując na prostokątne kamienie zakopane w ziemi. - One pochodzą z samej Świątyni, a leżą tu, ponieważ Rzymianie przerzucali je nad murem tej nocy, kiedy spustoszyli Dom Boży. Fakt, że szczątki Ryfki leżą wśród kamieni, a nie pod nimi, sugeruje, że ją też wtedy przerzucono przez mur. Świadczą też o tym złamanie na całym ciele.

Lawon przez chwilę spoglądał z szacunkiem na ludzkie szczątki.

- Według Józefa Flawiusza, który jest naszym jedynym źródłem informacji o tym, co zdarzyło się tamtej nocy, kilka tysięcy Żydów pośpieszyło do Świątyni po tym, jak Rzymianie podłożyli pod nią ogień. Przypuszczam, że Ryfka była wśród nich. Kto wie? - Westchnął. - Może widziała samego Tytusa, jak wchodził do środka, by złupić Miejsce Najświętsze? Potem... to już było piekło na ziemi.

- Tytus nie był pierwszym łupieżcą na świecie - rzekł Gabriel. - Niestety, nie był też ostatnim.

- Słyszałem. - Lawon podniósł wzrok. - Słyszałem też, że ktoś niedawno próbował do ciebie strzelać w Rzymie.

- Właściwie myślę, że celował w moją żonę.

- To dość niemądre z jego strony. Żyje?

- Jeszcze tak.

- Wiesz, kto go wysłał?

Gabriel wrzucił do wykopu skorupę greckiego naczynia. Lawon schwycił ją zręcznie w powietrzu, chroniąc przed roztrzaskaniem się na kamieniach Świątyni, i obejrzał w świetle swoich lamp.

- Attycka, styl czerwonofigurowy, piąty wiek przed naszą erą, prawdopodobnie malarz Menelaosa.

- Imponujące.

- Dziękuję - odrzekł Lawon. - Ale już nigdy więcej nią nie rzucaj.

*

Jerozolimskie Stare Miasto było znów połączone z nową częścią miasta pomostem dla pieszych. Ciągnął się on od Bramy Jafy do luksusowego centrum handlowego Mamilla,

jednego z niewielu miejsc w kraju, gdzie równoczesnej obecności Arabów i Żydów towarzyszyło stosunkowo niewielkie napięcie. Gabriel i Lawon tradycyjnie posprzeczcali się, dokąd pójda coś zjeść, i w końcu zgodzili się na modną restaurację w stylu europejskim. Izrael ich młodości był krajem bez telewizji. Teraz można w nim było znaleźć cały komfort Zachodu, wszystko oprócz spokoju.

Zbyt głośna muzyka techno uniemożliwiała rozmowę wewnątrz, usiedli więc na zalanym słońcem tarasie, przy stoliku z widokiem na mury Starego Miasta. Wiatr rozwiewał rzadkie włosy Lawona. Zanim Lawon przystąpił do jedzenia, połknął tabletkę na nadkwasotę.

- Wciąż? - zapytał Gabriel.

- Jest wieczna, jak Jerozolima.

Gabriel się uśmiechnął. Czasem nawet jemu trudno było sobie wyobrazić, że ten siedzący obok niego mól książkowy i hipochondryk uchodził za najlepszego specjalistę od obserwacji, jakiego kiedykolwiek zatrudniało Biuro. Po raz pierwszy pracował z Lawonem przy operacji Gniew Boży. Przez trzy lata byli niemal nierozłącznymi towarzyszami, zabijali w nocy i w biały dzień, żyli w ciągłym strachu, że w każdej chwili może ich aresztować europejska policja. Gdy ich jednostkę rozwiązano, Lawon zaczął cierpieć na rozmaite dolegliwości związane ze stresem, w tym zaburzenia żołądkowe. Osiadł w Wiedniu, gdzie otworzył niewielką firmę o nazwie Biuro Roszczeń i Dochodzeń Wojennych. Mimo że startował z głódowym budżetem, udało mu się odnaleźć majątek o wartości milionów dolarów zrabowany w czasie Holokaustu. Odegrał również znaczącą rolę w wyciągnięciu wielomiliardowego odszkodowania od banków szwajcarskich. Jednak gdy jego biuro zniszczyła bomba, zabijając dwóch pracowników, Lawon wrócił do Izraela, by zająć się swoją pierwszą miłością, archeologią. Pracował teraz jako kontraktowy wykładowca archeologii biblijnej na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie i regularnie brał udział w wykopaliskach na terenie całego kraju, takich jak to w tunelu pod Ścianą Płaczu.

- Trudno sobie przypomnieć, jak to miejsce wyglądało przed wojną sześciodniową. - Lawon wskazał dolinę poniżej ich tarasu. - Przychodziłem tu z rodzicami, żeby zobaczyć drut kolczasty i stanowiska artylerii jordańskiej wzdłuż linii demarkacyjnej ustanowionej w Rodos w czterdziestym dziewiątym. Żydom nie wolno było modlić się przy Ścianie Płaczu ani chodzić na cmentarz na Górze Oliwnej. Nawet chrześcijanie, chcąc odwiedzić swoje święte miejsca, musieli okazywać świadectwo chrztu. A teraz nasi przyjaciele z Zachodu chcą, żebyśmy oddali władzę nad tym murem Palestyńczykom. - Lawon pokręcił głową. - Oczywiście, aby osiągnąć pokój.

- To sterta kamieni, Eli.

- Te kamienie są przesiąknięte krwią twoich przodków. I to z powodu tych kamieni mamy prawo mieć tu swoją ojczyznę. Palestyńczycy to rozumieją i dlatego woleliby udawać, że Świątynia nigdy nie istniała.

- Kłamstwo świątynne - rzekł Gabriel.

Lawon z namysłem skinął głową.

- Blisko spokrewnione z negacją Holokaustu i teraz tak samo rozpowszechnione w świecie arabskim i islamskim. Rachunek jest prosty. Nie było Holokaustu, nie było Świątyni...

- Więc ma nie być Żydów w Palestynie.

- Otóż to. Ale to nie tylko słowa. Palestyńczycy wykorzystują religijny autorytet Waqf, usiłując systematycznie likwidować wszelkie dowody, że w ogóle istniała Świątynia na Wzgórzu. Codziennie toczymy tu w Jerozolimie wojnę archeologiczną. Jedna strona stara się zachować przeszłość, druga zaś ją niszczyć, głównie pod pretekstem tworzenia takich budowli jak meczet Al-Marwani.

Meczet ów, zdolny pomieścić ponad siedem tysięcy wiernych, usytuowany był w południowo-wschodniej części Wzgórza Świątynnego, w prastarym podziemnym pomieszczeniu znanym jako Stajnie Salomona. Zakrojona na wielką skalę budowa osłabiła płaskowyz i utworzyło się niebezpieczne wybrzuszenie w południowej ścianie. Na mocy wynegocjowanego porozumienia między rządem izraelskim i Waqf firma inżynierska z Jordanii dokonała napraw, pozostawiając szpecącą plamę bieli, świetnie widoczną z drugiej części miasta.

- Oczywiście - ciągnął Lawon - podczas budowy na tak ogromną skalę wykopano kilka ton ziemi i gruzu. I jak sądzisz, co Waqf z tym zrobiła? - Prędko odpowiedział na własne pytanie. - Wywieźli wszystko na miejskie wysypisko albo po prostu przerzucili przez mury do Doliny Cedronu. Byłem członkiem zespołu, który przeszukiwał tę ziemię. Znaleźliśmy setki przedmiotów pochodzących z okresu Pierwszej i Drugiej Świątyni. Były, ma się rozumieć, pozbawione kontekstu archeologicznego, bo wyrwano je z ich oryginalnego tła.

- Zamilkł na chwilę, po czym dodał: - Całkiem jak ta grecka skorupa, z którą ty spacerujesz.

- Człowiek taki jak ty potrafi wiele powiedzieć na podstawie jednej skorupy.

- Skąd ją wziąłeś?

- Z domu rabusia grobowców w Cerveteri.

- Roberta Falconego?

Gabriel przytaknął.

- Proszę, powiedz tylko, że to nie ty wepchnąłeś go do tej kadzi z kwasem solnym.

- Kwas nie jest w moim stylu, Eli. Działa stanowczo zbyt wolno.

- I widok jest nieprzyjemny - zgodził się Lawon. - Przypuszczam, że za chwilę powiesz mi, że istnieje powiązanie między Falconem a tą kobietą, która spadła spod kopuły Bazyliki Świętego Piotra.

- Powiązanie nazywa się Carlo Marchese - rzekł Gabriel. - Carlo kieruje światowym handlem zrabowanymi zabytkami starożytności. Zadaje się także z Hezbollahem. Musimy go wyeliminować z tego interesu.

- My?

- Nie dam rady sam, Eli. Potrzebny mi archeolog, który potrafi zrozumieć zestawienie bilansowe i wie, jak wytropić brudne pieniądze. Cieszyłbym się, gdyby był przy okazji dobrym szpiegiem.

- Myślałem, że przeszedłeś na emeryturę.

- Ja też tak myślałem - odparł Gabriel. - Ale jakoś nigdy mi się nie udaje zostać na niej dłużej.

Lawon spojrział na mury Starego Miasta.

- O czym myślisz, Eli?

- Nie o czym, tylko o kim.

- O Ryfce?

Lawon skinął głową.

- Czekala dwa tysiące lat - powiedział Gabriel. - Może poczekać jeszcze chwilę.

Jeszcze jedno nie zmieniło się wcale podczas nieobecności Gabriela: budynek na Bulwarze Króla Saula. Był ponury, bez wyrazu, a co najważniejsze, anonimowy. Nad wejściem nie wisiał żaden szyld, żadne mosiężne litery nie informowały o tożsamości użytkownika. Właściwie nie było tam nic, co by sugerowało, że jest to siedziba jednego z najbardziej szanowanych i budzących respekt wywiadów świata. Jednak bliższe oględziny budowli pozwoliłyby odkryć istnienie w niej budynku wewnętrznego, posiadającego własne zasilanie, własny system wodociągów i kanalizacji i własny system bezpiecznej łączności. Każdy z pracowników miał dwa klucze. Jeden otwierał nieoznakowane drzwi w holu, drugim uruchamiało się windę. Ci, którzy popełnili niewybaczalny grzech i zgubili jeden lub oba klucze, byli zsyłani na Pustynię Judejską, gdzie wszelki śluch o nich ginął.

Gabriel przeszedł przez hol tego budynku tylko raz, dzień po swoim pierwszym spotkaniu z Szamronem. Od tej pory wchodził wyłącznie nieoficjalnie, przez podziemny garaż. Zrobił tak i teraz, mając u boku Chiarę i Lawona. Zeszli trzy piętra w dół, a następnie udali się pustym korytarzem do drzwi z numerem 456C. Pokój po drugiej stronie korytarza służył kiedyś za składowisko starych komputerów i zużytych mebli, personel wykorzystywał go też do potajemnych miłosnych schadzek. Obecnie znany był na całym Bulwarze Króla Saula jako Jaskinia Gabriela. Szyfrowy zamek ustawioną miał jako hasło jego datę urodzenia. Według jednego z biurowych kpiarzy była to najpilniej strzeżona tajemnica w całym Izraelu.

- Co jest? - zapytał Eli Lawon, gdy patrzący na klawiaturkę Gabriel zawahał się.
- Chwilowy zanik pamięci.
- Nie pamiętasz, kiedy się urodziłeś?
- Nie... - Gabriel wstukał kod. - Tylko nie mogę uwierzyć, że to było tak dawno.

Wszedł do pokoju, zapalił górne światło i rozejrzał się dookoła. Wszędzie widać było materiały z minionych operacji. W wyniku tych operacji ocaleli niewinni ludzie, ale też wszystkim towarzyszył rozlew krwi, w dużym stopniu krwi Gabriela. Podeszedł do tradycyjnej tablicy z kredą, ostatniej takiej w całym budynku, i ujrzał nikłe ślady własnego pisma - szkic planu operacji o kryptonimie Arcydzieło. Jej wynikiem był udany sabotaż irańskich zakładów wzbogacania uranu, a operacja kupiła Izraelowi i Zachodowi kilka lat cennego czasu. Teraz wyglądało na to, że czas się kończy. Irańczycy znowu byli bliscy realizacji marzeń o potędze

nuklearnej. I wyglądało na to, że mają zamiar ukarać każdego, kto spróbuje stanąć im na drodze, wykorzystując Hezbollah, swego gorliwego pośrednika, jako instrument zemsty.

- Jeśli Biuro kiedykolwiek wybuduje muzeum - powiedział Lawon - koniecznie musi się tam znaleźć replika tego pokoju.

- Jak by nazwali tę ekspozycję?

- Wioską przeklętych.

Odpowiedzi udzielił nie Lawon, ale wysoka, odziana w tweedy postać stojąca w drzwiach z cienką teczką na dokumenty pod pachą. Jossi Gawisz był starszym oficerem z Wydziału Zbierania Informacji, komórki analiz Biura. Z urodzenia londyńczyk, wykształcony w Oksfordzie, wciąż mówił po hebrajsku z wyraźnym angielskim akcentem i nie umiał pracować bez systematycznie uzupełnianych zapasów herbaty Earl Grey i herbatników McVitie's.

- Nie mogę uwierzyć, że znów tu jestem - rzekł.

- Ja też nie. - Gabriel wskazał głową na teczkę z dokumentami. - Co to?

- Wszystko, co Biuro w tej chwili ma na Carla Marcheseego. - Rzucił teczkę na stół i rozejrzał się. - Czy Uzi oczekuje, że weźmiemy na siebie Carla i Hezbollah we czwórkę?

- Bez obaw. - Gabriel się uśmiechnął. - Pozostali będą tu wkrótce.

Większą część poranka zabrało Wydziałowi Spraw Osobowych wytropienie pozostałych członków ekipy Gabriela i zwabienie ich do jego lochu bez okien. W większości przypadków namierzanie ich szło gładko, ale w kilku przypadkach napotkano nieoczekiwanie silny opór. Wszystkie zażalenia trafiały bezpośrednio do Uziego Nawota, który jasno dał do zrozumienia, że nie będzie tolerował żadnego sprzeciwu.

- To nie świat arabski - powiedział niezadowolonemu szefowi jednego z wydziałów. - To jest Biuro. My tu wciąż stosujemy totalitaryzm.

Zjawiali się w nieregularnych odstępach czasu, niczym członkowie ekipy zwiadowczej powracający do bazy po udanym nocnym nalocie. Jako pierwszy przybył Jakow Rossman, ospowaty były antyterrorysta z Szin Bet, izraelskiej służby specjalnej, która teraz prowadziła agentów w Syrii i Libanie. Następnie przyszła para pracowników operacyjnych do spraw różnych, Oded i Mordechaj, a po nich Rimona Stern, dawna oficer wywiadu wojskowego, która obecnie zajmowała się kwestiami związanymi z irańskim programem jądrowym. Rimona, kobieta o rubensowskich kształtach i rudawych włosach, przypadkiem była również siostrzenicą Szamrona. Gabriel znał ją od dziecka. Najmilej wspominał Rimonę jako nieustraszoną dziewczynkę zjeżdżającą na hulajnodze ze stromego podjazdu przed domem sławnego wuja.

Następnie pojawiła się w drzwiach filigranowa, ciemnowłosa kobieta, Dina Sarid. Była ona chodzącą bazą danych; potrafiła wyrecytować z pamięci czas, miejsce, sprawców i liczbę ofiar każdego aktu przemocy wymierzonego w Izrael i Zachód, w tym długą listę potworności popełnionych przez niezwykle wprawnych morderców z Hezbollahu. Przez wiele lat wykorzystywała swoje wyjątkowe zdolności analityczne do rozpracowywania Imada Mughniyeha, przywódcy wojskowego Hezbollahu i arcykapłana terroru. Nawiasem mówiąc, to w dużym stopniu dzięki pracy Diny Mughniyeha spotkał wielce zasłużony koniec w 2008 roku w Damaszku, kiedy to pod jego samochodem wybuchła bomba. Dina upamiętniła odejście Mughniyeha z tego świata, odwiedzając groby swojej matki i dwóch siostr. Zginęły one 19 października 1994 roku, gdy terrorysta samobójca z Hamasu, innego pośrednika Iranu, wysadził się w autobusie numer 5 na ulicy Dizengoffa w Tel Awiwie. W tym zamachu Dina została poważnie ranna i wciąż lekko utykała.

Michaił Abramow jak zwykle przyszedł ostatni. Wysoki i chudy, jasnowłosy, o delikatnych rysach i jasnych oczach, wyemigrował do Izraela z Rosji jako nastolatek i wstąpił do Sayeret Matkal, elitarnej jednostki specjalnej Sił Obronnych Izraela. Abramow, określony kiedyś przez Arie'ego Szamrona jako „taki Gabriel, ale bez sumienia”, osobiście dokonał zamachów na kilku najważniejszych terrorystów z Hamasu i z Palestyńskiego Islamskiego Dżihadu. Obecnie przeprowadzał podobne misje w imieniu Biura, choć jego wielki talent nie ograniczał się wyłącznie do walki zbrojnej.

Na korytarzach i w salach konferencyjnych Biura ową dziewięcioosobową grupę mężczyzn i kobiet zebranych w pokoju 456C znano pod kryptonimem „Barak” (hebrajskie słowo oznaczające błyskawicę), a taki im przydzielono ze względu na ich zdolność do szybkiego zbierania się i natychmiastowego ataku. Walczyli razem, często w warunkach nieznośnego stresu, na tajnych polach bitwy od Moskwy, przez Karaiby, do pustyni Ar-Rab al-Chali w Arabii Saudyjskiej. Gabriel ledwo uszedł z życiem z ostatniej operacji, ale teraz oto stał znowu przed nimi, nie wyglądając wcale na zmęczonego, snując nową opowieść, której słuchali urzeczeni. Występowała w niej kustoszka, córka rabusia grobowców, ksiądz z niebezpieczną tajemnicą oraz uchodzący za szacownego obywatela gangster Carlo Marchese, robiący interesy z najgroźniejszym ugrupowaniem terrorystycznym na świecie. Cel operacji, oświadczył Gabriel, jest prosty. Mają zebrać dossier, które zniszczy Carla, a przy okazji zaszkodzi Hezbollahowi. Jednak nie wystarczy udowodnić, że Carlo Marchese to przestępca. Mają znaleźć *cordata*, linę, która wiąże go bezpośrednio z Hezbollahem. A następnie owinąć mu ją wokół szyi.

W pewnym sensie stanowili rodzinę, i jak w każdej rodzinie były między nimi drobne zazdrości, milczące urazy i spory. Mimo to udało im się podzielić na podjednostki i zabrać do pracy przy minimalnej różnicy zdań. Jossi, Chiara i Mordechaj zajęli się Carlem, natomiast odpowiedzialność za gromadzące fundusze przestępcze sieci Hezbollahu przypadła Dinie, Ramonie, Jakowowi i Michałowi. Gabriel i Eli Lawon krążyli gdzieś pomiędzy, ponieważ ich zadaniem było znaleźć związek między tymi dwoma obiektami - albo jak ujął to Lawon, obrączkę, która połączyła Carla z Hezbollahem węzłem małżeńskim.

Wkrótce ściany pokoju 456C pozawieszano informacjami dotyczącymi ich wyjątkowego przedsięwzięcia. Po jednej stronie umieścili szkic legalnego imperium biznesowego Carla Marchesego, po drugiej to, co wiedzieli o firmie pod nazwą Hezbollah. Organizacja Carla miała jedno zadanie: zapewniać regularny dopływ pieniędzy do najgroźniejszej organizacji terrorystycznej, jaką kiedykolwiek znał świat. To Hezbollah, nie Al-Kaida, pierwszy zastosował ludzkie bomby i pierwszy osiągnął zasięg prawdziwie globalny. W dwóch przypadkach jego macki zdołały nawet pokonać Atlantyk i zaatakować obiekty w Buenos Aires - po raz pierwszy w roku 1992, gdy dokonał zamachu bombowego na ambasadę izraelską, zabijając dwadzieścia dziewięć osób, i ponownie w roku 1994, gdy zniszczył żydowski ośrodek kultury, tym razem liczba ofiar śmiertelnych wyniosła dziewięćdziesiąt pięć. W szeregach Hezbollahu było kilka tysięcy doskonale wyszkolonych terrorystów, z których wielu ukrywało się w libańskiej diasporze na całym świecie. W ich olbrzymim arsenale broni znajdowało się kilka scudów, dzięki czemu była to jedyna organizacja terrorystyczna na świecie posiadająca rakiety balistyczne. Krótko mówiąc, Hezbollah był w stanie przeprowadzić katastrofalny w skutkach atak terrorystyczny w dowolnym miejscu i czasie. Potrzebował do tego tylko błogosławieństwa swych zwierzchników - duchownych szyickich z Teheranu.

Natchnienia dostarczał Hezbollahowi Allah, ale o jego finanse dbali zwykli śmiertelnicy. To ich gniewne twarze spoglądały z części pokoju zajmowanej przez Dinę. W centrum sieci umieściła Libański Bank Bizantyjski. Następnie przy pomocy Jednostki 8200 przygotowała matrycę komunikacyjną i sieć szybkich połączeń telefonicznych o zasięgu od Bejrutu, przez Londyn, do obszaru bezprawia - potrójnej granicy w Ameryce Południowej. Elementem, który łączył wszystko, był Libański Bank Bizantyjski - LBB, jak mówił o nim ich zespół. Dzięki cyberśledczym z Jednostki 8200 zespół mógł przeglądać bankowe księgi rachunkowe do woli. Jakow żartował nawet, że wie więcej o operacjach i inwestycjach LBB niż jego prezes. Szybko okazało się, że owa instytucja - „a używam tego słowa w luźnym znaczeniu”, mówił ironicznie Jakow - była po prostu przykrywką dla Hezbollahu. „Idźcie

śladem pieniędzy - instruował Gabriel swój zespół - a przy odrobinie szczęścia doprowadzą nas one do człowieka Hezbollahu wewnątrz sieci".

Gabriel tymczasem zaaplikował sobie intensywny kurs na temat światowego handlu nielegalnie zdobywanymi antykami - w szczególności skupiał się na tym, jak skarby przeszłości trafiały z brudnych rąk złodziei i łupieżców grobowców na legalny rynek. Jego praca w sporej części polegała na nużącym czytaniu monografii, katalogów, baz danych muzeów, informacji z domów aukcyjnych i spisów marszandów na całym świecie. Od czasu do czasu udawał się z Elim Lawonem do Muzeum Rockefellera, żeby wysłuchać wykładu eksperta z Izraelskiego Urzędu do spraw Zabytków Starożytności. Zadzwoił też do dawnego kolegi z londyńskiego świata sztuki, który miał z kolei wielu znajomych w branży, lubiących, jak to nazywał, „nie całkiem grzeczne zabawy". Wreszcie po cichu odnowił kontakt z generałem Ferrarim, który natychmiast przysłał mu kopie swoich najpilniej strzeżonych dokumentów, mimo że Gabriel ostentacyjnie odmówił ujawnienia celu. Teraz to była operacja, i obowiązywały zasady operacyjne.

I tak przez dwanaście dni i dwanaście pozornie niekończących się nocy każda z grup mozoliła się nad swoją częścią układanki. Lawon, archeolog biblijny, nie mógł się powstrzymać, by nie porównać ich wysiłków do budowy starożytnego podziemnego akweduktu pod Miastem Dawida, łączącego źródło Gichon z sadzawką Siloam. Ponadpięćsetmetrowy akwedukt został pośpiesznie wykuty w skale w VIII wieku przed naszą erą, gdy miasto przygotowywało się na oblężenie przez nadciągającą armię asyryjską. Aby przyspieszyć proces, król Ezechiasz rozkazał, by dwie brygady drążyły tunel z dwóch stron jednocześnie. Jakimś cudem udało im się spotkać w połowie i życiodajna woda wpłynęła do miasta.

Ludziom Gabriela przydarzyło się coś podobnego trzynastego dnia trochę po północy, gdy odebrali przesyłkę z materiałami od Jednostki 8200. Zawierała wykaz wszystkich przelewów gotówkowych, które wpłynęły do Libańskiego Banku Bizantyjskiego i wypłynęły z niego tego dnia. Dokument ten ujawnił, że o szesnastej siedemnaście bank otrzymał przelew na półtora miliona euro z galerii Naxos w Sankt Moritz w Szwajcarii. Następnie, kilka minut po siedemnastej czasu bejruckiego, z LBB przelano sumę stu pięćdziesięciu tysięcy euro, dziesięć procent tamtej wpłaty, na konto Instytutu Dziej Religijnych, znanego również jako Bank Watykański. Eli Lawon porównał później atmosferę w ekipie do tej, która zapanowała wśród drążących skałę robotników Ezechiasza w chwili, gdy usłyszeli się z obu stron. Gabriel nakazał im pogrzebać jeszcze trochę i o świcie wiedzieli już, że mają swojego człowieka.

Używa nazwiska David Girard. Ale jak wszystko inne, co go dotyczy, jest ono nieprawdziwe.

Gabriel rzucił teczkę z papierami na groteskowo wielkie biurko Uziego Nawota. Było wykonane z dymnego szkła i stało pod kuloodpornymi oknami na całą ścianę, wychodzącymi na centrum Tell Awiwu i na morze. Zamglone światło słoneczne sączyło się przez żaluzje i na Nawota padały pionowe cienie, jak kraty więzienne. Nie podniósł teczki, tylko gestem zachęcił Gabriela do rozwinięcia informacji.

- Naprawdę nazywa się Daud Ghandur. Urodził się w wiosce Tayr Dibba w południowym Libanie, w tej samej miejscowości co Imad Mughniyeh, czyli mogli znać się od dziecka.

- Jakim sposobem z takiej dziury jak Tayr Dibba trafił do galerii z antykami w Sankt Moritz?

- Sposobem libańskim - odparł Gabriel. - W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym, gdy Arafat i OWP zaczęli działać w południowym Libanie, rodzina Ghandura przeprowadziła się do Bejrutu. Najwyraźniej Daud był wyjątkowo bystrym dzieckiem. Chodził do dobrej szkoły i nauczył się francuskiego i angielskiego. Później wyjechał do Paryża, żeby studiować historię starożytną na Sorbonie.

- To wtedy Daud Ghandur stał się Davidem Girardem?

- Nie, dopiero kiedy przeniósł się do Oksfordu - odpowiedział Gabriel. - Po zrobieniu doktoratu z archeologii klasycznej zaczął pracować w wydziale antyków w londyńskim Sotheby's. Był tam jeszcze pod koniec lat dziewięćdziesiątych, gdy Sotheby's oskarżono o sprzedaż antyków o nieudokumentowanym pochodzeniu. Wyjechał z Londynu w pewnej niesławie.

- I sam założył biznes?

Gabriel kiwnął głową.

- Ile trzeba pieniędzy, żeby otworzyć galerię w Sankt Moritz?

- Dużo.

- Skąd wziął pieniądze?

- Oto jest pytanie.

Gabriel wyjął z teczki zdjęcie i podał je przez blat. Ukazywało czterdziestokilkulatka o szczupłej sylwetce opierającego się o szklaną gablotę pełną greckiej i etruskiej ceramiki. Był ubrany w ciemny pulower i ciemną marynarkę. Wzrok miał łagodny i zamyślony. Pozował, mimo to jego uśmiech wyglądał na autentyczny.

- Przystojniak, cholera - skomentował Nawot. - Skąd wzięliście to zdjęcie?

- Ze strony internetowej tej galerii. W jego oficjalnej biografii jest parę rażących luk, na przykład brak prawdziwego nazwiska i miejsca urodzenia.

- Jakim paszportem posługuje się ostatnio?

- Szwajcarskim. Ma też szwajcarską żonę.

- Z jakich Szwajcarów?

- Niemieckojęzycznych.

- Co za kosmopolita. - Patrząc na zdjęcie, Nawot zmarszczył brwi.

- Co wiemy o jego zwyczajach podróży?

- Jak większość ludzi w tej branży, sporo czasu spędza w samolotach i pokojach hotelowych.

- Liban?

- Wpada do Bejrutu przynajmniej dwa razy w miesiącu. - Gabriel umilkł, po czym dodał: - Spędza też dużo czasu tutaj, w Izraelu.

Nawot spojrzał na niego bacznie, ale nic nie powiedział.

- Znajomi Elego z Izraelskiego Urzędu do spraw Zabytków Starożytności twierdzą, że Daud Ghandur, znany też jako David Girard, często odwiedza Wzgórze Świątynne. A właściwie - poprawił się Gabriel - większość czasu spędza pod Wzgórzem.

- I co tam robi?

- Udziela nieodpłatnych porad władzom Autonomii Palestyńskiej i Waqf w kwestiach archeologicznych. Aha, ta informacja również nie figuruje w jego oficjalnej biografii.

Nawot wpatrywał się w zdjęcie.

- Masz jakąś teorię?

- Sądzę, że to on jest człowiekiem Hezbollahu w sieci Carla. Sprzedaje zrabowane przedmioty przez swoją galerię w Sankt Moritz, zysk wysyła do domu przez LBB, a z tego dziesięć procent odpala swemu ojcu chrzestnemu, Carlowi Marchesemu.

- Jesteś w stanie to udowodnić?

- Jeszcze nie. Dlatego proponuję, żebyśmy weszli z nim w interes.

- Jak?

- Zaoferuję mu coś szalenie atrakcyjnego i zobaczę, czy chwyci przynętę.

- Pewnie nie powinienem pytać - Nawot westchnął - ale skąd weźmiesz to coś szalenie atrakcyjnego?

- Ukradnę, oczywiście.

- Oczywiście. - Nawot się uśmiechnął. - Potrzebujesz czegoś ode mnie?

- Pieniądzy, Uzi. Dużo pieniędzy.

*

Dyrektywa Biura nakazuje agentom udającym się na misje zagraniczne spędzić ostatnią noc w Izraelu w lokalu konspiracyjnym zwanym „skocznią”. Tam, wolni od rozpraszaćcych ich małżonków, kochanków, dzieci i zwierząt, przybierają tożsamość, którą mają nosić jak kamizelkę kuloodporną aż do powrotu do domu. Jedynie Gabriel i Eli Lawon postanowili nie brać udziału w tym tradycyjnym rytuale operacyjnym, bo gdyby tak policzyć, wyszłoby, że więcej czasu żyli pod fałszywymi nazwiskami niż pod własnymi.

Okazało się, że obaj zdecydowali się spędzić przynajmniej część tego ostatniego wieczoru w towarzystwie kobiet po urazach. Lawon wybrał się do tunelu pod Ścianą Płaczu, by spędzić kilka godzin ze swoją ukochaną Ryfką, a Gabriel udał się z pielgrzymką do szpitala psychiatrycznego na Wzgórzu Herzla, żeby zobaczyć się z Leą. Jak zwykle przybył po oficjalnych godzinach odwiedzin. Lekarz Lei czekał w holu. Ten człowiek o wyglądzie rabina, w jarmułce i z długą siwą brodą, był jedyną osobą w Izraelu niezwiązaną z Biurem, która wiedziała dokładnie, co się wydarzyło tamtej nocy w Wiedniu.

- Dawno pana nie było. - Doktor uśmiechnął się wyrozumiale. - Ona czeka na pana.

- W jakim jest stanie?

- Bez zmian. Na tym etapie jej życia to najlepsze, na co możemy liczyć.

Lekarz ujął Gabriela pod ramię i poprowadził korytarzem o ścianach z jerozolimskiego wapienia do świetlicy, której okna wychodziły na przyszpitalny ogród. To tutaj, w cieniu pinii, Gabriel prosił Leę o zgodę na poślubienie Chiary. Tamta chwila tylko częściowo wryła się w wyblakłej pamięci Lei. Chwilami była świadoma, że Gabriel już nie jest jej mężem, jednak przez większość czasu pozostawała więźniem przeszłości. Oszołomiony umysł Lei nie widział nic niezwykłego w długich okresach nieobecności Gabriela. Wskutek decyzji Szamrona Gabriel zawsze wkraczał w jej życie i wychodził z niego prawie lub całkiem bez ostrzeżenia.

Siedziała w wózku, powykręcane pozostałości dłoni spoczywały na jej kolanach. Włosy, niegdyś długie i ciemne jak u Chiary, były ścięte krótko na modłę szpitalną i przyprószone siwizną. Gabriel ucałował chłodną, twardą bliznowatą tkanę jej policzka, po czym usiadł na niewielkim stołku, który lekarz ustawił obok. Lea wydawała się nieświadoma

jego obecności. Wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w pociemniały ogród.

- Kochasz tę dziewczynę? - zapytała nagle, wciąż patrząc przed siebie.

- Którą dziewczynę? - zapytał Gabriel. Gdy uświadomił sobie, że Lea po prostu na nowo odtwarza rozmowę, która zakończyła ich małżeństwo, szarpnęło mu się serce. - Kocham ciebie - powiedział cicho, ściskając jej nieruchome dłonie. - Zawsze będę cię kochał, Leo.

Na jej ustach ukazał się na krótko uśmiech. Spojrzała Gabrielowi w twarz z wyrazem żoninej dezaprobaty.

- Znowu pracujesz dla Szamrona - stwierdziła.

- Skąd wiesz?

- Widzę to w twoich oczach. Jesteś kimś innym.

- Jestem Gabriel - powiedział.

- Tylko częściowo. - Odwróciła wzrok do szyby.

- Zostań, Leo.

Spojrzała na niego znowu.

- Z kim teraz walczysz? Z Czarnym Wrześniem?

- Nie ma już Czarnego Września.

- Więc z kim?

- Z Hezbollahem - odparł po momencie wahania. - Tym razem to Hezbollah, Leo.

Wyglądało na to, że ta nazwa nic jej nie mówi.

- Opowiedz mi o tym - poprosiła.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Bo to tajemnica.

- Jak kiedyś?

- Tak, Leo, jak kiedyś.

Lea zmarszczyła brwi. Nienawidziła tajemnic. Tajemnice zniszczyły jej życie.

- Dokąd jedziesz tym razem?

- Do Paryża - odpowiedział Gabriel zgodnie z prawdą.

Zachmurzyła się.

- Dlaczego do Paryża?

- Tam jest człowiek, który może mi pomóc.

- Szpieg?

- Złodziej.

- Co kradnie?

- Obrazy.

Wydawała się szczerze zmartwiona.

- Dlaczego ktoś taki jak ty chce pracować z kimś, kto kradnie obrazy?

- Czasem trzeba popracować ze złymi ludźmi, żeby osiągnąć dobre cele.

- Ten człowiek jest zły?

- Nie całkiem.

- Opowiedz mi o nim.

Gabriel nie widział w tym nic szkodliwego, spełnił więc jej prośbę. Jednak po chwili straciła zainteresowanie i znowu odwróciła twarz do okna.

- Spójrz na ten śnieg - powiedziała, patrząc na bezchmurne wieczorne niebo. - Czyż nie jest piękny?

- Tak, Leo, jest piękny.

Zaczęły jej się trząść ręce. Gabriel zamknął oczy.

*

Gdy wrócił na ulicę Narkissa, zastał Chiare wyciągniętą w półmroku na kanapie. Na brzuchu ostrożnie utrzymywała kieliszek czerwonego wina. Podała mu wino i obserwowała uważnie, jak pije, jakby szukając dowodów zdrady. Potem zaprowadziła go do sypialni i bez słowa zdjęła ubranie. Ciało miała rozpalone. Kochała się z nim tak, jakby to miał być ostatni raz.

- Zabierz mnie do Paryża.

- Nie.

Nie naciskała. Wiedziała, że to nie ma sensu. Nie po tym, co zdarzyło się w Rzymie. I nie po tym, co wydarzyło się kiedyś w Wiedniu.

- Pamiętała cię tym razem?

- Pamiętała.

- Którą wersję siebie?

- Obie - odrzekł.

Chiara milczała przez chwilę. Potem zapytała:

- Czy ona wie, że ty mnie kochasz, Gabrielu?

- Wie.

Pauza.

- A to prawda?

- Co?

- Kochasz mnie?

- C h i a r o...

Odwróciła się do niego plecami.

- Przepraszam - rzekła po chwili.

- Za co?

- Za dziecko. Gdybym go nie straciła, nie jechałbyś do Paryża beze mnie.

Gabriel nie odpowiedział. Chiara powoli usiadła mu na brzuchu.

- Kochasz mnie? - zapytała znowu.

- Nad życie.

- Udowodnij.

- Jak?

Pocałowała go w usta i szepnęła:

- Udowodnij mi, Gabrielu.

Antiquités Scientifiques mieściło się w odludnej placówce na końcu me de Miromesnil, na którą rzadko zapuszczali się turyści. Niektórzy przedstawiciele paryskiej branży handlu antykami namawiali jej właściciela, pedantycznego monsieur Duranda, żeby przeniósł się na rue de Rivoli albo nawet na Champs Élysées. Jednak monsieur Durand zawsze się opierał, z obawy, że dzień w dzień będzie musiał patrzeć, jak grubi Amerykanie obmacują jego cenne zabytkowe mikroskopy, aparaty fotograficzne, okulary, barometry i inne urządzenia pomiarowe, po czym wychodzą ze sklepu z pustymi rękami. Poza tym Durand zawsze wołał swoje poukładane, skromne życie w spokojnej dzielnicy. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się dobra restauracja, gdzie rano pijał kawę, a wieczorami wino. I była tam też Angélique Brossard, sprzedawczyni szklanych figurynek, która zawsze była gotowa przekręcić wywieszkę na drzwiach z OUVERT na FERMÉ, gdy przychodził Durand.

Jednak istniał też inny powód, dla którego Maurice Durand opierał się urokom bardziej ruchliwych ulic Paryża. Antiquités Scientifiques, choć całkiem dochodowe, służyło w dużej mierze jako fasada dla jego głównego zajęcia. Durand specjalizował się w przekazywaniu obrazów i innych dzieł sztuki z prywatnych domów, galerii i muzeów w ręce kolekcjonerów, którzy nie dbali o takie szczegóły jak czyste pochodzenie. W świecie stróżów prawa niektórzy mogliby określić Duranda jako złodzieja dzieł sztuki, choć on by polemizował z taką interpretacją, ponieważ już od bardzo dawna nie ukradł sam żadnego obrazu. Teraz działał wyłącznie jako pośrednik handlowy w procederze znanym jako kradzież na zlecenie - lub jak lubił to określać Durand, przeprowadzał transakcje kupna obrazów, które, formalnie rzecz biorąc, nie były na sprzedaż. Jego klientelę stanowili ludzie nie lubiący rozczarowań i Durand rzadko ich zawodził. Współpracując z ekipą profesjonalnych złodziei z Marsylii, kierował kilkoma z największych skoków na dzieła sztuki. Na szczycie listy jego osiągnięć, przynajmniej w kategoriach finansowych, znajdował się *Autoportret z zabandażowanym uchem* van Gogha. Skradziony z londyńskiej Courtauld Gallery, obecnie wisiał w pałacu saudyjskiego szejka, który miał zamiłowanie do przemocy z użyciem noża.

Jednak to przyjęcie zlecenia na kradzież mniej znanego dzieła sztuki - *Portretu młodej kobiety* Rembrandta van Rijna, olej na płótnie - doprowadziło do osobliwej współpracy Maurice'a Duranda ze służbami wywiadowczymi Izraela. Durand odkrył, że w tym obrazie

ukryto wykaz kont w bankach szwajcarskich ze środkami z majątku zrabowanego w czasie Holokaustu. Lista ta pozwoliła Gabrielowi na szantaż wobec szwajcarskiego miliardera Martina Landesmanna i zmuszenie go, by wysłał ładunek uszkodzonych wirówek do swoich stałych klientów w Iranie. Po zakończeniu operacji Gabriel postanowił nie podejmować żadnych kroków przeciwko Durandowi, na wypadek gdyby Biuro kiedykolwiek potrzebowało usług fachowego złodzieja.

Wszystko to w jakimś stopniu wyjaśnia, dlaczego dwadzieścia cztery godziny po przybyciu do Paryża Eli Lawon zjawił się na progu niewielkiego sklepu na rue de Miromesnil numer 106. Nacisnąwszy guzik dzwonka, usłyszał nieprzyjazny gwizd. Następnie zasuwki otwarły się z głuchym trzaskiem i Lawon, strząsając deszcz z mokrego płaszcza, wsunął się do środka.

*

- Ukradł pan coś ostatnio, monsieur Durand?

- Nie, panie Lawon, nie skradłem nawet nikomu całusa.

Obaj mężczyźni przez chwilę szacowali się wzrokiem. Byli mniej więcej tego samego wzrostu i budowy, ale na tym podobieństwa się kończyły. Lawon miał na sobie strój, według własnych słów, w stylu rewolucyjnej paryskiej bohemy, natomiast Durand był nienagannie odziany w poważny garnitur w szerszy prążek uzupełniony krawatem w kolorze lawendy. Jego łysa głowa w przytłumionym górnym świetle błyszczała jak gładkie szkło. Wzrok miał pozbawiony wyrazu i nieruchomy.

- W czym mogę panu pomóc? - zapytał, choć pomoc Lawonowi była ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę.

- Szukam czegoś wyjątkowego - odparł Lawon.

- W takim razie z całą pewnością jest pan we właściwym miejscu. - Durand podszedł do gabloty pełnej mikroskopów. - Ten właśnie dostarczono - poinformował, przesuwając dłonią po jednym z przyrządów. - Wykonany przez firmę Nachet i Synowie w Paryżu w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym roku. Zarówno optyka, jak i mechanika są w dobrym stanie. Podobnie jak skrzynka z drewna orzechowego.

- Szukam czegoś innego, monsieur Durand.

Dłoń Duranda nie ruszyła się z oksydowanej powierzchni mikroskopu.

- Wygląda na to, że przyszedł czas spłaty długu - powiedział.

- Zdaje się, że ma pan nas za szantażystów - rzekł Lawon, przywołując na twarz swój najbardziej życzliwy uśmiech. - Jednak zapewniam pana, że tak nie jest.

- Czego pan chce?

- Chodzi o pańskie umiejętności.
- Są kosztowne.
- Proszę się nie martwić, Maurice. Pieniądze to nie problem.

*

Deszcz ścigał ich przez plac Zgody i wzdłuż bulwarów Sekwany. Nie był to przyjemny paryski deszcz poetów i kompozytorów piosenek, ale lodowate strugi, które dobierały się do ich ciał przez płaszcze. Durand, bardzo nieszczęśliwy, błagał o ciepłe wnętrze taksówki, ale Lawon chciał się upewnić, czy nikt ich nie śledzi, brnęli zatem w ulewie. Wreszcie weszli do luksusowej kamienicy z widokiem na Pont Marie i udali się po spiralnych schodach do mieszkania na czwartym piętrze. W salonie, swobodny i zrelaksowany, siedział Gabriel. Nieznacznym ruchem swoich szmaragdowych oczu poprosił Duranda, żeby usiadł przy nim. Francuz zawahał się. Następnie, popchnięty przez Lawona, przybliżył się do Gabriela jak skazaniec prowadzony na szubienicę.

- Na pewno mnie pan rozpoznaje - powiedział Gabriel, bacznie obserwując Duranda sadowiącego się w swoim fotelu. - To zwykle jest kłopot w naszej branży. Ale nie w tym przypadku.

- Jak to?

- Ponieważ pan wie, że jestem zawodowcem, tak samo jak pan. Wie pan też, że ja nie jestem kimś, kto marnuje cenny czas na czece pogróżki.

Gabriel spuścił wzrok na ławę. Leżały na niej dwie dyplomatki.

- To bomby zegarowe? - zapytał Durand.

- To pańska przyszłość. - Gabriel położył dłoń na jednej z teczek.

- Ta zawiera dość dowodów, żeby wsadzić człowieka do więzienia na resztę życia.

- A ta druga?

- Milion euro w gotówce.

- Co mam zrobić?

Gabriel uśmiechnął się.

- To, co pan umie najlepiej.

Na kredensie stała butelka armagnacu. Po usłyszeniu propozycji Gabriela Maurice Durand nalał sobie bardzo duży kieliszek. Przed wypiciem zawahał się.

- Niech się pan nie martwi, Maurice - powiedział Gabriel uspokajająco. - Zatrutą brandy rezerwujemy na specjalne okazje.

Durand pociągnął ostrożnie łyk.

- Jednej rzeczy nie rozumiem - odezwał się po chwili. - Czemu sam pan tego nie ukradnie albo nie wypożyczy z jednego z waszych muzeów?

- Ponieważ mam zamiar dorobić do tego pewną historię - odparł Gabriel. - Która jak wszystkie dobre historie, wymaga prawdopodobieństwa. Gdyby jakieś drogocenne dzieło pojawiło się nagle, nie wiadomo skąd, nasz obiekt słusznie podejrzewałby pułapkę. Jeśli jednak uwierzy, że to dzieło zostało niedawno skradzione przez złodziejską szajkę z dużym doświadczeniem...

- Założy, że ma do czynienia z profesjonalnymi przestępcami, a nie z profesjonalnymi szpiegami.

Gabriel milczał.

- Sprytne - powiedział Durand, unosząc nieznacznie kieliszek w ironicznym toaście. - Czego dokładnie szukacie?

- Naczynia attyckiego w stylu czerwonofigurowym, czwarte lub piąte stulecie przed naszą erą, czegoś na tyle atrakcyjnego, by zwróciło uwagę na rynku nielegalnych dzieł sztuki.

- Ma pochodzić ze źródła publicznego czy prywatnego?

- Prywatnego - odparł Gabriel. - Żadnych muzeów.

- To nie jest tak trudne, jak pan sądzi.

- Obrabowanie muzeum?

Durand skinął głową.

- Ale byłoby niekulturalne.

- Jak pan chce. - Durand usiadł i zapatrzył się z namysłem w swój kieliszek. - Jest taki dom pod Saint-Tropez. Stoi nad zatoką Cavalaire, w pobliżu rezydencji, której właścicielem był ten rosyjski oligarcha, nie pamiętam nazwiska.

- Iwan Charkow?

- Tak. Zna go pan?

- Tylko ze słyszenia.

- Został zabity przed swoją ulubioną restauracją w Saint-Tropez. To była jatka.

- Słyszałem. Ale mówił pan coś o sąsiednim domu.

- Nie jest taki duży jak rezydencja Iwana, ale jej właściciel ma doskonały gust.

- Kto to taki?

- Belg - powiedział Durand pogardliwie. - Odziedziczył przemysłową fortunę i bardzo się stara, żeby wydać ją co do centyma. Parę lat temu uwolniliśmy go od Cézanne'a. To była wymiana.

- Zostawiliście mu kopię.

- Szczerze mówiąc, całkiem dobrą. Właściwie to nasz belgijski przyjaciel chyba wciąż wierzy, że posiada oryginał, bo o ile wiem, nigdy nie zgłosił kradzieży na policji.

- Co to było?

- *Dom w Jas de Bouffan.*

- Kto podrobił oryginał?

- Pan ma swoje sekrety, panie Allon, ja mam swoje.

- Proszę kontynuować.

- Belg ma kilka innych obrazów Cézanne'a. Ma też imponującą kolekcję antyków. Szczególnie jeden obiekt jest piękny, terakotowa hydria z malunkiem autorstwa malarza Amykosa, piąty wiek przed naszą erą. Przedstawia dwie młode kobiety ofiarowujące dary dwóm nagim atletom. Bardzo zmysłowe.

- Widać, że zna się pan na greckiej ceramice.

- To moja pasja.

- Jak często ten Belg bywa w swojej willi?

- W lipcu i sierpniu - odrzekł Durand. - Przez resztę roku jest niezamieszкана, pojawia się tam tylko dozorca, który ma mały domek na terenie posiadłości.

- Jakie willa ma zabezpieczenia?

- Przecież ktoś taki jak pan wie, że nie ma czegoś takiego jak zabezpieczenie. Jeśli tylko nie będzie jakichś niespodzianek, moi ludzie wejdą do domu i wyjdą z niego w kilka minut. A pan dostanie swoje greckie naczynie wkrótce potem.

- To poproszę jeszcze Cézanne'a.

- Dla uwiarygodnienia kradzieży?

- Diabeł tkwi w szczegółach, Maurice.

Durand uśmiechnął się. Sam przywiązywał wagę do detali.

*

Miał tylko jedną prośbę, żeby oparli się pokusie kontrolowania jego poczynań, gdy będzie zajmował się realizacją umowy. Łatwo się zgodzili, mimo że absolutnie nie mieli zamiaru dotrzymać słowa. Maurice Durand ukradł kiedyś w ciągu jednego lata obrazy warte kilkaset milionów dolarów. Można było korzystać z usług przestępcy takiego jak Durand, ale tylko głupiec by go nie pilnował.

Przez trzy dni nie wychodził poza swoją *beau quartier* w północnej części Ósmej Dzielnicy. Dzień spędzał jak człowiek z innej epoki. Co rano wypijał dwie *café crèmes* przy tym samym stoliku w tej samej restauracji, mając za towarzystwo tylko stertę gazet, które kupował zawsze w tej samej trafice. Potem przechodził przez wąską uliczkę i równo z wybiciem dziesiątej zniknął w swojej pozłacanej klatce. Od czasu do czasu musiał otworzyć drzwi jakiemuś klientowi lub dostawcy, ale zwykle przebywał w swoim zamknięciu sam. Lunch spożywał od pierwszej do wpół do trzeciej, po czym wracał do sklepu na resztę popołudnia.

O piątej składał krótką wizytę madame Brossard. Później znów zasiadał przy tym samym stoliku w restauracji, żeby wysączyć kieliszek wina *Côtes du Rhône*, co zawsze dawało mu największe zadowolenie.

Wśród pechowców, którym przypadła obserwacja tego pełnego uroku życia, Maurice Durand budził zarówno bezgraniczną fascynację, jak i dużą niechęć. Nic dziwnego, że było kilku członków ekipy, zwłaszcza Jakow, którzy uważali, że Gabriel popełnił błąd, powierzając przeprowadzenie pierwszego etapu operacji takiemu człowiekowi. „Przejrzyj tylko raporty z obserwacji - zażądał Jakow przy kolacji w konspiracyjnym mieszkaniu ekipy niedaleko Lasku Bulońskiego - to oczywiste, że Maurice odłożył sobie nasz milion euro i nie zamierza dostarczyć towaru”. Jednak Gabriel się tym nie przejmował. Durand w przeszłości udowodnił, że jest człowiekiem z pewnymi zasadami.

- To urodzony złodziej - powiedział Gabriel - a złodziej niczego bardziej nie lubi, niż okradać bardzo bogatych.

Wiara Gabriela została nagrodzona następnego ranka, gdy Jednostka 8200 podsłuchiwała, jak Durand rezerwuje bilet pierwszej klasy w odjeżdżającym w południe pociągu TGV do Marsylii. Jakow i Oded podążyli za nim i o piątej po południu zaobserwowali, jak śledzony odbywa umiarkowane potajemne spotkanie w Starym Porcie z miejscowym rybakiem. Później ustalili, że „rybak” to Pascal Rameau, przywódca jednej z wielu marsyjskich organizacji przestępczych.

Wtedy ich operacja znacznie przyspieszyła, gdyż w ciągu doby od wizyty Duranda

członkowie bandy Rameau zaczęli rekonesans bogatej willi Belga. Gabriel wiedział o tym, ponieważ dwoje jego ludzi, Jossi i Rimona, wynajęło na krótki termin dom na wzgórzu powyżej posiadłości Belga i obserwowało ją nieustannie za pomocą aparatów z teleobiektywem i kamer wideo. Nie zobaczyli już więcej ludzi Rameau. Jednak dwa dni później, gdy nad Lazurowym Wybrzeżem szalała burza, obudziło ich w nocy wycie syren na drodze wzdłuż wybrzeża. Przez kilka kolejnych godzin obserwowali, jak migają niebieskie światła na podjeździe przed nadmorskim pałacem Belga. Radar policyjny powiedział im to, co chcieli wiedzieć. Jeden Cézanne, jedna grecka waza, zero sprawców. *C'est la vie.*

*

Wszystko opisały gazety, dokładnie tak, jak na to liczyli. Głównym celem był Cézanne, a grecka waza, piękna hydria z malunkiem Amykosa, została zabrana przy okazji. Zrozpaczony Belg zaoferował znaczną nagrodę za informacje, które mogłyby pomóc odzyskać skradzioną własność, natomiast jego ubezpieczyciel, nie kto inny, tylko londyński Lloyd's, po cichu rozpowszechnił wieść, że może rozważyć zapłatę okupu. Francuska policja zapukała do paru domów i przesłuchiwała kilku potencjalnych podejrzanych, ale po tygodniu uznała, że ma ważniejsze rzeczy do roboty, niż uganiać się za kawałkiem płótna i antyczną skorupą. Poza tym nie pierwszy raz miała do czynienia z tym gangiem złodziei. To byli fachowcy, nie jacyś awanturnicy, i gdy już coś ukradli, nigdy nie udawało się tego odnaleźć.

Owa kradzież wzbudziła oczywisty popłoch w paryskich galeriach sztuki, ale w świecie Maurice'a Duranda był to zaledwie kamyczek rzucony na zazwyczaj spokojną powierzchnię. Podsluchali, jak rozmawia o tej sprawie ze swoją ulubioną kelnerką w restauracji, ale jego życie toczyło się tym samym monotonnym rytmem. Otwierał galerię o dziesiątej. O pierwszej szedł na lunch. Dokładnie o piątej oddawał się przyjemnościom u madame Brossard, a następnie pił czerwone wino, dobre na jego niewinne serce.

W końcu, tydzień po kradzieży, zadzwonił do Gabriela pod umówiony numer i oświadczył, że przedmioty, które ten zamawiał - szwajcarski barometr kieszonkowy z początku dwudziestego wieku i teleskop z drewna i mosiądzu firmy Merz z Monachium - zostały bezpiecznie dostarczone. Na polecenie Gabriela tego samego wieczoru Durand przyniósł obie rzeczy do mieszkania z widokiem na Pont Marie i oddalił się, jak mógł najszybciej. Malowidło, pejzaż przedstawiający ukochaną górę Cézanne'a Sainte-Victoire, zostało fachowo zdjęte z blejtramu i umieszczone w tekturowej tubie. Hydria zapakowana była w nylonową torbę sportową Adidasa. Eli Lawon wyjął ją i postawił ostrożnie na stole w kuchni. Następnie siedział kilka minut z Gabrielem u boku, wpatrując się w greckie panny usługujące nagim atletom.

- Ktoś to musi zrobić - odezwał się w końcu Lawon - ale to nie będę ja.
- Ja jestem konserwatorem - rzekł Gabriel. - W żadnym wypadku nie mogę.
- A ja jestem archeologiem - bronił się Lawon. - Poza tym nigdy nie byłem zwolennikiem czarnej roboty.
- Nigdy jeszcze nie dokonywałem zamachu na wazę.
- Nie martw się - rzucił Lawon. - W odróżnieniu od twoich poprzednich ofiar wazie da się przywrócić życie.

Gabriel westchnął ciężko, włożył hydrię z powrotem do sportowej torby i delikatnie zepchnął ją ze stołu. Dźwięk, jaki rozległ się przy uderzeniu o podłogę, przypominał trzask łamanej kości. Lawon powoli rozpiął suwak torby i zajrzał żałośnie do środka.

- Morderca - szepnął cicho.
- Ktoś musiał.

*

Cézanne nie został potraktowany tak barbarzyńsko. Wręcz przeciwnie, w ostatnich godzinach pobytu ekipy w Paryżu Gabriel pielęgnował rany obrazu, jakby to był pacjent na oddziale intensywnej opieki medycznej. Za cel miał doprowadzenie do tego, by pewnego dnia malowidło mogło zostać zwrócone właścicielowi w takim stanie, w jakim je znaleziono. Żaden pospolity złodziej dzieł sztuki nie podjąłby się czegoś takiego, jednak dla Gabriela uprawdopodobnianie operacji miało swoje granice. Był przede wszystkim konserwatorem. Poza tym troska o Cézanne'a pomagała mu zmniejszyć poczucie winy z powodu stłuczenia wazy.

Przez chwilę rozważał ponowne rozpięcie obrazu na blejtramicie, jednak wykluczył taką możliwość, ponieważ wówczas trudno byłoby przewozić obraz bezpiecznie. Przyczepił więc do powierzchni ochronną warstwę bibuły, używając kleju ze skóry królika, który przyrządził w kuchni konspiracyjnego mieszkania przy Lasku Bulońskim. Następnego ranka, gdy klej wysechł, Gabriel włożył ostrożnie obraz do tekturowej tuby i zawiózł do ambasady izraelskiej przy rue Rabelais numer 3. Szef agencji Biura wykazał zrozumiałe obawy przed przyjęciem skradzionej własności, ale ustąpił po otrzymaniu telefonu od Uziego Nawota. Gabriel umieścił obraz w suchym kącie piwnicy placówki i ustawił termostat na bezpieczne 20 stopni. Następnie udał się na Gare de Lyon i wsiadł do południowego pociągu do Zurychu.

Czterogodzinną podróż spędził, planując następny etap operacji. O szóstej tego wieczoru jechał wynajętym audi elegancką zurycką Bahnhofstrasse. Obok niego, z torbą Adidasa między nogami, siedział Eli Lawon.

- Szwajcaria - rzucił ponuro, wyglądając przez okno. - Dlaczego to zawsze musi być

Szwajcaria?

Był już marzec, dlatego Sankt Moritz, urokliwe dawne uzdrowisko w dolinie o nazwie Górna Engadyna, znajdowało się znowu w okowach szaleństwa. Na via Serlas, prawdopodobnie najdroższej handlowej ulicy świata, podupadli arystokraci włączyli się bez celu od Choparda, przez Gucciego i Chanel, do Bulgarięgo, a wraz z nimi gwiazdy filmowe, supermodelki, politycy, potentaci biznesowi w otoczeniu całych świt i pieczeniarzy różnej maści. Walczyli o najlepsze stoliki w La Marmite czy Terrace, a wieczorem za jeden uśmiech wchodzili do prywatnych pomieszczeń Draculi czy King's Clubu. Bardzo niewielu z nich chciało się czasem przyczepić narty. W Sankt Moritz narciarstwo było rozrywką tych, którzy nie mieli nic lepszego do roboty.

Jednak w pewnej spokojnej bocznej uliczce niczym oaza zdrowego rozsądku stał dostojny stary hotel Jägerhof. Był zaniedbany i ponury, a przede wszystkim niemodny, co mu ani trochę w niczym nie przeszkadzało, a nawet zdawał się tym chlępić. Jego restauracje nie były wysokiej klasy, nie miał ani centrum odnowy biologicznej, ani basenu, ani też nocnego klubu, który mógłby wabić gości lubiących czytać o sobie na pierwszych stronach gazet. Jedyna muzyka, jaka rozbrzmiewała w hotelu Jägerhof, to był dźwięk kwartetu smyczkowego, który rzępolił w najlepsze w salonie każdego popołudnia podczas sennej przerwy, eufemistycznie zwanej *apres-ski*.

Pokoje w owym hotelu, podobnie jak jego obyczaje, były zakurzonymi relikdami z innej epoki. Goście, którzy już wcześniej tu się zatrzymywali, prosili o numery na niższych piętrach, bo winda wiecznie się psuła, natomiast szukający okazji do okazjonalnych cen skłaniali się ku ciasnym mansardom. Jedną z nich zajmował właśnie wysoki tyczkowaty Rosjanin o szarych oczach i bladej cerze barwy śniegu na szczycie Piz Bernina. Już pierwszego dnia pobytu niefortunnie stłukł sobie kolano, dlatego też był poniekąd uwięziony w swoim pokoju. Czasem siadał w maleńkim okienku i tęsknie spoglądał na ulicę, jednak przeważnie leżał w łóżku z kontuzjowaną nogą na poduszkach. Dla zabicia czasu oglądał filmy i słuchał muzyki na swoim notebooku. Pokojówki opisywały go jako grzecznego aż do przesady, nietypowo jak na Rosjanina.

Tego samego nie dało się jednak powiedzieć o lekarzu, który pojawił się w Jägerhofie cztery dni po wypadku rosyjskiego gościa. Był średniego wzrostu i średniej budowy, z

grzywą srebrzystych włosów, o czujnych brązowych oczach, częściowo skrytych za grubymi okularami. Ci członkowie personelu hotelowego, którzy mieli pecha spotkać go w czasie którejś z jego krótkich wizyt, mówili później, że wyglądał raczej, jakby zadawał rany, niż je leczył.

- Jak twoje kolano? - zapytał Gabriel.
- Ciągłe boli, jeśli za mocno stanę na nogę.
- Nie wygląda najlepiej.
- Szkoda, że go nie widziałeś dwa dni temu.

Kolano opierał na dwóch poduszkach wyszywanych w dyskretne herby Jägerhofu. Gabriel skrzywił się lekko, oglądając opuchliznę.

- Skąd te wszystkie siniaki?
- Musiałem uderzyć kilka razy.
- Czym? Młotem kowalskim?
- Wziąłem butelkę gratisowego szampana dla gości.
- I jak?
- Jako tępe narzędzie? W porządku.

Gabriel podszedł do okna i spojrzął na szwajcarski plac jak z widokówki. Po jednej stronie, przed drzwiami jednego z droższych hoteli kurortu, z powolnością luksusowego liniowca parkowała właśnie limuzyna. Po drugiej stronie trzy owinięte futrami kobiety pozowały do zdjęcia przy konnym powozie. Po chwili powóz odjechał, ze stukotem końskich kopyt stłumionym przez śnieg, odsłaniając dyskretne wejście do galerii Naxos. Przez dużą witrynę Gabriel widział Davida Girarda rozmawiającego z klientem o jednym z atrakcyjniejszych eksponatów galerii, posągu rzymskim z pierwszego wieku, młodzieńcu w pozycji półleżącej, teraz bez kończyn. Ścieżka dźwiękowa do tej sceny, rozmowa w języku niemieckim, pochodziła z głośników notebooka Michaiła.

- Gdzie jest ukryty nadajnik?
- Na jego biurku.
- Jak ci się to udało?
- Podczas mojej jedynej wizyty w galerii zostawiłem tam bardzo kosztowne złote pióro.

Monsieur Girard był tak dobry, że zgodził się przechować je dla mnie, aż znowu będę mógł przyjść. Jedyne problem, to że leży obok telefonu. Za każdym razem, gdy ktoś dzwoni do galerii, brzmi to, jakby uruchomił się alarm pożarowy.

- Jak idzie interes?
- Kiepsko. Zazwyczaj jeden lub dwóch klientów rano i kilku późnym popołudniem, gdy

zamykają stoki. O piątej nie ma już nikogo.

- Zatrudnia jakichś pracowników?

- Żona zwykle spędza w galerii parę godzin, gdy już odprowadzi dzieci do przedszkola. Mieszkają niedaleko Sankt Moritz w miasteczku Samedan. Ładne miejsce. Wydaje mi się, że Daud jest jedynym członkiem Hezbollahu, który tam mieszka.

- Ma na imię David - powiedział z naciskiem Gabriel. - A w tej chwili nie jesteśmy w stanie udowodnić, że jest członkiem jakiegokolwiek organizacji poza Szwajcarskim Stowarzyszeniem Marszandów.

- Aż zobaczy tę piękną grecką skorupę.

- Może nie połknąć przynęty.

- Połknie - zapewnił go Michaił. - A wtedy spalimy go na wiór i wywrócimy na drugą stronę, tak jak narysowałeś to na tablicy w Biurze.

- Czasem operacje nie idą zgodnie z planem.

- Mnie to mówisz? - Michaił przyglądał się Gabrielowi przez chwilę. - Może to nie jest zbyt dobry pomysł, żebyś akurat teraz igrał z kimś z Hezbollahu.

- Ledwo sam siebie rozpoznaję w tym kostiumie.

- Twoja znana twarz nie jest jedynym powodem, dla którego powinieneś się dobrze zastanowić, zanim wejdiesz do tej galerii.

Gabriel odwrócił się i spojrzał Michaiłowi prosto w oczy.

- Uważasz, że nie dam rady? Dobrze rozumiem?

- Nie minęło zbyt dużo czasu, od kiedy Nadia al-Bakari zmarła ci na rękach na pustyni Ar-Rab al-Chali. Może powinieneś pozwolić komuś innemu pójść tam i zarzucić przynętę.

- Niby komu?

- Mnie.

- Ty ledwo chodzisz.

- Zażyję aspirynę.

- Co wiesz na temat waz attyckich w stylu czerwonofigurowym?

- Kompletnie nic.

- I to może być problem.

Michaił milczał.

- Skończyliśmy? - zapytał Gabriel.

- Tak.

Gabriel otworzył aluminiową walizeczkę, którą przyniósł ze sobą. W środku leżał fragment hydrii, ostrożnie owinięty suknem, razem z kilkoma fotografiami 20 x 25 cm

pozostałych części wazy. Gabriel nacisnął mały włącznik w walizeczce, uruchamiając system transmisji, dźwięk i obraz. Następnie zamknął walizkę i spojrzał na Michaiła.

- Odbierasz sygnał?

- Mam go.

Gabriel podszedł do lustra i przyjrzał się odbijającej się w nim nieznajomej twarzy. Zadowolony ze swego wyglądu, bez słowa opuścił pokój i zszedł na dół do ponurego holu Jägerhofu. Gdy wyszedł na ulicę, nie był już mrukowatym lekarzem, który przyszedł doglądać kontuzjowanego Rosjanina; do galerii szedł Anton Drexler, Usługi Antykwaryczne, Hamburg. Dziesięć minut później, upewniwszy się dokładnie, czy nikt go nie śledzi, stanął przy wejściu do galerii Naxos. Na wystawie leżał pozbawiony kończyn rzymski chłopiec; wyglądał, o ironio, jak ofiara przydrożnej bomby. Herr Drexler przyglądał się przez chwilę posągowi wytrawnym wzrokiem fachowca. Nacisnął przycisk dzwonka i kiedy oznajmił, z czym przychodzi, wpuszczony został bez dalszej zwłoki.

Sala wystawowa była rześście oświetlona i tak zaaranżowana, aby uniknąć wrażenia przeładowania. Tu wybór greckich kraterów i amfor, tam cały miot egipskich kotów z brązu, ówdzie zbiór marmurowych posągów bez kończyn i głów oddzielonych od tułowi, ceny podawane na życzenie klienta. Z tyłu, w kącie galerii, stał chiński stolik z laki, przy którym siedział David Girard vel Daud Ghandur, czekając na Gabriela. Miał na sobie ciemną marynarkę, sweter zapinany na zamek i eleganckie spodnie, które wyglądały na aksamitne. Między ramieniem i uchem przytrzymał elegancki czarny telefon i bazgrał coś na kartce papieru, używając drogiego złotego pióra Michaiła. Gabriel mógł sobie tylko wyobrazić, jak to skrobanie słychać na mansardzie w hotelu Jägerhof.

Wreszcie Girard wymamrotał kilka słów po francusku i odłożył telefon. Przez chwilę przypatrywał się gościowi w milczeniu łagodnymi brązowymi oczami, a następnie, nie wstając, poprosił go o wizytówkę. Gabriel bez słowa spełnił życzenie.

- Tu nie ma adresu ani telefonu - odezwał się Girard po niemiecku.

- Jestem minimalistą.

- Dlaczego nigdy o panu nie słyszałem?

- Staram się nie robić wokół siebie hałasu - odparł Gabriel z potulnym uśmiechem. -

Rozgłos utrudnia mi pracę.

- Na czym ona polega?

- Znajduję różne rzeczy. Zbłąkane psy, drobne monety pod poduszkami na sofie, ukryte perełki w piwnicach i na strychach.

- Handluje pan dziełami sztuki?

- Nie tak jak pan, oczywiście - rzekł Gabriel z całą skromnością, na jaką umiał się zdobyć.

- Kto pana przysłał?

- Znajomy z Rzymu.

- Czy ten znajomy ma jakieś nazwisko?

- Jest taki jak ja - odrzekł Gabriel. - Woli spokój i ciszę.

- On też znajduje różne rzeczy?

- Poniekąd.

Girard zwrócił wizytówkę i ruchem oczu pokazał, że chce zobaczyć wewnątrz walizeczki Herr Drexlera.

- Może jest u pana jakieś bardziej kameralne miejsce... - Gabriel zerknął w stronę dużego okna wystawowego, wychodzącego na pełny ludzi plac.

- Jest jakiś problem?

- Bynajmniej - odpowiedział Gabriel uspokajającym tonem. - Tylko że Sankt Moritz już nie jest takie jak kiedyś.

Girard spojrzał uważnie na Gabriela, po czym podniósł się i podszedł do drzwi z zamkiem szyfrowym. Za drzwiami znajdował się klimatyzowany magazyn pełen towarów, które jeszcze nie znalazły miejsca w głównej sali wystawienniczej galerii i prawdopodobnie nigdy nie miały się tam znaleźć. Gabriel zrobił krótki obchód magazynu, zanim otworzył szyfrowy zamek swojej walizeczki. Następnie z rozmachem magika odwinął fragment hydrii i położył go na stole, żeby tamten mógł mu się dobrze przyjrzeć.

- Nie handluję skorupami - rzucił Girard.

- Ani ja.

Gabriel podał mu plik zdjęć. Ostatnie z nich przedstawiało hydrię luźno poskładaną razem.

- Tu i ówdzie brakuje kilku kawałeczków - powiedział Gabriel - ale to może łatwo naprawić dobry konserwator. Znam człowieka, który potrafi to zrobić, jeśli jest pan zainteresowany.

- Wolę pracować ze swoim własnym konserwatorem - odparł Girard.

- Tak przypuszczałem.

Girard nałożył gumowe rękawice i zaczął oglądać fragment ceramiki przez wysokiej klasy profesjonalne szkło powiększające.

- Wygląda mi to na dzieło malarza Amykosa. Prawdopodobnie czterysta dwudziesty rok przed naszą erą.

- Zgadza się.

- Gdzie pan to znalazł?

- Tu i tam - odparł Gabriel. - Większość fragmentów pochodzi ze starych kolekcji rodzinnych w Niemczech i tu w Szwajcarii. Odszukanie wszystkich zabrało mi pięć lat.

- Naprawdę?

Girard zwrócił mu skorupę i bez słowa podszedł do komputera. Kilkakrotnie uderzył w klawisze i po chwili z kolorowej drukarki wyszedł arkusz papieru. Było to powiadomienie wydane przez Szwajcarskie Stowarzyszenie Marszandów. Dotyczyło attyckiej hydrii

czerwonofigurowej z malunkiem malarza Amykosa, którą dwa tygodnie wcześniej skradziono z prywatnego domu na południu Francji. Girard położył kartkę na stole obok fotografii i spojrzał na Herr Drexlera, oczekując wyjaśnień.

- Jak pan wie - Gabriel recytował słowa, które napisał mu Eli Lawon - malarz Amykosa był artystą płodnym. Stworzył wiele szablonowych postaci, które pojawiają się wielokrotnie w jego twórczości. Moja hydria jest po prostu kopią naczynia skradzionego we Francji.

- Więc to zbieg okoliczności?

- Całkowicie.

Girard zaśmiał się sucho.

- Obawiam się, że pana rzymski znajomy wprowadził pana w błąd, ponieważ moja galeria nie handluje antykami pochodzącymi z kradzieży czy rabunku. Byłoby to pogwałcenie kodeksu etycznego naszego stowarzyszenia, nie mówiąc już o prawie szwajcarskim.

- Gwoli ścisłości, prawo szwajcarskie pozwala panu nabyć dzieło, jeżeli sądzi pan, że nie zostało skradzione. A ja daję panu moje zapewnienie, Herr Girard, że ta hydria jest efektem mojej pięcioletniej pracy.

- Proszę mi wybaczyć niechętny stosunek do zapewnień człowieka, który nie ma adresu ani telefonu.

Girard odegrał imponujące przedstawienie, jednak rysą na nim był fakt, że nie odrywał oczu od fragmentu wazy. Gabriel znalazł handlarzy dziełami sztuki na tyle, by wiedzieć, że jego obiekt już zaczął kalkulację oferty. Potrzebne było jeszcze tylko, pomyślał Gabriel, lekkie strzelenie z bata.

- Chcąc być uczciwym, Herr Girard - rzekł - powinienem pana poinformować, że są inne osoby zainteresowane nabyciem tej hydrii. Ale przyjechałem do Sankt Moritz, bo powiedziano mi, że pan jest w stanie zbyć tego rodzaju towar, wykonując jeden telefon.

- Obawiam się, że przecenia pan moje możliwości.

Gabriel uśmiechnął się, jakby dając do zrozumienia, że nie chce nawet tego słuchać.

- Lista pańskich klientów z Bliskiego Wschodu jest legendą w branży, Herr Girard. Z pewnością jest pan w stanie przedstawić świadectwo pochodzenia, które zadowoli przynajmniej jednego z nich. Wedle moich szacunków zrekonstruowana i odrestaurowana hydria jest warta czterysta tysięcy franków szwajcarskich. Ja chętnie przyjmę sto tysięcy za fragmenty, pozostawiając panu zysk wartości trzystu tysięcy.

- Jeszcze jeden uśmiech. - Nieźle jak za koszt jednej rozmowy międzynarodowej z Rijadem czy Dubajem.

Marszand popadł w refleksyjne milczenie, tym samym porzucając wszelkie udawanie,

że nie ma ochoty na hydrię.

- Pięćdziesiąt tysięcy - odparł - płatne po zakończeniu transakcji.

Gabriel z powrotem umieścił skorupę w suknie.

- Jeśli pan chce tę hydrię, Herr Girard, zapłaci mi pan z góry. Cena nie jest do negocjacji.

- Potrzebuję czasu.

- Ma pan dwadzieścia cztery godziny.

- Jak się z panem skontaktować?

- To ja do pana zadzwonię, jutro o piątej, i zapytam o pańską decyzję. Jeśli będzie pozytywna, o szóstej dostarczę skorupy i będę oczekiwał całej sumy. Jeśli nie, odłożę słuchawkę i nigdy więcej się już z panem nie skontaktuję.

*

Na lokal konspiracyjny wynajęli ładny drewniany domek na ośnieżonym zboczu górskim powyżej wioski, po okazyjnej cenie pięciu tysięcy franków szwajcarskich za dobę. Gdy Gabriel się tam zjawił, cała ekipa przywitała go oklaskami na stojąco. Następnie odtworzyli nagranie rozmowy telefonicznej, którą David Girard właśnie odbył z kolegą z Hamburga, poszukując informacji o hienie nazwiskiem Anton Drexler.

- Mogę się mylić - powiedział Eli Lawon - ale wygląda na to, że zdecydowanie jesteśmy w grze.

*

Wszystko wskazywało na to, że nikt nigdy o nim nie słyszał. Ani jednej plotki w Zurychu. Ani słowa w Genewie. Żadnych pogłosek w Bazylei ani w Nowym Jorku. Jediną wzmianką - jeśli w ogóle można to tak nazwać - o człowieku o nazwisku Anton Drexler okazała się jakaś mętna historyjka o kimś, kto odpowiadał opisowi, a kto kilka lat wcześniej usiłował sprzedać kilka fałszywych bogiń greckich domowi aukcyjnemu Sotheby's. „A może on się nazywał Dresden? Przepraszam, że nie potrafię ci pomóc, Davidzie. Zjemy razem lunch następnym razem, gdy przyjedziesz?”.

Nie odkrywając niczego, co by go zniechęciło do dalszego działania, Girard zaczął poszukiwania innego rodzaju, mianowicie starał się znaleźć potencjalnego kupca dla swego potencjalnego nowego nabytku. Tak jak przewidział Gabriel, wystarczył jeden telefon do Rijadu, gdzie jakiś podrzędny książę natychmiast zgłosił ofertę trzystu tysięcy franków szwajcarskich. Nie do końca tym usatysfakcjonowany Girard zadzwonił do kolekcjonera w Abu Zabi, który oświadczył, że wchodzi za trzysta dwadzieścia. Kolejna rozmowa, z Moskwą, wciągnęła do gry rosyjskiego przemysłowca naftowego dającego trzysta

czterdzieści - i w tym momencie rozpoczęła się właściwa licytacja, która zakończyła się kilka godzin później. Wygrał bezapelacyjnie saudyjski książe, który zaoferował czterysta dwadzieścia pięć tysięcy, płatne przy odbiorze.

Wtedy Girard zatelefonował do swojego człowieka w filii banku Julius Baer w Sankt Moritz i poprosił o przygotowanie stu tysięcy franków szwajcarskich w gotówce. Odebrał pieniądze o czwartej, a o czwartej piętnaście był już z powrotem w galerii i stukał nerwowo końcówką drogiego złotego pióra Michaiła w swoje biurko. W pokoiku na mansardzie hotelu Jägerhof brzmiało to jak dźwięk wiertarki udarowej.

- Kiedy on przestanie stukać? - jęknął Michaił.
- Chyba dopiero, kiedy do niego zadzwonię o piątej.
- Czemu nie zadzwonisz teraz, żeby już mieć to z głowy?
- Ponieważ Herr Drexler dotrzymuje słowa. A obiecał zadzwonić o piątej.

I tak siedzieli, Michaił oparty o łóżko, Gabriel przycupnięty na parapecie wąskiego okna, a David Girard - bębniąc w biurko w oczekiwaniu na telefon od Herr Drexlera. Wreszcie, z wybiciem piątej, Gabriel wybrał numer galerii w komórce na kartę i zadał zwięzłe, proste pytanie po niemiecku.

- Tak czy nie? - Usłyszawszy odpowiedź Girarda, rzucił: - Będę za godzinę. Niech pan dopilnuje, żeby nikogo więcej nie było w galerii.

Gabriel rozłączył się i wyjął kartę SIM z aparatu. Przez chwilę w pokoju panowała cisza. Nagle bębnienie rozległo się ponownie, jeszcze głośniejsze niż wcześniej.

- Jeśli on nie przestanie - odezwał się Michaił - pójdę tam i go zastrzelę.
- Potrzebujemy go jeszcze, żeby się dobrać do organizacji finansującej Hezbollah - powiedział Gabriel. - Potem możesz go zastrzelić.

*

W ciągu kolejnych sześćdziesięciu minut Gabrielowi i Michaiłowi dane były dwie chwile wytchnienia od stukania Girarda. Pierwsza przypadła na siedemnastą dziesiątą, gdy nieoczekiwanie wpadła jego szwajcarska żona na lampkę szampana, żeby uczcić sprzedaż hydrii. Następna o siedemnastej czterdzieści, kiedy jakiś gość z sąsiedniego hotelu, najwyraźniej nie mając nic lepszego do roboty, zapytał, czy może obejrzeć towar. Był wysoki, mocno opalony i mówił po francusku. Z jego ramienia zwisała jak element biżuterii zachwycająco piękna młoda dziewczyna o krótkich czarnych włosach i twarzy jakby namalowanej przez El Greca. Spędzili w galerii piętnaście minut, choć dziewczyna przez większość tego czasu przeglądała się w oknach wystawowych Girarda. Wychodząc z galerii, jakby się trochę posprzeczała, ale kilka słów wyszeptanych dziewczynie na ucho sprowadziło

uśmiech na jej dziecinną twarz. Gdy ruszyli ramię w ramię przez plac, minęli Herr Antona Drexlera, handlarza podejrzanymi dziełami sztuki, jakby był niewidzialny.

Gabriel zerknął jeszcze ostatni raz na zegarek i dokładnie o szóstej stawiał się przy wejściu do galerii Girarda. Nacisnął przycisk. Spodziewał się usłyszeć kojące mruczenie dzwonka Girarda, ale zamiast tego ujrzał oślepiający błysk białego światła. Przez ścianę ognia poszybował ku niemu rzymski młodzieniec bez kończyn i razem zapadli się w ciemność.

Bomba została fachowo skonstruowana i fachowo podłożona. Początkowo szwajcarska policja federalna doszła do wniosku, że zdetonowano ją za pomocą urządzenia zegarowego, ale później odkryła, że uruchomiono ją telefonem komórkowym. Siła eksplozji wybiła setki szyb w centrum miasta, wywołała kilka lawin na najwyższych stokach narciarskich i spowodowała zawalenie się ekspozycji butelek dom perignon w bogato zdobionym holu hotelu Badrutt's Palace. Stłuczone szkło usunięto z typową szwajcarską sprawnością i wkrótce przywrócono porządek. Mimo to wszyscy zgadzali się, że Sankt Moritz, uroczę dawne uzdrowisko w Górnej Engadynie, nigdy nie będzie już takie samo.

Mimo siły eksplozji tylko trzy osoby straciły życie, w tym właściciel galerii z antykami, w której podłożono bombę. Pięćdziesiąt cztery osoby zostały ranne, między innymi prezes dużego szwajcarskiego banku, znany angielski piłkarz oraz czeska supermodelka, która przybyła do Sankt Moritz, aby pocieszyć się po rozpadzie swego trzeciego małżeństwa. Większość ran stanowiły tylko skaleczenia i siniaki, wielu jednak z tych, których siła wybuchu zwała z nóg, miało połamane kości.

Jednej z najpoważniej rannych ofiar nie udało się zidentyfikować. W momencie wybuchu człowiek ten nie miał przy sobie paszportu ani kart kredytowych, a potem nie potrafił sobie przypomnieć, jak się nazywa ani co w ogóle robił w Sankt Moritz. Miał wiele ran szarpanych i silne wstrząśnienie mózgu, dlatego też pozostawał w szpitalu przez kilka dni po wypadku, nieświadomy, a przynajmniej tak się wydawało, że jest obiektem intensywnego zainteresowania ze strony szwajcarskiej policji.

Po pierwsze, kamery zarejestrowały, jak stoi przy wejściu do galerii w chwili wybuchu, mając na sobie perukę i sztuczne okulary, trzymając w ręce aluminiową walizeczkę - wszystkie te przedmioty zostały później odnalezione przez ekspertów kryminalistycznych. Po drugie, jakiś wysoki, szarooki mężczyzna z rosyjskim akcentem usiłował wynieść go ze skweru, ale został zatrzymany przez policję. No i była jeszcze duża, wielojęzyczna grupa turystów, która opuściła luksusowy domek wypoczynkowy na stoku zaledwie po trzech dniach, mimo że zarezerwowany był na tydzień. Domek przeszukano dokładnie, ale nie znaleziono ani jednego skrawka papieru, który by pomógł ustalić tożsamość niedawnych lokatorów. Podobnie rzecz się miała z pokojem Rosjanina w hotelu Jägerhof.

Jednak najbardziej interesującym dowodem w sprawie była charakterystyczna twarz rannego, która ukazywała się stopniowo, w miarę jak schodziły opuchlizna i zasinienie. Była to twarz dobrze znana szwajcarskiemu wywiadowi; szczerze powiedziawszy, DAP, szwajcarska służba bezpieczeństwa, miała całą półkę w archiwum poświęconą jego wyczynom na terenie ich niewielkiego kraju. Teraz, nareszcie, trafił bezbronny w ich ręce. Trzymali wartę pod jego drzwiami i czekali, aż zagoją mu się rany. A gdy już na tyle wydobrzała, że mógł opuścić szpital, zakuli go w kajdanki i zabrali.

*

Wepchnęli go do helikoptera, nie zadając sobie trudu, by zawiadomić *Kantonspolizei*, i przewieźli szybko do siedziby głównej szwajcarskiej policji federalnej na Nussbaumstrasse w Bernie. Po zdjęciu mu odcisków palców i sfotografowaniu twarzy ze wszystkich możliwych stron zamknęli go w tymczasowej celi. Był w niej niewielki telewizor z płaskim ekranem, biurko z papierem i przyborami do pisania oraz wygodne łóżko z wykrochmaloną pościelą. W Szwajcarii nawet policja to wspaniali hotelarze, pomyślał Gabriel.

Zostawili go samego na kilka godzin, żeby przemyślał swoje kłopotliwe położenie, a następnie, bez ostrzeżenia i bez adwokata, zaprowadzili go w kajdankach do pokoju przesłuchań. Czekał tam już oficer zajmujący się sprawą Gabriela. Powiedział, że nazywa się Ziegler. Nie podał imienia, rangi, nie bawił się w uprzejmości. Ziegler, i tyle. Był wysoki i przywodził na myśl alpejskich górali. Miał szerokie kwadratowe ramiona narciarza biegowego i rumianą cerę. Na stoliku przed nim leżały w odpowiedniej kolejności zdjęcia Gabriela na różnych etapach jego kariery, w rozmaitych przebraniach i charakterystykach. Na fotografiach wchodził do banków i z nich wychodził, przemierzał hotelowe korytarze i przekraczał granice, a na jednej siedł na brzegu wzdłuż zuryskiego kanału w towarzystwie znanej szwajcarskiej skrzypaczki Anny Rolfe. Ziegler wydawał się wyjątkowo dumny z tej wystawki. Najwyraźniej dobrze ją przemyślał.

- Mamy pewną teorię - zaczął, gdy Gabriel usiadł.

- Nie mogę się doczekać.

Oblicze Zieglera pozostawało tak spokojne jak bezdenne szwajcarskie jezioro.

- Wszystko wskazuje na to, że przed przyjazdem do Sankt Moritz zatrzymał się pan na krótko we Francji, gdzie ukradł pan obraz Cezanne'a oraz grecką hydrię sprzed dwóch tysięcy lat. Następnie przewiózł pan wazę w kawałkach przez granicę i usiłował pan ją sprzedać Davidowi Girardowi z galerii Naxos. Girard nie wiedział jednak, że pan nie miał najmniejszego zamiaru dostarczyć mu wazy, ponieważ to był tylko fortel mający pomóc go zabić.

- Dlaczego miałbym zabijać szwajcarskiego marszanda?

- Ponieważ, jak pan już wie, ten marszand nie był Szwajcarem. No - dodał Ziegler, krzywiąc się ksenofobicznie - nie był p r a w d z i w y m Szwajcarem. Urodził się w południowym Libanie. I z tego, co się dowiedzieliśmy, najwyraźniej wciąż robił tam sporo interesów. Dlatego wywiad izraelski chciał jego śmierci.

- Gdybyśmy chcieli go zabić, zrobilibyśmy to tak, że po drodze nie zginęłoby dwoje niewinnych ludzi.

- Jakie to szlachetne z waszej strony, Herr Allon.

- Chyba zapominać o jednym drobnym szczególe - powiedział Gabriel ze znużeniem.

- O jakim?

- Ta bomba omal nie zabiła m n i e.

- Tak - odparł Ziegler rzeczowo. - Być może legendarnego Gabriela Allona opuściło szczęście.

*

Gabriela odprowadzono do celi i podano mu przyzwoity szwajcarski posiłek: raclette z ziemniakami i panierowaną cielęcinę. Potem oglądał wieczorne wiadomości w języku niemieckim na kanale SF1. W programie dopiero po kwadransie pojawił się komentarz do wydarzeń w Sankt Moritz. Mówiono o tym, że wybuch bomby będzie miał negatywny wpływ na turystykę. Nie wspomniano o powiązaniach Davida Girarda z Hezbollahem. Nie było także aluzji do żadnych aresztowań, co Gabriel uznał za obiecujący znak.

Po obiedzie jakiś lekarz w milczeniu obejrzał jego obrażenia i zmienił mu kilka bandaży. Następnie zabrano go znów do pokoju przesłuchań na sesję wieczorną. Tym razem nigdzie nie było widać Zieglera. Zastąpił go chudy oficer, którego bladość sugerowała, że nie ma on czasu na rozrywki na świeżym powietrzu. Przedstawił się jako Christoph Bittel z sekcji DAP do spraw antyterrorystycznych, czyli bardziej szpieg niż policjant. To był kolejny obiecujący znak. Policjanci tylko aresztują. Ze szpiegami można się dogadać.

- Zanim zaczniemy - odezwał się spokojnie - powinien pan wiedzieć, że Ziegler i szwajcarska prokuratura jutro rano zamierzają wnieść przeciw panu formalne oskarżenie. Mają aż nadto dowodów, by zagwarantować, że spędzi pan resztę życia w szwajcarskim więzieniu. Powinien pan też wiedzieć, że tu, w Bernie, jest wielu ludzi, którzy dużo by dali za zaszczyt odprowadzenia pana do jego celi.

- Nie miałem nic wspólnego z podłożeniem tej bomby.

- Wiem.

Bittel wziął do ręki pilota i wycelował w monitor w kącie pomieszczenia. Kilka sekund

później na ekranie pojawiły się dwie postacie - wysoki mężczyzna mówiący po francusku i dziewczyna o twarzy z obrazów El Greca. Gabriel jeszcze raz zobaczył, jak mężczyzna szepcze coś dziewczynie na ucho.

- To są prawdziwi zamachowcy - rzekł Bittel, wciskając pauzę.

- Dziewczyna ukryła bombę w toalecie w galerii, podczas gdy jej towarzysz zagadywał Girarda.

- Kim oni są?

- Mieliśmy nadzieję, że pan nam to powie.

- Nie widziałem ich nigdy wcześniej.

Bittel przyjrzał się Gabrielowi z powątpiewaniem, po czym wyłączył monitor.

- Pan jest wielkim szczęściarzem, Allon. Wygląda na to, że ma pan wielu wysoko postawionych przyjaciół. Jeden z nich wstawił się za panem.

- Więc to wszystko? Jestem wolny?

- Jeszcze nie całkiem. Faktem jest, że naruszył pan wiele praw zakazujących zagranicznej działalności szpiegowskiej, praw, które my traktujemy bardzo serio. Jesteśmy życzliwym krajem - dodał takim tonem, jakby powierzał rozmówcy jakąś niezwykle tajną informację - nalegamy jednak, żeby turyści byli na tyle uprzejmi, by meldować się w księdze gości, najlepiej pod własnym nazwiskiem.

- A co byście zrobili, gdybyśmy was poprosili o pomoc?

- Odesłalibyśmy was i załatwili to sami - odparł Bittel. - Jesteśmy Szwajcarami. Nie lubimy, gdy ktoś z zewnątrz miesza się w nasze sprawy.

- My też nie. Niestety, musimy z tym żyć na co dzień.

- Obawiam się, że to właśnie znaczy być Izraelczykiem. - Bittel filozoficznie skinął głową. - Historia dała wam kiepskie karty, ale to nie znaczy, że macie prawo traktować nasz kraj jako ośrodek wypoczynkowy dla szpiegów.

- Moje wizyty w waszym kraju nigdy nie były specjalnie rozrywkowe.

- Ale zawsze owocne. I tylko to się liczy. Jest pan pracowity, Allon. Podziwiamy to.

- A więc czego ode mnie chcecie?

- Chcielibyśmy, żeby pan zamknął swoje szwajcarskie rachunki.

- To znaczy?

- Ja zadaję pytania o pańskie dawne operacje, a pan na nie odpowiada. Tym razem zgodnie z prawdą - dodał z naciskiem.

- To może trochę potrwać.

- Ja się nigdzie nie śpieszę. Pan też nie, Allon.

- A jeśli odmówię?

- Zostanie pan oficjalnie oskarżony o szpiegostwo, terroryzm i morderstwo. I spędzi pan swoją zasłużoną emeryturę tu, w Szwajcarii.

Gabriel udał, że się namyśla.

- Obawiam się, że to za mało.

- Co pan ma na myśli?

- Ten układ - odrzekł Gabriel. - Chcę czegoś więcej.

- Nie ma pan prawa niczego żądać, Allon.

- Nie wytoczycie mi procesu, Bittel. Zbyt wiele wiem o grzeszkach waszych bankierów i przemysłowców. To by była PR-owa klęska dla Szwajcarii, podobnie jak skandal z kontami bankowymi powiązanymi z Holokaustem. - Przerwał. - Pamięta pan, prawda? Wszystko było w gazetach.

Tym razem Bittel odegrał przedstawienie, udając, że się zastanawia.

- No dobra, Allon. Czego pan chce?

- Sądzę, że pora otworzyć nowy rozdział w stosunkach szwajcarsko-izraelskich.

- Jak mielibyśmy to zrobić?

- Z pewnością obserwowaliście Davida Girarda przez jakiś czas - rzekł Gabriel. - Chcę dostać kopie waszych dokumentów, w tym zapisów rozmów telefonicznych i e-maili.

- Wykluczone.

- To jest nowy wspaniały świat, Bittel.

- Będę potrzebował zgody zwierzchników.

- Mogę poczekać - odparł Gabriel. - Jak pan sam stwierdził, nigdzie się nie śpieszę.

Bittel wstał i wyszedł z pokoju przesłuchań. Wrócił dwie minuty później. Szwajcarzy byli jednak niezwykle kompetentni.

- Będzie łatwiej, jeśli odwrócimy porządek chronologiczny - powiedział Bittel, otwierając notes. - Kilka miesięcy temu w pokoju hotelowym w Dubaju ścięto głowę obywatelowi Zurychu. Zastanawiamy się, czy mógłby nam pan powiedzieć, dlaczego.

*

Wiele lat wcześniej szwajcarski dysydent profesor Emil Jacobi dał Gabrielowi dobrą radę. „Gdy masz do czynienia ze Szwajcarią - tłumaczył - powinieneś pamiętać o jednym. Szwajcaria to nie jest prawdziwy kraj. To jest firma i zarządzają nią jak firmą”.

Dlatego Gabriel nie zdziwił się, że Bittel prowadził przesłuchanie z oficjalnym chłodem, jak transakcję finansową. Zachowywał się jak prywatny bankier - uprzejmie, ale z rezerwą, skrupulatnie, acz dyskretnie. Działał z należytą starannością, ale bez niepotrzebnej

złośliwości. Gabriel miał dobitne wrażenie, że ów pracownik służby bezpieczeństwa nie chce mieć w aktach nic, co mogłoby mu później przysporzyć problemów; że po prostu odfajkowuje pozycje na liście i podlicza rachunek. No, ale w końcu tak działają szwajcarscy bankierzy. Chcą pieniędzy klienta, ale niekoniecznie chcą wiedzieć, skąd one pochodzą.

Mężczyźni cofali się w czasie, aż doszli do sprawy Augustusa Rolfego, kiedy to Gabriel po raz pierwszy zainteresował się haniebnym zachowaniem banków szwajcarskich podczas drugiej wojny światowej. Uważał, żeby nie powiedzieć nic obciążającego, a jeszcze bardziej uważał, by nie zdradzić źródeł ani sekretów pracy operacyjnej Biura. Gdy Bittel naciskał go, by ujawnił więcej, on delikatnie odpierał presję. Gdy słyszał groźby, formułował własne. Nie przeprosił za swoje działania i nie prosił o rozgrzeszenie. Była to spowiedź bez wyznania winy i bez odprawienia pokuty. Czysta transakcja biznesowa.

- Czy coś mi umknęło? - zapytał Bittel.

- Chyba nie spodziewa się pan, że odpowiem na to pytanie?

Bittel zamknął notes i przywołał strażnika, żeby odprowadził Gabriela do celi. Czekają na niego porządne szwajcarskie śniadanie, przybory toaletowe i ubranie na zmianę. Jadł, oglądając poranny dziennik. Znowu nie było informacji o jego zatrzymaniu. Właściwie jedyna wiadomość z Sankt Moritz dotyczyła ważnego biegu narciarskiego Pucharu Świata.

Po śniadaniu zaprowadzono go pod prysznic i powiedziano, że ma godzinę, aby się wykapać i przebrać. Gdy wrócił do celi, czekał na niego Bittel. Miał ze sobą dwie aluminiowe walizeczki produkcji szwajcarskiej. W jednej znajdowały się materiały, o które prosił Gabriel. W drugiej fragmenty rozbitej hydrii.

- Jeśli pan sobie życzy - zaproponował Bittel - możemy powiedzieć francuskiej policji, że znaleźliśmy ją w schowku na lotnisku.

- Dziękuję - rzekł Gabriel - ale sam się tym zajmę.

- Lepiej wcześniej niż później - stwierdził Bittel. - Chodźmy. Pański transport już jest.

Poszli schodami na górę do głównego holu budynku. Na zewnątrz na podjeździe czekał mercedes sedan, jego rury wydechowe lekko dymiły. Bittel serdecznie uścisnął dłoń Gabriela, jakby całą noc oglądali razem stare filmy. Potem Gabriel odwrócił się i wsunął na tylne siedzenie. Po drugiej stronie, z komórką przyciśniętą do ucha, siedział Uzi Nawot. Spojrzał na bandaż na twarzy Gabriela i zmarszczył brwi.

- Zdaje się, że dali ci niezły wycisk.

- Warto było.

- Co dostałeś?

- Walizkę pełną pomocy od moich nowych serdecznych przyjaciół z DAP.

- To dobrze - powiedział Nawot. - Teraz przyda nam się wszelka pomoc.

Gabriel i Nawot przypuszczali, że Szwajcarzy w obu walizeczkach umieścili nadajniki, dlatego nie mówili do siebie nic więcej, dopóki nie znaleźli się w ambasadzie izraelskiej. Mieściła się w ponurym starym domu w dzielnicy dyplomatów, zamkniętej dla zwykłego ruchu. Oczekując na ich przybycie, personel przygotował w pokoju z systemem bezpiecznej łączności mnóstwo małych kanapeczek i szwajcarskich czekoladek. Nawot zaklął cicho pod nosem, umieszczając swe obfite ciało w fotelu.

- Gdy Szamron był szefem Biura, kierownicy lokalnych oddziałów zawsze pamiętali, żeby mieć w zapasie kilka paczek tureckich papierosów. Ale jak ja się zjawiam, wystawiają półmisek z jedzeniem. Czasem mam wrażenie, że tuczą mnie na ubój.

- Jesteś najpopularniejszym szefem od czasów Szamrona, Uzi. Ludzie cię uwielbiają. Co więcej, szanują cię. Tak samo premier.

- Ale to wszystko może się zmienić w mgnieniu oka, jeśli nie poradzę sobie z Iranem - odparł Nawot. - Dzięki tobie udało się ich chwilowo spowolnić, ale sabotaż i zamachy przestaną być skuteczne. W którymś momencie w niedalekiej przyszłości Irańczycy przekroczą granicę, za którą nie da się już ich powstrzymać, i staną się potęgą nuklearną. Mam powiedzieć premierowi, kiedy to nastąpi. A jeśli się pomyślę choćby o kilka dni, będziemy musieli żyć z widmem irańskiej bomby. - Nawot spojrzał na Gabriela poważnie. - Jak by ci się podobało, gdyby coś takiego wisiało ci nad głową?

- Nie podobałoby mi się. Dlatego właśnie powiedziałem Szamronowi, żeby zrobił szefem ciebie, nie mnie.

- Jest jakaś szansa, że zmienisz zdanie?

- Obawiam się, że po tobie byłbym rozczarowaniem, Uzi.

- Dzięki za wotum zaufania. - Nawot popchnął tacę z jedzeniem w stronę Gabriela. - Zjedz coś. Musisz być wygłodzony po tym wszystkim, co przeszedłeś.

- Szczerze mówiąc, dobrze się mną opiekowali.

- Czym cię karmili?

Gabriel mu opowiedział.

- Smaczne było?

- Raclette było pyszne.

- Zawsze je uwielbiałem.

- Ziemniaki duszone w serze. Nie da się nie uwielbiać.

Nawot porwał z tacy kanapkę z jajkiem i rzeżuchą i wsadził sobie do ust.

- Przykro mi, że musiałem cię zostawić w Sankt Moritz, ale doszedłem do wniosku, że łatwiej będzie wydostać ze szwajcarskiego aresztu jednego agenta niż dziewięciu. Na szczęście otrzymaliśmy pomoc.

- Jaką?

- Twoich przyjaciół z Watykanu.

- Donatiego?

- Wyżej.

- Nie mów mi tylko, że wmieszałeś w to Jego Świątobliwość.

- Obawiam się, że sam się wmieszał - odparł Nawot.

- Jak?

- Poleciał Aloisowi Metzlerowi z Gwardii Szwajcarskiej wykonać kilka dyskretnych telefonów do Berna. Gdy zaangażował się Metzler, było już tylko kwestią czasu, kiedy cię wypuszczą. Biuro zdołało pozostać całkiem z boku.

- Musiałem zapłacić pewną cenę za uwolnienie.

- Jak wysoką?

Gabriel opowiedział mu o przesłuchaniu.

- Czy cokolwiek z tego, co im powiedziałaś, było prawdą?

- Ciut.

- Zuch chłopak. - Kolejna kanapka zniknęła w ustach Nawota.

- Pewnie nie udało wam się zidentyfikować tej pary, która przyszła do galerii przede mną?

- Oczywiście, że nam się udało. - Nawot otrzepał palce z okruchów. - Dziewczyna to nowicjuszka, ale jej przyjaciela bardzo dobrze znamy. Nazywa się Ali Montazeri.

- Irańczyk?

Nawot kiwnął głową.

- Ali jest dumnym wychowankiem Irańskiej Gwardii Rewolucyjnej. Teraz zatrudnia go VEVAK jako kontraktowego zabójcę i zamachowca. Jest odpowiedzialny za śmierć dziesiątek irańskich dysydentów w Europie i na Bliskim Wschodzie. Nawiasem mówiąc, kiedyś próbował zabić m n i e, gdy pracowałem pod Paryżem.

- Dlaczego Irańczycy mieliby wysłać jednego ze swoich najlepszych zamachowców do Szwajcarii z misją zabicia agenta Hezbollahu?

- Dobre pytanie. - Nawot milczał przez chwilę. - Gdy ty jadłeś cielęcinę i raclette w swojej szwajcarskiej celi, Biuro zalała nowa fala informacji sugerujących, że Hezbollah ma zamiar w nas uderzyć. Mówimy tu o dużej skali, Gabrielu.

- Jak dużej?

- Jak jedenasty września - odrzekł Nawot. - Na tyle dużej, by rozpętać wojnę. A biorąc pod uwagę to, co się dzieje w południowym Libanie, wygląda na to, że Hezbollah się na nią szykuje. Rozlokowują swoje zaprawione w boju myśliwce niedaleko naszej granicy. Ściągają tam też pociski raketowe.

- Wiemy coś więcej o potencjalnych celach?

- Wszystko nadal wskazuje na Europę, dlatego fakt, że Davida Girarda zlikwidowano akurat teraz, jest tak interesujący. Dina ma przeczucie, że to jest powiązane.

- Zawsze się denerwuję, gdy Dina ma przeczucie.

- Ja też.

- Na ile jesteś pewny, że tę bombę podłożył Ali Montazeri?

- Na sto procent.

- Chyba powinniśmy o tym zawiadomić naszych nowych przyjaciół Szwajcarów.

- Tak by nakazywał honor - odparł Nawot. - Ale obecnie wolałbym raczej zapożyczyć element z taktyki irańskiej.

- Który?

- *Khod'eh*.

- Wprowadzenie wrogów podstępem w błąd co do oceny naszego prawdziwego położenia?

- Zgadza się.

- Co planujesz?

- Najpierw pozwalamy myśleć Irańczykom, że Sankt Moritz uszło im na sucho. Następnie zabieramy te materiały, które dali nam Szwajcarzy, na Bulwar Króla Saula i oddajemy do dyspozycji Diny.

- Powinniśmy zrobić jeszcze jedno - powiedział Gabriel.

- Co?

- Znaleźć kogoś, kto zrekonstruuje tę grecką wazę.

- A ty nie możesz?

- Ja jestem od obrazów.

Nawot spojrział na talerz z kanapkami.

- Na pewno nie jesteś głodny? Naprawdę są całkiem dobre.

- Nie krępuj się, Uzi.

- Może powinniśmy je zapakować i wziąć do samolotu. Posiłki w liniach El Al ostatnio bardzo się popsuły.

*

Zdążyli na lot o dwunastej czterdzieści pięć z zuryskiego lotniska Kloten i o wpół do szóstej lądowali na lotnisku Ben Guriona. Opancerzona limuzyna marki Peugeot czekała na płycie lotniska, otoczona ochroniarzami w liczbie dwa razy większej niż zwykle. O maskę samochodu, z nogami w niebieskich dżinsach skrzyżowanymi w kostkach, z rękami splecionymi poniżej piersi, opierała się Chiara. Długo tuliła Gabriela w milczeniu, zapłakaną twarz ukrywając w jego szyi. Potem pocałowała go w usta i delikatnie dotknęła bandaży na jego policzkach.

- Wyglądasz okropnie.

- A czuję się jeszcze gorzej.

- Kazałabym ci jechać do domu i przespać się parę godzin, ale obawiam się, że nie ma na to czasu.

- Co się dzieje?

Podala Nawotowi karteczkę. Przeczytał w świetle reflektorów limuzyny.

- Dowódca wojskowy Hezbollahu każe swoim oddziałom przygotować się na intensywny odwet izraelski mający nastąpić w ciągu najbliższych dwóch tygodni. - Nawot zmiął papier w kulkę. - Czyli to się dzieje naprawdę. Zamierzają w nas uderzyć, Gabrielu. Bardzo mocno. I bardzo niedługo.

*

Okazało się, że oficer szwajcarskiej służby bezpieczeństwa, który przesłuchiwał Gabriela, dotrzymał słowa. Eli Lawon uznał uzyskane od Szwajcarów materiały za bezcenne: porównał to do odkrycia miasta z dotychczas nieznannej cywilizacji. Co było jeszcze bardziej niesamowite, jego zdaniem, to fakt, że dostarczyły ich służby, które zawsze były nieprzyjaźnie nastawione do interesów Izraela, a nawet do samego jego istnienia.

- Może mimo wszystko nie jesteśmy sami - powiedział swojej ekipie przy kolacji tego wieczoru. - Jeśli Szwajcarzy potrafią nam pomóc w potrzebie, wszystko jest możliwe.

Najwyraźniej David Girard vel Daud Ghandur pojawił się na wewnętrznym radarze DAP wkrótce po otrzymaniu jaskrawoczerwonego szwajcarskiego paszportu, który pozwalał mu na swobodne podróżowanie do krajów Bliskiego Wschodu. Wśród materiałów znajdował się oryginalny okólnik od szefa urzędu zawiadującego Onyxsem, szwajcarskim elektronicznym systemem przechwytywania informacji, pełen obaw dotyczących telefonów i

e-maili z i do galerii Naxos, nie mówiąc o jej transakcjach finansowych. DAP była na tyle miła, że dołączyła odnośny raport, łącznie z późniejszymi aktualizacjami Onyksu. Gdy dodano owe informacje do tych będących już w posiadaniu ekipy, okazało się, iż materiał stanowi niepodważalny dowód, że galeria Naxos gromadziła fundusze dla Hezbollahu. Równie wyraźnie rysowało się powiązanie między galerią a Carlem Marchesem. Agentom udało się wytropić nie mniej niż pięćdziesiąt przelewów od Davida Girarda, które przeszły przez Libański Bank Bizantyjski i w końcu trafiły na kontrolowane przez Carla rachunki w Banku Watykańskim. Oto była *cordata*, której poszukiwał Gabriel - lina łącząca Carla z terrorystami z Hezbollahu. Szwajcarzy posiadali te dowody przez cały czas. Po prostu nie mieli klucza, żeby złamać szyfr.

Chwilowo jednak Carlo był dla ekipy zmartwieniem drugoplanowym, ponieważ z każdym dniem stawało się bardziej oczywiste, że David Girard był zaangażowany w coś więcej niż tylko gromadzenie funduszy. Sześć miesięcy wcześniej zadzwonił pod numer w dolinie Bekaa w Libanie, który jak ustaliło Biuro, prowadził do miejscowego przywódcy Hezbollahu. Dwa tygodnie później zadzwonił pod numer w Kairze powiązany z jedną z licznych komórek Hezbollahu wyrosłych na gruncie pogrążonego w chaosie porewolucyjnego Egiptu. Do tego dochodziło dwieście tysięcy dolarów, które zapłacił handlarzowi tajlandzkimi antykami w Bangkoku, siedlisku Hezbollahu w Azji Południowo-Wschodniej.

- Gdybym miała zgadywać - rzekła Dina - powiedziałaabym, że nieżyjący David Girard był listonoszem. Wykorzystywał pracę w branży antyków jako przykrywkę dla dostarczania tajnej korespondencji komórkom Hezbollahu rozsianym po całym świecie.

- Czemu więc Irańczycy pragnęli jego śmierci?

- Być może poczta, którą dostarczał, miała coś wspólnego z nadchodzącym atakiem.

Lub może...

- Co, Dino?

- Może miała przylepiony teherański znaczek.

Ostatecznie to nie szwajcarska technologia dostarczyła odpowiedzi, ale zwykle tradycyjne zdjęcie z obserwacji. Zrobione ukrytą kamerą, pokazywało Davida Girarda jadącego tramwajem w Zurychu, pozornie samego. Przez trzy dni wisiało na zaśmieconej ścianie pokoju 456C, bardziej jako dekoracja niż cokolwiek innego, aż pewnego razu Dina, mijając je po drodze do archiwum, stanęła jak wryta. Zerwała zdjęcie ze ściany, wpatrując się nie w Girarda, ale w siedzącą obok niego postać z niewielkim zarostem. Mężczyzna miał głowę odwróconą od Girarda, podobnie jak szerokie plecy, a słońce wlewające się przez okno tramwaju zdawało się płonąć ogniem w kryształach ciężkiego wodoodpornego zegarka, który

miał na prawym przegubie. Blask przyciągnął uwagę Diny do jego dłoni i to wtedy zauważyła bandaż.

- To on - wyszeptała. - To nikt inny jak sam diabeł.

Porównali zdjęcie mężczyzny w zuryskim tramwaju ze wszystkimi znanymi jego fotografiami, które mieli w swoich zbiorach, jednak komputery podały informację, że dane są niewystarczające do pozytywnej identyfikacji. Dina z determinacją uniosła podbródek i oświadczyła, że komputery się mylą. To on; jest tego pewna. Może przysiąc na swoją karierę.

- Poza tym - ciągnęła - nie patrzcie na twarz. Spójrzcie na dłoń. - Dłoń, która została przestrelona przez Izraelczyków w Libanie, gdy pomagał przekształcić grupę szyickich obdartusów w najpotężniejszy oddział terrorystyczny na świecie. Dłoń, która spłynęła krwią. To Massud - oświadczyła. - Massud, szczęściarz.

Gabriel pomaszerował z nią na górę i pozwolił jej zrelacjonować sprawę bezpośrednio Uziemiu Nawotowi. Nawot pobladł, słuchając jej, a jego wzrok powędrował mimowolnie do sterty najnowszych informacji zapowiadających rychły atak. Na końcu odprawy poprosił o zalecenia, a Gabriel udzielił mu tylko jednego. Naturalnie, istnieje ryzyko, powiedział, ale znacznie gorsze jest ryzyko, jakie niesie bierność.

Nawot szybko zaczął czynić starania o zgodę premiera i po godzinie miał już pozwolenie na operację. Pozostawała tylko obowiązkowa kurtuazyjna wizyta u Amerykanów, zadanie, które z ulgą powierzył Gabrielowi.

- Rób, co chcesz - oświadczył, gdy jechali na lotnisko Ben Guriona - ale nie prosź ich o pozwolenie. Dowiedz się tylko, czy nie ma jakichś min, które mogą nas wysadzić w powietrze. Nie mówimy tu o żadnym odłamie OWP, tylko o pieprzonym Imperium Perskim.

Niegdyś była tu ziemia uprawna, ale już dawno została wchłonięta przez niepowstrzymanie rozwijającą się w kierunku zachodnim aglomerację Waszyngtonu. Obecnie jedyne, co tu wzrastało, to osiedla dużych domów o malejącej wartości oraz zdrowo wyglądające dzieci, które spędzały o wiele za dużo czasu, błądząc po najciemniejszych zakamarkach Internetu. Nazwy tutejszych krętych ślepych uliczek świadczyły o bezgranicznym optymizmie Amerykanów

- Sunnyside i Apple Blossom, Fairfield i Crest View - jednak nie dało się ukryć faktu, że Ameryka, ostatni przyjaciel Izraela na świecie, weszła w stan schyłku.

Dwukondygnacyjny dom z cegły przy końcu Stillwater Court różnił się od sąsiednich rezydencji jedynie tym, że miał kuloodporne szyby. Przez wiele lat sąsiedzi myśleli, że człowiek, który tam mieszka, pracuje w jednej z nowoczesnych firm mieszczących się na Dulles Corridor. Ale przyszedł awans, który wymagał od niego, by zaczął poruszać się opancerzonym cadillakiem escalade, i wkrótce sąsiedzi uświadomili sobie, że mają między sobą szpiega. Jednakże nie było jakiego szpiega; Adrian Carter był szefem wydziału operacyjnego CIA. Faktycznie Carter utrzymał się na tym stanowisku dłużej niż którykolwiek z jego poprzedników - wyczyn ten przypisywał bardziej swojemu uporowi niż talentowi. Ale to było dla Cartera typowe. Jako jeden z ostatnich dyrektorów Agencji mających angloamerykańskie protestanckie pochodzenie uważał, że próżność to grzech, od którego gorsze jest tylko oszukiwanie w grze w golfa.

Choć był dopiero marzec, słońce paliło Gabriela w kark, gdy szedł przez szeroki trawnik Cartera z ochroniarzem z CIA przy boku. Carter czekał w otwartych drzwiach. Miał potargane rzednące włosy niczym profesor uniwersytetu oraz wąsy, które wyszły z mody razem z muzyką disco, elektrycznymi wolnowarami i ruchem na rzecz rozbrojenia nuklearnego. Jego jasnobrażowe drelichowe spodnie domagały się prasowania. Bawełniany sweter zaczynał się przecierać na łokciach.

- Wybacz, że ściągnąłem cię do siebie - powiedział, ściskając dłoń Gabriela - ale to jest mój pierwszy wolny dzień od miesiąca i nie mogłem znieść myśli o jeździe do Langley czy jednego z naszych lokali konspiracyjnych.

- Byłbym szczęśliwy, gdybym już nigdy nie musiał oglądać żadnego lokalu

konspiracyjnego.

- Więc dlaczego wróciłeś? - zapytał Carter poważnie. - I co się, do cholery, stało z twoją twarzą?

- Stałem zbyt blisko szwajcarskiej galerii z antykami, gdy wybuchła w niej bomba.

- Sankt Moritz?

Gabriel skinął głową.

- Wiedziałem, że sobie ciekawie pogadamy.

- Nie słyszałeś jeszcze najlepszego.

Carter uśmiechnął się.

- Wejdźcie - powiedział i zamknął za nimi drzwi. - Wysłałem żonę na długi spacer. I nie musisz się martwić, zabrała ze sobą Molly.

- Kim jest Molly?

- Hau, hau!

*

Na osłoniętym ganku z widokiem na zielony skrawek amerykańskiego marzenia Cartera czekał na nich lunch w postaci zimnego bufetu. Gabriel posłusznie zapełnił talerz wędlinami i sałatką makaronową, ale niczego nie tknął, gdy opowiadał o dziwnej drodze od Bazyliki Świętego Piotra do domu najważniejszego amerykańskiego szpiega. Na końcu podał mu dwa zdjęcia. Na pierwszym Ali Montazeri i dziewczyna z obrazów El Greca wychodzili z galerii Naxos w Sankt Moritz. Drugie prezentowało właściciela galerii jadącego zuryskim tramwajem, pozornie samego.

- Przyjrzyj się dokładnie człowiekowi siedzącemu po jego lewej stronie - rzucił Gabriel.
- Poznajesz go?

- Raczej nie.

- A teraz?

Gabriel podał Carterowi inne zdjęcie tego człowieka. Wchodził na nim do Ambasady Irańskiej w Berlinie. Carter spojrzał na Gabriela bacznie.

- Massud?

- We własnej osobie.

Carter, syn pastora Kościoła episkopalnego, zaklął pod nosem.

- Mam takie same odczucia.

Carter położył zdjęcie na stole obok pozostałych i patrzył na nie w milczeniu. Massud Rahimi był jednym z tych obywateli tajnego świata, których nie trzeba było przedstawiać. Szczerze mówiąc, najczęściej ludzie nie zwracali sobie głowy nawet jego nazwiskiem. Był

po prostu Massudem, człowiekiem, który maczał palce w każdym większym akcie terroryzmu powiązanym z Iranem od czasu zbombardowania koszar marines w Bejrucie w 1983 roku. Obecnie Massud pracował w Ambasadzie Irańskiej w Berlinie, która spełniała też funkcję głównej zachodniej wysuniętej bazy terrorystycznej VEVAK. Posługiwał się paszportem dyplomatycznym na inne nazwisko i utrzymywał, iż jest funkcjonariuszem niższego szczebla w dziale konsularnym. Nawet Niemcy, którzy pozostawali w krępująco bliskich stosunkach handlowych z Iranem, nie wierzyli mu ani na jotę.

- Zatem jaką masz teorię? - zapytał Carter.

- Powiedzmy, że nie wierzymy, że to był zbieg okoliczności, iż Massud i David Girard jechali tym samym tramwajem w Zurychu.

- Myślisz, że to Massud kazał podłożyć bombę w Sankt Moritz?

- To w jego stylu - odparł Gabriel. - Nigdy się nie wzbrania przed zadaniem cierpienia swoim, gdy musi chronić jakiś sekret.

- A ty teraz chcesz się dowiedzieć, co to za sekret.

- Właśnie.

- W jaki sposób?

- Mieliśmy nadzieję, że Massud zgodzi się nam to powiedzieć sam.

- Myślisz, żeby spróbować go przekupić?

- Massud prędzej podciąłby sobie żyły, niż przyjął pieniądze od Żydów.

- Wymuszenie zdrady?

- Nie ma czasu.

Zapadło ciężkie milczenie.

- Nie muszę ci przypominać, że Massud ma paszport dyplomatyczny - powiedział Carter po chwili. - A to czyni go nietykalnym.

- Nikt nie jest nietykalny. Nie wtedy, gdy stawką jest życie ludzkie.

- Massud jest - odparł Carter. - Jeśli przez was choćby włos spadnie mu z głowy, zacznie się polowanie na wszystkich dyplomatów izraelskich na świecie.

- Gdybyś przypadkiem nie zauważył, Adrianie, ono już trwa. Poza tym nie przyszedłem tu po radę.

- Więc p o c o?

- Chciałem się dowiedzieć, czy boisko jest czyste.

- Mogę zdecydowanie stwierdzić, że Agencja znajduje się daleko od boiska - rzekł Carter. - Ale powinieneś wiedzieć, że Niemcy parę lat temu rozważali atak na Massuda.

- Jakiego rodzaju atak?

- Podobno Massud ma słabość do rzeczy najwyższej jakości. Zazwyczaj ukrywa część swego budżetu operacyjnego i chomikuje w bankach w całej Europie. Wywiad niemiecki to odkrył. Zamierzali zaprosić Massuda na małą pogawędkę, pod koniec której daliby mu prosty wybór: będziesz pracował dla nas albo powiemy twoim szefom w Teheranie, że defraudujesz środki państwowe.

- Skąd o tym wiesz?

- Bo Niemcy zgłosili się do mnie z pytaniem, czy Agencja chce się przyłączyć. Dali mi nawet kopie dowodów, które mieli przeciw niemu.

- I co?

- I nic - odparł Carter. - To się działo w czasie, gdy Biały Dom uważał, że potrafi skłonić Irańczyków do rezygnacji z programu nuklearnego. Prezydent i jego ekipa nie chcieli zrobić nic, co wkurzyłoby Irańczyków. Jak się okazało, nie chciała tego również kanclerz Niemiec. Obawiała się, że mogłoby to przeszkodzić w interesach, które jej firmy robiły w Iranie.

- Czyli sprawa upadła - podsumował Gabriel. - A teraz morderca siedzi w Berlinie i knuje atak na mój kraj.

- Na to wygląda.

- Gdzie jest ten materiał od niemieckiego wywiadu?

- Zamknięty w archiwach Langley.

- Chcę go mieć.

- Możesz go dostać - odparł Carter - ale to cię będzie kosztować.

- Ile?

- Mam długą listę pytań, na które chciałbym otrzymać odpowiedzi.

- Dlaczego po prostu nie przyłączysz się do nas, dla rozrywki?

- Dziękuję ci bardzo za taką rozrywkę. - Carter popatrzył na Gabriela poważnie. - Jeśli pozwolisz, dam ci dwie rady.

- Skoro musisz.

- Wymyślcie dobrą legendę operacyjną - rzekł Carter. - I cokolwiek zrobicie, nie schrzańcie tego. Bo jest wielce prawdopodobne, że w przeciwnym razie zaczniecie trzecią wojnę światową.

*

Carter zorganizował niemieckie dokumenty tak dyskretnie, że niemal nikt tego w Langley nie zauważył, i w ciągu godziny zostały mu one dostarczone do domu przez kuriera Agencji. Ponieważ Carter nie mógł mu ich przekazać, Gabriel spędził resztę tego ciepłego

popołudnia na jego ganku, ucząc się szczegółów finansowych przekrętów Massuda na pamięć. Carter pomógł mu przebrnąć przez niektóre subtelności, ale większość czasu poświęcił na sporządzenie listy pytań, które miały zostać zadane Massudowi. Spisał je odręcznie, a następnie spalił niewykorzystane kartki żółtego bloku listowego. Carter był szpiegiem nad szpiegami, którego oddanie dla wypróbowanych metod operacyjnych było absolutne. Kpiarze z Langley twierdzili, że gdy chce kochać się z żoną, zostawia znaki kredą na wezglówiu łóżka.

Dochodziła czwarta, gdy Gabriel skończył przeglądać wszystkie dokumenty, w związku z czym miał już niewiele czasu, by zdążyć na wieczorny lot Lufthansy do Berlina. Gdy wyszli na zewnątrz do czekającego escalade, Carter wydawał się zawiedziony, że Gabriel już odjeżdża. Prawdę mówiąc, był tak dziwnie troskliwy, że Gabriel lekko się zdziwił, że nie przypomina mu o zapięciu pasa.

- Coś cię gnębi, Adrianie?

- Zastanawiam się, czy na pewno dasz radę.

- Jeśli jeszcze raz ktoś mnie o to zapyta, to...

- To uczciwe pytanie - uciął Carter. - Gdyby któryś z moich ludzi przeszedł przez to, co ty na Ar-Rab al-Chali, byłby na permanentnym urlopie.

- Staralem się.

- Może następnym razem powinieneś się lepiej starać. - Carter uściśnął dłoń Gabriela. - Przyślij mi kartkę z Berlina. A gdyby cię przypadkiem aresztowali, zapomnij, skąd masz informacje o nadprogramowych zajęciach Massuda.

- To będzie nasz mały sekret, Adrianie. Jak wszystko inne.

Carter uśmiechnął się i zamknął drzwiczki. Gabriel zobaczył go po raz ostatni, stojącego na chodniku, z ręką uniesioną, jakby przywoływał taksówkę. Potem escalade wjechał z łoskotem w zakręt i Carter zniknął. Gabriel patrzył przez przyciemnione szyby na wypielęgowane trawniki i młode drzewa w pełnym rozkwicie, ale w głowie miał tylko liczby. Liczby związane z tajnymi kontami Massuda. I godziny, które pozostały do chwili, gdy za sprawą Massuda ulice spłyną krwią.

Jedną z tajemnic operacyjnych było to, dlaczego na lokal konspiracyjny ekipy w Berlinie wybrano willę w dzielnicy Wannsee. Szef Administracji utrzymywał, że był to zwykły zbieg okoliczności, że wybrał ów dom po prostu ze względu na jego dogodne położenie i funkcjonalność. Dopiero później, gdy oficjalna historia tej sprawy była spisywana dla potomności, przyznał, że na jego decyzję wpłynął sam Ari Szamron. Szamron chciał przypomnieć Gabrielowi i jego ekipie, co wydarzyło się w Wannsee w styczniu 1942 roku, kiedy to piętnastu wyższych rangą nazistów zebrało się na obiedzie w willi nad jeziorem, aby opracować biurokratyczne szczegóły eksterminacji pewnego narodu. I być może, a wszyscy się co do tego zgadzali, chciał im przypomnieć o potencjalnej cenie porażki.

Sam dom stał niecały kilometr na południe od miejsca konferencji w Wannsee, przy gęsto obsadzonej drzewami uliczce o trafnej nazwie Lindenstrasse. Otaczały go dwa wysokie ogrodzenia: mur z kruszącej się cegły oraz bujny żywopłot. W pustych pokojach czuć było wilgoć i kurz, unosił się też lekki zapach brandy. W stawie rybnym drzemały pod pokrywą z lodu tłuste cętkowane karpie.

Członkowie ekipy tym razem udawali pracowników firmy VisionTech z Montrealu, która istniała tylko w wyobraźni urzędnika z Bulwaru Króla Saula. Według wymyślonej legendy przyjechali do Berlina, żeby rozpocząć współpracę z firmą niemiecką, co tłumaczyło niezwykłą liczbę komputerów i innego sprzętu technicznego, który mieli ze sobą. Większość wyposażenia trzymali w ogromnej eleganckiej jadalni, służącej im za centrum operacyjne. W ciągu kilku godzin od ich przybycia ściany jadalni pokryły mapy w dużej skali oraz zdjęcia z obserwacji człowieka, który udawał urzędnika niższego szczebla w ambasadzie irańskiej, a w rzeczywistości był mózgiem międzynarodowego terroryzmu w swoim kraju.

Dina z zadowoleniem przyjęła zadanie przygotowania pytań do przesłuchania Massuda, które należało przeprowadzić już dawno temu. Jej przestrzeń robocza wyglądała jak wystawka poświęcona ewolucji współczesnego terroryzmu. W jego centrum znajdował się Massud Rahimi, poczynając od listopada 1979 roku, kiedy to był w grupie studentów i bojowników szturmujących Ambasadę Amerykańską w Teheranie. Kilku z pięćdziesięciu dwóch zakładników zidentyfikowało go później jako najokrutniejszego z dręczycieli. Do jego ulubionych rozrywek należały pozorowane egzekucje. Już wtedy Massud najbardziej lubił

patrzeć, jak Amerykanie błagają go o życie.

Jego kolejny gwiazdorski występ miał miejsce w Libanie w 1982 roku, gdy zaczął współpracować z nowym ugrupowaniem szyickich bojowników znanym jako Islamski Dżihad. Mówiło się, że Massud wydatnie przyczynił się do zmiany nazwy na Hezbollah (Partia Boga). Mówiono także, że osobiście pomagał składać sześciotonową bombę - umiejscowioną w ciężarówce - która zniszczyła koszary amerykańskich marines na lotnisku w Bejrucie 23 października 1983 roku o szóstej dwadzieścia dwie. Eksplozja ta, największy wybuch niejądrowy od czasu drugiej wojny światowej, zabiła 243 amerykańskich wojskowych i na zawsze zmieniła oblicze globalnego terroru. To nie był koniec ataków. Porywano samoloty, brano zakładników, podkładano bomby w ambasadach. Wszystkie te wydarzenia miały jeden element wspólny. Zostały przeprowadzone na rozkaz człowieka, który teraz pracował w Ambasadzie Irańskiej w Berlinie i którego chronił paszport dyplomatyczny.

Ale jak przekonać kogoś takiego jak Massud, żeby zdradził swoje zbrodnicze sekrety? A przede wszystkim: jak się do niego dobrać? Musieli zastosować uświęconą tradycją szyicką strategię zwaną *lakijja*, polegającą na okazywaniu innej intencji niż rzeczywista. Gabriel oświadczył, że nie będą porywać Massuda. Będą jego wybawcami i obrońcami. A gdy już wycisną z niego wszystko, niech sobie robi, co chce. Złapać i wypuścić, tak to nazwał. Żadnej krzywdy, czysta gra.

Woleliby wcześniej poobserwować go choćby przez miesiąc, ale to było niemożliwe; na Bulwarze Króla Saula błyskały czerwone światła, bo wszelkie informacje wskazywały na możliwość ataku w ciągu tygodnia lub nawet wcześniej. Musieli dorwać Massuda, zanim zaczną wybuchać bomby lub zanim Teheran znajdzie pretekst, by wezwać go do kraju. Największą obawą Gabriela było to, że VEVAK odłoży plany wobec Massuda na później, pozostawiając go poza zasięgiem Biura czy kogokolwiek innego. Dlatego Gabriel wyznaczył termin trzydniowy - trzy dni na to, aby zaplanować akcję i uprowadzić irańskiego dyplomatę w sercu Berlina. Gdy Eli Lawon stwierdził, że ich szanse powodzenia są jak jeden do czterech, Gabriel pokazał mu prowizoryczne biuro Diny, żeby zobaczył zdjęcia tego, co może się stać, jeśli im się nie uda. „Nie chcę szans” - powiedział Gabriel. „Chcę Massuda”.

Zadanie nieco ułatwiał im fakt, że Massud wyraźnie czuł się bezpiecznie na niemieckiej ziemi. Jego rozkład dnia - przynajmniej w tym krótkim czasie, w którym byli w stanie go poobserwować - podlegał surowemu reżimowi. Większość czasu spędzał w agencji VEVAK w ambasadzie, która przypadkiem znajdowała się tuż obok Niemieckiego Instytutu Archeologicznego, co ekipa uznała za dobry omen. Przybywał tam nie później niż o ósmej

rano, a wychodził późnym wieczorem. Jego mieszkanie znajdowało się trzy kilometry na północ od ambasady, w części Berlina zwanej Charlottenburgiem. Jego służbowy samochód wydawał się nieopancerzony, choć oprych rodem z VEVAK, pełniący funkcję jego kierowcy i ochroniarza, na pewno był uzbrojony. Zadanie unieszkodliwienia ochroniarza w noc uprowadzenia przypadło Michaiłowi. Nie trzeba go było dwa razy namawiać. Przez całe lata, służąc w Siłach Zbrojnych Izraela, musiał unikać kul Irańczyków i bardzo chciał się zrewanżować.

Ale gdzie to zrobić? Na ruchliwej ulicy? Na cichej? Na światłach? W progu domu Massuda? Gabriel zarządził, że o wyborze miejsca zadecyduje tylko jeden czynnik. Musieli mieć wolną drogę ucieczki zarówno w przypadku powodzenia, jak i porażki. Jeśli wybiorą miejsce zbyt blisko ambasady irańskiej, ryzykują strzelaninę w dzień i w nocy, bo placówki pilnuje niemiecka policja. Z kolei jeśli pozwolą Massudowi za bardzo zbliżyć się do jego mieszkania, mogą utknąć w gęstym ruchu ulicznym Charlottenburga. Ostatecznie wybór stał się jasny dla wszystkich. Gabriel zaznaczył ten punkt na mapie krwistoczerwoną szpilką. Dla Elego Lawona wyglądało to jak nagrobek.

W tym momencie operacja weszła w fazę, którą ekipa nazywała „podejściem do lądowania”. Mieli cel, mieli plan, mieli swoje zadania. Teraz musieli tylko sprowadzić samolot na ziemię, nie zabijając siebie ani nikogo na ziemi. Nie mieli urządzeń pokładowych, które by ich prowadziły, trzeba więc było postępować w sposób staroświecki, kierując się instynktem i zimną krwią i licząc na łut szczęścia. Starali się ograniczyć wiarę w opatrność do absolutnego minimum. Gabriel uważał, że na szczęście w operacji nie należy liczyć, tylko powinno się na nie zasłużyć. I zazwyczaj jest ono efektem drobiazgowego planowania i przygotowań.

W słowniku Biura była to operacja „o wielu kołach”, co oznaczało, że wymagała użycia kilku samochodów różnych marek i modeli. Wydział Biura, który zajmował się sprawami transportu, zdobywał większość pojazdów z zaprzyjaźnionych europejskich wypożyczalni w taki sposób, by nie można było namierzyć żadnego z członków ekipy. Jednak najważniejszy pojazd był własnością Biura. Furgonetka marki Volkswagen z ukrytym schowkiem do przewozu ludzi odegrała główną rolę w jednej z najsłynniejszych operacji Gabriela - porwaniu nazistowskiego zbrodniarza wojennego Ericha Radka z jego domu w śródmieściu Wiednia. Tamtej nocy za kierownicą siedziała Chiara. Radek wciąż regularnie pojawiał się w jej najgorszych koszmarach nocnych.

Chiara, ku swemu wielkiemu rozczarowaniu, nie znalazła się wśród berlińskiej ekipy, choć jej rola w operacji pozostawała zasadnicza. Zadaniem Chiary była koordynacja

skomplikowanego elementu *takijji*, mającego na celu zatarcie śladów i ewentualnie zmylenie pościgu Niemców i Irańczyków. Jak wszystkie dobre kłamstwa, to też było wiarygodne i zawierało trochę prawdy. I być może, a tak sądził Gabriel, zawierało także promyk nadziei na przyszłość - przyszłość, w której Iran nie będzie już w rękach kliki religijnych szaleńców. Mułlowie i ich sługusi z Gwardii Rewolucyjnej nie byli racjonalnymi graczami. Byli nieprzewidywalni i przerażający. Bliski Wschód nie zazna prawdziwego spokoju, póki oni nie przejdą do historii.

Były także inne oszustwa, jak na przykład brezentowy plecak wypełniony kremową gliną, kablami i urządzeniami zegarowymi oraz mała mina w stylu min dywersyjnych, która robiła więcej hałasu niż szkody. Ale wiedzieli, że to wszystko nie zda się na nic, jeśli nie zdołają wyciągnąć Massuda z jego samochodu przy minimum przemocy. Po długich naradach postanowiono, że Jakow będzie ostrym końcem miecza, natomiast Oded, ten łagodniejszy, odegra rolę pomocniczą. Jakow, doświadczony w przesłuchiowaniu terrorystów, miał twarz i postawę, które nie pozostawiały wątpliwości, że nie żartuje. Co ważniejsze, wywodził się z Żydów niemieckich i, podobnie jak Gabriel, mówił płynnie po niemiecku. Zadaniem Jakowa miało być wywabienie Massuda z samochodu. A jeśli słowa nie zadziałają, Oded miał uderzyć bardzo dużym młotem.

Nie mieli odwagi przeciwzyć całej akcji na ulicy, robili więc nie zliczone próby generalne w mniejszej skali w obrębie swego lokalu konspiracyjnego w Wannsee. Początkowo postawa Gabriela była rzeczowa, ale w miarę jak sesje próbne się przeciągały, zaczął się irytować. Michał obawiał się, że to echa wybuchu bomby w Sankt Moritz lub nawet wydarzeń z pustyni Ar-Rab al-Chali. Jednak Eli Lawon wiedział, że to nieprawda. To jest Berlin, powtarzał. Berlin był miastem duchów dla nich wszystkich, ale szczególnie dla Gabriela. To było rodzinne miasto jego dziadków ze strony matki. I najprawdopodobniej byłoby też miastem Gabriela, gdyby nie banda zbrodniarzy, którzy niegdyś zebrali się w willi nad jeziorem przy tej samej ulicy.

Dlatego wysłuchiwali z podziwu godną cierpliwością, gdy po raz setny podważał każdy aspekt ich planu. I pozwolili sobie na mały uśmiech, gdy strasznie zrugął Jakowa i Odeda po jakimś szczególnie nieudanym próbnym finale. Bardzo też uważali, żeby się do niego nie zbliżać niespostrzeżenie, gdy był sam, bo mimo że spędził w tym zawodzie całe życie, zrobił się wyjątkowo nerwowy. Wreszcie, podczas ostatniego popołudnia w Berlinie, gdy już nie mogli dłużej znieść jego złego humoru, przyciemnili mu jego charakterystyczne siwe skronie i ukryli zapadające w pamięć zielone oczy za okularami. Następnie włożyli na niego płaszcz, owinęli go szalikiem i delikatnym kuksańcem wypchnęli z domu, żeby pospacerował sobie

wśród duchów.

*

Był doświadczonym agentem i pragnął przynajmniej raz zobaczyć to wszystko na własne oczy: ambasadę, stanowiska obserwacyjne, wyjścia awaryjne, miejsce porwania. Po lustracji terenu wsiadł w szybki pociąg miejski S-Bahn, którym przejechał przez cały Berlin do Bramy Brandenburskiej. Teraz, znalazłszy się w dawnym Berlinie Wschodnim, zaczął iść aleją Unter den Linden, pod nagimi konarami lip. Na Friedrichstrasse, stanowiącej centrum rozwiązanego życia berlińskiego w latach dwudziestych XX wieku, skręcił w prawo w kierunku dzielnicy o nazwie Mitte. Gdziekolwiek rzucił się w oczy relikty stalinowskiej przeszłości tej okolicy, jednak większość architektonicznych plam komunizmu zostało wyczyszczonych. Było tak, jakby zimna wojna, podobnie jak prawdziwa wojna przed nią, nigdy nie miała miejsca. We współczesnej Mitte nie było wspomnień, tylko dobrobyt.

Na Kronenstrasse Gabriel znowu skręcił w prawo i podążał tą ulicą na wschód, aż dotarł do nowoczesnego budynku mieszkalnego z dużymi kwadratowymi oknami, które lśniły niczym płyty z onyksu. Dawno temu, przed nastaniem komunizmu, przed wybuchem wojny, w tym miejscu stał ładny neoklasycyzycki budynek z szarego kamienia. Na drugim piętrze mieszkał niemiecki malarz ekspresjonista Wiktor Frankel, jego żona Sara i córka Irena, matka Gabriela. Gabriel nigdy nie widział fotografii mieszkania; raz, gdy był mały, matka próbowała mu je naszkicować, ale zalała się przy tym łzami. Oto było miejsce, gdzie wiedli piękne życie zamożnych mieszczan, pełne sztuki, muzyki, popołudni spędzanych w Tiergarten. I tu zostali, gdy pętla zaciskała się im powoli wokół szyi. W końcu, jesienią 1942 roku, ich rodacy wtłoczyli ich do wagonu bydłowego i powieźli na wschód, do Auschwitz. Dziadkowie Gabriela zostali zagazowani zaraz po przywiezieniu na miejsce, matkę wysłano do kobiecego obozu pracy w Birkenau. Nigdy nie opowiadała Gabrielowi o swoich przeżyciach. Wolą ją przelać na papier i zamknąć w archiwach Yad Vashem.

Nie opowiem o wszystkim, co widziałam. Nie jestem w stanie. Tyle jestem winna zmarłym...

Gabriel zamknął oczy i zobaczył tę ulicę taką, jaka była przed całym tym szaleństwem. I zobaczył siebie - dziecko przychodzące odwiedzać dziadków, którym pozwolono się zestarzeć. I wyobraził sobie, jak inne mogło być jego życie, gdyby wychował się w Berlinie, a nie w dolinie Ezdrelon. Nagle twarz owiał mu obłok gryzącego dymu - jakby z odległych krematoriów? - i usłyszał znajomy głos.

- Co miałeś nadzieję tu znaleźć? - zapytał Ari Szamron.

- Siłę - odparł Gabriel.

- Twoja matka dała ci siłę, nadając ci to imię - rzekł Szamron. - A potem dała cię mnie.

Szamron zameldował się w Adlonie jako Rudolf Heller - było to jedno z jego ulubionych fałszywych nazwisk europejskich. Gabriel chciał uniknąć kamer monitorujących w słynnym starym hotelu, poszli więc się przejść skrajem Tiergarten. Zrobiło się nagle lodowato, wiatr świstał między kolumnami Bramy Brandenburskiej. Szamron miał na sobie kaszmirowy płaszcz, fedorę i przyciemniane okulary, co nadawało mu wygląd biznesmena, który zarabia w podejrzany sposób i nigdy nie przegrywa w bakarata. Zatrzymał się przy nowym berlińskim pomniku Holokaustu, surowym placu pokrytym szarymi prostokątnymi blokami, i skonsternowany, zmarszczył brwi.

- Wyglądają jak kontenery przed załadowaniem na statek.

- Architekt chciał stworzyć atmosferę dyskomfortu i dezorientacji. To ma przedstawiać systematyczną eksterminację milionów ludzi pośród chaosu wojny.

- Tak to widzisz?

- Widzę mały cud, że taki pomnik w ogóle istnieje w tym miejscu. Mogli go przecież upchnąć gdzieś na wsi na jakimś polu. A jednak umieścili go tu, w centrum zjednoczonego na nowo Berlina, tuż obok Bramy Brandenburskiej.

- Za bardzo ich chwalisz, synu. Po wojnie wszyscy oni twierdzili, że nie widzieli, jak ich sąsiedzi znikali w środku nocy. Dopiero gdy my schwytaliśmy człowieka, który pracował o tam, Niemcy i reszta świata naprawdę pojęli okropieństwo Holokaustu.

Wskazywał na drugą stronę Tiergarten, w kierunku Kurfürstenstrasse. To tam, w imponującym budynku, gdzie niegdyś miało siedzibę żydowskie towarzystwo pomocy wzajemnej, urządził sobie biuro Adolf Eichmann. Jednak Gabriel wciąż nie odrywał wzroku od szarych kamieni w kształcie wagonów pociągu towarowego.

- Powinieneś to wszystko spisać. - Spojrzał na Szamrona. - Zanim będzie za późno.

- Jeszcze się nigdzie nie wybieram.

- Nawet ty nie będziesz żył wiecznie, Ari. Powinieneś spędzić trochę czasu z piórem w ręce.

- Zawsze uważałem, że wspomnienia szpiegów są nudne do czytania. Zresztą co by to dało?

- Przypomniałoby światu, dlaczego mieszkamy w Izraelu, a nie w Niemczech czy w

Polsce.

- Świat ma to gdzieś. - Szamron lekceważąco machnął ręką. - Poza tym Holocaust nie jest jedynym powodem, dla którego naszym domem jest Izrael. Mieszkamy tam, bo ta ziemia była nasza od początku. Tam jest nasze miejsce.

- Nawet niektórzy z naszych przyjaciół nie są już tego tak pewni.

- Ponieważ Palestyńczykom i ich sprzymierzeńcom udało się przekonać dużą część świata, że przywłaszczyliśmy sobie ziemię Arabów. Lubią udawać, że starożytne królestwa Izraela to mity, że Świątynia Jerozolimska to tylko historyjka z Biblii.

- Mówisz jak Eli.

Szamron przesłał mu krótki uśmiech.

- Twój przyjaciel Eli prowadzi swoistą wojnę w tych wykopach archeologicznych pod Ścianą Płaczu. Naszym muzułmańskim braciom wygodnie było zapomnieć, że ich Kopoła na Skale i meczet Al-Aksa zostały zbudowane na ruinach Pierwszej i Drugiej Świątyni Jerozolimskiej. Polityczna walka o Palestynę jest teraz religijną walką o Jerozolimę. A my musimy udowodnić światu, że byliśmy tam pierwsi.

Wiatr zawył wśród kamieni pomnika. Szamron postawił kołnierz płaszcza i skrzył za róg, w ulicę noszącą imię Hanny Arendt, filozofki i teoretyczki polityki, która ukuła frazę „banalność zła” dla opisanego roli Eichmanna w eksterminacji sześciu milionów europejskich Żydów. Szamron, który spędził wiele godzin sam na sam z tym zbrodniarzem w lokalu konspiracyjnym w Buenos Aires, uważał ten opis za w najlepszym razie chybiony. Wszedł do kawiarni, ale zobaczywszy napis „Palenie wzbronione”, usiadł przy stoliku na zewnątrz.

- Zdrowi Niemcy - mruknął, zapalając papierosa. - Tylko tego potrzeba światu.

- Myślałem, że im wybaczyłeś.

- Bo wybaczyłem - odparł Szamron - ale obawiam się, że nigdy nie zapomnę. Chciałbym też, żeby ich rząd zaczął zachowywać pewien dystans wobec Islamskiej Republiki Iranu. Ale już dawno temu nauczyłem się nie prosić o rzeczy niemożliwe.

Szamron milczał, gdy kelnerka, piękna dziewczyna o mlecznobiałej skórze, przyniosła im kawę. Gdy odeszła, rozejrzał się po ruchliwej ulicy i pozwolił sobie na uśmiech.

- Co cię tak śmieszy? - zapytał Gabriel.

- Gdy wydostałeś się z tego saudyjskiego więzienia, powiedziałaś mi, że już nigdy nie weźmiesz żadnej roboty dla Biura. A właśnie za chwilę przeprowadzisz jedną z naszych najśmielszych operacji, i to wszystko dlatego, że jakaś dziewczyna niefortunnie spadła z kopuły Bazyliki Świętego Piotra.

- Ona miała imię i nazwisko - odparł Gabriel. - A poza tym nie spadła. Została

popchnięta przez Carla Marchesego.

- Zajmiemy się Carlem, gdy skończymy z Massudem.

- Rozumiem, że zrewidowałeś plan?

- Gruntownie. I instynkt mówi mi, że macie nie więcej niż trzydzieści sekund na wsadzenie Massuda do pierwszego samochodu.

- Na próbach zabrało nam to dwadzieścia. Ale wiem z doświadczenia, że na żywo wszystko idzie szybciej.

- Zwłaszcza przy twoim udziale - zażartował Szamron. - Jednak dziś wieczorem będziesz tylko widzem.

- Bardzo zdenerwowanym widzem.

- Normalna sprawa. Jeśli wam się nie uda, to będzie klęska dyplomatyczna, nie mówiąc o wielkim zwycięstwie propagandowym Irańczyków. Świat raczej nie zauważa, ani też go nie obchodzi, że oni atakują naszych ludzi, gdy tylko jest im wygodnie. Ale jeśli my odwziewamy się tym samym, dostajemy etykietkę drani i bandytów.

- Mogliby nas nazwać gorzej.

- Na przykład?

- Słabeuszami - odparł Gabriel.

Szamron skinął głową na znak zgody i z namysłem zamieszał kawę.

- Wydostanie Massuda z jego samochodu i wsadzenie do waszego będzie najłatwiejszą częścią operacji. Przekonanie go, żeby mówił, to zupełnie inna sprawa.

- Na pewno masz jakąś propozycję. Inaczej by cię tu nie było.

Szamron potwierdził słuszność tej uwagi skinieniem głowy.

- Człowieka takiego jak Massud niełatwo przestraszyć. Uda się wam tylko wtedy, gdy przedstawicie mu wizję losu gorszego od śmierci. A potem rzućcie mu koło ratunkowe i trzymajcie kciuki, żeby je chwycił.

- A jeśli to zrobi?

- Będzie was kusilo, żeby wydobyć od niego każdy najmniejszy okrucieństwo informacji. Jednak moim skromnym zdaniem to byłby błąd. Zresztą nie ma na to czasu. Wydostańcie informacje potrzebne, żeby udaremnić ich atak. A potem...

Szamron urwał. Gabriel skończył myśl za niego.

- Wypuścimy go.

Krzywiąc się, Szamron pokiwał głową.

- Nigdy nie działamy na własną zgubę. A to oznacza, że nie zabijamy ludzi z paszportem dyplomatycznym, nawet jeśli mają krew naszych dzieci na rękach.

- Mimo że wiemy, że on w przyszłości znów będzie zabijał?

- Nie macie wyjścia, musicie zawrzeć pakt z diabłem. Massud musi uwierzyć, że go nie zdradzicie. A obawiam się, że zaufania tego rodzaju nie zdobywa się z użyciem przepasek na oczy i kominiarek. Będziesz musiał mu pokazać tę swoją słynną twarz i spojrzeć prosto w oczy. - Szamron umilkł, po czym dodał: - Chyba że wolałbyś, żeby ktoś cię zastąpił przy tym przesłuchaniu.

- Kto?

Szamron milczał.

- Ty?

- To najlogiczniejszy wybór. Jeśli Massud spojrzy przez stół i zobaczy ciebie, będzie miał podstawy obawiać się, że nie przeżyje tej próby. Ale jeśli zobaczy mnie...

- Od razu zmięknie?

- Będzie wiedział, że ma do czynienia z samą górą izraelskiego rządu - odparł Szamron.

- A to może po prostu sprawić, że chętniej będzie mówić.

- Doceniam wagę tej oferty, Abba.

- Ale nie masz zamiaru jej przyjąć. - Szamron zamilkł na chwilę, po czym zapytał: - Masz świadomość, że on do końca życia będzie próbował cię zabić?

- Będzie musiał ustawić się w kolejce.

- Zawsze możesz wrócić do Izraela.

- Nie dajesz za wygraną, co?

- To nie leży w mojej naturze.

- Z czego bym tam żył?

- Mógłbyś mi pomóc pisać książkę.

- Pozabijalibyśmy się przy tym.

Szamron powoli zduślił papierosa, dając sygnał, że czas się zbierać.

- To dość stosowne, nie sądzisz?

- Co?

- Że twoja ostatnia operacja ma miejsce tutaj, w mieście szpiegów.

- To jest miasto umarłych - powiedział Gabriel. - I chcę się stąd wydostać jak najszybciej.

- Weź ze sobą Massuda na pamiątkę. I cokolwiek się zdarzy, nie daj się złapać.

- Jedenaste przykazanie Szamrona.

- Amen.

Rozstali się pod Bramą Brandenburską. Szamron wrócił do swego pokoju w hotelu Adlon, Gabriel na ulice Tiergarten. Został tam, póki się nie upewnił, że nikt go nie śledzi, po czym wrócił do wynajętej willi w Wannsee. Gdy wszedł, zastał członków swojej ekipy omawiających ostatnie szczegóły. O zmierzchu zaczęli się wymykać z domu w starannie ustalonych odstępach, o szóstej wszyscy już byli na swoich pozycjach. Gabriel przeczesał starą willę w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów ich obecności. Później usiadł samotnie w ciemności z otwartym notebookiem na kolanach. Na ekranie widniało ujęcie ambasady irańskiej w wysokiej rozdzielczości, uzyskane dzięki miniaturowej kamerce ukrytej w samochodzie zaparkowanym legalnie po drugiej stronie ulicy. Dwanaście po ósmej brama zabezpieczająca ambasadę powoli się rozsunęła i w polu widzenia pojawił się czarny mercedes sedan. Skręcił w lewo i przejechał kilkanaście centymetrów od kamery - tak blisko, że Gabriel miał wrażenie, że może wyciągnąć rękę i wyjąć jedynego pasażera z tylnego siedzenia. Jednak tylko podniósł do ust nadajnik i poinformował swoją ekipę, że diabeł zmierza w ich kierunku.

Takijja rozpoczęła się dwie minuty później, o dwudziestej czternaście czasu lokalnego, gdy berlińska policja odebrała telefon dotyczący podejrzanego pakunku znalezionego w Europa Center, galerii handlowej i kompleksie biurowców zlokalizowanych w pobliżu kościoła Pamięci Cesarza Wilhelma. Tym pakunkiem był wysłużony brezentowy plecak, jaki często noszą goci, skinheadzi, anarchiści, radykalni ekolodzy i wichrzyciele różnej innej maści. Został położony przy ławce jakieś dwa metry od słynnego zegara wodnego, miejsca, gdzie zawsze jest dużo ludzi, zwłaszcza małych dzieci. Później świadkowie opisywali osobę, która zostawiła pakunek, jako muzułmankę po trzydziestce. Mieli rację co do wieku, ale nie co do tożsamości etnicznej. Jednak można im było wytłumaczyć pomyłkę, bo kobieta miała wtedy na sobie hidżab.

Osoba, która zgłosiła obecność podejrzanego plecaka, opisała jego zawartość jako coś wyglądającego na bombę i pierwsi umundurowani policjanci, którzy przybyli na miejsce, przyznali jej rację. Natychmiast zarządzili ewakuację terenu wokół zegara wodnego, a następnie całego pasażu handlowego i sąsiednich budynków. O dwudziestej dwadzieścia pięć z galerii na ulice wylewały się już tysiące ludzi, a na miejscu wydarzenia zbierały się oddziały policji ze wszystkich dzielnic Berlina.

Nawet w spokojnym i dostojnym wnętrzu hotelu Adlon świetnie zdawano sobie sprawę, że w całym Berlinie panuje jakiś stan wyjątkowy. W słynnym hotelowym holu i równie słynnym barze, gdzie niegdyś brylowali wysocy rangą naziści, zdenerwowani goście domagali się wyjaśnień od kierownictwa, a niektórzy wychodzili na chodnik przed hotelem, żeby popatrzeć na policyjne radiowozy przejeżdżające z rykiem aleją Unter den Linden. Tylko na jednym z gości całe to zamieszanie nie robiło wrażenia. Dobrze ubrany dżentelmen w podeszłym wieku spokojnie zapłacił za whisky, której prawie nie tknął, i pojechał windą do swego apartamentu na najwyższym piętrze hotelu. Tam stanął w oknie, obserwując pokaz świetlny jakby specjalnie zaaranżowany dla jego prywatnej rozrywki. Po chwili wyjął telefon komórkowy z kieszeni na piersi garnituru i wybrał automatycznie numer, który zakodowało mu dziecko znajdujące się na takich rzeczach. Po kilku trzaskach i sygnałach usłyszał w słuchawce czyjeś burknięcie.

- Na co ja patrzę? - zapytał Ari Szamron.

- Na preludium - odparł Uzi Nawot.
- Kiedy podniesie się kurtyna na pierwszy akt?
- Za minutę, może szybciej

Szamron rozłączył się i spojrzał na niebieskie światła błyskające w całym mieście. Piękny widok, pomyślał. „Albowiem przez mądrą radę zwiedzisz bitwę”¹.

*

W tej samej chwili, jakieś pięć kilometrów od nietypowego punktu obserwacyjnego Szamrona, Jossi Gawisz i Michaił Abramow siedzieli na dwóch motocyklach na skraju niewielkiego parku przy Hagenstrasse. O tej porze park był już od dawna opustoszały, ale w stojących przy ulicy miniaturowych zamkach krzyżackich, w oknach ze szkła butelkowego, paliły się ciepłe światła. Michaił rozcierał swoje bolące kolano. Jossi był tak nieruchomy, że wyglądał jak pomnik z brązu.

- Wyluzuj, Jossi - powiedział Michaił cicho. - Musisz wyluzować.
- To nie ty masz bombę w kieszeni.
- Wybuchnie przecież dopiero po dziesięciu sekundach od przyczepienia jej do samochodu.
- A jeśli źle zadziała?
- One nigdy nie zawodzą.
- Zawsze jest pierwszy raz.

Przemknęła koło nich zielono-biała policyjna furgonetka z wyjącą syreną. Jossiemu nie drgnął nawet jeden muskuł.

- Oddychaj! - rozkazał mu Michaił. - Bo jeszcze policja sobie pomyśli, że masz zamiar porwać jakiegoś irańskiego dyplomatę.
- Nie wiem, czemu to ja mam przyczepić bombę.
- Ktoś musi.
- Ja jestem analitykiem - odparł Jossi. - Nie wysadzam samochodów, tylko czytam książki.

- Wolałbyś może zająć się kierowcą?
- Ciekawe, w jaki sposób? Olśnić go inteligencją i dowcipem?

Zanim Michaił zdołał odpowiedzieć, w miniaturowej słuchawce w uchu usłyszał jakiś trzask, a po nim trzy krótkie sygnały. Spojrzał na ulicę i zobaczył reflektory nadjeżdżającego mercedesa. Gdy auto ich mijalo, Michaił dostrzegł na tylnym siedzeniu Massuda,

¹ Biblia Gdańska, Księga Przysłów 24:6.

nadrabiającego jakieś zaległości w papierach przy świetle luksusowej lampki do czytania. Parę sekund później zjawiono się bmw z Rimoną za kierownicą. Jakow i Oded siedzieli z tyłu, sztywni, jakby połknęli kije od szczotek. W końcu przejechał z klekotem silnika Eli Lawon w passacie kombi, ściskając kierownicę, jakby prowadził tankowiec przez lodowate morza. Michaił i Jossi ostrożnie włączyli się za nimi do ruchu i czekali na następny sygnał.

*

Znaleźli się w tej fazie, którą Szamron lubił nazywać operacyjnym rozwidleniem drogi. Do tego momentu nie została przekroczona żadna granica, nie zostało popełnione żadne przestępstwo, nie licząc niewielkiego alarmu bombowego w Europa Center. Ekipa mogła wciąż jeszcze przerwać zadanie, dokonać przegrupowania i ponownej oceny i spróbować innego wieczoru. Pod wieloma względami to była łatwiejsza decyzja - schować miecz do pochwy, zamiast się nim zamachnąć. Szamron nazywał to „lukiem ratunkowym dla tchórzy”. Jednak Szamron zawsze uważał, że o wiele więcej operacji poniosło klęskę z powodu niezdecydowania niż z powodu lekkomyślności.

Jednak tego wieczoru to nie Szamron podejmował decyzję. Leżała ona w rękach poturbowanego wojownika, który siedział sam w pustym domu w Wannsee. Wpatrywał się w ekran komputera, obserwując swoją ekipę i swój obiekt, zbliżających się do punktu, z którego nie będzie już odwrotu. Była to Königsallee, ulica biegnąca od parku Grunewald do ruchliwej Kurfürstendamm - jeśli Massud nią przejedzie, znajdzie się poza ich zasięgiem. Gabriel włączył radiotelefon i na bezpiecznym paśmie zapytał, czy ktoś ma może jeszcze jakieś zastrzeżenia. Nie usłyszawszy żadnych, dał rozkaz, żeby kontynuować. Potem zamknął oczy i słuchał wycia syren.

*

Byli tacy na Bulwarze Króla Saula, którzy później ubolewali, że nie zarejestrowano tego na taśmie wideo. Jednakże Szamron miał przeciwne zdanie. Uważał, że nagrania z operacji, podobnie jak misje samobójcze, należy zostawić wrogom Izraela. Poza tym, stwierdził, żadne nagranie nie potrafiłoby oddać perfekcji ich akcji. Był to wręcz bohaterski utwór poetycki, baśń do opowiadania kolejnym pokoleniom przy blasku ogniska na pustyni.

Zaczął się od niemal niedostrzegalnego manewru dwóch pojazdów - jednego prowadzonego przez Rimoną, drugiego przez Elego Lawona. Oba jednocześnie zwolniły i przesunęły się nieznacznie na prawo, zostawiając Jossiemu wolną drogę do tylnego zderzaka mercedesa. Wjechał na nią, dodając gazu, i już po kilku sekundach siedział diabłu na ogonie. Ostrożnie sięgnął do kieszeni kurtki i pstryknął włącznik na granacie magnetycznym. Potem zaczął patrzeć prosto przed siebie i czekał, aż na ulicę wejdzie dziewczyna.

Miała na sobie kurtkę w kolorze neonowej zieleni z odblaskowymi paskami na rękawach i prowadziła rower z zaświeconą lampką przy kierownicy. Godzinę wcześniej niosła brezentowy plecak, który wywołał tyle zamieszania w centrum Berlina. Teraz, wchodząc na dobrze oświetlone przejście dla pieszych, lekko utykając, przy sobie miała jedynie fałszywy paszport, a w sobie bezgraniczną nienawiść dla człowieka na tylnym siedzeniu nadjeżdżającego mercedesa.

Przez ułamek sekundy wszyscy przerazili się, że kierowca skorzysta z immunitetu dyplomatycznego swego pasażera, żeby ją przejechać. Jednak w końcu nacisnął hamulec; duży czarny samochód wpadł w poślizg i zatrzymał się w chmurze szaroniebieskiego dymu. Jossi skręcił gwałtownie w lewo, żeby uniknąć zderzenia z tyłem samochodu, rzucił kilka inwektyw przez okienko kierowcy, po czym ukradkiem umieścił granat w zagłębieniu przedniego koła. W tym momencie dziewczyna znajdowała się już bezpieczna po drugiej stronie ulicy. Kierowca Massuda, odjeżdżając, nawet pomachał jej na przeprosiny. Dziewczyna przyjęła je z uśmiechem, przez cały czas oddalając się w przesadnym pośpiechu.

Sześć sekund później granat eksplodował. Jego starannie dopasowany i skalibrowany ładunek posłał całą siłę detonacji do wewnątrz, dzięki czemu nie mógł spowodować szkód czy ofiar w ludziach. Nie był taki groźny, na jaki wyglądał, aczkolwiek wybuch był na tyle silny, by zniszczyć lewą przednią oponę i otworzyć maskę. Kierowca, oślepiiony i zdezorientowany, instynktownie szarpnął autem w prawo. Samochód wskoczył na krawężnik i przejechał przez żelazne ogrodzenie, aż w końcu zatrzymał się na Hagenplatz, małym trójkącie zieleni, który ekipa pieszczośliwie nazwała „kawiarnianym skwerkiem”.

Jeśli ten plan miał jakiś słaby punkt, była nim wiata autobusowa usytuowana około dwóch metrów od skrzyżowania. Tego wieczoru czekało w niej pięcioro ludzi - starsza niemiecka para, dwóch młodych mężczyzn tureckiego pochodzenia i dwudziestoparolatka, tak chuda i blada, jakby właśnie wyszła chwiejnym krokiem z budynku zbombardowanego przez aliantów. To, co zobaczyli w następnej chwili, sprawiało wrażenie zwykłego aktu życzliwości ze strony trojga samarytan, którzy właśnie natknęli się na tę scenę. Jeden z mężczyzn, wysoki, szczupły motocyklista, natychmiast ruszył na pomoc nieszczęsnemu kierowcy - a przynajmniej tak się wydawało świadkom na przystanku. Nie zauważyli jednak, że motocyklista szybko wyjął pistolet z kabury na ramieniu kierowcy. Uszło ich uwadze również, że wstrzyknął mu w lewe udo dawkę silnego środka uspokajającego.

Pozostali samarytanie skupili się na mężczyźnie z tylnego siedzenia mercedesa. Jako że nie miał zapiętego pasa bezpieczeństwa, był mocno oszołomiony siłą kolizji. Zastrzyk ze środka uspokajającego pogorszył jeszcze jego stan, choć świadkom to również umknęło.

Zapamiętali tylko widok dwóch mężczyzn wyciągających rannego pasażera z jego zniszczonego samochodu i umieszczających go ostrożnie w swoim. Samochód błyskawicznie ruszył do przodu i skręcił w lewo w kierunku odludnej części Grunewaldu - dziwne, bo najbliższy szpital znajdował się na prawo.

Za nimi ruszył motocyklista, a także passat kombi, kierowany przez łagodnie wyglądającego jegomościa, który zdawał się nieświadomy całego zajścia. Później, przesłuchiwani przez policję, świadkowie uprzytomnili sobie, że operacja została przeprowadzona praktycznie bezgłośnie. Właściwie to tylko jeden samarytanin, mężczyzna o ciemnych włosach i ospowatej cerze, odezwał się do rannego pasażera. „Chodź z nami - powiedział. - Obronimy cię przed Żydami”.

*

Jak przewidział Gabriel, uprowadzenie zajęło mniej czasu, niż się spodziewali - tylko trzynaście sekund od początku do końca, przy czym na wyciągnięcie Massuda z auta potrzebowali zaledwie ośmiu. Teraz, sam w lokalu konspiracyjnym w Wannsee, słuchał, jak ekipa po raz pierwszy tego wieczoru zmienia pojazdy, i patrzył, jak ich światła mkną w kierunku północnym autostradą E51. Czas był teraz cennym towarem. Potrzebowali każdej jego kropli, każdej granulki. Kilka sekund tu czy tam mogło oznaczać różnicę między sukcesem a porażką, między życiem a śmiercią. Gabriel nie mógł zrobić nic więcej. Podpałił już miasto swoich koszmarów. Teraz mógł tylko patrzeć, jak płonie.

Przesłał błyskawiczną wiadomość na Bulwar Króla Saula, potwierdzając, że pierwsza faza operacji przebiegła zgodnie z planem. Następnie wyszedł z domu i wszedł do audi. Minąwszy nawiedzoną willę nad jeziorem, gdzie zostało zaplanowane morderstwo jego dziadków, ruszył w stronę autostrady. Berlińska policja wciąż ścigała do Europa Center. Ale jak długo tam pozostaną?

Na najwyższym piętrze hotelu Adlon Ari Szamron stał samotnie w swoim oknie, obserwując niebieskie światła policyjne kłębiące się w dole. Przez ostatnie kilka minut wszystkie zmierzały w kierunku tego samego punktu na zachodzie Berlina. Jednak o ósmej trzydzieści sześć zauważył wyraźną zmianę w ich układzie. Nie zawracał sobie głowy pytaniem Biura o wyjaśnienie. Oszukańczy manewr się skończył. Teraz zaczął się wyścig do granicy.

Część trzecia

STUDNIA DUSZ

Irańska Armia Wyzwoleńcza, ugrupowanie wcześniej nieznane, oddane idei obalenia teokratycznych władców kraju, po raz pierwszy pojawiła się na ekranach radarów na Zachodzie - i w zasadzie wszędzie indziej - nazajutrz późnym rankiem, kiedy to przyznała się do porwania Massuda Rahimiego, wysokiej rangi agenta irańskiego wywiadu pracującego w Berlinie. Zrobiła to w drukowanym manifeście, dostarczonym potajemnie do BBC w Londynie, oraz na stronie internetowej, która ukazała się po kilku godzinach od wprowadzenia. Pośród litanii żądań było przerwanie irańskiego programu nuklearnego oraz uwolnienie wszystkich uwięzionych z powodów politycznych, religijnych, przekonań i orientacji seksualnej. Mułlowie mieli tylko siedemdziesiąt dwie godziny na podporządkowanie się; w innym wypadku, przysięgali bojownicy, Massuda spotka brutalna śmierć, taka sama, jaką on wymierzył tylu niewinnym ofiarom. Jakby dla ilustracji powagi swych słów, publikowali zdjęcie jeńca, po którego obu stronach stali mężczyźni w kominiarkach. Massud patrzył prosto w obiektyw, a ręce miał związane za plecami. Jego surowa twarz nie nosiła śladów przemocy, choć wzrok wydawał się lekko nieprzytomny.

Spektakularne pojawienie się nowego irańskiego ruchu opozycyjnego zaskoczyło większość mediów. W pierwszych godzinach kryzysowej sytuacji reporterzy w Europie i Ameryce musieli spekulować na chybił trafił, jeśli chodzi o pochodzenie i cele Irańskiej Armii Wyzwoleńczej. Stopniowo jednak wyłonił się obraz niewielkiej, zintegrowanej grupy świeckich irańskich intelektualistów i banitów, którzy pragnęli wydobyć swój kraj z mroków średniowiecza i uczynić go częścią nowoczesnego świata. Tego wieczoru eksperci od spraw terroryzmu i analitycy polityczni po obu stronach Atlantyku dyskutowali o nowej sile stanowiącej wyraźne zagrożenie dla trzymającego kurczowo władzę irańskiego reżimu. I żaden z nich nie zorientował się, że każdy strzęp informacji, które przekazywali z takim przekonaniem, został wymyślony przez grupkę ludzi pracujących w suterenie w Tel Awiwie.

Kilku z lepszych ekspertów od terroryzmu znało nazwisko Massuda Rahimiego, a ci będący w takim wieku, żeby pamiętać irański kryzys z zakładnikami, cieszyli się nawet, że wpadł w tarapaty. Inaczej w Teheranie, gdzie Irańczycy zareagowali łątwą do przewidzenia wściekłością. W oficjalnym oświadczeniu zaprzeczyli, jakoby istniała organizacja o nazwie Irańska Armia Wyzwoleńcza, jakoby Massud Rahimi był agentem irańskiego wywiadu oraz

jakoby był on w jakikolwiek sposób związany z terroryzmem. Ponadto oskarżyli Izrael, że wymyślił tę organizację, aby ukryć własny udział w sprawie. Premier Izraela zabrał głos w Knesecie, aby potępić oskarżenia Iranu jako bredzenie niemoralnych fanatyków. Następnie rzucił nie tak wcale subtelny kamyczek do ogródka Niemców za to, że pozwolili Massudowi, znanemu mordercy, mającemu krew setek niewinnych ludzi na rękach, udawać funkcjonariusza służby dyplomatycznej na niemieckiej ziemi. Kanclerz Niemiec nazwała te uwagi „nic niewnoszącymi” i zwróciła się do premiera, by poczynił kroki w celu obniżenia temperatury. Prywatnie oświadczyła szefom swego wywiadu, że jej zdaniem prawie na pewno zaangażowani są w to Izraelczycy.

Trudno się dziwić, że - biorąc pod uwagę wyrafinowanie operacji - wielu funkcjonariuszy niemieckiej policji i służb bezpieczeństwa zgadzało się z panią kanclerz, choć nie mieli dowodów na poparcie tego zarzutu. Sfrustrowany minister spraw wewnętrznych mówił z wściekłością do swych najbliższych współpracowników, że to m u s i e l i być Izraelczycy, bo żaden inny wywiad na świecie nie jest na tyle sprytny - ani, szczerze mówiąc, na tyle chytry - żeby choćby wymyślić taką operację. Współpracownicy poradzili mądrze swemu zwierzchnikowi, żeby nie dzielił się tymi odczuciami na kolejnej konferencji prasowej.

Trzeba oddać niemieckiej policji, że zrobiła wszystko, aby odnaleźć zaginionego Irańczyka. Przeczesała cały kraj ze wschodu na zachód, od gór Bawarii do skalistych szarych wybrzeży Bałtyku. Szukała go w wielkich metropoliach i małych miasteczkach. Skontaktowała się ze swymi źródłami i informatorami w dużej społeczności radykalnych islamistów w Niemczech oraz założyła podsłuchy i monitoring na każdy telefon i konto e-mailowe, które mogły ją do czegoś doprowadzić. Jednak dwadzieścia cztery godziny później nie było żadnych rezultatów. Tego wieczoru minister spraw wewnętrznych poinformował irańskiego ambasadora, że według niemieckiej policji jego kolega zniknął z powierzchni ziemi. Nie było to oczywiście prawdą. Po prostu szukali nie tam, gdzie trzeba.

*

Na północnym krańcu Danii znajduje się wąski i zakrzywiony jak koci pazur półwysep, gdzie w bezustannej walce ścierają się Morze Północne i Bałtyckie. Po bałtyckiej stronie plaża jest płaska i pusta, ale wzdłuż Morza Północnego piasek buduje smagane wiatrem wydmy. Tu leży maleńka osada Kandestederne. W lecie roi się w niej od duńskich urlopowiczów, ale przez pozostałą część roku wygląda jak opustoszała po ataku dżumy. Na skraju wioski, w zagłębieniu przy wielkiej wydmie, stała ładna drewniana chata z dużym gankiem zwróconym w stronę morza. Były w niej cztery sypialnie, przestronna kuchnia z

wyposażeniem ze stali nierdzewnej oraz dwa otwarte pokoje dzieńne urządzone w minimalistycznym duńskim stylu. Dom mógł się też poszczycić piwniczką na wino, którą Administracja po cichu przekształciła w prowizoryczną dźwiękoszczelną celę. W niej to siedział człowiek, którego tak desperacko szukała niemiecka policja - z przepaską na oczach, kneblem w ustach, rozebrany do bielizny, trzęsąc się gwałtownie z zimna. Od dwudziestu czterech godzin nie dostał nic do jedzenia ani picia i nikt nie poświęcał mu uwagi, nie licząc zaaplikowania małej dawki środka uspokajającego, żeby był cicho. Nikt z nim nie rozmawiał. Szczerze mówiąc, Massud był w tej chwili przekonany, że zostawiono go, by umarł powolną bolesną śmiercią głodową. To była kara, na którą zasługiwał. Opatrzność jednak wybrała dla niego inny los.

Kolejny etap podróży Massuda rozpoczął się w dwudziestej szóstej godzinie jego niewoli gdy Michaił i Jakow zaprowadzili go, wciąż z zawiązanymi oczami, na górę do jadalni. Przywiązawszy go mocno do metalowego krzesła, ściągnęli mu przepaskę i wyjęli knebel. Massud zamrugał gwałtownie kilka razy, po czym zaczął rozglądać się po pokoju. Na ścianach wisiało kilka powiększonych zdjęć przedstawiających jego dokonania - ruiny koszar piechoty morskiej w Bejrucie, zwęglony kadłub autobusu w Tel Awiwie, roztrzaskane pozostałości żydowskiego domu kultury w Buenos Aires. Z trudem wykrzywił swoje grube rysy w wyrazie niedowierzania, jednak gdy jego wzrok w końcu spoczął na mężczyźnie siedzącym naprzeciw niego po drugiej stronie stołu, wzdrygnął się ze strachu.

- Spodziewałeś się kogoś innego? - zapytał spokojnie Gabriel po angielsku.
- Nie mam pojęcia, kim jesteś - odparł Massud w tym samym języku.
- Bzdura.
- Nie ujdzie wam to na sucho.
- Już nam uszło.

Na stole przed Gabrielem leżały trzy przedmioty: szara teczka, telefon BlackBerry i naładowana beretta kaliber 9 mm. Przesunął berettę z wystudiowaną ostrożnością i pchnął komórkę przez stół, żeby Massud mógł zobaczyć ekran. Widniała na nim strona internetowa z wiadomościami BBC. Głównym wydarzeniem było śmiałe porwanie w centrum Berlina.

- Dokonaliście rażącego pogwałcenia konwencji wiedeńskiej o stosunkach dyplomatycznych - odezwał się Massud po chwili.
- Twojego uprowadzenia dokonała Irańska Armia Wyzwoleńcza. Tak twierdzi BBC. - Gabriel postukał w ekran. - A jak wiesz, BBC nigdy się nie myli.
- Niezłe zagranie - rzucił Massud.
- To nie było takie trudne - odparł Gabriel. - Po prostu pożyczylimy sobie kartkę z

twojego podręcznika sztuki wojennej.

- Którą?

- Z *takijja*.

- Coś takiego jak *takijja* nie istnieje. To tylko oszczerstwo rozpowszechniane przez wrogów szyickiego islamu.

- Stosujecie *takijję* codziennie, gdy zapewniacie świat, że wasz program nuklearny służy wyłącznie celom pokojowym.

- Więc o to tu chodzi?

- Nie. - Gabriel przysunął do siebie z powrotem komórkę i zaczął powoli wertować zawartość szarej teczki. - Jesteś oskarżony o zorganizowanie licznych aktów terroryzmu, które przyniosły w efekcie śmierć setek niewinnych ludzi. Jesteś również oskarżony o spiskowanie w celu popełniania dalszych aktów przemocy w przyszłości oraz o zapewnianie wsparcia materialnego organizacji, która ma za cel fizyczną zagładę moich rodaków. - Podniósł wzrok znad teczki i spytał: - Czy przyznajesz się do winy?

- Jestem trzecim sekretarzem w wydziale konsularnym Ambasady Irańskiej w Berlinie.

- Czy przyznajesz się do winy?

- Naruszacie wszelkie dyplomatyczne standardy i obyczaje.

- Czy przyznajesz się do winy?

Massud uniósł podbródek i rzekł:

- Nie.

Gabriel zamknął teczkę. Sąd zarządza przerwę.

*

Tego wieczoru przesłuchiwali go jeszcze dwa razy, za każdym razem z takim samym rezultatem. Nie pozwalali mu zasnąć, regularnie polewając go lodowatą wodą morską oraz puszczając nagrany przeraźliwy hałas, który rozbrzmiewał z głośników dźwiękoszczelnej celi Massuda dla jego osobistej rozrywki. Gabriel był niechętny stosowaniu przemocy fizycznej - wiedział, że pozbawiany snu i torturowany hałasem Massud może nawet przyznać się, że jest Kotem Proteem - ale nie miał wyjścia. Teraz tykały aż dwa zegary. Jeden pokazywał czas, który został do ataku, drugi - czas, dopóki ich nie złapią. Gabriel wyznaczył termin siedemdziesięciu dwóch godzin do opuszczenia Danii. Szef duńskiej służby bezpieczeństwa był ich sojusznikiem, ale długo nim nie pozostanie, jeśli dowie się, że Gabriel sprowadził na duńską ziemię kogoś takiego jak Massud Rahimi.

Toteż drugiego długiego dnia stopniowo zwiększali presję na swoją ofiarę. Łomot stał się głośniejszy, woda zimniejsza, a groźby szeptane do ucha jeszcze bardziej przerażające.

Gdy więzień prosił o jedzenie, dawali mu miskę piasku. A gdy błagał o coś do picia, oblewali go wiadrem słonej wody prosto z morza. O śnie może zapomnieć, zapewnili go, chyba że zacznie współpracować. Powoli, z każdą mijającą godziną, siły Massuda słabły, podobnie jak jego chęć stawiania oporu. Przede wszystkim jednak chyba zaczynało do niego docierać, że ta nieszczęsna przygoda nie musi skończyć się jego śmiercią, że może zawrzeć jakiś układ. Ale jak go przekonać, żeby przyjął wyciągniętą dłoń? I, co najważniejsze, kto ma ją wyciągnąć?

- Dlaczego ja? - zapytał Eli Lawon z niedowierzaniem.

- Bo jesteś najmniej groźną osobą w tym domu - odparł Gabriel.

- I ponieważ nie tknąłeś go nawet palcem.

- Ja nie przesłuchuję ludzi. Ja ich tylko śledzę.

- Nie musisz go o nic pytać, Eli. Daj mu tylko do zrozumienia, że ja chcę z nim omówić bardzo wspańiałomyślny układ.

Lawon spędził pięć minut sam na sam z potworem, a potem wrócił na górę.

- Jak poszło?

- Poza tym, że groził, że mnie zabije, poszło tak dobrze, jak można się było spodziewać.

- Ile mu damy czasu?

- Godzina powinna wystarczyć.

Dali mu dwie.

*

Gdy następnym razem Massud został wprowadzony do prowizorycznej sali sądowej, trząśnięcie spazmatycznie, a wargi miał sine z zimna. Gabriel wydawał się tego nie zauważać. Skupiał się wyłącznie na teczce, która leżała przed nim otwarta na stole.

- Zdobyliśmy informacje, że przebywając w Berlinie, byłeś nie do końca uczciwy, jeśli chodzi o wykorzystywanie operacyjnych funduszy otrzymanych z VEVAK - powiedział Gabriel. - Oczywiście nic nam do tego. Jednak jako koledzy po fachu mamy obowiązek zameldować o tym twoim zwierzchnikom w Teheranie. A gdy to zrobimy, obawiam się, że będą oni chcieli doprowadzić do twojego uwolnienia z przyczyn innych niż twoje własne dobro.

- Kolejne żydowskie kłamstwa - odparł Massud.

Gabriel uśmiechnął się i przystąpił do recytowania szeregu numerów kont i odpowiadających im wartości liczbowych.

- Wszystko to są legalne konta wykorzystywane do legalnych celów - odrzekł Massud spokojnie.

- Czyli nie masz nic przeciwko temu, że poinformujemy o nich twoich zwierzchników

w VEVAK?

- Nie pracuję dla VEVAK.

- Owszem, pracujesz, Massud. A to znaczy, że masz wyjście z obecnej sytuacji. -
Gabriel umilkł, po czym dodał: - Gdybym był na twoim miejscu, tobym się na nie zgodził.

- Może ja nie jestem tak gadatliwy jak ty, Allon.

- Aha. - Gabriel uśmiechnął się. - Więc jednak mnie poznajesz.

- Trudno nie natknąć się na ciebie, gdy się czyta gazety.

Gabriel przewrócił kartkę.

- Ciężą na tobie poważne zarzuty, Massud. Przyznajesz się do winy?

- Nie.

- Przyznajesz się do winy?

- Nie.

- Przyznajesz się do winy?

Cisza...

Gabriel podniósł wzrok znad dokumentów.

- Przyznajesz się do winy, Massud?

- Czego ty ode mnie chcesz?

- Żebyś odpowiedział na kilka pytań.

- I co dalej?

- Jeśli powiesz mi prawdę, wypuścimy cię. Jeśli skłamiesz, powiem twoim szefom w Teheranie, że kradłeś ich pieniądze. A wtedy oni wpakują ci kulkę w łeb.

- Dlaczego mam ci ufać?

- Ponieważ w tej chwili jestem twoim jedynym przyjacielem na świecie.

Irańczyk nie odpowiedział.

- Czy przyznajesz się do winy, Massud?

- Co chcesz wiedzieć?

Pozwolili mu wziąć gorący prysznic, trzymając go na celowniku, i ubrali w niebiesko-biały dres, rozmiar XL, odpowiedni do jego zwalistej sylwetki. W jadalni czekał na niego talerz z obiadem, razem z filiżanką osłodzonej perskiej herbaty. Mimo wielkiego głodu i faktu, że nie dostał żadnych sztuczków poza bezpieczną plastikową łyżką, udawało mu się jeść z godnością.

- A ty? - zapytał, wskazując ruchem głowy na pusty stół przed Gabrielem.
- Chybabym zwymiotował.
- Nie potępiaj tak łatwo, Allon. Obaj jesteśmy profesjonalistami.
- Ty jesteś mordercą.
- Ty też.

Gabriel spojrzał na Jakowa i talerz został zabrany. Massud nie okazał gniewu.

- Pierwsza zasada przesłuchań, Allon. Nie pozwól, żeby przesłuchiwany cię wkurzył.
- Druga zasada, Massud. Nie wkurzaj przesłuchującego.
- Chciałbym zapalić.
- Nie.
- Więc może będziecie tak mili i pozwolicie mi się pomodlić.
- Jeśli musiszz.
- Muszę - odparł Massud. - Która jest godzina?
- *Isha'a*.
- W którym kierunku jest Mekka?

Gabriel wskazał na prawo. Massud uśmiechnął się.

- Trzecia zasada przesłuchań, Allon. Nie mów przesłuchiwanemu, gdzie jest.
- Ty jesteś w piekle, Massud. I jedyny sposób, żeby się stąd wydostać, to powiedzieć mi prawdę.

*

Modlił się przez trzydzieści minut. Gdy skończył, Michaił i Jakow zaczęli go przywiązywać do metalowego krzesła, ale Gabriel interweniował i powiedział po hebrajsku, że skrupowanie nie będzie konieczne. Massud zmarszczył brwi, jakby nie zrozumiał, choć zdaniem Gabriela tak nie było. Pozwolił Irańczykowi zjeść resztę obiadu. Potem dał mu

szklankę świeżej ciepłej herbaty.

- Jakie to wielkoduszne z twojej strony - zauważył Massud.

- Zapewniam cię, że moje pobudki są całkowicie egoistyczne - odparł Gabriel. - Przed nami długa noc.

- Od czego chcesz zacząć?

- Od początku.

- Na początku - zaczął recytować Massud - Bóg stworzył niebo i ziemię. Później stworzył Żydów i wszystko zepsuł.

- Skoczmy trochę do przodu, dobrze?

- Jak daleko?

- Do Davida Girarda - rzekł Gabriel. - Znanego również jako Daud Ghandur.

*

Oświadczył, że nie da się opowiedzieć historii Dauda Ghandura, nie opowiadając najpierw o niefortunnej izraelskiej okupacji Libanu. Początkowo Gabriel nie był zbyt chętny, by dawać Massudowi pretekst do triumfalistycznego bicia się w pierś, jednak szybko zorientował się, że to rzadka okazja, której nie można zmarnować. Siedział więc cierpliwie, z rękami złożonymi na stole, podczas gdy Massud opisywał, jak to Irańczycy zręcznie wykorzystali chaos w Libanie do zastawienia śmiertelnej pułapki na setki żołnierzy izraelskich. „Zjawiliście się w Libanie, żeby zniszczyć OWP - powiedział, lekko kpiąc z Gabriela - a na jej miejscu zostawiliście Hezbollah".

Kontynuując, Massud zrzucił maskę pokrzywdzonego zakładnika politycznego, a przyjął pozę profesora uniwersytetu prowadzącego małe seminarium. Obserwując go, Gabriel zrozumiał, dlaczego tak dobrze mu się wiedzie w okrutnym świecie Gwardii Rewolucyjnej i VEVAK. W jakiejś równoległej rzeczywistości Massud mógłby być znanym prawnikiem czy mężem stanu w przyzwoitym kraju. Niestety, burzliwa historia islamu i historia Bliskiego Wschodu sprzysięgły się, by uczynić z niego seryjnego mordercę. Mimo to Gabriel nie mógł nie czuć do niego jakiegoś niechętnego szacunku. Żeby się znieczulić, spoglądał często na powiększone obrazy dokonań Massuda. Massud robił to samo. Z największą dumą patrzył chyba na to, które przedstawiało dym unoszący się z koszar amerykańskich marines w Bejrucie. To wydarzenie, jak powiedział, było przełomem w historii amerykańskiego zaangażowania na Bliskim Wschodzie. Udowodniło, że Ameryka to papierowy tygrys, który pierzcha na widok krwi. Wywarło też ogromne wrażenie na młodym libańskim szycie Daudzie Ghandurze.

- Już kilka godzin po ataku udał się na spotkanie z werbownikiem z Hezbollahu w

swojej dzielnicy w południowym Bejrucie. Ale był jeden problem - ciągnął Massud - Ghandur właśnie dostał się na paryską Sorbonę. Powiedział, że chce zostać w Libanie, żeby walczyć z Żydami i Amerykanami. Werbownik miał lepszy pomysł. Powiedział Ghandurowi, żeby zdobył wykształcenie. A potem zadzwonił do mnie.

- Więc Ghandur był atutem Irańczyków od początku?

- Myślisz zbyt linearnie, Allon. Pamiętaj, że my byliśmy aktywni na niemal każdym poziomie Hezbollahu od samego początku. Sam Hezbollah był atutem Irańczyków.

- Kto prowadził Ghandura?

- Nasza rezydentura w Paryżu. Na studiach pomagał nam kontrolować wszystkich irańskich banitów i dysydentów, którzy urządzili się we Francji po upadku szacha.

- A gdy pojechał do Anglii?

- Londyn prowadził go, gdy kończył doktorat na Oksfordzie. Gdy zaczął pracować w Sotheby's, ja już jakiś czas wcześniej zrzuciłem mundur i byłem szacownym dyplomatą.

- Ty przejąłeś nad nim kontrolę?

Massud kiwnął głową.

- Wtedy nie był już Daudem Ghandurem, ubogim chłopakiem z południowego Libanu. Był Davidem Girardem, ekspertem od antyków, podróżującym po świecie w imieniu szanowanego międzynarodowego domu aukcyjnego.

- Twoje zniszczone marzenie.

- Twoje też, jak przypuszczam.

- W jaki sposób go wykorzystywałeś?

- Ostrożnie. On mógł bywać w miejscach, w których ja nie mogłem, i rozmawiać z ludźmi, którzy nie mogli zbliżyć się do mnie na kilometr.

- Czyli pełnił funkcję kuriera?

- Był moim własnym prywatnym FedEksem. Jeśli VEVAK chciał, żeby komórka Hezbollahu, powiedzmy w Stambule, przeprowadziła jakiś atak, mogliśmy to załatwić na odległość, przez Davida. Komunikował się z daną komórką i dbał o jej potrzeby finansowe. W niektórych przypadkach koordynował nawet wysyłkę materiałów wybuchowych i innej broni. To było idealne rozwiązanie. - Massud przerwał. - No i mieliśmy pieniądze.

- Z nielegalnego handlu antykami.

Massud przytaknął.

- David to wymyślił, gdy pracował w Sotheby's. Wiedział, że można sporo zarobić dzięki ludziom, którzy ignorują prawo. Wiedział też, że duża część tego handlu jest kontrolowana przez jednego człowieka.

- Carla Marchese.

- Przyjaciela Watykanu - dodał Massud z pogardą. - Jednak organizacja Carla miała jedną wadę. Była bardzo silna w Europie, ale potrzebowała towaru z Bliskiego Wschodu.

- Który mógł dostarczyć Hezbollah.

- Nie tylko Hezbollah. Wiele z tych antyków to były dzieła sztuki z Imperium Perskiego, które wykopano w Iranie. W krótkim czasie nasza operacja zaczęła przynosić kilka milionów dolarów miesięcznie, z których wszystkie trafiały bezpośrednio do szkatułki Hezbollahu.

- I wtedy pewna kuratorka z Watykanu zaczęła zadawać za dużo pytań.

- Tak - przyznał Massud. - I zabawa się skończyła.

Gdy Massud po raz drugi poprosił o papierosa, Gabriel ustąpił i dał mu marlboro Jakowa. Palił wolno, jak gdyby podejrzewał, że drugiego papierosa już nie dostanie, i dbał o to, by wydychać dym z dala od Gabriela. Wyglądało na to, że VEVAK wiedział o awersji Gabriela do tytoniu.

Ale nie tylko o tym. Massud pochwalił się, że wiedzieli, że monsinior Luigi Donati, osobisty sekretarz Jego Świątobliwości papieża Pawła VII, poprosił Gabriela o przeprowadzenie śledztwa w sprawie śmierci Claudii Andreatti. I że Gabriel znalazł ciało łupieżcy grobowców Roberta Falconego. Wiedzieli, oznajmił Massud, ponieważ Carlo Marchese powiedział o tym swemu partnerowi w biznesie Davidowi Girardowi.

- Carlo wiedział o twoim śledztwie od samego początku - wyjaśnił Massud. - I słusznie uważał, że jesteś dla niego zagrożeniem. Gdy inni członkowie sieci zrobili się nerwowi, uspokoił ich, że znajdzie włoskie rozwiązanie problemu.

- Zabije mnie?

Massud skinął głową.

- Jednak najpierw chciał się dowiedzieć, ile wiesz o jego operacji. Wydał więc przyjęcie na twoją cześć. I próbował cię zabić, gdy wracałeś do domu. - Pokręcił głową. - Prawdę mówiąc, nie byliśmy zaskoczeni, gdy zamach na twoje życie się nie powiódł. Człowiek, którego wynajął Carlo, może by potrafił zarobić na życie we Włoszech, ale nie w naszym świecie.

- Więc ty postanowiłeś zrobić to sam.

- Postrzegaliśmy ową sytuację jako unikalną szansę, żeby wywołać skandal w twojej służbie w okresie, gdy najmniej mogła sobie na to pozwolić. Traktowaliśmy to też jako okazję wzięcia odwetu za szkody, jakie wyrządziliście naszemu programowi jądrowemu.

- Skąd wiedziałeś, że znajdziemy Girarda?

- Powiedzmy po prostu, że wierzyliśmy mocno w twoje umiejętności, choć nigdy nie przyszłoby nam do głowy, że będziesz miał w zanadrzu skradzioną grecką amforę. To było mistrzowskie posunięcie, Allon.

- Nie masz pojęcia, ile dla mnie znaczy twoje uznanie - rzekł Gabriel. - Ale miałeś mi wyjaśnić, jak to się stało, że para profesjonalnych zamachowców, których wysłałeś do Sankt Moritz, schrzaniła robotę.

- Uznaliśmy, że twoje ciało musi być rozpoznawalne. Gdyby zostały z ciebie strzępy, twoja organizacja mogłaby zaprzeczać, że w ogóle tam byłeś.

- Jakże roztropnie z waszej strony.

Irańczyk wzruszeniem ramion zbył sarkazm Gabriela.

- A więc zabiłeś jednego z najważniejszych agentów Hezbollahu, żeby zabić mnie w okolicznościach, które postawiłyby moją organizację w kłopotliwej sytuacji?

Massud przytaknął.

- Gdy ujawnione zostało powiązanie Hezbollahu z przemytniczą siecią Carla, Girard nie był nam już potrzebny. Stał się zbędny.

- Tak jak ty - zareplikował Gabriel. - Wiemy, że zbliża się duży atak, i ty mi pomożesz go powstrzymać. Bo inaczej zrobię z tobą to, co zrobiłem z tajnymi zakładami wzbogacania uranu. Rozerwę cię na kawałki. A potem pošlę twoim szefom w Teheranie w drewnianym pudle.

*

Usiłował wyswobodzić się z pułapki, ale Gabriel przecież nie spodziewał się niczego innego. Zaprzeczał, grał na zwłokę, mataczył, w końcu opowiedział kilka bajeczek, które jak miał nadzieję, zadowolą jego skromną, lecz uważną publiczność. Wyrazem twarzy Gabriel dał mu do zrozumienia, że widział już wcześniej takie przedstawienia. Jego żądania były jasne i twarde. Chciał wiarygodnych szczegółów na temat planowanego ataku - czas, miejsce, cel, broń, członkowie komórki aktywnej. Gdy już udaremnią atak, Massud zostanie po cichu wypuszczony. Ale jeśli odmówi podania informacji lub jeśli będzie zwlekał do ostatniej chwili, Gabriel go zniszczy.

- Jako twój jedyny przyjaciel - powiedział Gabriel - radziłbym ci przyjąć naszą wielkoduszną ofertę. Chodzi tylko o podanie szczegółów jednego ataku. W zamian za to uwolnimy cię i będziesz mógł dalej ranić i mordować, ile dusza zapagnie.

- Bądź pewien, że znajdziesz się na szczycie mojej listy, Allon.

- Dlatego radziłbym ci też przyjąć jakąś pracę biurową w centrali VEVAK w Teheranie - zaripostował Gabriel. - Bo jeśli kiedykolwiek znowu wyściubisz nos poza granice Iranu, moi

przyjaciele i ja wytropimy cię i zabijemy.

- Jaką mam pewność, że mnie nie zabijecie tak czy inaczej?

- Bo nie jesteśmy tacy jak ty, Massud. Gdy wchodzimy w jakiś układ, dotrzymujemy jego warunków. Poza tym zabijanie zakładników z zimną krwią nigdy nie było w naszym stylu.

Wzrok Massuda powędrował do zdjęć przedstawiających jego dzieło, następnie spoczął znowu na Gabrieli.

- Nie mam pojęcia, jaki dzisiaj dzień.

- Piątek - odpowiedział Gabriel.

Massud spochmurniał.

- A godzina?

- To zależy.

- Czasu środkowoeuropejskiego.

Gabriel aktywował swój telefon BlackBerry i spojrzał na ekran.

- Dwanaście po drugiej w nocy.

- To dobrze - rzucił Massud. - To znaczy, że jeszcze jest trochę czasu.

- Kiedy ma nastąpić atak?

- Dziś wieczorem, tuż po zachodzie słońca.

- W szabat?

Massud skinął głową.

- Co jest celem?

- Miasto, które dobrze znasz, Allon. Właściwie - Irańczyk się uśmiechnął - wybraliśmy je na twoją cześć.

Był taki samolot o szóstej trzydzieści z Kopenhagi, który lądował w Wiedniu późnym rankiem. Po przylocie do Austrii z amerykańskim paszportem, który niby przypadkiem zapomniał zwrócić Adrianowi Carterowi, Gabriel udał się do kawiarni na lotnisku i przez godzinę czytał poranne gazety, aż zobaczył, jak przez halę przylotów idą Michaił, Oded, Jakow i Eli Lawon. Podążył za nimi i patrzył, jak wsiadają do czterech różnych taksówek. Potem podszedł do czarnego sedana z wiedeńską rejestracją i wsunął się na tylne siedzenie. Po drugiej stronie siedział Ari Szamron. Pozbył się już stroju Herr Hellera z jedwabiu i wełny czesankowej i znów był odziany w khaki, bawełnę oksfordzką i skórę. Gdy samochód ruszył, wyrzucił papierosa przez okno.

- Wyglądasz, jakbyś od tygodnia nie spał.
- Bo nie spałem.
- Jeszcze tylko kilka godzin, synu. I będzie po wszystkim.

Samochód wjechał na autostradę A4 Ost i skierował się ku centrum Wiednia. Pogoda była kiepska, wiatr i deszcz ze śniegiem, czasem z gradem.

- Ile powiedzieliśmy Austriakom? - zapytał Gabriel.

- Uzi zbudził o świcie Jonasa Kesslera, szefa austriackich służb bezpieczeństwa, i powiedział mu, że jego kraj ma być celem ataku terrorystycznego, którego niczym nie sprowokował.

- Jak Kessler to przyjął?

- Po wygłoszeniu obowiązkowej pogadanki o tym, że Izrael przez swoje działania stwarza zagrożenie dla świata, zażądał podania źródła tych informacji. Jak możesz sobie wyobrazić, Uzi odpowiadał raczej wymijająco, co Kesslerowi nie przypadło do gustu.

- Zna ramy czasowe?

- Ma świadomość, że to kwestia raczej godzin niż dni, ale Uzi upierał się, że resztę powie mu osobiście. Właściwie to pomyśleliśmy, że dobrze by było, gdybyś ty mu powiedział.

- Ja?

Szamron kiwnął głową.

- Niektórzy z naszych niepewnych sojuszników tu, w Europie, odnoszą wrażenie, że

karmimy ich informacjami o potencjalnych spiskach tylko po to, by wzmocnić swoją pozycję. Ale jeśli ostrzeżenie wyjdzie od ciebie, będzie to wyraźny sygnał, że mówimy poważnie. Ś m i e r t e l n i e poważnie.

- Bo wiedzą, że nie pokazałbym się tu, gdyby nie chodziło o życie ludzi?

- Właśnie.

- A gdy zapytają o źródło informacji?

- Powiesz, że ptaszki ćwierkają na mieście. I będziesz kontynuował.

Gabriel milczał przez chwilę.

- Jeśli Massud mówi nam prawdę - odezwał się wreszcie - sytuacja prawdopodobnie przekracza możliwości Austriaków. Sprawę trzeba załatwić, jak należy, Ari. Inaczej zginą ludzie. Mnóstwo ludzi.

- Może więc dojdziemy do sprawiedliwego rozwiązania.

- Jak sprawiedliwego?

- My ocalimy ludzi, a zasługę niech przypiszą sobie.

Gabriel uśmiechnął się. Potem zamknął oczy i natychmiast zasnął.

*

Tradycyjnie między obiema stronami nastąpiła sprzeczka o miejsce spotkania. Uzi Nawot był za tym, żeby konferencję zorganizować w bezpiecznym pomieszczeniu w ambasadzie izraelskiej, ale Jonas Kessler wybrał imponujący budynek rządowy w eleganckiej części śródmieścia, dwa kroki od Opery Wiedeńskiej. Napis zawieszony tymczasowo w holu głosił, że tego dnia budynek będzie wykorzystany dla potrzeb konferencji na temat ekologii w rolnictwie, ale przy wejściu do głównego salonu stał plastikowy pojemnik, gdzie przybywający goście musieli zostawiać telefony komórkowe i inne urządzenia elektroniczne. Sama sala to było szkaradziejstwo z epoki Habsburgów, pełna złotych kotar i kryształowych żyrandoli, które unosiły się nad głowami obecnych jak oświetlone blaskiem świec chmury. Gdy weszli Gabriel z Szamronem, Nawot kręcił się przy bufecie, na którym piętrzyły się wiedeńskie torty i ciastka z kremem. Kessler, kościsty mężczyzna z ciemnymi włosami zaczesanymi gładko tuż przy czaszce, stał po przeciwnej stronie pomieszczenia, otoczony ochronnym kordonem współpracowników. Spoglądał na zegarek, jakby obliczając, czy zdąży na swój południowy trening.

Na zaproszenie Kesslera zajęli wyznaczone miejsca przy oficjalnym prostokątym stole, który z wyglądu pasował bardziej do dyplomacji zimnowojennej niż do zebrania szpiegów. Gabriel, Szamron i Nawot siedzieli po jednej stronie, Austriacy po drugiej. Większość z nich wywodziła się z wydziału służby bezpieczeństwa do spraw antyterrorystycznych,

ale było tam też kilku wysokich rangą oficerów *Bundespolizei*, austriackiej policji federalnej. Kessler nie zwracał sobie głowy powitalnymi formułkami. Nie było też problemów z językiem: wszyscy trzej, Gabriel, Szamron i Nawot, mówili płynnie po niemiecku. Nawot wręcz z lekkim wiedeńskim akcentem. Jego przodkowie mieszkali w Wiedniu, gdy Niemcy dokonali aneksji Austrii w 1938 roku. Ci, którym udało się uciec, pierwsi zostali pozbawieni wszystkiego - oprócz wiedeńskiego akcentu.

- Czujemy się zaszczytzeni, że gościmy dziś tylu wybitnych funkcjonariuszy waszej służby - rzekł Kessler bez przekonania, stukając srebrną łyżeczką o brzeg swojej porcelanowej filiżanki niczym sędzia młotkiem. - Szczególnie pana, Herr Allon. Dawno pana nie było w Wiedniu.

- Nie tak dawno, jak pan sądzi - zauważył Gabriel.

Kessler zdobył się na kwaśny uśmiech.

- Byłem w pracy tej nocy, gdy OWP zdetonowała bombę pod pańskim samochodem - powiedział po chwili. - Pamiętam, jakby to było wczoraj.

- Ja także - odparł Gabriel spokojnie.

- Wyobrażam sobie - rzeki Kessler. - Byłem również w pracy, gdy porwał pan Ericha Radka z jego domu w śródmieściu Wiednia i wywiózł go do Izraela.

- Radek zgodził się wrócić do Izraela dobrowolnie.

- Po tym, jak pan go zabrał na miejsce zbrodni w Treblince. Ale to, jak mówią, już stare dzieje. - Kolejny wymuszony uśmiech.

- Herr Nawot powiedział mi, że Hezbollah wziął na cel Wiedeń.

Gabriel przytaknął.

- Kiedy ma nastąpić atak?

- Tuż po zachodzie słońca.

- Obiekt ataku?

- Synagoga Miejska i ośrodek kultury. Jeśli terrorystom się powiedzie, dziś wieczorem może zginąć ponad sto osób. Jeżeli jednak zewrzemy szyki... - Gabriel urwał, nie kończąc myśli.

- Tak?

- Zginie tylko czterech terrorystów.

- Nie zgodziliśmy się współpracować z panem, Herr Allon. I na pewno nie weźmiemy udziału w żadnym zamachu.

- Gdy skończę wam opowiadać, z czym macie tu do czynienia, zrozumiecie, że nie macie innego wyjścia.

- Może byłby pan tak uprzejmy zdradzić nam swoje źródło informacji.

- Zasada numer jeden, gdy pracuje się z naszym Biurem - odrzekł Gabriel - to nie zadawać zbyt wielu pytań.

*

Niekonwencjonalne uwagi wstępne Gabriela dały taki efekt, że zebrany odebrało mowę. Gdy przekazywał informacje, które otrzymał od Massuda, Austriacy nie odezwali się ani słowem, poza sporadycznymi tłumionymi okrzykami niedowierzania. Gabriel pomyślał, że trudno im się dziwić, skoro w tej samej chwili czteroosobowa ekipa agentów Hezbollahu, ukryta w mieszkaniu na Koppstrasse 34, przygotowywała się do przeprowadzenia najstraszliwszego ataku terrorystycznego w dziejach Austrii. Każdy z członków tej komórki uzbrojony był w półautomatyczny pistolet i zaopatrzony w kamizelkę, w której umieszczono kilka kilogramów środków wybuchowych oraz śmiertelny pocisk rozpryskowy. Pistoletów mieli użyć do obezwładnienia strażników, którzy pilnowali historycznego kompleksu podczas nabożeństw. Po unieszkodliwieniu strażników drużyna miała się podzielić - dwóch do synagogi, dwóch do ośrodka kultury usytuowanego po drugiej stronie wąskiej uliczki. Zamierzali zdetonować materiały wybuchowe jednocześnie. *Allah Akbar*.

- Dlaczego po prostu nie wkroczyć i nie aresztować ich teraz? - zapytał Kessler.

- Bo to nie są amatorzy z muzułmańskich slumsów zachodniej Europy. To zatwardziali terroryści z Hezbollahu, którzy zęby zjedli na walce z wojskami izraelskimi w południowym Libanie.

- To znaczy?

- Rozpoczęli swoją operację przed kilkoma godzinami. Jeśli spróbujecie teraz wejść do tego mieszkania, zdetonują swoje bomby. To samo stanie się, jeśli spróbujecie po cichu ewakuować budynek lub zatrzymać ich na którymkolwiek etapie ich podróży do raju.

- A może po prostu odwołać dziś nabożeństwa?

- Nic by nas bardziej nie ucieszyło. Ale jeśli terroryści przyjdą i zobaczą, że synagoga jest zamknięta, poszukają sobie innego obiektu. O tej porze na pewno nie będą mieli problemu z jego znalezieniem. Gdybym miał zgadywać, to pewnie pójdą na Kärntnerstrasse i zabiją tylu niewinnych Austriaków, ilu zdołają.

Kärntnerstrasse to ruchliwy bulwar dla pieszych biegnący od Opery Wiedeńskiej do katedry Świętego Szczepana. Ulica ta, gospodarcze i towarzyskie centrum Wiednia, była pełna restauracji, ekskluzywnych butików i domów towarowych. W piątkowy wieczór atak w tym miejscu byłby katastrofalny. Jonas Kessler oczywiście to rozumiał, dlatego wyglądał tak, jakby właśnie połknął własne spinki do mankietów. Gdy znowu się odezwał, w jego głosie

nie było śladu wcześniejszego sarkazmu. Szczerze mówiąc, Gabriel miał wrażenie, że wyczuwa nikłą nutę wdzięczności.

- Co pan proponuje, Herr Allon?

- Obawiam się, że jest tylko jeden sposób postępowania.

- Jaki?

- Czekamy, aż terroryści zbliżą się do synagogi i ujawnią swoje zamiary. I wtedy zdejmujemy ich, zanim włączą detonatory.

- Zabijamy?

Gabriel nic nie odpowiedział. Nie odezwali się też Szamron ani Nawot.

- Mamy niezwykle sprawną policyjną jednostkę taktyczną, która jak najbardziej nadaje się do takiej roboty.

- *Einsatzkommando* Kobra - wtrącił Szamron. - Bardziej znana jako EKO Kobra.

Kessler kiwnął głową.

- Oni są szkoleni do właśnie takich scenariuszy.

- Z całym szacunkiem, Herr Kessler, kiedy ostatni raz jakiś członek EKO Kobra przestrelił żyjącemu terroryście mózg, tak żeby nie mógł on zdetonować bomby ostatnim drgnieniem nieruchomiejących palców?

Kessler milczał.

- Tak myślałem - rzekł Szamron. - Czy przypomina pan sobie, kiedy powstała EKO Kobra, Herr Kessler?

- Niedługo po masakrze na olimpiadzie w Monachium.

- Zgadza się - powiedział Szamron. - A ja tam byłem t a m t e j nocy, Herr Kessler. Błagaliśmy Niemców, żeby pozwolili nam zająć się operacją ratunkową w bazie lotniczej w Fürstenfeldbruck, ale nie zgodzili się. Musiałem słuchać krzyków moich mordowanych ludzi. To było... - Szamron urwał, jakby szukał odpowiedniego słowa. W końcu powiedział: - To było niewiarygodne.

- Ludzie, którzy przyjdą dzisiaj do synagogi, to obywatele austriaccy.

- To prawda - przyznał Szamron. - Ale to są również Żydzi, co oznacza, że jesteśmy ich opiekunami. I zrobimy wszystko, żeby wyszli z synagogi żywi.

Na tym debata się zakończyła i obie strony zasiadły do wypracowywania porozumienia operacyjnego. W ciągu kilku minut ustalili ogólny zarys. Gabriel i Michaił mieli się zająć unieszkodliwieniem terrorystów; EKO Kobra obserwacją. Kessler nalegał, żeby zarezerwować dla Austriaków prawo do zaatakowania terrorystów przed ich przybyciem do dzielnicy żydowskiej, jeśli nadarzy się okazja. W innym razie mieli trzymać się z daleka od ludzi z Hezbollahu - bądź też, jak ujął to Szamron, spokojnie odprowadzić ich do bram nieba. Gabriel ułatwił pracę Austriakom, podając Kesslerowi dokładny opis drogi, którą terroryści udadzą się do synagogi, łącznie z tramwajami, do których wsiądą. Kessler był wyraźnie pod wrażeniem. Zasugerował Gabrielowi, żeby na bazę obrał restaurację na Rotenturmstrasse. Gabriel uśmiechnął się i powiedział, że skorzysta z sąsiedniej.

- Dlaczego?
- Ma lepszy widok.
- Kiedy był pan ostatnio w Wiedniu?
- Wyleciało mi z pamięci.

Pozostały już tylko zasady bitwy. Tu nie było nad czym debatować. Gabriel i Michaił nie mieli podejmować żadnych działań stanowiących zagrożenie dla życia, dopóki terroryści nie chwycą za broń - a jeśliby zabili nieuzbrojonych ludzi, mieli zostać sądzeni w całym majestacie austriackiego prawa i wszelkiego innego prawa, które przyjdzie do głowy Kesslerowi. Gabriel zgodził się na taki warunek i nawet podpisał się na pośpiesznie sporządzonym dokumencie. Po złożeniu własnego podpisu Kessler rozdał im miniaturowe nadajniki radiowe nastawione na częstotliwość, której tego wieczoru będą używać oddziały EKO Kobra.

- Broń? - zapytał Kessler.
- Trochę za wcześnie, żebym mógł stwierdzić - rzekł Gabriel.

Kessler zmarszczył brwi.

- Pańskie informacje są bardzo szczegółowe - rzekł. - Miejmy nadzieję, że są też zgodne ze stanem faktycznym.

- Zazwyczaj są. Dzięki temu udało nam się przetrwać w bardzo niebezpiecznym regionie.

- Czy kiedykolwiek zdradzi mi pan swoje źródło?
- Jego ujawnienie tylko by wszystko skomplikowało.
- Mam nadzieję, że to nie ma nic wspólnego z zaginionym irańskim dyplomatą.
- Z jakim irańskim dyplomatą?

Dochodziło już południe. Szamron dał Gabrielowi kartę magnetyczną do pokoju hotelowego w śródmieściu i kazał mu odpocząć kilka godzin. Gabriel chciał najpierw obejrzeć pole bitwy w świetle dziennym, więc ruszył pieszo na Kärntnerstrasse, a za nim, wcale nie tak dyskretnie, para osiłków ze służby Kesslera. Na placu Świętego Szczepana tłumy ludzi chodziły po kiermaszu wielkopostnym. Gabriel przez moment myślał, czy nie wejść do katedry, żeby zobaczyć nastawę ołtarzową, którą kiedyś konserwował. Jednak przeszedł na drugą stronę barwnych kramów i skierował się do dzielnicy żydowskiej.

Przed drugą wojną światową płatanina wąskich uliczek i alejek była centrum życia jednej z najbardziej intensywnie rozwijających się i niezwykłych gmin żydowskich na świecie. W momencie największego rozkwitu liczyła 192 000 ludzi, jednak do listopada 1942 roku pozostało zaledwie 7000; reszta uciekła lub została zamordowana w niemieckich nazistowskich obozach zagłady. Jednak Holokaust nie był pierwszą zagładą wiedeńskich Żydów. W 1421 roku cała ludność żydowska została spalona, siłą ochrzczona lub wypędzona, po tym jak po mieście rozeszło się oskarżenie o mord rytualny. Wyglądało na to, że Austriacy czuli się w obowiązku od czasu do czasu wymordować jakąś część swoich Żydów.

Sercem dzielnicy żydowskiej była Synagoga Miejska. Zbudowana w początkach dziewiętnastego wieku, gdy edykt cesarza Józefa II nakazywał, by niekatolickie domy modlitwy nie znajdowały się na widoku publicznym, została wciśnięta za fasadę starych kamienic na niewielkiej brukowanej uliczce o nazwie Seitenstettengasse. W noc kryształową, skierowany przeciw Żydom zorganizowany akt przemocy mający miejsce w Niemczech i Austrii w listopadzie 1938 roku, synagogi wiedeńskie stanęły w płomieniach, a strażacy przyglądali się temu biernie. Ale nie Synagoga Miejska. Podpalenie jej zniszczyłoby sąsiednie budynki, więc motłoch musiał się zadowolić roztrzaskaniem okien i zdewastowaniem wspaniałego wnętrza świątyni. Była to jedyna synagoga w całym mieście, która przetrwała noc kryształową.

Gabriel zbliżył się do synagogi tą samą drogą, z której wieczorem mieli skorzystać terroryści. O zachodzie słońca większość wiernych będzie się znajdować wewnątrz, jednak niektórzy na pewno zgromadzą się wokół wejścia. Uchronienie ich przed skutkami ubocznymi było głównym wyzwaniem dla Gabriela. Oznaczało to, że on i Michaił będą musieli strzelać wyjątkowo szybko i precyzyjnie. Gabriel szacował, że będą mieli tylko dwie

sekundy na działanie od momentu, gdy terroryści wyciągną swoją broń - dwie sekundy, by unieszkodliwić czterech doświadczonych terrorystów. To nie było coś, czego można się nauczyć na kursie czy na strzelnicy. Potrzeba tu było całych lat szkolenia i doświadczenia. A moment wahania mógł decydować o życiu i śmierci nie tylko obiektów ataku, lecz także Gabriela i Michała.

Pozostał na tej ulicy tak długo, aż zapamiętał każdą szczelinę i każdą kostkę brukową, następnie skierował się na uroczy skwer pełen restauracji. Jedną z nich była włoska knajpka, w której zjadł swój ostatni posiłek z Leą i Danim, a na sąsiedniej ulicy eksplodował ich samochód. Gabriel stał bez ruchu przez dłuższą chwilę, sparaliżowany wspomnieniami. Usiłował je kontrolować, ale nie był w stanie; miał wrażenie, że zaraził się od Lei jej bezlitosną przypadłością. W końcu poczuł, że ktoś delikatnie dotyka jego łokcia, a gdy odwrócił się gwałtownie, ujrzał upudrowaną twarz jakiejś starszej Austriaczki. Zaczął się automatycznie zastanawiać, ile ona ma lat. To była kolejna z jego przypadłości.

- Zgubił się pan? - zapytała po niemiecku.

- Tak - odpowiedział szczerze.

- Czego pan szuka?

- Cafe Central - odparł bez wahania.

Pokazała w kierunku południowo-zachodnim, w kierunku Hofburga. Gabriel poszedł w tamtą stronę, a kiedy zniknął kobiecie z oczu, zawrócił i ruszył ku katedrze. Hotel, w którym Biuro zarezerwowało dla niego pokój, znajdował się jedną ulicę dalej. Gdy Gabriel wszedł, zobaczył Jakowa i Elego Lawona popijających kawę w holu. Ignorując ich, podszedł do konsjerża i poinformował go, że idzie na górę do swego pokoju.

- Pańska żona przyjechała kilka minut temu - rzekł konsjerż.

Gabriel poczuł się, jakby ktoś położył mu kamień na piersi.

- Moja żona?

- Tak - potwierdził konsjerż. - Wysoka, długie ciemne włosy, ciemne oczy.

- Wygląda jak Włoszka?

- Zdecydowanie.

Gabriel poczuł, że znowu oddycha. Odwrócił się, bez słowa minął Jakowa i Lawona i poszedł na górę do swego pokoju.

*

Na klamce wisiała wywieszka „Nie przeszkadzać”. Gabriel włożył kartę magnetyczną w szczelinę i cicho wślizgnął się do środka. Z łazienki dochodził plusk wody. Chiara stała pod prysznicem i nuciła sobie pod nosem. Melodia była melancholijna, głos Chiary niski i

zmysłowy. Gabriel podszedł bezszelestnie do nóg łóżka, gdzie w schludny stosik ułożone było jego czyste ubranie. Obok leżał pistolet, tłumik, pudełko z nabojami i kabura zakładana na ramię. Pistoletem była beretta kaliber .45, większa niż 9 mm, którą preferował, ale konieczna, gdy chce zabić szybko i pewnie. A naboje były typu dum-dum, którymi nie można przestrelać ciała - zmniejsza się więc ryzyko przypadkowych ofiar. Gabriel załadował dziesięć do magazynka i włożył do rękojeści. Następnie przykręcił tłumik do lufy i wyciągnął ramię, sprawdzając wyważenie broni.

- Jak myślisz, co robią normalni ludzie, gdy przyjeżdżają do Wiednia? - zapytała Chiara.

- Piją kawę i słuchają muzyki.

Gabriel opuścił pistolet i spojrzał na nią. Opierała się o futrynę drzwi łazienkowych, owinięta płaszczem kąpielowym, z twarzą zaczerwienioną od gorącego prysznica.

- Zdaje się, że kazałem ci zostać w Jerozolimie.

- Kazałeś.

- Dlaczego więc jesteś tutaj?

- Nie chciałam, żebyś musiał wracać tutaj sam.

Gabriel wyjął magazynek z beretty i odkręcił tłumik.

- Dlaczego to robisz? - zapytała.

- Bo Austriacy nigdy nie mieli do czynienia z takim scenariuszem. A nawet gdyby mieli, nie zamierzam im powierzać życia Żydów.

- To jedyny powód?

- A po co jeszcze miałbym to robić?

Chiara usiadła na brzegu łóżka i przyjrzała mu się uważnie.

- Wyglądasz okropnie - stwierdziła.

- Dziękuję, Chiaro. Ty wyglądasz pięknie jak zwykle.

Zignorowała tę uwagę.

- Nie wiem dokładnie, co się wydarzyło tamtej nocy - powiedziała - ale całkiem dobrze się orientuję. Przeżywasz ją w snach częściej, niż sobie to uświadamiasz. Słyszę wszystko. Słyszę, jak płaczesz nad ciałem Daniego. Słyszę, jak mówisz Lei, że karetka już jedzie.

Umilkła i otarła łzę z policzka.

- Ale czasem - ciągnęła - wszystko kończy się inaczej. Zabijasz terrorystów, zanim zdetonują bombę. Lea i Dani są cali i zdrowi. Życie długo i szczęśliwie. Żadnej eksplozji. Żadnego pogrzebu dziecka. - Zrobiła pauzę. - Żadnej Chiary.

- To tylko sen.

- Ale chciałbyś, żeby tak było.

- Masz rację, Chiaro. Chciałbym, żeby Dani nie został wtedy zabity. I chciałbym, żeby Lea...

- Nie winię cię, Gabrielu - przerwała mu. - Wiedziałam o tym, gdy się w tobie zakochałam. Zawsze wiedziałam, że będę zajmowała tylko część miejsca w twoim sercu. Reszta zawsze będzie należała do Lei.

Gabriel wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy.

- Co to ma wspólnego z dzisiejszym wieczorem?

- Bo co do jednego masz rację, Gabrielu. To tylko sen. Zabicie tych terrorystów nie przywróci życia Daniemu. Ani nie sprawi, że Lea będzie taka jak dawniej. Właściwie możesz osiągnąć tylko tyle, że dasz się zabić w tym samym mieście, w którym zginął twój syn.

- Dzisiaj zginą tylko terroryści.

- Może - rzuciła. - A może popełnisz jakiś błąd i wyjadę z Wiednia jako wdowa. - Uśmiechnęła się wbrew sobie. - Czy to nie byłoby poetyckie?

- Nie jestem poetką. I nie popełnię błędu.

Westchnęła ciężko na znak kapitulacji i owinęła się ciasniej szlafrokiem.

- Pewnie nie masz miejsca w swojej ekipie na jeszcze jedną osobę?

Gabriel spojrzał na nią chłodno.

- Podejrzywałam, że taka będzie odpowiedź. - Ujęła go za rękę. - Skąd będę wiedziała, Gabrielu? Skąd będę wiedziała, czy żyjesz?

- Jeśli usłyszysz eksplozję, będziesz wiedziała, że nie żyję. Natomiast jeśli usłyszysz syreny... - Wzruszył ramionami.

- To co?

- To będzie po wszystkim. - Pocałował ją w usta i szepnął: - A potem wrócimy do domu i będziemy żyli długo i szczęśliwie.

*

Gabriel wziął prysznic i usiłował zasnąć, ale nic z tego nie wychodziło. Jego umysł płonął zbyt wieloma wspomnieniami przeszłości, nerwy miał zbyt napięte od lęku o to, co przyniosą następne godziny. Dlatego leżał cicho obok Chiary, gdy popołudniowe cienie zanikały na łóżku, i słuchał odgłosów z nadajnika radiowego, który dostał od Jonasa Kesslera. EKO Kobra ustanowiła punkt obserwacyjny przed budynkiem mieszkalnym na Koppstrasse i używając termowizora, potwierdziła obecność wewnątrz co najmniej czterech osób. Dodatkowe oddziały EKO Kobra zostały rozstawione w różnych punktach wzdłuż drogi od Koppstrasse do śródmieścia. Dzięki temu terroryści będą otoczeni z dwóch stron - co

doprowadzi ich prosto do pistoletów Gabriela i Michaiła.

Tego wieczoru słońce zachodziło o osiemnastej dwanaście. O wpół do piątej Gabriel wypił dwie filiżanki kawy - dość, żeby nie być śpiącym, ale nie na tyle, by trzęsły mu się ręce - i ubrał się w rzeczy, które Chiara przywiozła mu z Jerozolimy. Miał teraz na sobie uniform żołnierza nocy: sprane niebieskie dżinsy, ciemny wełniany sweter i kaburę na szelkach. Złożył z powrotem i załadował berettę, i wsunął do kabury. Potem, gdy Chiara patrzyła w milczeniu, wielokrotnie ćwiczył wyciąganie broni i oddawanie dwóch strzałów jeden za drugim, oba ostro w górę.

Gdy poczuł, że jest gotowy, zapiał kaburę i włożył skórzaną kurtkę. Następnie zdjął obrączkę i podał Chiarze. Nie pytała dlaczego; nie musiała. Pocałowała go ostatni raz w usta i starała się nie płakać, gdy on po cichu wyszedł. Potem stała samotnie w oknie z twarzą mokrą od łez i modliła się o wycie syren.

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Austrii zajmowało dawny wspaniały pałac Habsburgów na Herengasse 7. Głęboko we wnętrzu ogromnego budynku znajdowało się centrum dowodzenia kryzysowego, utworzone w pełnych napięcia dniach po 11 września, gdy wszyscy w Europie, łącznie z Austriakami, zakładali, że są następnymi na czarnej liście Al-Kaidy. Na szczęście Jonas Kessler musiał wejść do tego pomieszczenia tylko raz, owej nocy, kiedy został schwytany Erich Radek, przez tego samego człowieka, w którego rękach spoczywała teraz kariera Kesslera.

Centrum dowodzenia urządzone było na wzór niewielkiego amfiteatru. Na poziomie niższym, w miejscu, o którym personel mówił „jama”, oficerowie łącznikowi z różnych oddziałów Austriackiej Policji Federalnej i służb bezpieczeństwa siedzieli przy trzech stołach zastawionych telefonami i komputerami. Personel wyższej rangi zasiadał przy stanowiskach pracy wznoszących się schodkowo, przy czym najwyższy poziom zarezerwowany był dla szefów, ministrów, a jeśli była taka potrzeba, dla samego kanclerza federalnego.

O siedemnastej trzydzieści pięć Jonas Kessler usiadł w wyznaczonym miejscu, mając po jednej stronie ministra spraw wewnętrznych, a po drugiej Uziego Nawota. Obok Nawota siedział Ari Szamron. Obracał w palcach swoją starą zapalniczkę Zippo i wpatrywał się w największy obraz na ścianie z ekranami. Widniała na nim kamienica na Koppstrasse 34. O siedemnastej pięćdziesiąt, dokładnie jak przewidział Gabriel, w bramie ukazało się czterech młodych Libańczyków. Wszyscy mieli na sobie ciężkie wełniane płaszcze. Byli gładko ogoleni - znak, że zgodnie z rytuałem przygotowali się na rozkosze z dziewczycami, które czekają na nich w raju.

Czterech Arabów przewędrowało przez dwie przecznice do Thaliastrasse i zeszło do stacji metra. O siedemnastej pięćdziesiąt pięć wsiedli do pociągu - do osobnych wagonów, tak jak przewidywał Gabriel. Obserwując ich na monitorach, Kessler zaklął cicho pod nosem. Potem spojrzał na Nawota i Szamrona.

- Nie wiem, jak wam dziękować.
- Więc niech pan nie dziękuje - odparł Szamron ponuro. - Aż będzie po wszystkim.
- Zła karma? - zapytał Kessler.

Szamron nie odpowiedział, tylko wciąż nerwowo obracał w palcach zapalniczkę. Nie

wierzył w karmę. Wierzył w Boga. I w swego anioła zemsty, Gabriela Allona.

*

Niestety, nie był to pierwszy raz, kiedy arabscy terroryści zaatakowali zabytkową Synagogę Miejską w Wiedniu. W 1981 roku dwie osoby zginęły, a trzydzieści zostało rannych, gdy bojownicy palestyńscy zaatakowali zebranych na bar micwie pistoletami maszynowymi i granatami ręcznymi. W efekcie tamtego ataku obecnie osoby pragnące wejść do synagogi musiały przedostać się przez kordon młodych strażników pochodzenia izraelskiego. Członków miejscowej gminy żydowskiej zazwyczaj wpuszczano bezzwłocznie, ale turyści musieli znosić przesłuchiwanie i przeszukiwanie bagażu osobistego. Było to mniej więcej tak przyjemne jak wchodzenie na pokład samolotu El Al.

Większość strażników była weteranami Szin Bet, skrzydła służby bezpieczeństwa wewnętrznego Izraela odpowiedzialnego za ochronę dyplomatów. Dlatego też dwóch, którzy mieli wartę tego wieczoru, rozpoznało Jakowa Rossmana, gdy zbliżał się do synagogi, mając za sobą Odeda i Elego Lawona. Jakow odciągnął strażników na bok i poinformował ich, jak umiał najspokojniej, że za chwilę nastąpi atak na synagogę. Następnie wyrecytował szereg instrukcji. Obaj strażnicy natychmiast poszli do biura żydowskiego ośrodka kultury, pozostawiając Odeda i Jakowa, żeby pilnowali bezpieczeństwa na ulicy. Eli Lawon, dawny członek gminy, założył na głowę jarmułkę i wszedł do synagogi. Trudno się pozbyć starych nawyków, pomyślał, nawet gdy trwa wojna.

W przedsionku jak zwykle kłębił się tłumek wiernych. Lawon przeszedł między nimi i wkroczył do pięknej świątyni o owalnym kształcie. Spojrzał w górę na galerię z miejscami dla kobiet i wśród kolumn jońskich zobaczył twarze oświetlone płomieniami świec. Ich krewni płci męskiej zajmowali właśnie miejsca na niższym poziomie. Gdy Lawon mijał ich, żeby wejść na bimę, odwróciło się ku niemu kilka głów, w bezgranicznym zdumieniu. Następnie ujrzał uśmiechy. Bardzo dawno go tu nie widziano.

- Dobry wieczór państwu - zaczął Lawon, głosem spokojnym i przyjemnym. - Bardzo możliwe, że niektórzy z was mnie pamiętają, ale to nie jest teraz ważne. Ważne jest, żebyście opuścili synagogę tylnym wyjściem jak najszybciej i jak najciszej.

Lawon spodziewał się talmudycznej dyskusji o zasadności takiego kroku czy nawet dopuszczalności czegoś podobnego w szabat. Jednak patrzył zdumiony, jak wierni wstają z miejsc i dokładnie stosują się do jego wskazówek. W słuchawce w uchu słyszał głos, który mówił po niemiecku, że czterech agentów Hezbollahu przesiadło się właśnie na inną linię metra, prowadzącą do śródmieścia. Spojrzał na zegarek. Osiemnasta zero pięć. Byli punktualni.

*

Na odległym końcu Rotenturmstrasse, zaledwie kilka kroków od brzegów Kanału Dunajskiego, znajduje się kafejka Aida. Markiza, która ocienia jej stoliki, jest koloru jaskraworóżowego, podobnie jak fasada budynku, co czyni ją chyba najbrzydszą kawiarnią w całym Wiedniu. W innym życiu, pod innym nazwiskiem, Gabriel popołudniami przyprowadzał do Aidy swojego syna na lody czekoladowe. Teraz siedział tu z Michałem Abramowem. Czterech członków EKO Kobra stłoczyło się przy jednym z sąsiednich stolików. Nie rzucali się w oczy, jak billboardy na Times Square. Gabriel siedział odwrócony plecami do ulicy, czując na ciele ciężar beretty kaliber .45. Michał bębnił nerwowo palcami w stolik.

- Kiedy przestaniesz? - zapytał go Gabriel.
- Jak zobaczę tych czterech chłopców z Hezbollahu.
- Głowa mnie od tego boli.
- Przeżyjesz. - Palce Michała znieruchomiały. - Szkoda, że musieliśmy go wypuścić.
- Massuda?

Michał przytaknął.

- Dałem mu słowo.
- Jest mordercą.
- Ale ja nie - odparł Gabriel. - I ty też nie.
- A jeśli nie mówił ci prawdy? Wówczas nie musiałbyś dotrzymać umowy.
- Jeżeli za kilka minut pojawią się na tej ulicy zamachowcy samobójcy z Hezbollahu - Gabriel wskazał głową w stronę okna - będziemy wiedzieli, że mówił prawdę.

Michał znowu zaczął bębnić.

- A może nie musielibyśmy go z a b i j a ć - rzucił filozoficznie. - Moglibyśmy o nim po prostu... zapomnieć.
- Co masz na myśli?
- Że Jossi i pozostali mogliby po prostu wyjechać, zostawiając Massuda przykutego do ściany w tym domku w Danii. W końcu kiedyś ktoś znalazłby jego szkielet.
- Zamierzony błąd? To sugerujesz?
- Takie jest życie.
- To mimo wszystko byłoby morderstwo.
- Nie. Śmierć w wyniku zaniedbania.
- Obawiam się, że to rozróżnienie bez różnicy.
- No właśnie. - Michał otworzył usta, by kontynuować, ale zobaczył, że Gabriel

nasłuchuje czegoś przez radio. - Co jest?

- Wsiadają z pociągu.
- Gdzie?
- Na placu Świętego Szczepana.
- Dokładnie tak, jak mówił Massud.

Gabriel kiwnął głową.

- I tak uważam, że powinniśmy go zabić.
- Chciałeś powiedzieć, z a p o m n i e ć o nim.
- Też.
- Nie jesteśmy zabójcami, Michaile. Jesteśmy tymi, którzy z a p o b i e g a j ą zabójstwom.

- Miejmy nadzieję. Bo inaczej będą musieli nas zbierać z ulicy pincetką.
- Lepiej myśleć pozytywnie.
- Ja zawsze wolałem rozważać czarne scenariusze.
- Dlaczego?

- Motywacja - odparł Michaił. - Jeśli wyobrażę sobie, jak rabin ściąga z ulicy moją krew, by mnie pochować wraz z nią, to mnie motywuje, żeby dobrze wykonać swoją robotę.

- Tylko poczekaj, aż zobaczysz broń. Nie możemy ich zabić, dopóki nie wyciągną broni.

- A jeśli nie wyciągną? Jeśli po prostu wysadzą się na ulicy?
- Myśl pozytywnie, Michaile.
- Jestem rosyjskim Żydem. Myślenie pozytywne nie leży w mojej naturze.

Kelnerka położyła na stole rachunek. Gabriel podał jej banknot i powiedział, by zatrzymała resztę. Michaił zerknął na czterech z Kobry.

- Oni wyglądają na bardziej zdenerwowanych niż my.
- Pewnie są.

Michaił wrócił spojrzeniem na ulicę.

- Myślałeś już, co zrobisz potem?
- Będę spał kilka dni.
- Tylko wyłącz telefon.
- To ostatni raz, Michaile.
- Aż pojawi się jakiś terrorysta, który postanowi zmniejszyć światową populację Żydów o kilka setek. Wtedy znowu wrócimy.
- Obawiam się, że następnym razem będziecie musieli to zrobić beze mnie.

- Zobaczymy. - Michał zerknął na Gabriela. - Naprawdę jesteś pewien, że dasz radę?
- Jeśli znów mnie o to spytasz, to cię zabiję.
- To by był bardzo zły pomysł.
- Dlaczego?
- Wyrzuj przez okno.

*

W centrum kryzysowym austriackiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Ari Szamron wpatrywał się w monitory, obserwując w napięciu, jak czterech terrorystów z Hezbollahu skręca w wąską brukowaną uliczkę prowadzącą do synagogi, a za nimi podążają Gabriel i Michał. I w tym momencie doznał przerażająco wyraźnego przeczucia porażki, co mu się nie zdarzyło nigdy wcześniej. To nic, przekonywał sam siebie. Synagoga przetrwała noc kryształową; ten wieczór też przetrwa. Zapalił zapalniczkę i zapatrzył się na płomień. Dwie sekundy, pomyślał, może mniej. I będzie po wszystkim.

*

Ustawili się w czworokąt, dwaj szli z przodu, a dwaj pozostali kilka kroków z tyłu. Gabriel nie mógł nie podziwiać ich fachowości. W zimowych płaszczach i z tą wystudiowaną swobodną postawą wyglądali jak młodzi ludzie, którzy wyszli spędzić wieczór w słynnym wiedeńskim Trójkącie Bermudzkim - absolutnie nie jak zamachowcy samobójcy, których minuty dzielą od śmierci. Gabriel sporo o nich wiedział. Znał imiona i nazwiska wszystkich, nazwy wiosek, w których przyszli na świat, i okoliczności ich zwerbowania. Jednak w tej chwili byli to tylko Alef, Bet, Gimel i Dalet - pierwsze cztery litery hebrajskiego alfabetu. Alef i Bet należeli do Gabriela, Gimel i Dalet - do Michała. *Alef, Bet, Gimel, Dalet...* I będzie po wszystkim.

Ulica unosiła się pod kątem i zakręcała łagodnie w lewo. Jeszcze kilka kroków i Gabriel zobaczył Jakowa i Odeda stojących w kręgu światła przed wejściem do synagogi. Oded przepytował parę amerykańskich Żydów, którzy pragnęli wziąć udział w szabatowym nabożeństwie w mieście swoich przodków, a Jakow obserwował czterech mężczyzn nadchodzących ulicą. Patrzył na nich przez odpowiednio długą chwilę, po czym zmusił się do odwrócenia wzroku. Oded zdawał się ich nie zauważać. Wpuściwszy parę Amerykanów, zajmował się teraz pozostałymi wiernymi czekającymi w krótkiej kolejce, by wejść do środka. Około dziesięciorga innych, w tym dwoje małych dzieci, stało na ulicy, nie przeczuwając zbliżającego się horroru.

Od chwili, gdy Gabriel i Michał wyszli z kafejki, stopniowo zmniejszali dystans między sobą a swymi obiektami. Teraz dzieliło ich ponad siedem metrów - czterech

terrorystów, dwóch tajnych wojowników, a każdy z nich oddany swej misji, każdy wierzący w swoją sprawę i swego Boga. Dziś wieczorem na uroczej wiedeńskiej ulicy rozegra się kolejne starcie wieloletniej wojny o kontrolę nad ziemią izraelską. Gabriel, idąc po brukowanej drodze wiodącej w górę, czuł ciężar historii spoczywający mu na barkach - jego własna historia, dzieje jego narodu, *S z a m r o n...* Oczami wyobraźni zobaczył Szamrona w młodości, śledzącego Adolfa Eichmanna na opustoszałej uliczce w północnej części Buenos Aires. Szamron tamtej nocy nastąpił na rozwiązana sznurówkę i o mało nie upadł. Od tej pory, kiedy tylko wybierał się w teren, zawsze zawiązywał sznurówki na podwójny węzeł. Dziś Gabriel uczynił to samo, na cześć Szamrona. Żadnych rozwiązanych sznurówek. Żadnego koszmaru w postaci ognia i krwi w wiedeńskiej synagodze.

Gabriel i Michaił nieznacznie przyspieszyli kroku, jeszcze bardziej zmniejszając dystans. Gdy terroryści mijali krąg światła latarni, Gabriel zauważył kabel od włącznika detonatora biegnący wzdłuż wewnętrznej strony przegubu Alefa. Wszyscy czterej terroryści mieli płaszcze ciasno zapięte i, nieprzypadkowo, wszyscy trzymali prawe dłonie w kieszeniach. Tam musieli mieć pistolety. Wyjmijcie je, pomyślał Gabriel. Dwie sekundy, może mniej. *Alef Bet, Gimel, Dalet...* I będzie po wszystkim.

Gabriel zerknął szybko przez ramię i zobaczył, że drużyna Kobry idzie spokojnie za nimi. Jakowowi i Odedowi udało się wpuścić do środka większość ludzi, ale kilkoro wiernych kręciło się wciąż na ulicy, w tym owa dwójka małych dzieci. Michaił odetchnął głęboko kilka razy, usiłując zmusić szybko bijące serce, by zwolniło, ale Gabriel sercem się nie martwił. To się nie może stać. Nie dzisiaj. I wpatrywał się w prawą dłoń Alefa, z sercem walącym w piersi jak perkusja, i czekał, aż ukaże się pistolet. Jednak w końcu to jedno z dzieci, chłopiec, zauważyło go pierwsze. Jego krzyk przerażenia wywołał falę gorąca na karku Gabriela.

Nie będzie żadnej eksplozji.

Nie będzie pogrzebu dziecka.

Tylko para upadłych aniołów pędzących do przodu z wyciągniętymi ramionami.

Dwie sekundy, może mniej.

Alef, Bet, Gimel, Dalet...

I było po wszystkim.

*

Chiara nie usłyszała wybuchów, tylko syreny. Siedząc sama w pokoju hotelowym, pomyślała, że to najpiękniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszała. Nasłuchiwała przez kilka minut, po czym chwyciła komórkę i wybrała numer Uziego Nawota w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Jego głos ledwo się przebijał przez hałas w tle.

- Co się dzieje?
- Już po wszystkim - powiedział.
- Czy ktoś jest ranny?
- Tylko złoczyńcy.
- A on gdzie jest?
- U Austriaków.
- Chcę go z powrotem.
- Nie ma problemu - rzekł Nawot. - Teraz jest już cały twój.

Jak większość kłamstw, tak i to nie było całkiem przekonujące. Zdaniem Szamrona nie można mu było nic zarzucić; szczerze mówiąc, poparł je z całego serca. Kłamstwo, stwierdził, to bardzo ludzka reakcja, nawet jeśli wychodzi od zawodowców. A w kłamstwo powiedziane zbyt gładko zwykle trudno uwierzyć.

Początkowo panowała dezorientacja i nie wiadomo było, co właściwie się wydarzyło o zachodzie słońca na wąskiej uliczce przed Synagogą Miejską. Pierwsze serwisy w austriackim radiu donosiły, że dwóch uzbrojonych bandytów zabiło czterech Żydów przed synagogą, najprawdopodobniej w akcie prawicowej ekstremistycznej przemocy. Sytuacja zagmatwała się jeszcze bardziej, gdy do zamachu z dumą przyznała się jakaś nieznana organizacja neonazistowska. Pierwszym odruchem Jonasa Kesslera było sprostować tę wersję. Ale Szamron i Uzi Nawot przekonali go, żeby pozwolił się jej utrzymać do dziewiątej wieczorem, kiedy to w końcu pojawił się na konferencji prasowej w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, aby ujawnić prawdę - a przynajmniej taką prawdę, jaką znał. Owszem, zaczął Kessler, faktycznie miała miejsce strzelanina przed synagogą, jednak cztery jej ofiary to zamachowcy samobójcy z Hezbollahu, którzy przybyli do Austrii, żeby przeprowadzić zbrodniczy atak terrorystyczny. Poinformował, że władze Austrii zostały powiadomione o obecności tej komórki w Wiedniu przez zagraniczną służbę wywiadowczą, której nazwy Kessler, ze zrozumiałych powodów, nie mógł podać. Jeśli chodzi o udaną operację przed synagogą, była to zasługa wyłącznie Austriaków, działań przeprowadzonych przez EKO Kobra, jednostkę policji federalnej. Była to, zakończył Kessler z godną podziwu szczerością, „najwspanialsza chwila w historii tej formacji”.

Naturalnie prasa skupiła się na jedynym aspekcie tej historii, o którym Kessler wypowiadał się najbardziej powściągliwie, czyli źródle informacji, która doprowadziła do udanej akcji. Kessler i pozostali członkowie służb bezpieczeństwa trwali niewzruszenie przy swojej odmowie komentarza, ale w ciągu czterdziestu ośmiu godzin liczne nienazwane „źródła informacji” po cichu przypisały tę zasługę CIA. I znów telewizyjni eksperci od terroryzmu kwestionowali trafność raportów, twierdząc, że o wiele bardziej prawdopodobne jest, iż informacja pochodziła z Izraela. Oficjalnie Izraelczycy odmawiali komentarza. Prywatnie jednak zarzekali się, że to nieprawda.

To nie był koniec. Wprost przeciwnie, cała sprawa odżyła już następnego ranka, gdy „Die Presse”, jedna z najbardziej szacownych austriackich gazet, opublikowała szczegółową relację z operacji, opartą w dużym stopniu na zeznaniach naocznych świadków. Najbardziej intrygującym aspektem tej historii był opis wyglądu niższego z uzbrojonych bandytów. No i był jeszcze ten niedbale ubrany mężczyzna, który nadzorował ewakuację synagogi na kilka minut przed atakiem. Niektórzy twierdzili, że cechowało go niezwykle podobieństwo do człowieka, który niegdyś w Wiedniu kierował niewielką agencją do spraw odszkodowań związanych z Holocaustem, o nazwie Biuro Roszczeń i Dochodzeń Wojennych. Jedna z izraelskich gazet odpowiedziała natychmiast, że rzeczony człowiek - profesor Eli Lawon z Uniwersytetu Hebrajskiego - prowadził wtedy wykopaliska w tunelu pod Murem Zachodnim oraz że nie ma on żadnych powiązań w wywiadzie izraelskim; ani jedno, ani drugie nie było prawdą.

Nie trzeba chyba dodawać, że sporą część islamskiego świata wkrótce ogarnęło święte oburzenie na Izrael i jego wywiad, i w konsekwencji - na jego nowych przyjaciół Austriaków. Gazety na całym Bliskim Wschodzie ogłaszały, że było to morderstwo bez skrupułów, i rzucały wyzwanie Austriakom, aby pokazali kamizelki z ładunkami wybuchowymi, które rzekomo miało na sobie czterech „męczenników”. Gdy Kessler to uczynił, świat arabski oświadczył, że kamizelki są fałszywe. A gdy Kessler opublikował starannie skadrowane zdjęcia ciał, które wyraźnie pokazywały czterech mężczyzn objuczonych bombami, świat arabski oświadczył, że to też jest oszustwo. Widział w tych morderstwach ukrytą dłoń Izraela - i tu akurat miał całkowitą słuszość.

Właśnie wtedy, gdy trwało całe to zamieszanie, na pastwisku w północnych Niemczech znaleziono wałęsającego się, skutego kajdankami i z przepaską na oczach, Massuda Rahimiego, porwanego irańskiego dyplomaty. Powiedział niemieckiej policji, że uciekł swoim porywaczom, ale w wydanym oświadczeniu Irańska Armia Wyzwoleńcza stwierdziła, że wypuszcza Massuda „z przyczyn humanitarnych”. Następnego ranka Massud, na oko parę kilo chudszy, ale poza tym w dobrym zdrowiu, pojawił się przed kamerami w Teheranie, mając po bokach irańskiego prezydenta i szefa służby, dla której pracował. Massud nie zdradził wielu szczegółów na temat swojej niewoli, powiedział tylko, bardzo oględnie, że traktowano go dobrze. Minę miał nieco sceptyczną, podobnie jak irański prezydent, który przysiągł, że stojący za porwaniem zostaną surowo ukarani.

Groźba odwetu ze strony Iranu nie została zlekceważona, szczególnie na Bulwarze Króla Saula. Jednak Biuro bardziej skupiło się na świętowaniu sukcesu operacji. Ludzie zostali ocaleni, stary przeciwnik poważnie skompromitowany, a gromadząca ogromne

fundusze dla Hezbollahu sieć została rozbita. Jeśli coś mąciło im dobry nastrój, to fakt, że Jego Świątobliwość papież Paweł VII miał za kilka dni wylądować na lotnisku Ben Guriona. Biorąc pod uwagę ogólne napięcie w tej części świata, Uzi Nawot uważał, że byłoby rozsądniej, gdyby Watykan przełożył wizytę. Opinię tę podzielał premier i reszta jego zrzedliwego gabinetu. Ale kto powie papieżowi, żeby nie jechał do Ziemi Świętej? Był tylko jeden kandydat. Upadły anioł w czerni. Grzesznik w mieście świętych.

*

Ojciec Mark czekał na Gabriela tuż za Spiżową Bramą. Wszedł z nim po Schodach Królewskich, dalej przez brukowany dziedziniec Świętego Damazego i wreszcie na górę do prywatnych apartamentów papieskich. Donati siedział za biurkiem w swoim gabinecie. Był to prosty pokój o wysokim sklepieniu, bielonych ścianach i półkach pełnych książek z dziedziny prawa kanonicznego. Na kredensie w równych rzędkach stały oprawione w ramki fotografie. Większość pokazywała Donatiego stojącego dyskretnie u boku swego pana w historycznych momentach pontyfikatu. Ale jedno zdjęcie wydawało się dziwnie nie pasować do pozostałych - ukazywało młodszą wersję Donatiego, umorusanego i uśmiechniętego od ucha do ucha. Obejmował młodego księdza o wyglądzie intelektualisty.

- To ojciec José Martinez - wyjaśnił Donati. - Tu właśnie skończyliśmy budować szkołę w naszej wiosce w Salwadorze. Zostało zrobione tydzień przed jego zamordowaniem. - Przyjrzał się twarzy Gabriela i zmarszczył brwi. - Wyglądasz jak ja, gdy wróciłem z Salwadoru, bo po piętach deptał mi szwadron śmierci.

- Od kiedy wyjechałem z Rzymu, dużo się działo.

- Czytałem... - powiedział Donati. - Kradzież dzieł sztuki we Francji, wybuch bomby w galerii w Sankt Moritz, porwanie irańskiego dyplomaty i dramatyczna operacja antyterrorystyczna w centrum Wiednia. Niewtajemniczonym te wydarzenia mogą się wydawać niepowiązane ze sobą. Ale ja wiem, że mają jeden wspólny punkt.

- Tak naprawdę dwa punkty - poprawił go Gabriel. - Jeden to Biuro. A drugi to Carlo Marchese.

*

Dochodziła szósta. Słońce chowało się za dachy i kopuły zabytkowego centrum Rzymu. Gdy Gabriel mówił, łagodne światło barwy sjeny odpyływało powoli z gabinetu, aż spowił go mrok jakby konfesjonału. Donati, ubrany w czarną sutannę, byłby niewidoczny, gdyby nie żarzący się ognik jego papierosa. Kiedy Gabriel zakończył swoją relację, siedział przez kilka minut w melancholijnej ciszy, po czym podszedł do okna. Tuż pod nimi znajdowała się średniowieczna Wieża Mikołaja V, obecnie siedziba Banku Watykańskiego.

- Jesteś w stanie cokolwiek z tego udowodnić?

- Są takie dowody, które obronią się w sądzie. Ale są też takie, które sprawiają, że problem znika.

- Co sugerujesz?

- Rozmowę - odparł Gabriel. - Powiem Carlowi wszystko, co wiem. A potem poinformuję go, że ty i Jego Świątobliwość życzyście sobie, aby zrezygnował ze stanowiska w radzie nadzorczej Banku Watykańskiego ze skutkiem natychmiastowym. I oświadczę mu jeszcze, że jeśli kiedykolwiek rzuci cię na Spizową Bramę, będzie miał ze mną do czynienia.

- To strasznie niska cena do zapłacenia za dwa morderstwa.

- Ale tego przecież chciałeś. - Gabriel popatrzył na sylwetkę Donatego w oknie. - T e g o właśnie chciałeś, nieprawdaż, Luigi?

- Z etycznego punktu widzenia należałoby powiedzieć generałowi Ferrariemu wszystko, co wiesz.

- Być może. Jednak jeżeli rząd włoski wnieśli oskarżenie przeciw Carlowi za handlowanie antykami pochodzącymi z rabunku, pranie pieniędzy i morderstwo, będzie to wizerunkowa klęska dla Kościoła. I dla ciebie, Luigi. Wszystko się wyda. Będziesz skończony. - Po chwili Gabriel dodał: - Veronica też.

- A jeśli Carlo odmówi zrezygnowania po cichu?

- Dam mu do zrozumienia, że nie ma wyjścia. Zaufaj mi - dodał Gabriel - zrozumie.

- Nie dam przyzwolenia na morderstwo. K o l e j n e morderstwo, powinienem powiedzieć.

- Nikt tu nie mówi o zabijaniu kogokolwiek. Chociaż jeśli ktokolwiek zasługuje...

Donati uciszył Gabriela, unosząc swoją wąską dłoń.

- Porozmawiaj tylko z Carlem.

- Kiedy?

- W przyszłym tygodniu. W ten sposób nie będzie możliwości, żeby cokolwiek wyciekło do prasy przed podróżą do Izraela. - Obejrzał się na Gabriela i zapytał: - Miałeś może czas, żeby przejrzeć ustalenia dotyczące bezpieczeństwa?

- Nawet bardzo gruntownie.

- I co?

- Mam tylko jedno zalecenie.

- Jakie?

- Przemyśl to jeszcze, Luigi.

Donati odwrócił się powoli.

- Kazesz mi odwołać wizytę?
- Nie. Chcemy tylko, żebyś ją odłożył do momentu, aż sytuacja się uspokoi.
- M y?
- To wiadomość z góry.
- Od premiera?

Gabriel przytaknął.

- Wasz premier musiałby oficjalnie poprosić przywódcę miliarda rzymskich katolików, żeby n i e przyjeżdżał do Izraela. Inaczej niczego nie będziemy odwoływać.
- Więc ktoś musi przekazać Ojcu Świętemu, co o tym sądzimy.
- Zgadzam się - powiedział z uśmiechem Donati. - Ale to nie będę ja.

*

Ogrody Watykańskie skrywał już mrok, gdy Gabriel wyszedł z Belwederu. Minął Fontannę Sakramentu, Kolegium Etiopskie, następnie skierował się do miejsca pod murem Watykanu, gdzie jak posągi stało kilku gwardzistów szwajcarskich w cywilnych ubraniach. Minął ich bez słowa, wszedł na kamienne schody, a po nich na górę, gdzie przy balustradzie czekał na niego samotnie Pietro Lucchesi, znany jako Jego Świątobliwość papież Paweł VII. W dole pod jego stopami kłębił się Rzym - zakurzony, brudny, wieczny Rzym. Gabriela nigdy nie nużyło obserwowanie go. Ojca Świętego też nie.

- Pamiętam, jak pierwszy raz przyszedliśmy tu we dwóch - powiedział papież. - To było po aferze z Crux Vera. Uratowaliście mój pontyfikat, nie mówiąc już o moim życiu.

- Przynajmniej tyle mogliśmy zrobić, Wasza Świątobliwość - rzekł Gabriel. Patrzył na drugą stronę Tybru w kierunku kopuły Wielkiej Synagogi i przez moment ujrzał Pietra Lucchesiego stojącego na bimie i wypowiadającego słowa, których nie mówił żaden papież przed nim. *Te grzechy, i inne, które niedługo ujrzą światło dzienne, wyznajemy i prosimy o wasze wybaczenie...*

- To, co Wasza Świątobliwość zrobił tamtego dnia, wymagało wielkiej odwagi.

- Nie byłoby to możliwe bez ciebie. Jednak jeśli chodzi o zagojenie ran i pojednanie między naszymi dwoma religiami, moja rola nie jest jeszcze zakończona, dlatego konieczne jest, abym odbył tę podróż do Jerozolimy.

- Nikt bardziej niż ja nie pragnie, żebyś przyjechał do Izraela, Ojczyźnie Świętej.

- Ale?

- Uważamy, że w tej chwili nie jest bezpiecznie.

- Więc uczynicie, co należy, żeby b y ł o bezpiecznie. Ponieważ jeśli o mnie chodzi, kwestia jest zamknięta.

- Tak, Wasza Świątobliwość.

Papież uśmiechnął się.

- To wszystko, Gabrielu? Przypuszczałem, że będziesz ze mną polemizował.

- Dokładam wszelkich starań, żeby spieranie się z Namiestnikiem Chrystusowym nie weszło mi w nałóg.

- To dobrze. Bo życzylibym sobie, żebyś był podczas tej podróży moim osobistym ochroniarzem.

- Będę zaszczycony, Wasza Świątobliwość. W końcu taką rolę odgrywałem i wcześniej.

- Z dużym powodzeniem.

Papież uśmiechnął się przelotnie. Wiatr poruszał jego sutannę. Powietrze straciło zimową ostrość; pachniało sosnami i ciepłą ziemią. Jego Świątobliwość wydawał się tego nie zauważać. Najwyraźniej jego myśli zajmowały sprawy większej wagi niż zmiana pór roku.

- Czy to prawda, że Carlo Marchese miał coś wspólnego ze śmiercią tej biednej dziewczyny z muzeum? - zapytał w końcu.

Gabriel zawahał się.

- Coś nie tak, Gabrielu?

- Nie, Wasza Świątobliwość. Ale lepiej będzie, jeśli...

- Jeśli nie poznam nieprzyjemnych szczegółów? - Papież rzucił mu konspiracyjny uśmiech. - Zdradzę ci pewną tajemnicę, Gabrielu. Namiestnik Chrystusowy nie bierze udziału w konferencjach prasowych. Nie można go też pozwać do sądu. To jedne z niewielu plusów tej pracy.

- A co z luksusowym mieszkaniem w centrum Rzymu?

- Tak naprawdę nigdy nie lubiłem mieszkać nad sklepem. - Papież popatrzył na wzgórza Rzymu. Miasto wyglądało jak oświetlone milionem świec. - Posprzątanie bałaganu w Banku Watykańskim było jednym z moich priorytetów. Teraz wygląda na to, że człowiek z długoletnimi powiązaniem z Watykanem zniweczył całą naszą dobrą robotę.

- Zniknie, zanim Wasza Świątobliwość się spostrzeże.

- Czy życzysz sobie czegoś z mojej strony?

- Proszę trzymać się jak najdalej od tej sprawy.

Zapadła między nimi przyjacielska cisza. Papież przyglądał się Gabrielowi uważnie, jak wcześniej Donati.

- Myślałeś już, co będziesz robił dalej?

- Muszę dokończyć Caravaggia.

- A potem?

- Będę robił wszystko, żeby uszczęśliwić moją żonę.

- I pomyśleć, że pozwoliłbyś jej się wymknąć, gdyby nie ja - rzucił papież. - Może powinieneś się postarać, żebyście mieli dziecko.

- To nie takie proste.

- Mogę jakoś pomóc?

Teraz Gabriel się uśmiechnął.

- Co Wasza Świątobliwość ma na myśli?

- Jestem przywódcą Kościoła rzymskokatolickiego i obawiam się, że moje możliwości są ograniczone do modlitwy.

- Będziemy bardzo wdzięczni za modlitwę.

- A za radę?

Gabriel milczał. Papież przypatrywał mu się przez chwilę, po czym znowu się odezwał.

- Tułasz się od wielu lat, Gabrielu. Być może nadszedł czas, żebyś wrócił do domu.

- W Europie mam pracę, Wasza Świątobliwość.

- Obrazy?

Gabriel skinął głową.

- Są w życiu rzeczy ważniejsze niż sztuka - powiedział papież.

- Boję się, że twój kraj ma przed sobą czarne dni. Ostatnio nie sypiam dobrze. Miewam... wizje.

- Jakie wizje, Wasza Świątobliwość?

- Lepiej będzie, jeśli nie odpowiem na to pytanie - odparł papież, kładąc Gabrielowi dłoń na ramieniu. - Ale posłuchaj uważnie. Dokończ tego Caravaggia, Gabrielu. A potem wracaj do domu.

W tym samym momencie we Wschodniej Jerozolimie imam Hassan Darwisz prowadził swoje poobijane auto po stromym podejździe wiodącym od drogi do Jerycha do Bramy Lwów. Jak zwykle dyżurujący izraelski policjant tylko rzucił okiem na samochód i pozwolił imamowi wjechać do dzielnicy muzułmańskiej Starego Miasta. Imam Darwisz wywodził się z rodziny palestyńskich notabli z miasta Hebron na Zachodnim Brzegu Jordanu. Co ważniejsze, był członkiem Najwyższej Rady Waqf, oficjalnych strażników Wzgórza Świątynnego od czasu, gdy Saladyn odbił je krzyżowcom w roku 1187. Ta jego pozycja oznaczała, że Darwisz jest nietykalny, tak jak tylko może być Arab we Wschodniej Jerozolimie, ponieważ zaledwie kilkoma podburzającymi słowami mógłby zamienić Wzgórze w kipiący kocioł. Prawdę mówiąc, wiele razy to czynił.

Zostawił auto na niewielkim parkingu Waqf niedaleko ulicy odchodzącej od Bramy Lwów i wszedł do swego biura po północnej stronie esplanady Wzgórza Świątynnego. Na jego starym zabytkowym biurku czekała sterta kartek z zapisanymi wiadomościami telefonicznymi. Jako nieformalny rzecznik Waqf codziennie otrzymywał dziesiątki telefonów z prośbami o wywiady na tematy związane ze Wzgórzem Świątynnym i innymi świętymi miejscami w Jerozolimie. Większość z nich ignorował - zwłaszcza te od dziennikarzy amerykańskich i izraelskich - i nie bez przyczyny. Pracując najpierw z Jaserem Arafatem, następnie z jego następcą, Mahmudem Abbasem, Darwisz prowadził nieustającą kampanię na rzecz osłabienia roszczeń żydowskich do Palestyny, zaprzeczając, że kiedykolwiek istniała żydowska Świątynia Jerozolimska. Jednak wojna wypowiedziana przez Darwisza prawdzie wykraczała poza same słowa. Wykorzystując jako przykrywkę różne przedsięwzięcia budowlane, systematycznie usuwał ze Wzgórza wszelkie dowody na istnienie starożytnej Świątyni. Jego nieoficjalny doradca w tych działaniach, znawca antyków ze Szwajcarii, poniósł niedawno śmierć męczeńską w wybuchu w swojej galerii. Darwisz miał nadzieję, że nie spotka go taki sam los. Choć stale mówił o uroku męczeństwa, o wiele bardziej wolał zostawić umieranie innym.

Jak zwykle Darwisz rozprawił się szybko z prośbami o wywiady, wrzucając kartki z propozycjami bezceremonialnie do kosza. Została tylko jedna karteczka, z pozornie błahą wiadomością od jakiegoś pana Faruka, że z drukarni uniwersytetu Al-Azhar w Kairze

nadszedł zamówiony transport Koranów. Darwiz wpatrywał się w nią przez kilka minut, zastanawiając się, czy ma tyle odwagi i wiary, żeby doprowadzić rzecz do końca. Po czym wyjął pęk kluczy z górnej szuflady biurka i wyszedł, kierując się na Wzgórze Świątynne.

*

Rodzina Darwizów miała powiązania z jerozolimską muzułmańską strażą Waqf od stuleci. Jako dziecko Hassan Darwiz spędzał całe dnie, ucząc się na pamięć Koranu w cieniu drzew na północnym skraju Wzgórza Świątynnego. Ale nawet teraz, gdy był już w średnim wieku, nie mógł przejść obok Kopuły na Skale bez poczucia, że towarzyszą mu Allah i prorok Mahomet. W centrum kolorowej ośmiokątnej budowli znajdowała się Skala, uznawana za świętą przez wszystkie trzy religie abrahamowe. Dla żydów i chrześcijan było to miejsce, gdzie Archanioł Gabriel powstrzymał Abrahama przed zabiciem swojego syna Izaaka; według muzułmanów - stąd Gabriel towarzyszył Mahometowi w drodze do nieba. Pod samą skalą znajdowała się naturalna jaskinia znana jako Studnia Dusz, miejsce, gdzie według wierzeń muzułmanów dusze potępionych są czasowo przetrzymywane przed wrzuceniem do piekła. Jako chłopiec Darwiz zakradał się do jaskini sam w nocy. Tam siedział całymi godzinami na woniejących stęchlizną dywanikach modlitewnych, udając, że słyszy zawodzenie udręczonych dusz. W jego wyobraźni to nigdy nie byli muzułmanie, tylko żydzi, których Bóg ukarał za kradzież ziemi palestyńskiej.

Przez pewien czas Darwiz wierzył, że jest możliwe, aby żydzi i muzułmanie podzielili się tą ziemią i żyli obok siebie w pokoju. Teraz, po kilkudziesięciu latach bezlitosnej izraelskiej okupacji i niedotrzymywania obietnic, doszedł do wniosku, że Palestyńczycy nigdy nie będą wolni, jeśli państwo syjonistyczne nie zostanie unicestwione. Wierzył, że kluczem do wyzwolenia Palestyny jest samo Wzgórze Świątynne, Al-Haram al-Sharif. Izraelczycy niemądrze pozwolili Waqf utrzymać zwierzchność nad Wzgórzem po wojnie sześciodniowej. Tym samym nieświadomie przypieczętowali własny los. Darwiz, naukowiec zajmujący się historią starożytną Bliskiego Wschodu, rozumiał, że konflikt między Arabami a Żydami to coś więcej niż walka o ziemię; była to wojna religijna, a Al-Haram al-Sharif stanowiło jej centrum. Arafat wykorzystał Wzgórze Świątynne w 2000 roku, aby zainicjować krwawą drugą intifadę. Teraz imam Hassan Darwiz zamierzał za jego pomocą rozpocząć kolejną. Jednak ta intifada, trzecia, przyćmi dwie poprzednie. Będzie kataklizmem, rozwiązaniem ostatecznym. A gdy już będzie po wszystkim, w Palestynie nie zostanie ani jeden Żyd.

Z obrazami nadchodzącej apokalipsy w głowie imam przeszedł pod wolno stojącym łukiem południowo-zachodniej arkady i ruszył przez szeroki dziedziniec w kierunku srebrnej

kopuły meczetu Al-Aksa. Po zachodniej stronie ogromnej budowli znajdowało się nowo wybudowane wejście do podziemnego meczetu Al-Marwani. Darwisz zszedł w dół po tarasowych stopniach i jednym ze swoich kluczy otworzył główne drzwi. Jak zawsze poczuł pewien lęk przed wejściem. Będąc dyrektorem budowy, Darwisz wiedział, że usunięcie kilku ton ziemi i gruzu bardzo osłabiło Wzgórze. Całej południowej części płaskowyżu groziło zapadnięcie. Podczas ramadanu i innych ważnych świąt Darwisz niemal słyszał, jak Wzgórze jęczy pod ciężarem wiernych. Wystarczyłoby jedno małe pchnięcie i duża część najświętszego miejsca na ziemi zapadłaby się do Doliny Cedronu, zabierając ze sobą meczet Al-Aksa, trzecie z najświętszych sanktuariów islamu. I co wtedy? W ciągu kilku godzin na granicy Izraela znalazłyby się wojska islamskie razem z dziesiątkami milionów muzułmańskich wiernych. To byłby dżihad, który zakończyłby wszelkie inne dżihady, intifada mająca tylko jeden cel - całkowite unicestwienie państwa Izrael i jego mieszkańców.

Na razie jednak w ogromnym podziemnym meczecie z jego dwunastoma alejkami filarów i łuków herodiańskich panowała grobowa cisza, a oświetlało go łagodne boskie światło. Darwisz, stąpając bezszelestnie, przeszedł sklepieniem do ciężkich drewnianych drzwi, solidnie zamkniętych na mocną kłódkę. Imam miał jedyny klucz. Otworzył kłódkę i z trudem pchnął drzwi. Ukazały się kamienne schody. U ich podnóża znajdowały się jeszcze jedne zamknięte drzwi. Darwisz miał również jedyny klucz do nich. Gdy je otworzył, ujrzał absolutną ciemność. Wyjął z kieszeni swego *thobe* małą latarkę Maglite, włączył i oświetlił pierwsze piętnaście metrów starożytnego tunelu, węższego niż szerokość ramion mężczyzny. Wykopany w czasach żydowskiej Pierwszej Świątyni, był jednym z wielu starożytnych cudów odkrytych przez robotników palestyńskich podczas budowy meczetu. Darwisz nie poinformował o istnieniu tunelu ani Izraelskiego Urzędu do spraw Zabytków Starożytności, ani Organizacji Narodów Zjednoczonych. Nikt o nim nie wiedział - nikt oprócz imama Hassana Darwisza i kilku robotników, którym kazano przysiąc, że nic nie powiedzą.

Niektórzy mogliby się naturalnie obawiać wejścia w nocy do starożytnego tunelu, ale nie Darwisz. Jako dziecko spędzał niezliczone godziny, ochoczo eksplorując ukryte jaskinie i przejścia Świętego Wzgórza. Ten tunel obniżał się pod zdradliwie stromym kątem przez ponad sto metrów, aż w końcu się wyrównywał. Następnie biegł w większości prosto i płasko przez blisko czterysta metrów, po czym znów wznosił się gwałtownie. Na końcu znajdowała się niedawno zamontowana stalowa drabina. Trochę zdyszany po uciążliwej wędrówce, Hassan Darwisz złapał za poręcz i zaczął wspinać się powoli w kierunku drewnianej klapy na szczycie. Podniósłszy ją, znalazł się w sypialni mieszkania w dzielnicy Silwan we

Wschodniej Jerozolimie, graniczącej z Miastem Dawida. Na jednej ścianie wisiał plakat z francuskim gwiazdorem piłki nożnej, na innej - fotografia Yahyi Ayyasha, zawodowego konstruktora bomb z Hamasu, znanego jako Inżynier. Darwiz otworzył szafę. Wewnątrz znajdowały się „Korany”, o których wspomniał w swojej wiadomości pan Faruk - paręset kilogramów silnych ładunków wybuchowych i detonatorów przeschmuglowanych do Egiptu przez Hezbollah i Hamas i wwiezionych do Izraela przez beduińskich współplemieńców. W innym miejscu w dzielnicy Silwan było tego więcej. O wiele więcej.

Darwiz zamknął drzwi szafy. Następnie przeszedł przez ciasne pokoje mieszkania na maleńki balkon z widokiem na Dolinę Cedronu. Po przeciwnej stronie, nad wysokimi miodowymi murami z kamienia herodiańskiego, wznosiły się dwie ogromne kopuły, jedna srebrna, druga złota.

- *Allah Akbar* - powiedział cicho imam. - I niech się zmiłuje nad moją duszą za to, co mam zamiar zrobić w Jego imieniu.

Przez następny tydzień burzliwe życie Gabriela nabrało przyjemnie uporządkowanego charakteru, choć było też nieco odosobnione. Jako że lokal na via Gregoriana był już niedostępny, znalazł schronienie w niewielkim mieszkaniu księżowskim w Pałacu Apostolskim, o piętro niżej od Donatiego i papieża. Wstawał wcześniej rano, jadł śniadanie z zakonnicami prowadzącymi gospodarstwo Ojcu Świętemu, a następnie szedł do warsztatu, żeby tam spędzić kilka godzin nad Caravagiem. Antonio Calvesi, główny konserwator, rzadko oddalał się od przypominającej pieczarę przestrzeni roboczej Gabriela. Drugiego dnia wreszcie zdobył się na odwagę, by zapytać o przyczynę jego nieobecności.

- Pojechałem odwiedzić chorą ciotkę.

- Gdzie?

- W Palm Beach.

Calvesi zmarszczył sceptycznie brwi.

- Chodzą słuchy, że *il Papa* zabiera cię ze sobą na pielgrzymkę do Ziemi Świętej.

- Szczerze mówiąc, wolimy na nią mówić Izrael - rzucił Gabriel, delikatnie stukając pędzlem w powłóczytą czerwoną szatę Jana Ewangelisty. - Owszem, Antonio, jadę z nim. Ale nie martw się, skończę Caravaggia, gdy wrócimy.

- Ile to potrwa?

- Może tydzień, może miesiąc.

- Robisz to tylko po to, żeby mnie zirytować?

- Tak.

- Miejmy nadzieję, że twoja c i o t k a już nie zachoruje.

- Tak - odparł Gabriel. - Miejmy nadzieję.

Punktualnie o dziesiątej Gabriel opuszczał pracownię i przechodził do koszar Gwardii Szwajcarskiej na codzienną porcję instrukcji dotyczących środków ostrożności w czasie podróży papieża. Początkowo Alois Metzler wydawał się zirytowany obecnością Gabriela. Ale jego obawy szybko zniknęły, gdy Gabriel wytknął kilka oczywistych uchybień w planie ochrony, których nikt inny jakoś nie zauważył. Któregoś razu, po zakończeniu szczególnie długiego zebrania, zaprosił Gabriela do swego biura.

- Jeśli masz pełnić służbę razem z nami - powiedział, zerkając na niebieskie dzinsy

Gabriela i skórzaną kurtkę - musisz być ubrany jak my.

- W pantalonach wyglądam grubo - odparł Gabriel. - Poza tym nigdy nie udało mi się wymyślić, jak przejść z halabardą przez bramki wykrywające metal na lotnisku.

Metzler przycisnął guzik interkomu. Po dziesięciu sekundach wszedł jego adiutant, niosąc trzy ciemne garnitury, trzy białe koszule, trzy krawaty i parę sznurowanych wyjściowych butów.

- Skąd wzięliście moje wymiary? - zapytał Gabriel.

- Od twojej żony. - Metzler otworzył górną szufladę biurka i wyjął pistolet kaliber 9 mm. - Będziesz też potrzebował czegoś takiego.

- Ja mam coś takiego.

- Ale jeśli masz uchodzić za członka Gwardii Szwajcarskiej, musisz mieć przy sobie przydzieloną broń Gwardii Szwajcarskiej.

- SIG Sauer P dwa dwa sześć.

- Jestem pod wrażeniem.

- Mam trochę doświadczenia w tych sprawach.

- Słyszałem. - Metzler się uśmiechnął. - Ale zanim wydam broń, musisz przejść egzamin ze strzelania.

- Żartujesz.

- Nigdy nie żartuję, jestem przecież Szwajcarem. - Metzler wstał.

- Przypuszczam, że pamiętasz drogę.

- W prawo przy zbroi i korytarzem na dziedziniec. Drzwi na strzelnicę są po drugiej stronie.

- Chodźmy.

Droga zabrała im niecałe dwie minuty. Na strzelnicy ćwiczyło zawzięcie czterech dwudziestoparoletnich Szwajcarów, więc powietrze było gęste od dymu. Metzler kazał im wyjść, po czym wręczył Gabrielowi pistolet SIG Sauer, pusty magazynek i pudełko z nabojami. Gabriel szybko włożył do magazynka piętnaście naboji i wcisnął go do rękojeści. Metzler nałożył okulary i nauszники ochronne.

- A ty? - zapytał.

Gabriel potrząsnął głową.

- Dlaczego?

- Bo jeśli ktoś będzie próbował zabić Ojca Świętego, nie będę miał czasu na ochronę oczu i uszu.

Metzler zawiesił tarczę na linie i posłał ją na odległość dwudziestu metrów.

- Dalej - polecił Gabriel.

- O ile?

- Do końca.

Metzler usłuchał. Gabriel uniósł pistolet, stając w klasycznej trójkątnej pozycji do strzelania, i umieścił wszystkie piętnaście naboji w oczach, nosie i czole sylwetki na tarczy.

- Nieźle - rzeki Metzler. - Sprawdźmy, czy potrafisz to powtórzyć.

Metzler posłał kolejną tarczę na koniec strzelnicy, a Gabriel szybko przeładował broń. Opróżnił magazynek w parę sekund. Tym razem zamiast piętnastu dziur rozmieszczonych na całej twarzy widniała pojedyncza wielka dziura w środku czoła.

- Dobry Boże - rzucił Metzler.

- Dobra broń - odparł Gabriel.

W południe Gabriel uciekał z niewoli Watykanu ukryty na tylnym siedzeniu służbowego sedana Donatiego i jechał do ambasady izraelskiej przyswoić sobie codzienną dawkę informacji z Bulwaru Króla Saula. Jeśli był jeszcze czas, wracał na kilka godzin do pracowni.

O siódmej towarzyszył Donatiemu i papieżowi na kolacji w prywatnej jadalni papieskiej. Gabriel wiedział, że nie należy kolejny raz poruszać kwestii bezpieczeństwa, wykorzystywał więc tę wyjątkową okazję, aby przygotować papieża na jedną z najważniejszych zagranicznych pielgrzymek jego pontyfikatu. Sekretariat Stanu, także watykańskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, przygotował bezpieczne w założeniu przemówienia, które papież miał wygłosić w różnych miejscach, zarówno w Izraelu, jak i na terytoriach pod zwierzchnictwem Palestyny. Jednak z każdym dniem stawało się oczywiste, że Paweł VII zamierza radykalnie zmienić kształt od lat napiętych stosunków między Stolicą Apostolską a państwem żydowskim. Ta podróż miała być czymś więcej niż tylko pielgrzymką; miała stanowić kulminację procesu, który papież zapoczątkował prawie dziesięć lat wcześniej swoim aktem skrucy w Wielkiej Synagodze w Rzymie.

Ostatniego wieczoru Gabriel słuchał, jak Ojciec Święty zmaga się z trudnymi kwestiami, które chciał wygłosić w Yad Vashem, muzeum historii Izraela i izbie pamięci Holokaustu. Potem niespokojny Donati uparł się, że odprowadzi Gabriela do jego mieszkania. Poszli okrężną drogą, która doprowadziła ich do jednego z wejść do Kaplicy Sykstyńskiej. Donati zawahał się przed otwarciem drzwi.

- Chyba lepiej, żebyś tym razem wszedł tam beze mnie.

- Kto tam jest, Luigi?

- Jedyna osoba na całym świecie, która może ukarać Carla tak, jak na to zasługuje.

*

Z tyłu ołtarza stała Veronica Marchese, z ramionami skrzyżowanymi na piersi w obronnym geście, patrząc na *Sąd Ostateczny*. Gabriel podszedł do niej, ale nie oderwała oczu od fresku.

- Myśli pan, że to będzie tak wyglądało? - zapytała.

- Koniec?

Skinęła głową.

- Mam nadzieję, że nie. Bo znalazłbym się w poważnych tarapatach.

Dopiero teraz spojrzała na niego. Widział, że płakała.

- Jak to się stało, panie Allon? Jak taki człowiek jak pan został jednym z najlepszych na świecie konserwatorów dzieł sztuki chrześcijańskiej?

- To długa historia.

- Chyba chciałabym ją usłyszeć - odrzekła.

- Kazano mi robić dla mojego kraju takie rzeczy, po których już nie byłem w stanie malować. Więc nauczyłem się włoskiego i pod zmienionym nazwiskiem pojechałem do Wenecji, żeby studiować konserwację dzieł sztuki.

- U Umberta Contiego?

- A u kogóż by innego?

- Tęsknię za Umbertem.

- Ja też. Miał pęk kluczy, które otwierały wszystkie drzwi w Wenecji. Czasem wyciągał mnie z łóżka w środku nocy, żeby patrzeć na obrazy. „Człowiek zadowolony z siebie może być dobrym konserwatorem - powtarzał mi - ale tylko ktoś, kto sam ma zniszczone płótno, może być prawdziwie wielkim konserwatorem”.

- Udało się panu je naprawić?

- Częściowo - odparł Gabriel po chwili milczenia. - Ale obawiam się, że niektóre fragmenty są nie do naprawienia.

Nie odezwała się.

- Gdzie jest Carlo?

- W Mediolanie. A przynajmniej tak sędzę. Nie tak dawno odkryłam, że Carlo nie zawsze mówi mi prawdę o tym, gdzie jest i z kim się spotyka. Teraz wiem dlaczego.

- Ile powiedział pani Donati?

- Dość, żebym zrozumiała, że moje życie w dotychczasowym kształcie się skończyło.

Zapadło między nimi ciężkie milczenie. Gabriel przypomniał sobie, jak wyglądała Veronica tamtego popołudnia w muzeum Villa Giulia, kiedy mogła wydawać się kobietą o

wiele młodszą. Teraz wyglądała na swoje pięćdziesiąt lat. Mimo to była uderzająco piękna.

- Musiała pani domyślać się, że mąż nie jest tym, za kogo uchodził - odezwał się wreszcie.

- Wiedziałam, że Carlo zarabia dużo pieniędzy w sposób, który nie zawsze rozumiałam. Jednak jeśli pyta pan, czy wiedziałam, że jest szefem organizacji przestępczej zajmującej się handlem nielegalnie zdobywanymi dziełami sztuki starożytnej... - Urwała. - Nie, panie Allon, o tym nie wiedziałam.

- On panią wykorzystał, Veronica. Użył pani, by wejść do Banku Watykańskiego.

- A moja reputacja w świecie antyków dodawała mu poważania.

Włosy opadły jej na twarz. Celowo odgarnęła je, jakby chciała, żeby konserwator Gabriel oszacował zniszczenia dokonane przez zdradę Carla.

- Dlaczego pani za niego wyszła? - zapytał.

- Osądza mnie pan, panie Allon?

- Gdzieżbym śmiał. Zastanawiałem się po prostu, jak mogła pani wybrać kogoś takiego jak on po tym, jak była pani zakochana w Luigim.

- Pan nie wie zbyt wiele o kobietach, prawda?

- Tak mi mówiono.

Jej uśmiech był szczery. Znikł jednak szybko, gdy zaczęła wyliczać powody, dla których poślubiła Carla Marcheseego. Carlo był przystojny. Carlo był interesujący. Carlo był bogaty.

- Ale Carlo nie był Donatim - rzekł Gabriel.

- Nie - odparła. - Luigi jest tylko jeden. I miałabym go całego tylko dla siebie, gdyby nie Pietro Lucchesi.

Ton jej głosu stał się nagle gorzki, pełen urazy, jak gdyby Jego Świątobliwość był w jakiś sposób winny temu, że ona poślubiła mordercę.

- Chyba lepiej, że tak się stało - powiedział Gabriel ostrożnie.

- Że Luigi wrócił do kapłaństwa, zamiast ożenić się ze mną?

Gabriel przytaknął.

- Łatwo panu mówić, panie Allon. - I dodała cicho: - To nie pan był w nim zakochany.

- On tu jest szczęśliwy, Veronica.

- A co się stanie, gdy z palca Lucchesiego zdejmą Pierścień Rybaka i złożą jego ciało w krypcie w podziemiach Bazyliki Świętego Piotra? Co wtedy uczyni Luigi? - Prędko sama sobie odpowiedziała. - Pewnie będzie przez kilka lat wykładał prawo kanoniczne na uniwersytecie papieskim. A potem spędzi ostatnie lata swego życia w domu emeryta pełnym

starzejących się księży. Bardzo samotny - dodała po chwili. - Tak strasznie smutny i samotny.

- Takie życie wybrał.

- Ktoś dokonał wyboru za niego, tak samo jak i za pana. Wy dwaj jesteście bardzo podobni, panie Allon. Pewnie dlatego tak dobrze się dogadujecie.

Gabriel przyglądał się jej przez chwilę.

- Pani wciąż jest w nim zakochana, prawda?

- Nie chciałabym odpowiadać na to pytanie, a przynajmniej nie tutaj. - Uniosła twarz ku sklepieniu. - Wiedział pan, że Claudia zadzwoniła do mojego biura w Villa Giulia w wieczór swojej śmierci?

- O dwudziestej czterdzieści siedem.

- Więc pewnie wie pan też, że minutę wcześniej zadzwoniła pod inny numer.

- Wiem. Ale nie udało nam się ustalić, do kogo.

- Mogłam wam pomóc.

Podawała mu jedną ze swoich wizytówek. Numer, pod który dzwoniła Claudia, był numerem komórki Veroniki.

- Nie było mnie już w biurze, gdy tam do mnie dzwoniła, a że dzwoniła na mój telefon komórkowy, zorientowałam się dopiero nazajutrz.

- Dlaczego?

- Bo gdzieś mi się zapodział na cały dzień. Znalazłam go następnego ranka na podłodze swojego samochodu. Nie miałam żadnych podejrzeń aż do dnia, kiedy przyszedł pan do mnie do muzeum. Wtedy uświadomiłam sobie, jak Carlo to zrobił. Gdy zostawiłam pana wtedy w tej ulewie, pojechałam do Villa Borghese i godzinę płakałam, zanim wróciłam do domu. Carlo widział, że coś się stało.

- Dlaczego nie powiedziała mi pani o tym w wieczór przyjęcia?

- Bałam się.

- Czego?

- Że mój mąż mnie też zabije. - Spojrzała na Gabriela, potem na *Sąd Ostateczny*. - Mam nadzieję, że jest tak piękny jak to.

- Koniec?

- Tak.

- Jakoś nie wierzę - odparł Gabriel - że będziemy mieli tyle szczęścia.

*

Opowiedział jej tyle, ile mógł, i odprowadził ją do Spiżowej Bramy. Gdy zniknęła między kolumnami, wyobraził sobie, że towarzyszy jej Donati - nie ten Donati związany

ślubami czystości, ale taki, jaki mógłby być, gdyby Bóg nie powołał go do kapłaństwa. Potem ruszył w stronę swego mieszkania, ale coś kazało mu wrócić do kaplicy. Stał sam nieruchomo przez kilka minut, błędząc wzrokiem po freskach, a w głowie tłukł mu się jeden wers z Pisma Świętego. „Dom, który Salomon zbudował dla Pana, miał sześćdziesiąt łokci długości, dwadzieścia szerokości i trzydzieści wysokości”...

Jako przywódca suwerennego państwa, papież ma własną pocztę, mennicę, niewielką armię, światowej klasy muzeum państwowe oraz ambasadorów na całym świecie. Nie ma jednak samolotu. Jeśli chodzi o loty, musi korzystać z uprzejmości Alitalii, borykającego się z problemami włoskiego przewoźnika. Na podróż do Izraela wypożyczono mu boeinga 767, któremu na cześć tej pielgrzymki nadano nazwę „Syjon”. Prywatny przedział dla papieża miał cztery luksusowe fotele obrotowe, ławę, na której leżał stos porannych gazet, i telewizję satelitarną, dzięki której papież mógł oglądać własny odlot z lotniska Fiumicino na żywo we włoskiej telewizji RAI.

Papieska świta z kurii rzymskiej i ochroniarze siedzieli tuż za nim w części dla klasy biznesowej, natomiast watykańscy dziennikarze musieli zadowolić się klasą ekonomiczną. Gdy gramolili się na pokład, obładowani sprzętem fotograficznym i bagażem, kilku z nich zamiast szalików miało na szyjach palestyńskie kefije w biało-czarną kratkę. Drugim przystankiem w ramach napiętego papieskiego grafiku miał być obóz uchodźców w Dehejszy. Widać dziennikarze uznali za istotne zrobić korzystne wrażenie na swych gospodarzach.

Mimo że wylot miał miejsce wcześniej rano, Alitalia zaserwowała obfite śniadanie. Księża i biskupi pochłonęli posiłek, jakby nic nie jedli od kilku dni, ale Gabriel był zbyt zaprzątnięty myślami, żeby jeść. Siedział obok Aloisa Metzlera, przeglądając ostatni raz plan ochrony, sporządzając w myśli listę wszystkiego, co może pójść nie tak. Gdy liczba koszmarnych scenariuszy doszła do dwudziestu, zamknął broszurę z instrukcjami i zaczął wyglądać przez okno, patrząc, jak samolot leci nisko nad Morzem Śródziemnym w kierunku izraelskiej Równiny Nadbrzeżnej. Kilka minut później, gdy koła uderzyły ciężko o pas lotniska Ben Guriona, jeden z dziennikarzy krzyknął: „Witamy w okupowanej Palestynie!”, na co konserwatywny biskup z Sekretariatu Stanu mruknął: „Amen”. Najwyraźniej, pomyślał Gabriel, niektórzy w kurii nie byli zadowoleni z decyzji papieża, aby spędzić czas Wielkiejnocy w Ziemi Świętej kontrolowanej przez Żydów.

Na polecenie Donatiego Gabriela włączono w skład głównego oddziału ochrony papieża, czyli miał się nie oddalać od niego na więcej niż metr. I stało się tak, że gdy Jego Świątobliwość papież Paweł VII, biskup Rzymu, Pontifex Maximus, następca świętego Piotra, wyszedł ze swego wypożyczonego samolotu, kroczył za nim jedyny syn ocalałych z

Holokaustu z doliny Ezdrelon. Idąc w ślady swych poprzedników, papież natychmiast ukląkł i ucałował ziemię. Gdy wstał, podszedł do oczekującego go izraelskiego premiera i energicznie uścisnął mu dłoń. Obaj przez kilka minut wymieniali uprzejmości, otoczeni pierścieniami ochroniarzy. Następnie premier odprowadził papieża do helikoptera. Gabriel wspiął się do środka za nim i usiadł między Donatim a Aloisem Metzlerem.

- Jak dotąd wszystko w porządku - powiedział Donati, gdy helikopter szybko wzniósł się w powietrze.

- Tak - odparł Gabriel. - Ale teraz zacznie się zabawa.

*

Lecieli na wschód, w kierunku Wyżyny Judejskiej, ponad przypominającym kręte schody wąwozem oddzielającym Jerozolimę od morza. Gabriel pokazywał wioski, w których toczyły się najgorsze walki w czasie izraelskiej wojny o niepodległość; potem ich oczom ukazała się Jerozolima, unosząca się w powietrzu, jak gdyby trzymana wysoko w górze ręką Boga. Papież patrzył uważnie przez okno, gdy przelatywali nad miastem z zachodu na wschód, od nowej części do starej. Gdy mijali Wzgórze Świątynne, złota Kopuła na Skale zaślniła w południowym słońcu. Gabriel pokazał papieżowi Bazylikę Grobu Świętego, kościół Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny i Ogród Oliwny.

- A twój syn? - zapytał papież.

- Tam - wskazał Gabriel, gdy przelatywali nad Górą Oliwną.

Helikopter skręcił łagodnie na południe i leciał teraz wzdłuż „zielonej linii” demarkacyjnej z 1949 roku, obecnie nazywanej powszechnie „granicą sprzed 1967 roku”. Z góry wyraźnie było widać, że granica ta praktycznie zniknęła po ponad czterdziestu latach izraelskiej okupacji. W ciągu zaledwie kilku sekund minęli mieszaną dzielnicę Jerozolimy o nazwie Abu Tor, niewielkie osiedle żydowskie na Zachodnim Brzegu

- Har Homa, a także arabską wioskę Beit Jala. Z Beit Jala sąsiadowało Betlejem. Z dystansu można było łatwo zobaczyć plac Żłóbka, ponieważ wypełniony był kilkutyśiecznym tłumem wymachującym małymi palestyńskimi flagami. Na drogach dojazdowych do miasta nie poruszał się ani jeden samochód, z wyjątkiem ciężarówek i dżipów armii izraelskiej.

- Teraz zacznie się polityka - zwrócił się Gabriel do Donatego.

- Ważne, żeby pchać nasze sprawy naprzód, szczególnie że gość honorowy będzie jedynym mężczyzną ubranym od stóp do głów na biał.

Helikopter wylądował. Na podwyższeniu przed Bazyliką Narodzenia Pańskiego czekali prezydent Mahmud Abbas i pozostali przedstawiciele władz Autonomii Palestyńskiej.

- Witamy, Wasza Świątobliwość, na starożytnej ziemi palestyńskiej! - wykrzyknął

Abbas, na tyle głośno, by usłyszeli go stojący nieopodal reporterzy. - I witamy w Betlejem i w Jerozolimie, odwiecznej i niepodzielnej stolicy Palestyny.

Papież zareagował niezobowiązującym skinieniem głowy, po czym przywitał się z pozostałymi członkami delegacji. Większość z nich była wyraźnie zadowolona, że znalazła się w jego obecności, ale jeden, Jaser Abed Rabbo, dawny lider Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny, wydawał się o wiele bardziej zaintrygowany pewnym ochroniarzem, który nie odstępował papieża na więcej niż kilkanaście centymetrów.

Po wejściu do bazyliki papież spędził kilka minut na cichej modlitwie przed Ołtarzem Narodzenia. Następnie poprosił Abbasa o pokazanie mu szkód, jakie wyrządzono w 2002 roku, gdy święte miejsce chrześcijan zajęła grupa palestyńskich terrorystów, usiłująca uniknąć pojmania. Gdy zakończyło się trwające trzydzieści dziewięć dni oblężenie, wojsko izraelskie odkryło czterdzieści bomb ukrytych w świątyni. Franciszkanie, którzy podczas oblężenia byli przetrzymywani jako zakładnicy, opowiadali, że palestyńscy terroryści zdzierali ze ścian złote ikony, a kart Biblii używali jako papieru toaletowego. Jednak wszystko to wydawało się nowością dla Mahmuda Abbasa.

- Jedyne szkody - powtarzał - wyrządzili bazylice Izraelczycy. Jak Wasza Świątobliwość wie, oni są głęboko antychrześcijańscy.

- Skoro tak się sprawy mają - odparł papież chłodno - to dlaczego liczba chrześcijan w Betlejem spadła z dziewięćdziesięciu pięciu procent do zaledwie jednej trzeciej? I dlaczego chrześcijanie w niepokojącym tempie opuszczają terytorium kontrolowane przez Autonomię Palestyńską?

Abbas uśmiechnął się słabo i zerknął na zegarek.

- Wasza Świątobliwość, zdaje się, że jest odpowiednia pora, by złożyć, wizytę w Dehejszy.

Obóz usytuowany był półtora kilometra na południe od Betlejem na skrawku ziemi wydzierzawionym od rządu Jordanii po zakończeniu wojny o niepodległość. Początkowo około trzech tysięcy Palestyńczyków, głównie z Jerozolimy i Hebronu, mieszkało tam w namiotach. Obecnie, ponad sześćdziesiąt lat później, miejsce namiotów zajęły budynki z pustaków, a liczba mieszkańców obozu wzrosła do niemal trzynastu tysięcy zarejestrowanych uchodźców. Jako że szerzyło się bezrobocie, większość z nich znajdowała się pod stałą opieką ONZ, a obóz był siedliskiem bojowników. Mimo to mieszkańcy wiwatowali na cześć papieża, gdy ten szedł wąskimi uliczkami z Gabrielem przy boku.

Na zakończenie spotkania na zakurczonym głównym placu obozu papież wyraził ubolewanie z powodu, jak to ujął, „okropnego cierpienia Palestyńczyków”. Jednak odchodząc

nagle od przygotowanego tekstu, w sposób ostentacyjny skrytykował fakt, że przez trzy pokolenia arabskiego przywództwa nie udało się wypracować sprawiedliwego i realnego rozwiązania problemu uchodźców.

- Tych, którzy przyczyniają się do trwania ludzkiego cierpienia w imię polityki - oświadczył uroczyście - należy potępić równie mocno jak tych, którzy je zadają.

Po tych słowach papież pobłogosławił zgromadzonych szerokim znakiem krzyża i wsiadł do opancerzonej limuzyny, żeby przebyć krótką drogę do Jerozolimy. Przez Bramę Gnojną wszedł na teren Dzielnicy Żydowskiej, włożył karteczkę z prośbą o pokój między kamienie Ściany Płaczu, a następnie udał się pieszo przez ulice Dzielnicy Muzułmańskiej do Bramy Łańcucha, jednego ze wschodnich wejść na Wzgórze Świątynne. Znak postawiony przez władze rabinackie Izraela ostrzegał, że ich zdaniem Żydom nie wolno wchodzić na Wzgórze ze względu na świętość miejsca.

- Nie wiedziałem o tym - rzekł papież.

- To skomplikowane, Wasza Świątobliwość - odparł Gabriel. - No, ale w Izraelu większość rzeczy taka jest.

- Jesteś pewien, że chcesz iść ze mną?

- Już tam bywałem.

Papież się uśmiechnął.

- Dreszcz mnie przechodzi na samą myśl o tym, co by się stało z biednym Izaakiem, gdyby nie ty.

- To Bóg uratował chłopca. Archanioł Gabriel był tylko jego posłańcem.

- Mam nadzieję, że uzna za stosowne mnie też uratować.

- Tak, jeśli tylko będziesz mnie słuchał, Ojczy Świątynne - powiedział Gabriel. - Tutaj bardzo prędko może się zrobić niebezpiecznie. Jeśli tylko zobaczę coś, co mi się nie spodoba...

- Wychodzimy - wszedł mu w słowo papież.

- I to szybko - dodał Gabriel.

Chociaż Waqf kontrolowała Wzgórze Świątynne, nie pilnowała wejść na nie, dzięki czemu rząd izraelski był w stanie spełnić prośbę Watykanu, żeby Wzgórze było zamknięte podczas krótkiej wizyty papieża. Dlatego też delegacja dostojników islamskich, czekających na stopniach prowadzących do Kopuły na Skale, liczyła zaledwie czterdzieści osób. Wśród nich znajdował się wielki mufti, członkowie Najwyższej Rady Waqf oraz uzbrojeni ochroniarze, z których wielu miało powiązania z organizacjami bojowników palestyńskich i islamskich. Kilka minut po przybyciu papieża mufti zaprosił go do modlitwy wewnątrz

Kopuły na Skale, chociaż Waqf zapewniła wcześniej Watykan, iż takie zaproszenie nie będzie miało miejsca.

Papież dyplomatycznie odmówił i przez kolejne kilka minut podziwiał wspaniałe mozaiki i okna budowli. Gabriel dyskretnie wskazał mu napisy w języku arabskim, otwierające z wiary chrześcijańskiej i nawołujące wszystkich chrześcijan do nawrócenia się na islam, który muzułmanie uważali za ostateczne i decydujące objawienie Słowa Bożego.

- Czyta pan po arabsku? - zapytał mufti.

- *Nein* - odpowiedział Gabriel po niemiecku.

Później papież i mufti przenieśli się do ogrodu na herbatę. Znalazłszy się sam na sam z najpotężniejszym przywódcą religijnym na świecie, dozorca trzeciego najświętszego sanktuarium islamu skorzystał z okazji, by wyłożyć swą często powtarzaną teorię, że Holocaust nigdy nie miał miejsca i że Żydzi potajemnie spiskują, by zniszczyć Kopułę na Skale z pomocą fundamentalistów chrześcijańskich z Ameryki. Papież słuchał ze stoickim spokojem, jednak później w uwagach publicznych nazwał tę rozmowę „niezwykle pouczającą”. Następnie, po wygłoszeniu zaplanowanych przeprosin za okrucieństwa krucjat, zauważył, że Izraelczycy byli pierwszymi zdobywcami w historii Jerozolimy, którzy pozostawili status Wzgórza Świątynnego bez zmian. Dlatego też, jak oświadczył, przed islamem stoi szczególny obowiązek, by nie tylko dbać o meczety na Wzgórzu Świątynnym, lecz także chronić święte ruiny pod nim, pod ziemią.

- Ogólnie rzecz biorąc - powiedział papież, wsiadając do limuzyny na ulicy odchodzącej od Bramy Lwów - chyba dobrze poszło.

- Nie jestem pewien, czy mufti też tak uważa. - Gabriel uśmiechnął się.

- Ma szczęście, że zachowałem zimną krew. Szkoda, że nie słyszałeś, co mi naopowiadał.

- My te rzeczy słyszymy codziennie, Wasza Świątobliwość.

- Ale ja nie - odparł papież. - Mogę tylko mieć nadzieję, że Bóg miał jakiś cel w tym, że kazał mi siedzieć i słuchać owych bredni.

Gabriel spojrział na plan dalszej podróży Ojca Świętego i ogarnęły go wątpliwości, czy faktycznie tak jest.

Następnym punktem było Yad Vashem.

Donati zarezerwował na tę wizytę jedną godzinę, jednak minęło dziewięćdziesiąt minut, zanim papież zakończył swoją prywatną wycieczkę po nowo zaprojektowanej wystawie historii Holocaustu. Stamtąd udał się do Sali Imion, ponurego archiwum informacji o zmarłych, następnie poszedł wzdłuż Alei Sprawiedliwych wśród Narodów Świata i przez

Dolinę Zabitych Wspólnot. Przy Podziemnym Pomniku Dzieci, ciemnym, zapadającym w pamięć miejscu, z jarzącymi się setkami maleńkich światełek, na moment stracił orientację.

- Tędy - powiedział Gabriel cicho.

Gdy papież wyszedł znów na jaskrawe słońce Jerozolimy, po policzkach płynęły mu łzy.

- Dzieci - westchnął. - Dlaczego, na litość boską, mordowali małe dzieci?

- Czy Wasza Świątobliwość potrzebuje chwili na zebranie myśli?

- Nie - odrzekł papież. - Już czas.

Minąwszy strzelistą Kolumnę Bohaterstwa, przeszli do Izby Pamięci. Na placu na zewnątrz siedziało kilkuset izraelskich dygnitarzy i ocalałych z Holocaustu zwróconych twarzami do prostego podwyższenia, z którego papież miał wygłosić najważniejsze przemówienie swojej pielgrzymki. Ze względu na posepność miejsca nastrój był minorowy. Nikt nie wymachiwał flagami, nie rozległy się też oklaski, gdy papież wszedł do środka. Podążając za nim do chłodnego cienia, Gabriel, po raz pierwszy od ich przybycia na izraelską ziemię, poczuł pewien spokój. Tutaj, w tej uświęconej izbie pamięci, Ojciec Święty był bezpieczny.

Wieczny ogień został uprzednio chwilowo zagaszony. Z pomocą Donatiego papież rozniecił go na nowo, a następnie klęczał kilka chwil zatopiony w milczącej, bolesnej modlitwie. Wreszcie wstał i przeszedł na plac, gdzie tłum już wiercił się w oczekiwaniu na gościa. Gdy papież podchodził do podium, Donati zabrał czarną teczkę zawierającą przygotowany wcześniej tekst i w jej miejsce położył jedną kartkę białego liniowanego papieru. Na niej znajdowały się odręczne notatki, które Ojciec Święty sporządził w trakcie swojej ostatniej rozmowy z Gabrielem w Pałacu Apostolskim. Papież miał za chwilę wygłosić jedno z najważniejszych oświadczeń swego pontyfikatu, improwizując.

Stał na podwyższeniu przez długą chwilę, jak gdyby niezwykle połączenie grozy i piękna w Yad Vashem odebrało mu mowę. Ponieważ Gabriel był z Ojcem Świętym przy pomniku dzieci pomordowanych podczas Holocaustu, wiedział, że wzruszenie jest autentyczne. Ale wiedział też, że Jego Świątobliwość ma zamiar rozpocząć homilię od kwestii kontrastu słów i czynów. Dlatego też jego milczenie nie było bez przyczyny.

- W tym miejscu niewysłowionego bólu - zaczął w końcu - same słowa nie wystarczą, by opisać głębię naszego smutku i wstydu. Ten piękny ogród pamięci to coś więcej niż tylko oficjalny nagrobek sześciu milionów dzieci Boga i Abrahama, które zginęły w ogniu Holocaustu. To przypomnienie, że zło, prawdziwe zło, jest obecne w świecie. Przypomina nam również, że jako chrześcijanie przyjmujemy na siebie część odpowiedzialności za to, co

wydarzyło się podczas Holokaustu, i musimy prosić o wybaczenie. Przed dziesięciu laty, w Wielkiej Synagodze w Rzymie, mówiliśmy o naszym współudziale w tej zbrodni, którą upamiętnia Yad Vashem. A dziś ponownie potwierdzamy nasz smutek i raz jeszcze prosimy o wybaczenie. Jednak dziś, gdy narasta napięcie na Bliskim Wschodzie, nasz smutek miesza się z obawą. Obawą, że to może wydarzyć się znowu.

Wśród zebranych przeszedł szmer. Kilku dziennikarzy watykańskich wpatrywało się z niedowierzaniem w swoje egzemplarze przemówienia. Papież popił wody i zaczekał, aż ludzie się uciszą. Przed następną częścią homilii zerknął na Gabriela i Donatiego.

- Od naszego wystąpienia w Wielkiej Synagodze w Rzymie Kościół poczynił duże kroki w kierunku wyeliminowania nastrojów antyżydowskich z naszych nauk i naszych tekstów. Prosiliśmy naszych braci muzułmanów o podobny głęboki rachunek sumienia, jednak, niestety, to nie nastąpiło. W całym świecie islamskim święci mężowie stale głoszą, że Holokaust nigdy nie miał miejsca, a jednocześnie radykalni dżihadyści obiecują przeprowadzić kolejny. Owa sprzeczność niektórym wydaje się zabawna, ale nie mnie; nie wtedy, gdy naród, który poprzysiągł, że wymaże Izrael z powierzchni ziemi, nieustannie rozwija swój potencjał, by tego dokonać.

Widownia poruszyła się w oczekiwaniu na ciąg dalszy. Gabriel omiół spojrzeniem skonsternowanych członków delegacji kurii i znów utkwiał wzrok w drobnej postaci w bieli, która właśnie tworzyła historię.

- Niektórzy przywódcy zapewnijają mnie, że istnieniu Izraela nie zagraża Iran uzbrojony w broń jądrową - kontynuował papież. - Jednak dla kogoś, kto przeżył szaleństwo drugiej wojny światowej, ich wypowiedzi za bardzo przypominają słowa tych, którzy twierdzili, że Żydzi nie mają się czego obawiać ze strony nazistowskich Niemiec rządzonych przez Hitlera. Tu, w tym świętym mieście Jerozolimie, na każdym kroku coś przypomina nam, że wielkie imperia i wielkie cywilizacje potrafią zniknąć w mgnieniu oka. Zabytki ich sztuki zapelniają nasze muzea, ale zbyt rzadko uczymy się na ich błędach. Kusi nas, by sądzić, że osiągnęliśmy koniec historii, że to nie może się nigdy wydarzyć ponownie. Jednak historia dzieje się każdego dnia, czasem tworzona przez ludzi. I zdecydowanie zbyt często historia się powtarza.

Kilku reporterów szeptało teraz do swoich komórek. Gabriel podejrzewał, że informują szefów, że Jego Świątobliwość właśnie dokonał w Yad Vashem spektakularnego odstępstwa od rutynowego przemówienia.

- I dlatego - ciągnął papież - przy tej uroczystej okazji, w tym świętym miejscu, nie tylko czcimy pamięć sześciu milionów ludzi, którzy cierpieli i zginęli w Holokauście. Odnawiamy więź z ich potomkami i zapewniamy ich, że zrobimy wszystko, co w naszej

mocy, żeby to już nigdy się nie powtórzyło.

Papież zrobił ostatnią pauzę, jakby sygnalizując dziennikarzom, że najważniejsza część jego przemówienia nastąpi dopiero teraz. Gdy przemówił znowu, w jego głosie nie pobrzmiwał już smutek, tylko dźwięczała determinacja.

- A zatem - rozłożył szeroko ramiona, a jego słowa, wzmocnione przez głośniki, rozbrzmiały wśród pomników Yad Vashem - przyrzekamy mieszkańcom Izraela, naszym starszym braciom w wierze: tym razem, gdy stajecie przed takim zagrożeniem dla waszego istnienia, Kościół katolicki będzie stał przy was. Oferujemy wam nasze modlitwy oraz jeśli jesteście gotowi je przyjąć, nasze rady. Prosimy tylko, byście postępowali z największą rozwagą, ponieważ wasze decyzje będą mieć wpływ na cały świat. Ziemia tego świętego miasta kryje wiele śladów pozostałych po imperiach, które się przeliczyły. Jerozolima to miasto Boga. Ale jest także grobowcem szaleństw człowieka.

W tym miejscu zerwała się burza oklasków. Gabriel i pozostali ochroniarze szybko podeszli do papieża i odprowadzili go do czekającej limuzyny. Gdy kawalkada zjeżdżała ze Wzgórza Herzla w kierunku Starego Miasta, papież wręczył Gabrielowi notatki do swego przemówienia.

- Do twojej kolekcji.

- Dziękuję, Wasza Świątobliwość.

- Nadal uważasz, że powinienem być odwołać tę wizytę?

- Nie, Wasza Świątobliwość. Jednak można być pewnym, że w tej chwili Irańczycy wyznaczają nagrodę za głowę Waszej Świątobliwości.

- Zawsze wiedziałem, że to zrobią - odparł. - Dopilnuj tylko, żeby nikt tej nagrody nie odebrał, zanim wyjadę z Jerozolimy.

Donati i Ojciec Święty spędzali tę noc w pobliżu Bramy Jafy, w rezydencji łacińskiego patriarchy Jerozolimy. Gabriel odprowadził ich do drzwi, sprawdził, czy jest bezpiecznie, a następnie udał się w kierunku zachodniej części miasta. Jerozolimę spowijały cienie późnego popołudnia. Gdy skręcił w ulicę Narkissa, od razu zauważył opancerzoną limuzynę marki Peugeot zaparkowaną przed domem numer 16. Jej właściciel stał przy balustradzie balkonu na trzecim piętrze, częściowo ukryty przez zwisające konary eukaliptusa, strażnik na nocnej warcie bez końca.

Gdy Gabriel wszedł do mieszkania, poczuł charakterystyczny zapach bakłażana po marokańsku, będącego specjalnością anielsko-cierpliwiej żony Szamrona, Dżili. Stała w kuchni obok Chiary, przepasana kwiciastym fartuchem. Chiara była w luźnej bluzce wyszywanej przy dekolcie. Miała rozpuszczone włosy, a jej usta, gdy ją pocałował, smakowały miodem. Poprawiła Gabrielowi krawat i pocałowała go jeszcze raz. Potem wskazała głową na telewizor i powiedziała:

- Ty i twój przyjaciel wywołaliście niezłe poruszenie.

Gabriel spojrzał na ekran i zobaczył siebie, kroczącego metr za papieżem, który wychodził z Izby Pamięci w Yad Vashem. Komentator telewizyjny w Londynie mówił o całkowitej zmianie stanowiska polityki Watykanu wobec Izraela. Gabriel zaczął zmieniać kanały, ale wszędzie było to samo. Wyglądało na to, że Jego Świątobliwość papież Paweł VII zasadniczo odmienił dynamikę konfliktu bliskowschodniego, ponieważ Watykan zdecydowanie opowiedział się po stronie Izraela w konflikcie z Irakiem i radykalnym islamem. Co więcej, jak zgodnie podkreślali komentatorzy, niezwykle było to, że Watykan zdołał ukryć intencje Ojca Świętego przed jego wylotem z Rzymu.

Gabriel wyłączył telewizor i przebrał się w sypialni. Później wziął od Chiary dwa kieliszki z shirazem i wyszedł na niewielki taras. Szamron zapalał właśnie papierosa. Gabriel wyjął mu go z ust, zanim usiadł.

- Naprawdę musisz je rzucić, Ari.

- Dlaczego?

- Zabijają cię.

- Wolę umrzeć od papierosów niż z ręki któregoś z moich wrogów.

- Dobrze wiesz, że są i inne możliwości. - Gabriel, marszcząc brwi, zdusił papierosa i podał Szamronowi wino. - Napij się, Ari. Mówią, że jest dobre na serce.

- Serce oddałem do magazynu, gdy zacząłem pracować w Biurze. A teraz, gdy je odzyskałem, nie przestaje mi przysparzać zmartwień. - Upił łyk wina. Delikatny powiew poruszał gałęziami eukaliptusa. - Pamiętasz, co ci powiedziałem, gdy dawałem ci to mieszkanie?

- Kazałeś mi je wypełnić dziećmi.

- Masz dobrą pamięć.

- Nie tak dobrą jak ty.

- Moja już nie jest taka jak kiedyś, i chyba całe szczęście. Zrobiłem w życiu wiele rzeczy, o których wolałbym zapomnieć, a większość z nich wiąże się z tobą. - Popatrzył na Gabriela poważnie i zapytał:

- Czy to coś pomogło?

- Co?

- Wiedeń.

- Nie zrobiłem tego dla siebie. Zrobiłem to po to, żeby ktoś inny nie musiał grzebać swego dziecka ani odwiedzać ukochanej osoby w szpitalu psychiatrycznym.

- Właśnie odpowiedziałeś twierdząco na moje pytanie - rzekł Szamron. - Żałuję tylko, że musieliśmy odesłać Massuda do Teheranu. Zaslugiwał na to, by umrzeć nędzną śmiercią.

- Wyprowadziliśmy go w pole, to też nieźle.

- Szkoda tylko, że to pole nie było zaminowane. - Szamron popił jeszcze wina i zapytał Gabriela, jak było na Wzgórzu Świątynnym.

- Zmieniło się od ostatniego razu, gdy tam byłem.

- Czułeś się blisko Boga?

- Zbyt blisko.

Szamron się uśmiechnął.

- Wizyta nie przebiegła dokładnie według planu, przynajmniej nie z punktu widzenia muftiego. Ale z naszego... - Szamron urwał.

- Papieskie słowa wsparcia nie mogły nadejść w bardziej fortunnym czasie. I tobie musimy za to podziękować.

- To były jego słowa, Ari, nie moje.

- Jednak nie jestem pewien, czyby je wypowiedział, gdyby nie wasza przyjaźń. Mam tylko nadzieję, że będzie nas wspierał, gdy nieuniknione stanie się rzeczywistością.

- Masz na myśli atak na Iran?

Szamron skinął głową.

- Ile mamy czasu?

- Twój przyjaciel Uzi będzie musiał podjąć tę decyzję. Ale jeśli mam zgadywać, to będzie w przyszłym roku. Moim zdaniem - dodał Szamron - i tak już za długo zwlekaliśmy.

- Ale nawet ty nie masz pewności, czy atak na ich obiekty się powiedzie.

- Za to mam pewność, co się stanie, jeśli nie zrobimy nic - rzekł Szamron. - To nie ataku nuklearnego boję się najbardziej, tylko tego, że nasi wrogowie wykorzystają irański parasol nuklearny, żeby nam uprzykrzyć codzienne życie. Rakiety z Gazy, rakiety z Libanu, całe regiony kraju nienadające się do zamieszkania. A potem co? Ludzie się denerwują. Powoli zaczynają wyjeżdżać. I ten piękny kraj, który pomagałem tworzyć i bronić go, upada.

- Możliwe, że jesteś zbytnim pesymistą.

- Szczerze mówiąc - odparł Szamron - zaprezentowałem ci mój najbardziej optymistyczny scenariusz.

- A jaki jest najgorszy?

Odwrócił nieznacznie głowę i spojrzał w kierunku Starego Miasta.

- To wszystko może się zmienić w kulę ognia, jak w tę noc, gdy Tytus rozpoczął oblężenie Drugiej Świątyni.

Śmiech Chiary dotarł z kuchni na taras i to złagodziło ponury nastrój Szamrona.

- Coś nowego w sprawie dzieci?

- Papież się za nas modli.

- Ja też - powiedział Szamron. - Niedawno czytałem ciekawy artykuł o niepłodności. Pisali, że częste podróże raczej nie sprzyjają zapłodnieniu. I że para powinna jak najczęściej przebywać w domu w towarzystwie rodziny i przyjaciół.

- Nie masz wstydu, prawda?

- Ani krztyny. - Szamron uśmiechnął się i położył dłoń Gabrielowi na ramieniu. - Jesteś szczęśliwy, synu?

- Będę, jak tylko wsadzę Jego Świątobliwość do samolotu.

- Przypuszczam, że będziesz mu towarzyszył?

Gabriel przytaknął.

- Muszę porozmawiać z Carlem Marchesem. Muszę też dokończyć Caravaggia.

- Nie ma szans na nudę.

- Prawdę mówiąc, dałbym wszystko za chwilę nudy.

- A jak już skończysz sprawy w Rzymie? Co wtedy?

Gabriel się uśmiechnął.

- Wypij wino, Ari. Podobno jest dobre na serce.

*

Jak przewidywał Szamron, wypowiedzi papieża podczas jego wizyty na Wzgórzu Świątynnym nie zostały dobrze przyjęte w świecie muzułmańskim. Tego wieczoru w telewizji Al-Dżazira jeden komentator po drugim piętnowali je jako afront, którego nie można pozostawić bez odpowiedzi. Imam Hassan Darwisz, oglądający wiadomości w swoim biurze, uznał to oburzenie za, delikatnie mówiąc, zabawne. Wiedział, że już za kilka godzin słowa papieża będą się wydawać zaledwie nieprzemyślaną wypowiedzią starca w białym stroju. Z oczami utkwionymi w ekran sięgnął po telefon i wybrał numer. Człowiek, którego znał jako pana Faruka, odebrał natychmiast.

- Tak?

- Proszę dostarczyć Korany pod wskazany adres.

- *Allah Akbar.*

Darwisz odłożył słuchawkę i ruszył esplanadą do Kopuły na Skale - nie do głównego pomieszczenia sanktuarium, ale do jaskini pod kamieniem węgielnym znanej jako Studnia Dusz. Tam ukląkł na zatęchłym dywaniku modlitewnym, słuchając lamentu zmarłych. Wkrótce będą wolni, pomyślał, bo wkrótce już nie będzie Studni Dusz. Właściwie, jeśli Allah pozwoli, by wszystko poszło zgodnie z planem, nie będzie już niczego.

Był Wielki Piątek, w związku z czym Jerozolima, ta podzielona boża cytadela na wzgórzu, znajdowała się w stanie bliskim hysterii. W dzielnicach Nowego Miasta, w których zamieszkiwali głównie Żydzi, ranek przebiegał pod znakiem tradycyjnych przygotowań do nadchodzącego szabat. Ale we Wschodniej Jerozolimie tysiące muzułmanów zdążyło na Wzgórze Świątynne na piątkowe modlitwy, a jednocześnie rzesze katolików z całego świata przygotowywały się do upamiętnienia ukrzyżowania Chrystusa razem z człowiekiem, który jak wierzyli, był jego przedstawicielem na ziemi. Nic dziwnego, że policja i służby medyczne donosiły o nadzwyczajnym wzroście przypadków syndromu jerozolimskiego, nagłej psychozy religijnej wywołanej kontaktem z niezliczonymi tutejszymi świętymi miejscami. W jednym z takich przypadków gość hotelu Król Dawid zjawił się w holu odziany tylko w prześcieradło, głosząc, że nadchodzi koniec świata.

- Gdzie on jest teraz? - zapytał Donati.

- Odpoczywa po podaniu mu silnych środków uspokajających - odrzekł Gabriel. - Według lekarzy nic mu nie będzie.

- To jeden z naszych czy z waszych?

- Obawiam się, że z waszych.

- Skąd jest?

- Z San Francisco.

- I musiał przyjechać aż do Jerozolimy, żeby przeżyć załamanie psychiczne?

Donati uśmiechnął się i zapalił papierosa. Siedzieli w oficjalnym salonie łacińskiego patriarchy. Między nimi na stole leżała mapa Starego Miasta w dużej skali z zaznaczoną na czerwono via Dolorosa. Ta wąska rzymska droga, z gdzieniegdzie stromymi brukowanymi schodami, biegła na długości sześciuset metrów przez Stare Miasto, od dawnej twierdzy Antonia do Bazyliki Grobu Świętego, stojącej w miejscu, gdzie według chrześcijan Chrystus został ukrzyżowany i złożony do grobu. Jak większość Izraelczyków, Gabriel unikał tej ulicy z powodu agresywnych palestyńskich sklepikarzy, którzy usiłowali złapać w sidła każdego przechodnia, bez względu na jego wiarę. Zazwyczaj w Wielki Piątek sklepy były otwarte, ale nie dziś. Gabriel zarządził, żeby wszystkie zamknąć.

- Muszę przyznać, że dzisiejszy dzień martwi mnie najbardziej - powiedział, wpatrując

się w mapę. - Papież musi iść bardzo wąską ulicą i zatrzymać się w czternastu najświętniejszych miejscach w historii religii.

- Obawiam się, że nie możemy zmienić trasy, bo nie możemy zmienić historii. Jego Świątobliwość musi przejść tę samą drogę, którą Chrystus szedł na ukrzyżowanie. I upiera się, że robi to z zachowaniem jak największej godności.

- Czy chociaż zmieni zdanie co do kamizelki kuloodpornej?

- Nie.

- Dlaczego?

- Ponieważ nasz Pan nie miał na sobie kamizelki kuloodpornej, gdy szedł na śmierć. I mój pan także jej nie założy.

- To tylko rekonstrukcja zdarzeń, Luigi.

- Nie dla niego. Gdy Ojciec Święty wejdzie na via Dolorosa, w oczach swej owczarni stanie się uosobieniem Chrystusa.

- Z jedną istotną różnicą.

- Jaką?

- Jego Świątobliwość ma ten dzień przeżyć.

*

Papież wyszedł ze swoich apartamentów dziesięć minut później, ubrany w nieskazitelnie białą sutannę i szkarłatną szatę liturgiczną, i wsiadł na tylne siedzenie limuzyny. Powiozła go północnym krańcem Starego Miasta wśród nieprzebranych tłumów rozentuzjasmowanych chrześcijańskich pielgrzymów do Bramy Lwów. Tam czekali już watykańscy dziennikarze razem ze sporą delegacją duchownych i dostojników katolickich, którzy mieli podążać w ślad za papieżem, kiedy ten będzie odwiedzał kolejne stacje. Gdy Gabriel i Donati pomogli papieżowi wysiąść z samochodu, w tłumie wybuchł entuzjastyczny aplauz. Szybko jednak został zagłuszony przez południowe kazanie rozbrzmiewające ze strzelistego minaretu meczetu Al-Aksa.

- Co mówią? - zapytał Donati.

- Lepiej nie tłumaczyć - odrzekł Gabriel.

- Aż tak źle?

- Niestety.

Pierwsza stacja drogi krzyżowej znajdowała się na schodkach przy szkole podstawowej Umariya, islamskiej madrasie, do której kiedyś chodził Abu Nidal, osławiony palestyński terrorysta. Według Ewangelii i tradycji chrześcijańskiej to w tym miejscu Poncjusz Piłat, prefekt Judei, wówczas rządzonej przez Rzymian, skazał Jezusa na śmierć przez

ukrzyżowanie. Teraz, prawie dwa tysiące lat później, Jego Świątobliwość papież Paweł VII stał na tym samym miejscu, z przymkniętymi oczami, i mówił: „Kłaniamy Ci się, Panie Jezu Chryste, i błogosławimy Tobie”. Donati i reszta delegacji otaczającej papieża natychmiast przyklękli i odpowiedzieli: „Żeś przez krzyż i mękę swoją świat odkupić raczył”. Gabriel spojrzął na zegarek. Pięć po dwunastej. Jedna stacja za nimi, jeszcze trzynaście.

*

Biuro imama Hassana Darwisza miało dwa okna. Z jednego rozciągał się widok na Kopułę na Skale i meczet Al-Aksa; drugie wychodziło na via Dolorosa i kopuły Bazyliki Grobu Świętego. Zazwyczaj na tym drugim oknie Darwisz ciasno zaciągał rolety, żeby nie musieć oglądać tego, co uważał za odrażający przybytek politeizmu. Jednak dziś, w najtragiczniejszym dniu chrześcijańskiego kalendarza liturgicznego, stał tam, patrząc, jak ten śmieszny człowieczek w bieli i szkarłacie prowadzi procesję małą i świń wzdłuż drogi smutku. Chwilę później, gdy papież wszedł do kościoła Biczowania, Darwisz zaciągnął z trzaskiem rolety i podszedł do drugiego okna. Horyzont wypełniała Kopuła na Skale, symbol islamskiej dominacji nad miastem Boga. Darwisz zerknął na zegarek. Następnie owinął nerwowym gestem paciorki modlitewne wokół dłoni i czekał na trzęsienie ziemi.

*

Na Bulwarze Króla Saula Dina Sarid czuwała w napięciu zgoła innego rodzaju. Pomieszczenie, w którym pracowała, nie miało okien, a jego ściany pozawieszane były materiałami dotyczącymi operacji, która właśnie zakończyła się sukcesem w Wiedniu. Wszystko było ułożone od początku do końca, krok po kroku, ogniwo za ogniwo

- Claudia Andreatti z Carlem Marchesem, Carlo Marchese z Davidem Girardem, David Girard z Massudem Rahimim, Massud Rahimi z czterema terrorystami z Hezbollahu, którzy zginęli przed Synagogą Miejską. Jednak czy operacja Iranu i Hezbollahu była naprawdę zakończona? I czy jej prawdziwym celem była Synagoga Miejska w Wiedniu? Po wielu godzinach desperackich badań i analiz Dina obawiała się teraz, że odpowiedź na oba te pytania to zdecydowane „nie”.

Jej poszukiwania zaczęły się niedługo po siódmej poprzedniego wieczoru, gdy Jednostka 8200 przechwyciła i odszyfrowała priorytetową wiadomość z centrali VEVAK do wszystkich irańskich placówek i baz na całym świecie. Wiadomość zawierała tylko cztery słowa: KREW NIGDY NIE ŚPI. Słowa te nie mówiły nic matematykom i geniuszom komputerowym z Jednostki, jednak Dina, uczona w historii islamu, natychmiast rozpoznała, że Irańczycy zapożyczyli to wyrażenie od samego Saladyna. Wypowiedział je do swego ulubionego syna, Al-Zahira, a dotyczyły one unikania niepotrzebnej przemocy. „Strzeż się

rozlewu krwi - powiedział mu Saladyń - bądź czujny, bo możliwość ku temu nigdy nie śpi".

Jednakże, jak większość ojców, sam Saladyń nie zawsze stosował się do własnych słów. Po pokonaniu krzyżowców w bitwie pod Hittin niedaleko brzegu Jeziora Galilejskiego dał dwustu pokonanym rycerzom szansę na uratowanie się przez przejście na islam - a gdy odmówili, przyglądał się z zadowoleniem, jak mistycy i uczeni z jego dworu niewprawnie wykonywali egzekucję. Po wjechaniu do Jerozolimy trzy miesiące później natychmiast zwałił krzyż chrześcijański umieszczony na szczycie Kopuły na Skale i przeciągnął go przez miasto. Jego pierwszym odruchem było obrócić w perzynę Bazylikę Grobu Świętego - którą nazwał „kupą gnoju” - ale ostatecznie pozwolił, by pozostawała otwarta, pod warunkiem że jej dzwony będą milczeć. I aż do dziewiętnastego wieku bicie dzwonów kościelnych w Jerozolimie było zabronione muzułmańskim edyktem. Utworzenie państwa Izrael - i zdobycie Starego Miasta w wojnie sześciodniowej w 1967 roku - zakończyło dominację islamu w Jerozolimie, którą zapoczątkowało zdobycie miasta przez Saladyna. Owszem, Wzgórze Świątynne pozostawało pod kontrolą Waqf. Jednak była to zasadniczo otoczona murem forteca islamu w mieście, w którym większość stanowili Żydzi.

Krew nigdy nie śpi...

Jednak dlaczego Irańczycy użyli tych słów w zaszyfrowanej wiadomości? I co one znaczą? Czy była to niezbyt zawołowana groźba wobec papieża? Być może, jednak Dinę niepokoiło coś innego. Dlaczego muzułmańska straż Waqf w Jerozolimie, dozorca trzeciej najświętszej świątyni sunnickiego islamu, zatrudniła szyickiego muzułmanina z południowego Libanu jako doradcę do spraw związanych z przeszłością archeologiczną Wzgórza Świątynnego? Możliwe, że nie wiedzieli, że David Girard to tak naprawdę Daud Ghandur. Możliwe też, że powiązanie Girarda z Waqf było zbiegiem okoliczności - możliwe, myślała Dina, ale nieprawdopodobne. Jak wszyscy dobrzy analitycy Biura, zawsze zakładała najgorsze. A najgorszym możliwym wytłumaczeniem częstych wizyt Girarda na Wzgórzu Świątynnym było to, że został tam posłany przez swojego irańskiego oficera prowadzącego, Massuda, tego szczęściarza.

On mógł bywać w miejscach, w których ja nie mogłem, i rozmawiać z ludźmi, którzy nie mogli się zbliżyć do mnie na kilometr... Był moim własnym prywatnym FedEksem...

Ten gryzący niepokój sprawił, że Dina poprosiła Jednostkę 8200, aby pilnie poddać wszelkie wiadomości elektroniczne związane z Davidem Girardem analizie steganograficznej. Steganografia to praktyka ukrywania ważnych zaszyfrowanych informacji w pozornie nieszkodliwym opakowaniu. Używano jej jeszcze przed epoką Saladyna.

Słowo „steganografia” pochodzi z greki. Najwcześniejsze wzmianki o „ukrytym

pisaniu" pochodzą z V wieku przed naszą erą, kiedy to Demaratos, król Sparty, ukrył tajną korespondencję pod warstwą wosku. W epoce cyfrowej tajne wiadomości można przekazywać przez Internet, schowane w czymś całkiem niewinnym. Zdjęcia obserwacyjne przesyłane terrorystom mogły być na przykład ukryte w fotografiach dziewcząt w strojach kąpielowych, a wiadomość dla czynnej komórki terrorystycznej w przepisie na *boeuf bourguignon*. Odszyfrowanie ich był to prosty proces polegający na usunięciu odpowiedniej liczby bitów z barwnika stanowiącego pierwszą warstwę zdjęcia. Uderz w kilka klawiszy na klawiaturze, a piękne dziewczęta zmieniają się w zdjęcia budynków rządowych lub peronów metra w Nowym Jorku.

Po 11 września najnowocześniejsze firmy izraelskie przodowały w opracowywaniu zaawansowanych programów komputerowych zdolnych do szybkiego przeszukiwania ogromnych ilości danych w celu pozyskania materiału steganograficznego. W efekcie Jednostce tylko kilka godzin zajęło znalezienie dwóch intrygujących obrazów wysłanych na ten sam adres na Gmailu tego samego dnia. Pierwszy, ukryty w pozornie mało istotnym zdjęciu egipskiego kota z brązu, ukazywał Davida Girarda przed parą starożytnych kolumn w jakimś ciemnym pomieszczeniu. Obok niego stał jakiś imam. Drugi obraz, zakamuflowany w fotce jego żony, przedstawiał trapez narysowany odręcznie na kartce z bloku listowego. Trapez był pusty, tylko w jego dolnej części widniało małe kółko, a obok niego liczba 689.

Figura ta przypominała trochę kształt płaskowyżu Wzgórza Świątynnego, przez co ta trzycyfrowa liczba stała się jeszcze bardziej interesująca; 689 to rok, w którym Abd al-Malik, piąty kalif z dynastii Umajjadów, rozpoczął budowę Kopuły na Skale. Dina rozważyła kilka możliwych scenariuszy związanych z tą liczbą, jednak żaden nie miał dla niej sensu. Zestawiła te dwa obrazy i zadała sobie proste pytanie: A jeśli ta liczba nie ma nic wspólnego z historią, tylko z lokalizacją - a konkretnie z wysokością miejsca, w którym stoi Girard na zdjęciu? Płaskowyż Wzgórza Świątynnego wznosił się na 740 metrów nad poziomem morza; 689 metrów to byłoby zatem 51 metrów pod Wzgórzem.

Teraz, siedząc sama w podziemnej kryjówce ekipy, wpatrywała się w tajną fotografię Davida Girarda stojącego w swojej kryjówce. I w twarze czterech terrorystów z Hezbollahu zabitych w Wiedniu.

I w Massuda Rahimiego jadącego tramwajem w Zurychu. I w tekst priorytetowej wiadomości wysłanej poprzedniego wieczoru do wszystkich irańskich placówek i baz wywiadowczych. W końcu spojrzała na wysłużony telewizor, gdzie drobny człowiek w bieli kroczył wolno wzdłuż via Dolorosa ku miejscu, które Saladyn nazwał „kupą gnoju”.

Krew nigdy nie śpi...

I wtedy zrozumiała. Nie była w stanie tego udowodnić, tak samo jak wcześniej nie miała żadnego dowodu, że mężczyzna w tramwaju to Massud, ale w i e d z i a ł a. Złapała słuchawkę i wybrała numer wewnętrzny biura Uziego Nawota. Orit, jego niezbyt życzliwa sekretarka, odebrała po pierwszym sygnale. Na Bulwarze Króla Saula zwano ją „Żelazną Kopułą”, z powodu niezrównanej umiejętności Orit torpedowania próśb o chwilę z jej szefem.

- To niemożliwe - odrzekła. - Jest zawałony robotą.

- Orit, to pilne. Nie dzwoniłabym, gdyby nie było.

Sekretarka Nawota wiedziała, że nie należy zadawać więcej pytań.

- Mogę ci dać dwie minuty - rzuciła.

- Tyle mi wystarczy.

- Przyjdź. Wcisnę cię najszybciej, jak się uda.

- Właściwie to on powinien przyjść do mnie.

- Przeginasz, Dino.

- Powiedz mu, że jeśli chce, żeby Izrael jeszcze istniał w przyszłym tygodniu, niech rzuci wszystko i natychmiast tu przyjdzie.

Dina rozłączyła się i zapatrzyła na ekran telewizora. Papież właśnie przybył do szóstej stacji drogi krzyżowej, gdzie Weronika otarła chustą twarz Jezusa.

„Kłaniamy Ci się, Panie Jezu Chryste, i błogosławimy Tobie”.

Krew nigdy nie śpi...

- Żartujesz sobie, Dino?

Po jej minie widział wyraźnie, że nie.

- Wyjaśnij mi wszystko.

- Nie ma czasu.

- Znajdź go.

Wskazała na zdjęcie zniszczonej galerii Naxos w Sankt Moritz.

- No i co?

- Według Massuda David Girard wiedział, że Gabriel prowadzi śledztwo w sprawie Claudii Andreatti w Watykanie i że podszedł za blisko do Carla Marcheseego.

- Mów dalej.

- Dlaczego Girard był nadal w Europie? Czemu nie zebrał manatków i nie wrócił do kraju Hezbollahu?

- Bo chcieli, żeby tam został jako przynęta dla Gabriela.

- Zgadza się. Ale po co?

- Chcieli go zabić za to, że zepsuł im wirówki?

- To możliwe, Uzi. Ale nie sądzę. Myślę, że z innego powodu chcieli, żeby Gabriel przyjechał do Sankt Moritz.

- Z jakiego?

- *Takijja*. - Dina pokazała na inne zdjęcie, irańskiego zamachowca o nazwisku Ali Montezari i dziewczyny o twarzy z obrazów El Greca, która odegrała rolę jego współniczki. - Zlecili tę robotę komuś, kogo rozpoznamy. C h c i e l i, żebyśmy wiedzieli, że to oni za tym stoją.

- Dlaczego?

- Bo chcieli też, żebyśmy znaleźli to. - Pokazała inne zdjęcie: Massuda i Girarda razem w zuryskim tramwaju. - Sprawdziłam, jaka była pogoda w Zurychu tamtego dnia. Świeciło słońce, ale było przenikliwie zimno.

- Co ma do tego pogoda?

- Massud nie ma rękawiczek. - Wskazała na bandaż na jego prawej dłoni. - Nie założył rękawiczek, bo chciał, żebyśmy zobaczyli to. - Umilkła, a potem szepnęła: - Chciał, żebym

ja to zobaczyła.

- Twierdzisz, że Massud chciał, żebyśmy wiedzieli, że jest powiązany z Davidem Girardem i wysadzeniem galerii?

- Właśnie.

- Dlaczego?

- *Takijja* - powtórzyła.

Z twarzy Nawota zniknęły resztki sceptycyzmu.

- Mów dalej.

- Irańczycy pomachali nam Massudem przed nosem i nie zostawili nam wyboru, musieliśmy połknąć przynętę, gdy zalewali nas gadaniną o nadchodzącym ataku terrorystycznym i mobilizacji wojsk Hezbollahu w południowym Libanie. Klasyczna zmyłka. Która miała jeden jedyny cel. *Takijję*.

- Okazywanie jednej intencji, podczas gdy ukrywa się inną.

Dina skinęła głową.

- Jednak ich wiedeńska komórka była prawdziwa.

- Zgadza się. Ale nigdy nie miała wykonać swego zadania. Massud cały czas zamierzał ujawnić nam jej istnienie w dramatyczny sposób, pozostawiając nam tyle czasu, by wystarczyło na zareagowanie.

- Mówisz więc, że ta komórka to była *takijja*?

Przytaknęła.

- Coś jak „widmowa armia” generała Pattona podczas drugiej wojny światowej, którą alianci wystawili we wschodniej Anglii, żeby Niemcy myśleli, że inwazja nastąpi na Calais, a nie na Normandię. Brytyjcy i amerykańscy agenci od dezinformacji wypełniali eter fałszywymi sygnałami, bo wiedzieli, że Niemcy ich słuchają. Nawet gdy już pierwsze oddziały wylądowały na plażach, dowództwo armii niemieckiej paraliżował brak zdecydowania, bo wciąż było przekonane, że decydująca bitwa tej wojny rozegra się pod Calais.

- A w twoim scenariuszu Wiedeń to Calais.

- To nie mój scenariusz, tylko Massuda.

- Udowodnij to.

- Nie potrafię.

- Postaraj się, Dino.

Pokazała Nawotowi dwa steganograficzne obrazy odkryte przez Jednostkę 8200. Nawot zmarszczył czoło.

- David Girard w jakiejś jaskini i mapka, która wygląda, jakby ją narysował przedszkolak.

- Ale spójrz, co się dzieje, gdy porównamy ową prymitywną mapkę z t y m.

Przy użyciu komputera Dina nałożyła rysunek na mapę Wzgórza Świątynnego.

- Prawie pasuje - rzekł Nawot.

- Wystarczająco. - Dina szybko wyjaśniła swoją teorię na temat znaczenia liczby 689: że symbolizuje ona głębokość podziemnej jaskini, w której na zdjęciu stoi David Girard.

- Jesteś pewna, że przesłał te obrazy Massudowi?

- Nie. Ale nie mamy wyboru. Musimy założyć, że tak było.

- Po co by miał to robić?

- Bo był archeologiem klasycznym, a nie geologiem czy inżynierem. Potrzebował kogoś o odpowiedniej wiedzy, żeby mu wyliczył, co trzeba.

- Czyli co?

- Chciał wiedzieć, ile kruszącego materiału wybuchowego będzie potrzebował do zburzenia Wzgórza Świątynnego.

Twarz Nawota była teraz szara.

- Kim jest drugi człowiek na zdjęciu?

- Imam Hassan Darwiz - odpowiedziała Dina. - Nadzorował rozbudowę meczetu Al-Marwani. Uważa się go też za najbardziej radykalnego członka Waqf.

Dina pokazała mu wiadomość z VEVAK nadaną poprzedniego wieczoru.

Krew nigdy nie śpi...

- Saladyn? - upewnił się Nawot.

Dina skinęła głową.

- Sądzę, że to jest sygnał, by przygotować się na krwawe powstanie, które ogarnie świat islamski w momencie, w którym zostaną zniszczone Kopuła na Skale i meczet Al-Aksa. Jeśli tym budowiom coś się stanie... - Urwała. - To koniec filmu, Uzi. Gasną światła.

- Nawet Irańczycy nie są aż tak szaleni - powiedział Nawot lekceważąco. - Po co mułłowie mieliby wysadzać dwa największe sanktuaria islamu?

- Bo to nie są i c h sanktuaria - odparła Dina. - Wzgórze Świątynne jest świętym miejscem sunnitów, a wszyscy przecież wiemy, jakie są stosunki między sunnitami a szyitami. Irańczykom wystarczyłoby do pomocy tylko jeden piekielny fanatyk z Waqf.

- Myślisz, że to Darwiz jest tym ich fanatykiem?

- Poczytaj sobie jego akta.

Nawot zamilkł i namyślał się przez dłuższą chwilę.

- Nie jesteś w stanie udowodnić ani słowa ze swojej teorii - powiedział w końcu.

- Chcesz się założyć, że nie mam racji?

Nie chciał.

- Ile mamy czasu?

Spojrzała na telewizor.

- Jeśli mam zgadywać, Wzgórze Świątynne zniknie z powierzchni ziemi o godzinie trzeciej, gdy papież będzie w Bazylice Grobu Świętego.

- O godzinie śmierci Chrystusa na krzyżu?

- Dokładnie.

Nawot spojrzał na zegarek.

- Czyli mamy dziewięćdziesiąt minut.

- Powiedz Orit, żeby następnym razem łączyła mnie z tobą.

Nawot nerwowo przesunął dłonią po krótko obciętych siwych włosach.

- Wiesz, ilu ludzi znajduje się w tej chwili na Wzgórzu Świątynnym?

- Dziesięć tysięcy, może więcej.

- A wiesz, co się stanie, gdy tam teraz pójdziemy i zaczniemy szukać bomby?

Rozpętamy trzecią intifadę.

- Ale my nie musimy szukać tej bomby, Uzi. My już wiemy, gdzie ona jest.

- Pięćdziesiąt jeden metrów pod ziemią, gdzieś między Kopułą na Skale a meczetem Al-Aksa?

Dina przytaknęła.

- Czy Eli Lawon wciąż pracuje w tunelu pod Ścianą Płaczu?

- Nie wyszedł z niego, od kiedy wróciliśmy.

- Czy tam działają telefony?

- Czasem.

Nawot odetchnął ciężko.

- Nie mogę posłać Elego na Wzgórze Świątynne bez upoważnienia premiera.

- Więc może zadzwoń do niego - powiedziała Dina. - I może daj Elemu kogoś do pomocy.

Nawot spojrzał na ekran telewizora i zobaczył, jak Gabriel idzie o krok za papieżem wzdłuż via Dolorosa. Sięgnął po telefon.

*

Gdy papież przystanął przy ósmej stacji drogi krzyżowej, w miejscu, gdzie Chrystus zatrzymał się, by pocieszyć jerozolimskie kobiety, Gabriel poczuł wibrowanie komórki.

Sprawdził, kto dzwoni, po czym szybko przyłożył telefon do ucha.

- Chyba mamy problem - rzucił Nawot.

- Papież?

- Nie.

- Więc co, Uzi?

- Chodzi o jedyne miejsce w Jerozolimie, gdzie nie możemy sobie pozwolić na problem.

- O czym ty mówisz?

- Zaczynij iść w stronę tunelu pod Ścianą Płaczu. Dina powie ci resztę po drodze.

Gabriel szybko przestał iść. Gdy dotarł do kościoła Zbawiciela, biegł już tak szybko, jak tylko potrafił. W wąskich uliczkach Dzielnicy Chrześcijańskiej co chwilę wpadał na pielgrzymów, ale w Dzielnicy Żydowskiej tłum się przerzedził. Zdażał w kierunku wschodnim - wbiegał na kamienne schody i zbiegał z nich, pędził pod łukami, przez puste skwery - aż stanął przed jednym z portali Ściany Płachu. Ponieważ był to piątek, plac był bardziej zatłoczony niż zwykle. Kilkuset ludzi, mężczyzn i kobiet, modliło się tuż pod Ścianą, a według szacunków Gabriela co najmniej setka znajdowała się w synagogach pod Łukiem Wilsona. Zatrzymał się, usiłując sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby z muru wypadł choćby jeden gigantyczny herodiański cios. Następnie podszedł do najwyższego rangą policjanta, jakiego udało mu się znaleźć.

- Musicie wyprowadzić ludzi spod Ściany i zamknąć plac.

- Kim pan jest, do cholery? - zapytał policjant.

Gabriel uniósł okulary przeciwsłoneczne. Policjant niemal stanął na baczność.

- Nie mogę go zamknąć bez nakazu mojego szefa - odrzekł nerwowo.

- W tej chwili ja jestem twoim szefem.

- Tak jest.

- Zamknijcie plac i Łuk Wilsona. I zróbcie to tak spokojnie, jak tylko się da.

- Jeśli każe tym *haredim* stąd odejść, nie będzie spokojnie.

- Po prostu ich stąd zabierzcie.

Gabriel odwrócił się, nic więcej nie mówiąc, i skierował się do wejścia do tunelu.

Powitała go tam ta sama ortodoksyjna Żydówka co kiedyś.

- Jest na dole? - zapytał Gabriel.

- W tym samym miejscu. - Skinęła głową.

- Ilu ludzi jest w tunelu oprócz niego?

- Sześćdziesięcioro turystów i około dwudziestu członków ekipy.

- Każ wszystkim wyjść.

- Ale...

- Natychmiast.

Gabriel zatrzymał się na moment, żeby ściągnąć na swoją komórkę e-mail od Diny.

Następnie ruszył ścieżką, która prowadziła pod ziemię i w przeszłość, aż stanął na krawędzi dołu wykopanego przez Elego Lawona. Lawon kuczał nad kośćmi Ryfki w kręgu oślepiająco białego światła. Usłyszawszy Gabriela, podniósł wzrok i się uśmiechnął.

- Niezły garnitur. Dlaczego nie jesteś przy Jego Świątobliwości?

Gabriel rzucił swój telefon BlackBerry w otchłań wykopu. Lawon schwycił go zręcznie w powietrzu i wpatrzył się w ekran.

- Co to jest?

- Wyjdź z tej dziury, Eli, to wszystko ci opowiem.

*

Półtora kilometra dalej na zachód, w mieszkaniu przy ulicy Narkissa, Chiara oglądała transmisję z procesji wielkopiątkowej w izraelskiej telewizji. Chwilę wcześniej, gdy papież prowadził modlitwę przy ósmej stacji drogi krzyżowej, zauważyła, że Gabriel odebrał telefon. Teraz, gdy Ojciec Święty kroczył uroczystie od ósmej stacji do dziewiątej, Gabriela nie było widać u jego boku. Chiara patrzyła jeszcze kilka sekund na ekran, po czym chwyciła telefon i zadzwoniła do biura Uziego Nawota na Bulwarze Króla Saula. Odebrała Orit.

- Właśnie miał do ciebie dzwonić, Chiaro.

- Co się dzieje?

- Jest w drodze do Jerozolimy. Poczekaj.

Chiarze żołądek podszedł do gardła, gdy Orit zawiesiła połączenie. Kilka sekund później usłyszała Nawota.

- Gdzie on jest, Uzi?

- To skomplikowane.

- Do cholery, Uzi! Gdzie on jest?!

*

Choć Nawot o tym nie wiedział, Gabriel siedział właśnie na brzegu wykopu razem z Elim Lawonem. W dole świeciły kredowobiałe kości Ryfki, świadka oblężenia Jerozolimy przez Rzymian i zniszczenia Drugiej Świątyni Heroda. W tym momencie Lawon nie pamiętał o niej; widział tylko maleńkie zdjęcie na ekranie komórki Gabriela. Na nim David Girard vel Daud Ghandur stał w jakiejś podziemnej jaskini u boku imama Hassana Darwisza, muzułmańskiego duchownego z Najwyższej Rady Waqf.

- To w tle to są kolumny?

- Kolumny nas teraz nie interesują, profesorze.

- Przepraszam.

Lawon obejrzał dokładnie drugi obraz - trapez z zaznaczeniem i liczbą 689 w dolnej

części.

- To by miało sens - rzekł po chwili.

- Co?

- Że pomieszczenie, w którym stoją, jest usytuowane w tej części Wzgórza. W podziemiach pod Kopułą na Skale i pod wejściem do meczetu Al-Aksa jest pełno kanałów, szybów i cystern.

- Skąd o tym wiemy?

- Od Charlesa Warrena.

Sir Charles Warren, błyskotliwy oficer z brytyjskiego Korpusu Inżynierów Królewskich, przeprowadził pierwsze i jedyne badanie Wzgórza Świątynnego w latach 1867-1870. Skrupulatnie przez niego sporządzone szczegółowe mapy i rysunki pozostawały standardowym źródłem dla współczesnych archeologów.

- Warren zlokalizował trzydzieści siedem podziemnych budowli i zbiorników pod Wzgórzem - wyjaśnił Lawon - nie wspominając o licznych akweduktach i korytarzach. Największe z nich były usytuowane niedaleko miejsca zaznaczonego na tej mapce. Faktycznie, w tej okolicy znajduje się ogromny zbiornik na wodę o nazwie Morze Wielkie, wydrążony w skale wapiennej. Jego rysunek wykonał w czasach Warrena malarz William Simpson. - Lawon spojrzał na Gabriela.

- Możliwe, że David Girard i imam stoją właśnie tam.

- Możemy się tam dostać?

- Ilustracja Simpsona wyraźnie wskazuje na istnienie co najmniej trzech wielkich akweduktów prowadzących do innych cystern i budowli w tym kompleksie. Ale jest też możliwe, że Waqf wykopała nowe tunele i korytarze pod pretekstem swoich inwestycji budowlanych.

- Tak czy nie, Eli?

- Zadajesz mi pytania, na które nie potrafię odpowiedzieć - odparł Lawon. - Prawda jest taka, że nie mamy pojęcia, co faktycznie znajduje się pod Wzgórzem, ponieważ nie wolno nam tam wchodzić.

- Już nie.

- Wiesz, co się stanie, jeśli Waqf nas tam znajdzie?

- Szczerze mówiąc, bardziej się obawiam, co się stanie, jeśli w podziemnej jaskini między Kopułą na Skale a meczetem Al-Aksa wybuchnie bomba.

- W porządku.

- Co by się tak naprawdę stało, Eli?

- Przypuszczam, że to zależy od rozmiaru bomby. Gdyby była wielkości przeciętnej kamizelki zamachowca samobójcy, Wzgórze nie odczułoby skutków wybuchu. Jednak gdyby to było coś dużego...

- Massud zniszczył koszary marines w Bejrucie za pomocą największej niejądrowej eksplozji, jaką widział świat od kilkadziesiątu lat. On się zna na niszczeniu.

Lawon wstał i podszedł do olbrzymich kamiennych bloków tworzących Ścianę Płaczu. Turystów ewakuowano; mała synagoga zwana Jaskinią stała pusta. Byli całkiem sami.

- Zawsze miałem nadzieję, że będę miał szansę zobaczyć, co jest po drugiej stronie - powiedział, wodząc wzrokiem po kamieniach.

- Jednak nigdy nie sądziłem, że stanie się to z powodu czegoś takiego.

- Profesorze, na pewno odkrył pan tam na dole coś więcej niż jakieś stare kości.

- Oczywiście - odparł Lawon z roztargnieniem.

- Możesz nas tam zabrać, Eli?

- Do wnętrza Wzgórza Świątynnego? - Lawon się uśmiechnął.

- Proszę bardzo, tędy.

*

Minęli Jaskinię i zeszli schodami do starożytnego kamiennego łuku zamurowanego szarymi cegłami. Umieszczony obok podświetlony współczesny napis głosił: Brama Warrena.

- Charlesa Warrena, oczywiście - wyjaśnił Lawon. - W czasach Drugiej Świątyni prowadziła od ulicy, gdzie stoimy teraz, do podziemnego korytarza. Ten korytarz prowadził do schodów. A schody...

- Do Świątyni.

Lawon przytaknął.

- W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym naczelny rabin Ściany Płaczu nierozsądnie nakazał robotnikom skuć bramę, ale jak tylko zaczęli pracę, stuk młotów zaczął się nieść korytarzami i przez cysterny dotarł na Wzgórze. Arabowie słyszeli go bardzo wyraźnie. Natychmiast wpadli do tunelu i wybuchła mała bitwa. Policja izraelska musiała wejść na Wzgórze, żeby przywrócić porządek. Po tym wszystkim Brama Warrena została zamurowana i tak jest do dzisiaj.

- Ale na pewno to nie jest j e d y n e podziemne przejście na Wzgórze.

- Nie. - Lawon potrząsnął głową. - Wiemy o istnieniu jeszcze co najmniej jednego tunelu. Odkryliśmy go kilka lat temu. Znajduje się około pięćdziesięciu metrów w tamtym kierunku. - Wskazał na północ wzdłuż muru. - Zbudowany według identycznego projektu jak Brama Warrena.

- Czemu nigdy nie został udostępniony turystom?

- Bo nie chcieliśmy wywoływać nowych zamieszek. Kilku izraelskim archeologom pozwolono spędzić kilka minut w środku, zanim tunel zamurowano.

- Byłeś jednym z nich?

- Byłbym, ale miałem wcześniejsze zobowiązanie.

- Gdzie?

- W Moskwie.

- Iwan?

Lawon kiwnął głową.

- Jak gruby jest mur w tym nowym tunelu?

- Nie tak jak ten. - Lawon poklepał chropowatą powierzchnię muru.

- Nawet archeolog z chorym żołądkiem mógłby go skuć bez trudu. Dla takiego twardego jak ty wystarczyłoby parę uderzeń młotem.

- A hałas?

- Kazanie powinno go zagłuszyć - rzekł Lawon. - Ale jest inny problem.

- Jaki?

- Jeśli ta bomba wybuchnie, gdy będziemy we wnętrzu Wzgórza, skończymy jak moja Ryfka.

- Są gorsze miejsca pochówku, Eli.

- Myślałem, że uważasz, że to tylko kupa kamieni.

- Zgadza się - odparł Gabriel. - Ale to moje kamienie.

Lawon umilkł.

- O czym myślisz?

- O tych kolumnach.

- Daj mi młot i latarkę, Eli, a pokażę ci kolumny.

Jazda z Bulwaru Króla Saula do siedziby premiera w Jerozolimie zwykle zabierała pół godziny, ale tego popołudnia kawalkada Uziego Nawota pokonała tę drogę w zaledwie dwadzieścia minut. Gdy Nawot wchodził do budynku, radiotelefon Gabriela został przełączony z sieci bezpieczeństwa papieża na pasmo zarezerwowane dla Biura. W efekcie Nawot mógł słuchać, jak Gabriel i Eli Lawon włamują się do magazynu w tunelu pod Ścianą Płaczu w poszukiwaniu narzędzi potrzebnych do przedostania się pod Wzgórze Świątynne.

Premier czekał w gabinecie, razem z ministrem obrony, ministrem spraw zagranicznych i odpowiednikiem Nawota z Szin Bet. Obrazy przesyłane przez telewizję przemysłową ze Starego Miasta migają na ścianie pełnej ekranów telewizyjnych. Na jednym z nich Namiestnik Chrystusowy zbliżał się do Bazyliki Grobu Świętego. Inne przedstawiało kilka tysięcy muzułmanów zgromadzonych na szczycie Wzgórza Świątynnego, a jeszcze inne - tuzin izraelskich policjantów trzymających straż na pustym teraz placu przed Ścianą Płaczu. Nawot pomyślał, że to Wielki Piątek jak z koszmaru.

- I co? - zapytał premier, gdy Nawot usiadł na swoim zwykłym miejscu.

- Czekają na pański rozkaz.

- Jedna analityczka twierdzi, że we wnętrzu Wzgórza Świątynnego jest bomba, która może zmieść z powierzchni ziemi cały płaskowyż, a wy mówicie, że nie mam wyboru, tylko muszę jej uwierzyć.

- Tak, panie premierze.

- Wiecie, co się stanie, jeśli Palestyńczycy odkryją, że Gabriel i Eli tam są?

- Coś się komuś może stać - rzeki Nawot. - I wtedy arabska wiosna zawita do Jerozolimy.

Premier przyglądał się przez chwilę ekranom, po czym skinął głową. Nawot szybko przekazał rozkaz Gabrielowi. Kilka sekund później usłyszał cztery silne uderzenia.

Alef, Bet, Gimel, Dalet...

I było po wszystkim.

*

Z magazynu Gabriel i Lawon zabrali młot dwuręczny, kilof, dwa zwoje nylonowej liny, dwa kaski z lampami halogenowymi i rozmaite drobne narzędzia, za pomocą których można

by rozbroić bombę. Lawon przed włożeniem kasku nasunął na głowę jarmułkę. Gabriel zdjął marynarkę, krawat i kaburę. Pistolet SIG Sauer kaliber 9 mm, który dał mu Alois Metzler, wepchnął za pasek spodni. Mikrofon miniaturowego radiotelefonu zostawił włączony, żeby Nawot mógł słyszeć każdy jego krok i oddech.

Przebiwszy się przez betonowy mur, weszli do korytarza o łukowatym sklepieniu, który poprowadził ich przez podstawę zachodniego muru oporowego do samego Wzgórza. Płyty chodnikowe starożytnej ulicy były gładkie jak szkło. Trzy razy w roku, podczas Paschy, Szawuotu i Sukkotu, Żydzi z dawnych królestw Izraela szli po tych kamieniach do Świątyni. Nawet Gabriel, który miał teraz w głowie co innego niż historia, niemal wyczuwał obecność swoich przodków, ale Eli Lawon nurkował w mrok na oślep, ledwo mogąc oddychać z podniecenia.

- Spójrz na profilowanie na tych kamieniach - mówił, przesuując dłoń po zimnej ścianie korytarza. - Nie ma innej możliwości, muszą być herodiańskie.

- Nie mamy czasu przyglądać się kamieniom - rzekł Gabriel, trącając Lawona trzonkiem kilofa.

- Istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że będziemy ostatnimi Żydami, których stopa tu powstała.

- Jeśli bomba wybuchnie, to na pewno.

Lawon przyspieszył kroku.

- Gdzie my właściwie jesteśmy? - zapytał Gabriel.

- Gdybyśmy byli na powierzchni, przechodzilibyśmy przez Bramę Ciemności, zdejżając dokładnie w kierunku wschodniej fasady Kopuły na Skale. - Lawon zatrzymał się i skierował latarkę z kasku na parę kolumn w kamiennej ścianie. - Te są doryckie - stwierdził. - Herodiańskie, bez dwóch zdań.

- Idź dalej, Eli. - Gabriel znowu szturchnął go kilofem.

Lawon usłuchał.

- Przy końcu korytarza - powiedział - jest cysterna, odkryta przez Charlesa Wilsona, innego wielkiego brytyjskiego badacza starożytnej Jerozolimy.

- Tego od Łuku Wilsona.

Latarka Lawona podskoczyła twierdząco w górę i w dół.

- Według Wilsona zbiornik ma dwadzieścia osiem metrów długości, pięć i pół metra szerokości i dziesięć i pół metra głębokości. Potem powinniśmy zobaczyć schody.

- A jeśli tam są?

- Zaprowadzą nas bliżej pod powierzchnię. Tam powinniśmy móc znaleźć drogę wśród

sieci cystern i akweduktów. Wiemy, że wszystkie zostały połączone z powodu incydentu z Bramą Warrena z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku. Musimy tylko odnaleźć te właściwe połączenia.

- Zanim wybuchnie bomba - dodał Gabriel ponuro.

Przeszli jeszcze kilka kroków. Nagle Lawon zastygł w bezruchu.

- Co jest?

Lawon odsunął się i odsłonił chropowaty szary mur blokujący wyjście z korytarza.

- Coś mi mówi, że ten nie jest herodiański.

- Nie - rzekł Lawon. - Według mojej fachowej opinii jest palestyński i pochodzi gdzieś z roku dwa tysiące dziesiątego.

*

- Jakiej jest grubości? - zapytał premier.

- Dowiedzą się dopiero, gdy zaczną go burzyć - odparł Nawot.

- A gdy już zaczną...

- Palestyńczycy mogą ich usłyszeć na Wzgórzu.

Nawot skinął głową.

Premier podjął decyzję w kilka sekund.

- Każ im zburzyć ten mur. Ale jeśli nie znajdą bomby do wpół do trzeciej, będę musiał aresztować imama Hassana Darwisha i interweniować w nieprzyjemny sposób na górze.

- Izraelskie wojsko i policja na Wzgórzu Świątynnym?

Premier zdecydowanie kiwnął głową.

- Jeśli pan to zrobi - powiedział Uzi - zacznie pan trzecią intifadę w czasie, gdy oczy całego świata są skierowane na nas z powodu papieża.

- Zdaję sobie z tego sprawę, Uzi, ale to lepsze niż alternatywa.

Nawot wydał Gabrielowi polecenie rozwalenia muru.

Alef Bet, Gimel, Dalet...

Mur się nawet lekko nie ukruszył.

*

W tym samym momencie imam Hassan Darwisch stał na zachodnim murze oporowym Wzgórza Świątynnego, spoglądając na pusty plac w dole. Alarmy zdarzały się w Jerozolimie często, jednak Izraelczycy blokowali dostęp do najświętszego miejsca judaizmu tylko wtedy, gdy sądzili, że zbliża się atak. Istniała możliwość, że zamknięcie placu miało związek z jakimś innym zagrożeniem, ale Darwisch w to wątpił. Jakimś cudem spisek został odkryty.

Darwisch odwrócił się i ruszył esplanadą w kierunku Kopyły na Skale. Jak zwykle na

piątkowe modlitwy wpuszczono na Wzgórze Świątynne tylko kobiety i starców. Darwisz przywitał kilkoro z nich tradycyjnym pozdrowieniem z formułką o pokoju, po czym zszedł do Studni Dusz. Otworzył drzwi i ruszył na dół po schodach do serca Wzgórza. Chwilę później stał w ogromnej cysternie, słuchając odległego stukania.

To mogło oznaczać tylko jedno.

Nadchodzą Żydzi.

*

Przez pięć minut walili w mur bez przerwy, Lawon młotem, Gabriel kilofem. Gabriel przebił się pierwszy; wybił otwór wielkości pięści. Zdjął lampę ze swego kasku i poświecił w pustkę.

- Co widzisz? - zapytał Lawon.

- Cysternę.

- Jak dużą?

- Ciężko stwierdzić, jakieś dwadzieścia osiem na pięć na dziesięć metrów.

- Coś jeszcze?

- Schody, Eli. Widzę schody.

*

Szefem ochrony w islamskiej straży Waqf w Jerozolimie był Abdullah Ramadan, czterdziestopięcioletni weteran zarówno Al-Fatah, jak i Brygad Męczenników Al-Aksy. Imam Darwisz zadzwonił do niego na komórkę i kazał mu przyjść do cysterny pod Kopułą na Skale. Nie musiał wyjaśniać, co oznacza stukanie.

- Brama Warrena?

- Być może - odparł Darwisz. - Albo jedna z nowych, które odkryli podczas swoich nielegalnych wykopalisk.

- Co mam zrobić?

- Weź trzech najlepszych swoich ludzi i sprawdźcie, czy oni próbują dostać się na Wzgórze.

- A jeśli tak?

- Ukarz ich - odparł imam.

*

Premier patrzył na zegar na ścianie gabinetu. Było dziesięć po drugiej. Spojrzał na Nawota i zapytał:

- Jak duża jest ta cholerna dziura?

Nawot powtórzył pytanie Gabrielowi, a następnie przekazał jego odpowiedź premierowi

i pozostałym obecnym w gabinecie.

- Za mała.

- Jak długo im to jeszcze zajmie?

Nawot znowu powtórzył pytanie Gabrielowi.

- Nie mają pewności.

- Powiedz im, że muszą się pośpieszyć.

- Śpieszą się, jak mogą, panie premierze.

- P o w i e d z im, Uzi.

Nawot przekazał przez telefon polecenie premiera. Uśmiechnął się po usłyszeniu odpowiedzi Gabriela.

- Co powiedział? - dociekał premier.

- Że śpieszy się, jak może, panie premierze.

- Mówisz prawdę, Uzi?

- Nie, panie premierze.

Premier uśmiechnął się wbrew sobie i spojrzał na zegarek.

Było dwanaście po drugiej.

*

O drugiej piętnaście otwór miał około trzydziestu centymetrów średnicy, a o drugiej dwadzieścia był już na tyle duży, by zmieściły się w nim ramiona i biodra szczupłego mężczyzny. Gabriel przedostał się pierwszy, zdzierając sobie przy tym skórę z ramion, a kilka sekund później przez otwór przeszedł Lawon. Włożył z powrotem na głowę jarmułkę i kask, przez chwilę stał w bezruchu, oniemiały z wrażenia. Przed nimi znajdowała się cysterna, a za nią, w mroku, wznosił się pierwszy bieg herodiańskich schodów.

- Ta cysterna miała tylko jedno przeznaczenie - powiedział Lawon, zanurzając dłoń w wodzie długiej prostokątnej kadzi. - Tu była mykwa. Odbywali tu rytualne ablucje przed wejściem do świątyni.

- To wszystko jest bardzo interesujące, profesorze, ale musimy iść dalej.

- Pozwól mi choć zrobić parę zdjęć.

- Zatrzymamy się w drodze powrotnej.

Lawon ominął krawędź kadzi i pobiegł szybko w górę starożytnych schodów. Snop światła z jego latarki podskakiwał na ścianach i sklepieniu korytarza. Na szczycie schodów znów stanął jak wryty.

- Popatrz na to! - Wskazał na kilka linijek w starożytnym hebrajskim wykutych w ścianie. - Tu jest napisane, że gojom na teren Świątyni wstęp wzbroniony. Po co by

umieszczali taki znak, gdyby nie było Świątyni?

Pytanie było logiczne, jednak w tej akurat chwili Gabriel myślał o czym innym. Zastanawiał się, dlaczego po schodach zbiegają ku nim właśnie czterej ogromni Arabowie z latarkami. Dostał odpowiedź, gdy pierwsza kula świsnęła mu koło głowy, osmalając ucho. Widocznie na górze jednak usłyszeli walenie. Właściwie to nic zaskakującego, pomyślał Gabriel. Krew nigdy nie śpi.

Trwało to tylko czterdzieści cztery sekundy, ale później Uzi Nawot przysięgał, że zdawało mu się, że godzinę lub dłużej. Z jego punktu widzenia, a właściwie słyszenia, wyglądało to tak, jakby Gabriela i Elego Lawona zaatakował cały legion Arabów. Jednak najbardziej uderzył Nawota oddech Gabriela. Ani na moment nie stracił normalnego rytmu. Gabriel odezwał się tylko dwa razy, nakazując Lawonowi nie podnosić głowy.

Z nagrań wynikało, że Gabriel odpowiedział ogniem dopiero dwadzieścia sekund po rozpoczęciu starcia. Gdy oddał pierwszy strzał, rozległo się rozdzierające wycie, które wydawało się dochodzić z samego dna Studni Dusz. Pięć sekund później Gabriel wystrzelił ponownie, po czym intensywność ognia z drugiej strony gwałtownie osłabła. Strzały trzeci i czwarty oddane zostały jeden tuż po drugim, po czym w korytarzu znów dał się słyszeć wrzask bólu. I znowu dwa szybkie strzały. Ogień ustał i słychać było już tylko Araba błagającego o litość.

- Kto was tu przysłał? - Nawot usłyszał spokojne pytanie Gabriela.

- Idź do diabła! - odkrzyknął głos po arabsku.

Nawot usłyszał kolejny strzał, a potem krzyk.

- Kto was przysłał? - powtórzył Gabriel.

- Imam - odrzekł Arab przez zaciśnięte zęby.

- Który imam?

- Darwiz.

- Hassan Darwiz?

- Tak... Hassan.

- Gdzie jest bomba?

- Jaka bomba?

- Gdzie jest, do cholery?!

- Nic nie wiem... o żadnej bombie!

- Mówisz prawdę?

- Tak!

- Na pewno?

- Tak! Przysięgam.

Nawot usłyszał jeszcze jeden strzał. Potem nic, tylko równy oddech Gabriela.

- Nadal jesteście w grze? - zapytał premier.

- Na razie tak - odrzekł Nawot.

- Przypuszczam, że to jest odpowiedź na pytanie, czy tam gdzieś naprawdę jest bomba.

- Tak, panie premierze. Chyba tak. Ale mamy inny problem.

- Jaki?

- Gabriel Allon znajduje się w samym sercu Wzgórza Świątynnego, mając do ochrony tylko Elego Lawona.

- Wiesz, co się stanie, jeśli wpadną w ich łapy?

- Tak, panie premierze. - Nawot patrzył na obrazy z kamer przemysłowych, na których tłumy wysypywały się z meczetu Al-Aksa.

- Rozerwą ich obu na strzępy.

- Mam im kazać wyjść?

- Obawiam się, że już za późno.

Właśnie weszli do pierwszego akweduktu. Była druga dwadzieścia trzy.

*

Nie był szerszy niż budka telefoniczna i tak niski, że prawie nie mogli iść w pozycji wyprostowanej. Tu i ówdzie z maleńkich szczelin w murze sączyły się strumyki wody, ale poza tym skała była sucha jak kości Ryfki. Lawon prowadził, orientując się za pomocą kompasu. Po cichu liczył kroki.

Kanał wił się w wapiennej skale jak serpentyna, mieli więc mgliste pojęcie, co jest przed nimi. Mimo że znajdowali się teraz zaledwie niewiele ponad metr pod powierzchnią Wzgórza, nie słyszeli żadnych dźwięków poza własnymi krokami i liczeniem Lawona. Dokładnie po dwustu krokach dotarli do kolejnej cysterny. Lawon zatrzymał się i rozejrzał dookoła ze zdumieniem. Przyłożył palec do ust, dając Gabrielowi znak, żeby był cicho.

- Rozpoznajesz miejsce? - szepnął Gabriel.

Lawon energicznie pokiwał głową.

- Kształt litery T odpowiada kształtowi cysterny, którą odkrył tu Warren - odpowiedział ochryłym szeptem. - Prawdopodobnie została wykopana w czasach Heroda. Kamień stąd wydobyty mógł zostać użyty do budowy samej Świątyni.

- Co jest nad nami na Wzgórzu?

- Wejście do meczetu Al-Aksa. - Wskazał na poziomą część cysterny. - Tam zaraz powinna być jeszcze jedna mała cysterna w kształcie litery T. A za nią...

- Morze Wielkie?

Lawon kiwnął głową i poprowadził Gabriela górną częścią starożytnego zbiornika. Na jego końcu znajdował się wylot kolejnego akweduktu, węższego niż poprzedni. Jak przewidział, akwedukt zawiódł ich do jeszcze jednej cysterny. Tym razem skierowali się do końca litery T i weszli do kolejnego akweduktu. Po kilku krokach otworzyła się przed nimi ogromna misa Morza Wielkiego.

Była całkiem pusta.

*

- I co? - zapytał premier.

Nawot wzruszył ramionami.

- Co teraz zrobić?

- Pracują nad tym.

*

W sklepieniu jaskini znajdował się otwór niczym oculus w kopule rzymskiego Panteonu. Wlewał się przezeń snop jaskrawego światła i słysząc było wzmocnione przez głośniki kazanie rozbrzmiewające z minaretu meczetu Al-Aksa.

- Jak głęboko jesteśmy pod powierzchnią? - zapytał Gabriel szeptem.

- Trzyście i jedną dziesiątą metra - odpowiedział Lawon.

- Jeśli Dina ma rację - rzekł Gabriel - bomba powinna być w korytarzu ponad trzydzieści metrów pod nami.

- To by się zgadzało - powiedział Lawon.

- Dlaczego?

- Bo gdybym ja chciał zetrzeć z powierzchni ziemi płaskowyż Wzgórza Świątynnego, umieściłbym ładunek jeszcze niżej.

- Jest tu jakaś droga w dół?

- Nikt jeszcze nie był niżej, przynajmniej nikt, o kim wiemy.

Odwrócił się i popatrzył na odległą ścianę jaskini. Przed nimi były jeszcze trzy akwedukty, a każdy prowadził w nieco innym kierunku.

- Wybierz któryś - powiedział.

- Ja jestem konserwatorem dzieł sztuki, Eli. Ty wybierz.

Lawon zamknął oczy na kilka sekund i wskazał akwedukt po prawej.

*

W tej samej chwili imam Hassan Darwisz znajdował się niecałe trzydzieści metrów od nich, w cysternie pod Studnią Dusz. W ręce trzymał pistolet Makarowa, który dał mu Abdullah Ramadan, żeby imam miał się czym bronić w czeluściach Wzgórza Świątynnego,

stawiając czoła atakującym Żydom. Odgłosy krótkiej, ale intensywnej bitwy dotarły do uszu Darwisza przez akwedukty. Słyszał wszystko, nawet wykrzyczane w bólu własne nazwisko. Teraz słyszał stłumione kroki co najmniej dwóch mężczyzn zbliżających się do komory, którą Darwisz wydrążył we Wzgórzu Świątynnym. To tam ukrył bombę, która zniszczy Wzgórze, a tym samym państwo Izrael. Ale w tej komorze było coś jeszcze poza materiałami wybuchowymi, coś tajemniczego, czego nikt, a już zwłaszcza Żydzi, nie miał prawa zobaczyć.

Spojrzał na zegarek. Druga dwadzieścia siedem. Na polecenie Darwisza człowiek znany jako pan Faruk tak ustawił zegar bomby, żeby wybuchła o trzeciej. Wybrał tę godzinę, domniemaną godzinę śmierci Chrystusa na krzyżu, by rozmyślnie znieważać świat chrześcijański, ale to nie był jedyny powód. O trzeciej modlitwy w meczecie Al-Aksa już się skończą i tłumy wiernych muzułmanów będą schodzić ze Wzgórza Świątynnego. Ale teraz te trzydzieści pięć tysięcy metrów kwadratowych wielkiego meczetu wypełniało po brzegi ponad pięć tysięcy ludzi. Darwisz nie miał wyboru, musiał zmienić ich wszystkich w świętych męczenników. I siebie samego też.

Został jeszcze chwilę w cysternie pod Studnią Dusz, wypowiadając słowa szahady. Potem, z makarowem w jednej ręce i latarką w drugiej, ruszył wąskim starym korytarzem, który zaprowadził go pod ziemię i w przeszłość. Do czasów przed islamem i przed Prorokiem. Do czasu ignorancji. Czasu Żydów.

*

Pierwszy akwedukt kończył się jakieś piętnaście metrów dalej w niewielkiej cysternie przypominającej kuliste akwarium, prędko więc wrócili się do Morza Wielkiego i weszli do drugiego kanału. Po zaledwie kilku krokach Lawon natknął się na otwór po prawej stronie, który prowadził do jeszcze innego przejścia. Ziemia usłana była sypkim wapieniem. Lawon przyjrzał mu się w świetle swojej latarki, a następnie przesunął dłonią po krawędziach otworu.

- Ten jest nowy.

- Jak nowy?

- B a r d z o - odparł Lawon. - Chyba wydłubany całkiem niedawno.

Bez słowa ruszył tym kanałem. Gabriel deptał mu po piętach. Po kilku krokach ukazały się szerokie, skręcające łukiem schody, wyraźnie wykute za pomocą nowoczesnych narzędzi do cięcia kamienia. Lawon rzucił się wściekle w przód. Gabriel, biegnący kilka kroków za nim, miał problemy z dotrzymaniem mu tempa. U podnóża schodów znajdował się łuk, a nad jego wierzchołkiem w kamieniu wyryte było kilka arabskich znaków. Przemknęli koło niego,

nie patrząc. Nagle zatrzymali się, oniemiaли z wrażenia.

- Co to jest, do cholery? - zapytał Gabriel.

Lawon nie mógł wykrztusić słowa.

- Eli, co to jest?

Lawon z wahaniem zrobił kilka kroków w przód.

- Nie poznajesz ich, Gabrielu?

- Co mam poznawać, Eli?

- Kolumny - wydyszał. - Kolumny, które były na tym zdjęciu.

- Skąd one pochodzą?

Lawon uśmiechnął się, oddychając z trudem.

- „Dom, który Salomon zbudował dla Pana, miał sześćdziesiąt łokci długości, dwadzieścia szerokości i trzydzieści wysokości”.

*

- Co się dzieje, Uzi? - zapytał premier.

- Nie uwierzy pan.

- Założymy się?

- Eli uważa, że właśnie odkrył pozostałości Pierwszej Świątyni. A przy okazji - dodał Nawot - znaleźli też bombę.

Premier spojrzał na monitor i zobaczył, jak z meczetu Al-Aksa wylewają się tysiące muzułmanów. Następnie popatrzył na mężczyzn siedzących wokół niego i rozkazał wysłać policję i wojsko.

- To lepsze niż alternatywa - rzekł Nawot, obserwując, jak pierwsze oddziały izraelskie wchodzą do muzułmańskiej świątyni.

- Wkrótce się przekonamy.

Jaskinia miała wielkość szkolnej sali gimnastycznej. Gabriel skierował latarkę do góry i zauważył prymitywną instalację świetlną zwisającą ze sklepienia i linię wysokiego napięcia, która schodziła w dół po murze aż do prymitywnego przełącznika. Sięgnął do niego i po chwili ogromna przestrzeń wypełniła się niebiańskim białym światłem.

- Mój Boże - wysapał Eli Lawon. - Czy ty widzisz, co oni zrobili?

Tak, pomyślał Gabriel, przesuwając dłonią po gładkiej, śliskiej powierzchni świeżo wykutego muru. Istotnie, widział, co oni zrobili. Wyrąbali ogromną dziurę w sercu góry Boga i zrobili z niej prywatne muzeum, pełne artefaktów odkopanych w ciągu wielu lat bezmyślnych prac budowlanych i potajemnych wykopalisk - były tu kamienie ozdobne, głowice, kolumny, groty strzał, hełmy, kawałki ceramiki i monety. A teraz, z przyczyn, których Gabriel nie był w stanie pojąć, imam Hassan Darwiz zamierzał to wszystko wysadzić w powietrze - a przy okazji i Wzgórze Świątynne.

Ale Eli Lawon w tej chwili chyba w ogóle nie pamiętał o bombie. Szedł jak w transie między artefaktami ku dwóm równoległym rzędom potrzaskanych kolumn, które stanowiły główną atrakcję ekspozycji. Zatrzymał się i sprawdził kompas.

- Są ustawione w kierunku ze wschodu na zachód - powiedział.

- Tak jak Świątynia?

- Tak - potwierdził. - Tak jak Świątynia.

Podszedł do wschodniego końca rzędu kolumn, dotknął jednej z nich z nabożeństwem i zrobił kilka kroków dalej.

- Ołtarz musiał być tutaj - powiedział, wskazując drobną dłonią na pustą przestrzeń na brzegu komory. - Obok ołtarza znajdowało się „morze”, duży zbiornik z brązu, w którym kapłani obmywali się przed złożeniem ofiary i po nim. Szczegółowo opisuje to Księga Królewska w rozdziale siódmym. Miał mieć dziesięć łokci szerokości od brzegu do brzegu i pięć łokci wysokości. Stał na dwunastu wołach.

- „Trzy zwracały się ku północy - Gabriel zacytował odnośny ustęp - trzy na zachód, trzy na południe i trzy na wschód. »Morze« to znajdowało się nad nimi u góry”.

- „A wszystkie ich zady zwracały się do wewnątrz”² - dokończył Lawon. - Było też dziesięć innych, mniejszych kadzi, gdzie myto składane ofiary, ale „morze” zarezerwowane było dla kapłanów. Babilończycy przetopili je, gdy palili Pierwszą Świątynię. To samo stało się z dwiema ogromnymi kolumnami z brązu, które stały u wejścia do *ulam*, przedsionka.

- „Kolumny te postawił przy sieni głównej budowli” - zacytował Gabriel.

- „Kolumnie postawionej po prawej stronie nadał imię Jakin”.

- „A kolumnie postawionej po lewej stronie nadał imię Boaz”.

Gabriel usłyszał w swojej słuchawce trzask, a potem głos Uziego Nawota.

- Próbuje do was dotrzeć jak najszybciej - rzekł Nawot. - Policja i wojsko weszły na teren Wzgórza Świątynnego przez wschodnie bramy. Napotkały opór ze strony sił bezpieczeństwa Waqf i Arabów wychodzących z Al-Aksy. Tuż nad waszymi głowami robi się nieciekawie.

- Zrobi się jeszcze bardziej nieciekawie, jeśli ta bomba wybuchnie.

- Ekipy saperów idą w drugiej fali.

- Jak długo jeszcze, Uzi?

- Kilka minut.

- Znajdźcie Darwisza.

- Szukamy go.

Ponieważ Nawot umilkł, Gabriel spojrzął na Lawona. Ten przyglądał się sklepieniu jaskini.

- Zarówno Jakin, jak i Boaz były zwieńczone główką ozdobioną liliami i granatami - powiedział. - Naukowcy nie są zgodni, czy były to kolumny wolno stojące, czy też podtrzymywały nadproże i sklepienie. Ja zawsze opowiadałem się za tą drugą teorią. Czyż Salomon zbudowałby sięń w domu Boga i zostawił ją bez przykrycia?

- Eli, ty musisz się stąd wydostać. Ja zostanę z bombą do nadejścia saperów.

Lawon zachowywał się tak, jakby nie słyszał. Postąpił uroczyście dwa kroki do przodu, jak gdyby wchodził do samej Świątyni.

- Drzwi, które prowadziły od *ulam* do *heikhal*, głównego sanktuarium Świątyni, były wykonane z drzewa jodłowego, ale słupki framugi z drzewa oliwnego. Spaliły się, gdy Nabuchodonozor puścił z dymem Pierwszą Świątynię. - Lawon umilkł i czule położył dłoń na szczątkach jednej z kolumn. - Ale ich nie dał rady spalić.

Gabriel przeszedł obok stołu na kozłach z górami monet i starożytnych narzędzi i

² Biblia Tysiąclecia, 1 Księga Królewska 7:25.

wsunął się między dwie kolumny. Dotknął jednej z nich i zapytał Lawona, co się z nimi stało po tym, jak Nabuchodonozor zniszczył Świątynię.

- Z Biblii nie wynika to jasno, ale zawsze zakładaliśmy, że Babilończycy przerzucili je przez mury Wzgórza Świątynnego do Doliny Cedronu. - Spojrzał na Gabriela ze smutnym uśmiechem. - Brzmi znajomo?

- Bardzo - odrzekł Gabriel.

Lawon podszedł do drugiej kolumny. Miała około dwóch i pół metra wysokości, a jeden jej bok był osmalony ogniem.

- „Na pastwę ognia świątynię Twoją wydali - wyrecytował wers z Księgi Psalmów - doszczętnie zbezczęścili przybytek Twego imienia”³.

- Powinieneś już iść, Eli.

- Dokąd mam iść? Na górę, w sam środek tych rozruchów?

- Wróc akweduktami do tunelu pod Ścianą Płaczu.

- A co zrobię, jeśli natknę się na kolejną grupę wojowników Saladyna? Będę z nimi walczył kilofem jak krzyżowiec?

- Weź mój pistolet.

- Nie wiedziałbym, jak się z nim obchodzić.

- Byłeś przecież w wojsku, Eli.

- Jako sanitariusz.

- E l i ! - zawołał Gabriel ze złością, ale Lawon już nie słuchał. Chodził wolno od kolumny do kolumny, a na twarzy malowało mu się zdumienie pomieszane z gniewem.

- Musieli je wyciągnąć z doliny w roku pięćset trzydziestym ósmym przed naszą erą, gdy Imperium Perskie zezwoliło na budowę Drugiej Świątyni. A gdy Herod odnawiał to miejsce pięć stuleci później, prawdopodobnie użył ich jako części konstrukcji nośnej, co by wyjaśniało, dlaczego Waqf znalazła je podczas robót. Były zbyt duże, żeby je wywieźć na wysypisko albo rzucić znowu do Doliny Cedronu, więc ukryli je tutaj, razem ze wszystkim innym, co zdarli ze wzgórza. - Rozejrzał się po ogromnej jaskini. - Nawet gdyby nam się udało wydostać stąd ten materiał, już nie ma dla niego żadnego kontekstu. To tak, jakby został...

- Zagrabiony - odpowiedział Gabriel.

- Tak. Zagrabiony.

- Wydostaniemy te rzeczy, Eli, ale naprawdę powinieneś już iść.

³ Biblia Tysiąclecia, Księga Psalmów 74:7.

- Nie zostawię ich tu bez opieki - odparł Lawon. Chodził od kolumny do kolumny, z uniesioną twarzą. - Współczesne modele i rysunki Pierwszej Świątyni częstokroć przedstawiają *heikhal* z zadaszeniem, ale tam nie było dachu. To był otwarty dziedziniec z dwupiętrowymi salami z trzech stron. A na samym końcu części zachodniej znajdował się *debir*, Najświętsze Miejsce, gdzie trzymano Arkę Przymierza.

Lawon zbliżył się do tego miejsca powoli, bo w nim właśnie imam Darwizh zdecydował się umieścić bombę. To nie jest zwykła bomba, pomyślał Gabriel. Miał przed sobą całą wielką ścianę ładunków wybuchowych, podłączonych, uzbrojonych i czekających na wybuch. Gdyby bomba była mała, Gabriel mógłby ją rozbroić przy pomocy sapera, mówiącego mu do słuchawki, co ma robić. Ale nie coś takiego.

- Jak im się udało to przygotować, twoim zdaniem?

- Jestem pewien, że imam Darwizh z radością nam opowie.

Lawon pokręcił głową.

- Głupio zrobiliśmy, pozwoliliśmy im na całkowitą kontrolę nad tym miejscem. Kto wie? Może powinniśmy byli postąpić tak jak wszystkie armie, które zdobywały Jerozolimę.

- Zburzyć Kopulę i Al-Aksę? Odbudować Świątynię? Nie sądzisz tak naprawdę, że to by było właściwe postępowanie, Eli.

- Nie - przyznał - ale w takiej chwili jak ta wolno mi sobie wyobrazać, jak by to wyglądało.

Gabriel spojrzał na zegarek.

- Ile minut zostało?

- Jeśli Dina ma rację...

- Dina ma zawsze rację - wtrącił Lawon.

- Dwadzieścia pięć minut - odrzekł Gabriel. - I dlatego musisz już iść.

Lawon odwrócił się plecami do bomby i wyciągnął ramiona w kierunku alei kolumn.

- Nie ma żadnego artefaktu o poświadczonej oficjalnie autentyczności ani z Pierwszej, ani z Drugiej Świątyni. Ani jednego. To dlatego przywódcom palestyńskim udało się przekonać swoich ludzi, że Świątynie są mitem. Dlatego ukryli te kolumny pięćdziesiąt metrów pod ziemią. - Spojrzał na Gabriela i się uśmiechnął. - I dlatego nie opuszczę tej góry, dopóki nie będę miał pewności, że kolumny są bezpieczne.

- To tylko kamienie, Eli.

- Wiem - odparł. - Ale to m o j e kamienie.

- Naprawdę jesteś gotów za nie zginąć?

Lawon milczał przez chwilę. Potem zwrócił się do Gabriela.

- Ty masz piękną żonę. Może któregoś dnia będziesz miał wspaniałe dziecko.
J e s z c z e j e d n o wspaniałe dziecko - dodał. - A ja... mam tylko te kamienie.

- Jesteś dla mnie jak brat, Eli. Nie zostawię cię tutaj.

- A więc zginiemy razem - odrzekł Lawon - tu, w domu Boga.

- Chyba są gorsze miejsca.

- Tak - odrzekł. - Chyba tak.

*

W tej samej chwili imam Hassan Darwisz stał w drzwiach podziemnej konstrukcji, która została zbudowana na jego rozkaz, i słuchał, jak dwaj Żydzi rozmawiają w swoim starożytnym języku. Darwisz rozpoznał ich obu. Jednym był znany archeolog biblijny Eli Lawon, krytyk Waqf i jej przedsięwzięć budowlanych. Drugi, ten o posiwiałych skroniach i zielonych oczach, to Gabriel Allon, zabójca palestyńskich bohaterów. Darwisz nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu. Obecność tutaj tych dwóch mężczyzn czyniła jego zadanie trudniejszym. Jednak uczyni też jego podróż do rajy o wiele słodsza.

Imam przeniósł wzrok z mężczyzn na bombę, która leżała w ruinach żydowskiej Pierwszej Świątyni. Człowiek zwany panem Farukiem wbudował w detonator mechanizm ręcznego sterowania na wypadek takiego scenariusza jak ten i poinstruował Darwisza, co należy zrobić. Wystarczy tylko przycisnąć guzik.

W tej chwili Darwisz usłyszał tupot butów w akwedukcie. Widać Żydzi przedarli się przez obronę Waqf. Historia próbowała się powtórzyć. Jednak nie tym razem, pomyślał Darwisz. Tym razem święte miejsca islamu nie wpadną w ręce niewiernych, jak to się stało w roku 1099, gdy krzyżowcy obiegli Jerozolimę. Tym razem będzie inaczej. Wystarczy tylko przycisnąć guzik.

Imam zamknął oczy i wyrecytował w myślach Wers Miecza z Koranu: „Walczcie i zabijajcie pogan, gdziekolwiek ich znajdziecie; chwytajcie ich, oblegajcie i przygotowujcie dla nich wszelkie zasadzki". Potem rzucił się w stronę muzeum starożytnych Żydów i otworzył ogień.

*

Pierwsze strzały dosięgły starożytnych kolumn i posłały iskry płonącego wapienia na policzki Gabriela. Spojrzał w górę i zobaczył Hassana Darwisza pędzącego przez jaskinię z twarzą wykrzywioną nienawiścią spowodowaną religią, historią i tysiącem upokorzeń, dużych i małych. Natychmiast wycelował swoją broń w imama, a kule świstały mu koło uszu. Zaczął strzelać tak, jak to robił na strzelnicy pod Watykanem, raz za razem, bez przerwy, aż z twarzy imama nie zostało nic. Odwrócił się i zobaczył, że Eli Lawon leży bezwładnie na posadzce, z

ramionami owiniętymi wokół bazy jednej z kolumn. Gabriel przycisnął dłoń do rany w piersi Lawona i trzymał go, gdy oczy Elega zaczęły zachodzić mgłą.

- Nie umieraj, Eli - szeptał. - Niech cię cholera, Eli, proszę, nie umieraj!

Część czwarta

EGO TE ABSOLVO

W ciągu godziny od wtargnięcia Izraelczyków na płaskowyż Wzgórza Świątynnego wybuchła trzecia intifada na palestyńskich terytoriach: na Zachodnim Brzegu i w Strefie Gazy. Początkowo solidnie uzbrojone siły bezpieczeństwa Autonomii Palestyńskiej usiłowały opanować zamieszki. Jednak gdy obrazki przedstawiające wojska izraelskie na Wzgórzu Świątynnym lotem błyskawicy obiegły świat arabski, członkowie milicji palestyńskiej przyłączyli się do rozruchów i wciągnęli wojska izraelskie w walkę zbrojną. Ramallah, Jerycho, Nablus, Dżanin i Hebron - we wszystkich tych miastach toczyły się ciężkie walki, jednak najgorsze starcia miały miejsce we Wschodniej Jerozolimie, gdzie kilka tysięcy Arabów próbowało, bezskutecznie, zdobyć ponownie Wzgórze Świątynne. O zachodzie słońca, gdy syreny oznajmiły nadejście żydowskiego szabat, trzecie pod względem świętości sanktuarium islamu pozostawało pod kontrolą Izraelczyków, a Bliski Wschód był niebezpiecznie blisko wojny.

Król Jordanii, sam będący potomkiem w prostej linii proroka Mahometa, zażądał, żeby Izraelczycy natychmiast opuścili Wzgórze Świątynne, ale powstrzymał się od wezwania, by ich usunąć przemocą. Inaczej było w Kairze, gdzie Bractwo Muzułmańskie, nowi przywódcy najliczniejszego narodu w świecie arabskim, wezwali do panislamskiego dżihadu, by pomścić zniewagę. Hamas, radykalny islamski odłam bractwa, natychmiast wystrzelił na Beer Szewę i kilka innych izraelskich miast grad rakiet, od których zginęło dziesięciu Izraelczyków. W Libanie zaś Hezbollah dziwnie milczał, podobnie jak jego szycy przywódcy w Teheranie.

Wśród wielu wyzwań, przed którymi stanęli izraelscy oficjele w ciągu tych pierwszych burzliwych godzin, była obecność w ich kraju Jego Świątobliwości papieża Pawła VII. Jako że Stare Miasto Jerozolimy stało się teraz strefą działań wojennych, schronił się on w klasztorze w Ein Kerem, dawnej arabskiej wiosce niedaleko na zachód od centrum miasta, która według tradycji chrześcijańskiej była miejscem narodzin Jana Chrzciciela. Na prośbę premiera Izraela papież zgodził się, aczkolwiek niechętnie, odwołać planowaną mszę w Wielką Sobotę na Górze Błogosławieństw oraz w Niedzielę Wielkanocną w Bazylice Grobu Świętego. Niestety, Ojciec Święty miał niewielki wybór w tej kwestii. Bazylika, sanktuarium chrześcijańskie, które Saladyn chciał zrównać z ziemią, była jednym z głównych obiektów wściekłości muzułmanów.

Wiele osób w papieskiej świcie błagało Ojca Świętego, by wrócił do bezpiecznego Watykanu, jednak on uparł się, że zostanie, żywiąc błędną nadzieję, że jego obecność może pomóc w zażegnaniu konfliktu. Sporo czasu spędzał w Centrum Medycznym Hadassah niedaleko klasztoru. Rzecz jasna, częste wizyty papieża w szpitalu wywołały spekulacje, że jest chory lub że został ranny w czasie zamieszek. Nie było to prawdą; on tylko udzielał sakramentów człowiekowi w potrzebie.

Owego pacjenta przywieziono do szpitala w pierwszych minutach po wybuchu powstania, z kulą w piersi, bardziej umarłego niż żywego. Personelowi powiedziano, że nazywa się Weiss, ale nie podano więcej informacji poza jego przybliżonym wiekiem i historią choroby, która zawierała liczne dolegliwości związane ze stresem. Żaluzje na jego oknie, wychodzącym na wschód w kierunku murów Starego Miasta, pozostawały szczelnie zaciągnięte. Przed drzwiami na salę trzymało straż dwóch uzbrojonych wartowników, jeden po prawej i jeden po lewej.

Papież nie był jedynym dostojnikiem, który odwiedzał rannego. Przyszedł do niego premier, jak również szef sztabu Sił Obronnych Izraela, zjawili się szefowie rozmaitych izraelskich służb wywiadowczych, oraz, z przyczyn nigdy niewyjaśnionych personelowi szpitalnemu, spora delegacja archeologów z Uniwersytetu Hebrajskiego i Izraelskiego Urzędu do spraw Zabytków Starożytności. Był też jeden człowiek, który nie odchodził ani na chwilę od łóżka pacjenta. Nie próbował nawet ukrywać swojej tożsamości, bo to by było niemożliwe - nie z tymi charakterystycznymi siwymi skroniami i zapadającymi w pamięć oczami.

Pił mało, jadł jeszcze mniej i w ogóle nie spał. Gdy jeden z lekarzy zaproponował mu łóżko i łagodny środek uspokajający, spotkał się z pełnym dezaprobaty gniewnym spojrzeniem. Po tym nikt już nie śmiał mówić mu, żeby wyszedł - nie zrobiono tego nawet wtedy, gdy drugiej nocy na dwie straszne minuty serce pacjenta przestało bić. Przez kolejną dobę gość siedział bez ruchu w nogach łóżka, z twarzą oświetloną poświatą respiratora, jakby był postacią z obrazu Caravaggia. Od czasu do czasu pielęgniarki słyszały, jak cicho mówił do pacjenta: „Nie umieraj, Eli. Do cholery, proszę cię, nie umieraj”.

*

W wielkanocny poranek bicie dzwonów w Jerozolimie ledwo się przebijało przez odgłosy strzelaniny. W południe prymitywna palestyńska rakietka wpadła do Ogrodu Oliwnego, a wczesnym popołudniem ostrzelano kościół Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny. Tego wieczoru wzburzony Ojciec Święty odwiedził po raz ostatni nieprzytomnego pacjenta, a potem wsiadł do samolotu, by wrócić do domu. Jego miejsce zajął teraz inny starszy pan. On również był znany personelowi centrum dla ofiar wypadków. O nim mówiono tylko szeptem.

To on wykradł tajne informacje, które doprowadziły do błyskawicznego zwycięstwa Izraela w wojnie sześciodniowej. To on dopadł Adolfa Eichmanna, głównego zbrodniarza Holokaustu, na rogu ulicy w Argentynie. S z a m r o n...

- Synu, idź do domu i odpocznij trochę.

- Pójdę.

- Kiedy?

- Jak on otworzy oczy.

Szamron obracał w palcach swoją zapalniczkę. Dwa obroty w lewo, dwa w prawo.

- Musisz to robić, Ari?

Palce Szamrona znieruchomiały.

- Musisz być przygotowany na to, że on nie przeżyje.

- Dlaczego?

- Bo jest to prawdopodobne. Zanim trafił na stół, omal się nie wykrwawił. Jego serce...

- Jest w porządku.

- Ale nie jest już takie młode - powiedział Szamron. - Twoje też nie, synu. I boję się, co się stanie, gdy znowu zostanie złamane.

- Zasłużyłem sobie.

- Co też ty mówisz?

- Powinienem był usłyszeć, że Darwisz nadchodzi.

- Obaj byliście zdenerwowani, co jest zrozumiałe. Nie codziennie ma się okazję przejść przez *heikhal* Pierwszej Świątyni Jerozolimskiej.

- Myślisz, że kolumny naprawdę pochodzą z Pierwszej Świątyni?

- Wiemy, że tak jest - rzekł Szamron. - Czekamy tylko na właściwy moment, żeby je pokazać światu.

- Po co czekać?

- Bo nie chcemy robić niczego, co jeszcze pogorszy sytuację.

- A może być jeszcze gorsza?

- Jest dziewięćdziesiąt milionów Egipcjan. Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby Bractwo Muzułmańskie przekonało choć dziesięć procent z nich, żeby ruszyli na nasze granice. Gdyby ta bomba faktycznie wybuchła... - Szamron urwał. - Przerazająca jest myśl, jak mało brakowało... i jak krucha jest nasza egzystencja na tej ziemi.

- Jak długo zamierzamy zostać na Wzgórzu Świątynnym?

- Gdyby to ode mnie zależało, w ogóle byśmy się stamtąd nie ruszyli. Ale premier chce je przekazać z powrotem Waqf, gdy tylko cały materiał archeologiczny zostanie bezpiecznie

przeniesiony.

- Czyli wracamy do status quo?

- Dopóki świat islamski nie będzie gotowy zaakceptować naszego prawa do istnienia, obawiam się, że nie możemy liczyć na nic więcej niż status quo.

- Chciałbym wprowadzić jedną zmianę, jeśli nie masz nic przeciwko.

- Jaką?

- Dotyczy Massuda.

Szamron się uśmiechnął.

- Gdy następnym razem pod jego samochodem wybuchnie bomba, będzie większa.

Gabriel ujął rękę Lawona.

- Jeśli on umrze, Ari, nigdy sobie tego nie wybaczę.

- To nie byłaby twoja wina.

- Powinienem był go zmusić do wyjścia.

- Eli nigdy by nie opuścił tej góry, nie mając pewności, że kolumny są bezpieczne.

- To tylko kamienie, Ari.

- To jego kamienie - powiedział Szamron. - A teraz są przesiąknięte jego krwią.

Dopiero gdy minęły kolejne trzy dobre, przywrócono ład na tyle, by rząd Izraela był w stanie wyjaśnić światu, dlaczego wysłał ludzi na teren Wzgórza Świątynnego i co tam odkryto. W tym celu zebrał grupę dziennikarzy i kamerzystów z najlepszych światowych agencji informacyjnych, których przeprowadzono przez sieć akweduktów i cystern do nowo wydrążonej komory 51 metrów pod powierzchnią ziemi. Tam szef sztabu Sił Obronnych Izraela pokazał im olbrzymią bombę, a szef Izraelskiego Urzędu do spraw Zabytków Starożytności oprowadził ich po niesamowitej kolekcji artefaktów odkrytych przez Waqf podczas wielu lat nieodpowiedzialnego kopania. Największą atrakcją były dwa rzędy wapiennych kolumn, razem dwudziestu dwóch, które stanowiły część *heikhal* Pierwszej Świątyni Jerozolimskiej króla Salomona.

Jak się spodziewano, reakcje były w najlepszym razie mieszane. Film pokazujący starożytne kolumny zelektryzował Izraelczyków i przejął dreszczem niecierpliwego oczekiwania archeologów i historyków starożytności z całego świata. Większość naukowców natychmiast zaakceptowała autentyczność kolumn, jednak w Niemczech główny przedstawiciel dziedziny archeologii znanej jako minimalizm biblijny zakwestionował ją, nazywając kolumny „dwudziestoma dwoma pobożnymi życzeniami”. Jak można było przewidzieć, przywódcy Autonomii Palestyńskiej wykorzystali tę wypowiedź, wydając własne oświadczenie. Stwierdzili, że kolumny to izraelska mistyfikacja. Podobnie jak „tak zwana bomba”.

Ale jak to się w ogóle stało, że Izraelczycy weszli na Wzgórze Świątynne? I kto był mózgiem spisku mającego na celu jego zburzenie? Rząd izraelski, powołując się na to, że tradycyjnie od lat unika komentarzy na tematy związane z wywiadem, odmówił podania szczegółów. Jednak gdy kolumny ukazywały się powoli spod ziemi, w prasie zaczęły się pojawiać kolejne historie, rzucające rozproszone światło na łańcuch tajemniczych wydarzeń, które doprowadziły do tego odkrycia.

W „Le Monde” opublikowano demaskatorski artykuł o absolwencie Sorbony Davidzie Girardzie, znanym też jako Daud Ghandur, który doradzał Waqf w kwestiach archeologicznych i który, według anonimowych funkcjonariuszy organów ochrony porządku publicznego, był członkiem przestępczej sieci przemycającej zabytki sztuki starożytnej,

powiązanej z Hezbollahem. Ukazał się też artykuł w „Neue Zürcher Zeitung” na temat irańskiego udziału w eksplozji bomby w galerii Naxos w Sankt Moritz. Oraz materiał śledczy w „Der Spiegel”, który wskazywał na związek pomiędzy Davidem Girardem a niejakim Massudem Rahimim, ważnym irańskim terrorystą, który został na krótko porwany w Niemczech. Wszystko to nabrało jeszcze większych rumieńców, gdy dwanaście dni później ówże Massud Rahimi został zabity w Teheranie czymś w rodzaju miny morskiej podłożonej pod jego samochodem. Telewizyjni eksperci od terroryzmu nie mieli wątpliwości, kto stał za zamachem i jakie było jego znaczenie. Według nich Massud był mózgiem spisku dotyczącego Wzgórza Świątynnego i Izraelczycy po prostu się zemścili.

Jednak istniało wiele aspektów tej historii, których prasa nigdy nie miała poznać, w tym fakt, że sprawa zaczęła się, gdy Gabriel Allon, krnąbrny syn wywiadu izraelskiego, został wezwany do Bazyliki Świętego Piotra, by obejrzeć zwłoki upadłego anioła. Ani że Gabriel spędził ostatnie dwa tygodnie przy łóżku szpitalnym archeologa, którego krew splamiła kolumny Świątyni Salomona. No i doczekał się chwili, gdy archeolog w końcu otworzył oczy.

- Ryfka - wymamrotał Eli Lawon. - Dopilnujcie, żeby ktoś opiekował się Ryfką.

Tego samego wieczoru nad Jerozolimą zapadła pełna napięcia cisza, po raz pierwszy od początku kryzysu na Wzgórzu Świątynnym. Gabriel udał się do szpitala psychiatrycznego na Wzgórzu Herzla, żeby spędzić kilka minut z Leą przed kolacją z Chiarą, na którą umówili się w restauracji usytuowanej w oryginalnym kampusie Szkoły Sztuk Pięknych i Rzemiosł Artystycznych Besaleel. Potem zabrał ją na lody i na spacer ulicą Ben Jehudy.

- Donati dzwonił dziś po południu - odezwała się nagle, jakby jej to wcześniej wyleciało z głowy. - Zastanawia się, kiedy wrócisz do Rzymu, żeby skończyć Caravaggia i rozprawić się z Carlem.

- Prawie zapomniałem o nich obu.

- To zrozumiałe, kochanie. W końcu w tym czasie uratowałeś Izrael i cały świat od apokalipsy i odkryłeś dwadzieścia dwie kolumny z Pierwszej Świątyni Jerozolimskiej.

Gabriel się uśmiechnął.

- Wracam pojutrze.

- Jadę z tobą.

- Nie możesz. Poza tym - dodał szybko - mam dla ciebie zadanie. A właściwie dwa zadania.

- Jakie?

- Chcę, żeby ktoś zajął się Elim, dopóki nie wrócę.

- A drugie?

- Rząd postanowił umieścić kolumny w specjalnym skrzydle w Muzeum Izraela. Ty będziesz członkiem ekipy, która zaprojektuje wnętrze budynku i całą ekspozycję.

- Gabrieli! - wykrzyknęła i zarzuciła mu ręce na szyję. - Jak ci się to, u licha, udało?

- Jako współodkrywca kolumn mam tu coś do powiedzenia. Nawiasem mówiąc, chcieli nazwać tę ekspozycję na moją cześć.

- I co im powiedziałaś?

- Że skrzydło powinno nosić imię Elego Lawona. Całe szczęście, że nie będzie to Skrzydło P a m i ę c i Elego Lawona.

- Czy one coś zmieniają?

- Te kolumny?

Chiara skinęła głową.

- Słyszałaś, co Palestyńczycy o nich mówią?

- Że to syjonistyczne kłamstwa.

- „Kłamstwo świątynne” - rzekł Gabriel. - Nie potrafia przyznać, że byliśmy tu przed nimi, ponieważ to by znaczyło, że mamy prawo być tutaj teraz. W ich oczach musimy pozostać cudzoziemskimi najeźdźcami, których trzeba wypędzić, jak krzyżowców.

- Krew nigdy nie śpi - powiedziała Chiara cicho.

- I nigdy jej nie brakuje - dodał Gabriel. - Nasi przyjaciele z Zachodu lubią myśleć, że konflikt arabsko-izraelski można rozwiązać, rysując linię na mapie. Ale nie rozumieją historii. To miasto znajduje się w stanie niemal permanentnej wojny od trzech tysięcy lat. A Palestyńczycy nie przestaną walczyć, póki nas stąd nie wypędzą.

- Więc co robić?

- Trzymać się mocno - odparł Gabriel. - Bo jeśli znowu utracimy Jerozolimę, to już na zawsze. I wtedy dokąd pójdziemy?

- Zadaję sobie to samo pytanie.

Nagle zrobiło się chłodniej. Chiara owinęła się szczelniej płaszczem i przyjrzała się grupce roześmianych izraelskich nastolatków po drugiej stronie ulicy. Mieli szesnaście - siedemnaście lat. Za rok lub dwa wszyscy będą w wojsku, żołnierze w wojnie bez końca.

- Nie jest łatwo, prawda, Gabrieli?

- Co masz na myśli?

- Myśleć o wyjeździe w takim czasie.

- To inna forma syndromu Jerozolimy. Im gorzej tu jest, tym bardziej ją kochasz.

- A ty ją kochasz, prawda?

- Bardzo - odrzekł. - Kocham barwę wapieni i nieba. Kocham zapach sosny i eukaliptusa. Uwielbiam, gdy wieczorem robi się zimno. Kocham nawet *haredim*, którzy krzyczą na mnie, gdy prowadzę auto w szabat.

- Ale czy kochasz ją na tyle, żeby tu zostać?

- Jego Świątobliwość uważa, że nie mam wyboru.

- O czym ty mówisz?

Gabriel opowiedział jej o rozmowie z papieżem na murach watykańskich, kiedy to przywódca miliarda katolików wyznał mu, że miewa wizje apokalipsy.

- Jego zdaniem zbyt długo już się tułamy - rzekł. - Uważa, że ten kraj mnie potrzebuje.

- Papież nie musi wyczekiwać w pokojach hotelowych, zastanawiając się, czy wrócisz żywy z kolejnej operacji.

- Ale j e s t przecież nieomylny.

- Nie, jeśli chodzi o sprawy sercowe. - Chiara patrzyła przez chwilę na Gabriela. - Wiesz, jak to będzie wyglądało, gdy tu zamieszkamy? Za każdym razem po powrocie do domu będziemy zastawać w naszym salonie Ariego.

- Jeśli tylko nie będzie palił, ja nie mam nic przeciwko.

- Mówisz poważnie?

- On jest dla mnie jak ojciec, Chiaro. Muszę się nim opiekować.

- A gdy Uzi cię poprosi, żebyś załatwił jakąś sprawę dla Biura?

- Chyba będę się musiał nauczyć tych trzech słów.

- Jakich?

- „Znajdź kogoś innego”.

- A z czego będziesz żył?

- Znajdę jakąś pracę.

- Tu się robi klaustrofobicznie.

- Mnie to mówisz?

- Będziemy musieli podróżować, Gabrielu.

- Zabiorę cię, dokąd zechcesz.

- Zawsze chciałam spędzić jesień w Prowansji.

- Znam tam świetną wioskę.

- Byłeś kiedyś w Szkocji?

- Nie przypominam sobie.

- Zabrałbyś mnie choć raz gdzieś na narty?

- Byle nie do Sankt Moritz ani Gstaad.

- Tęsknię za Wenecją.
 - Ja też.
 - Może Francesco Tiepolo da ci jakąś pracę.
 - On mi płaci marne grosze.
 - Nie szkodzi. - Oparła głowę o jego ramię. Jej włosy pachniały wanilią. - Myślisz, że to się utrzyma?
 - Ten spokój?
- Przytaknęła.
- Przez chwilę - odparł Gabriel. - Przy odrobinie szczęścia.
 - Jak długo będziesz w Rzymie?
 - To chyba zależy wyłącznie od Carla.
 - Tylko nie zbliżaj się do niego bez pistoletu w kieszeni.
 - Prawdę mówiąc - powiedział - zamierzam zmusić Carla, żeby przyszedł do mnie.
- Chiara zadrżała.
- Musimy iść - rzekł Gabriel. - Przeziębisz się.
 - Nie - odrzekła. - Ja też to uwielbiam.
 - Chłód nocy?
 - I zapach sosny i eukaliptusa - odparła. - Pachną... - Urwała.
 - Czym, Chiaro?
 - Domem - odpowiedziała. - Dobrze jest wreszcie być w domu.

Gdy dwa dni później Gabriel wszedł na Piazza di Sant'Ignazio, słońce świeciło jasno na bezchmurnym rzymskim niebie, a stoliki Le Cave stały w równych rzędach na bruku. Przy jednym z nich, osłonięty białym parasolem, siedział generał Ferrari z Brygady do spraw Sztuki. Na stoliku leżało poranne wydanie „Corriere della Sera”, które rozłożył przed Gabrielem. Było otwarte na korespondencji z Paryża o niespodziewanym odnalezieniu dwóch skradzionych dzieł sztuki. Główną atrakcją był Cézanne; grecką wazę, piękną hydrię autorstwa malarza Amykosa, zabrano tylko przy okazji.

- Miałem rację co do jednego - odezwał się generał. - Nie ma wątpliwości, że potrafi pan myśleć jak przestępca.

- Ja nie miałem z tym nic wspólnego.

- A ja wciąż mam całkiem sprawną prawą dłoń. - Generał przyglądał się przez chwilę Gabrielowi swym jedynym dobrym okiem, po czym zapytał, czy Gabriel ukradł obraz i wazę samodzielnie.

- Pozory wiarygodności operacyjnej wymagały, abym skorzystał z usług zawodowca.

- Była to więc kradzież na zlecenie?

- Można tak to ująć.

- Czy ów złodziej czasem działa we Włoszech?

- Jak tylko ma okazję.

- Ile bym musiał zapłacić za jego nazwisko?

- Obawiam się, że nie jest na sprzedaż.

Gabriel zwrócił generałowi gazetę, który machnął nią, by odprawić podchodzącego kelnera.

- Czytałem z wielkim zainteresowaniem ostatnie wieści z pańskiego kraju - powiedział, jak gdyby kraj Gabriela był jakimś miejscem trudnym do znalezienia na mapie. - Czy pan wierzy, że te kolumny naprawdę pochodzą z Pierwszej Świątyni Salomona?

Gabriel kiwnął głową.

- Widział je pan?

- Tak samo jak bombę, której chcieli użyć, by je wysadzić w powietrze.

- Szaleństwo. - Generał pokręcił głową. - Mam wrażenie, że to stawia moje wysiłki, by

chronić dziedzictwo kulturalne Włoch, w całkiem nowym świetle. Ja muszę się borykać tylko ze złodziejami i przemytnikami, a nie fanatykami religijnymi, którzy chcą pogrążyć Bliski Wschód w wojnie.

- Tak naprawdę to czasem złodzieje i przemytnicy pomagają fanatykom religijnym. - Gabriel umilkł, a po chwili dodał: - Ale przecież pan już o tym wiedział, nieprawdaż, generale Ferrari?

Ferrari utkwiał w Gabrielu szklane spojrzenie sztucznego oka, ale nic nie powiedział.

- To dlatego wysłał mnie pan do Veroniki Marchese - ciągnął Gabriel. - Ponieważ wiedział pan już, że jej mąż nadzoruje światowy handel zrabowanymi dziełami sztuki. Wiedział pan też, że współpracuje on ze sponsorującym przestępczą działalność ramieniem Hezbollahu. Wiedział pan o tym wszystkim - zakończył Gabriel - bo moja organizacja panu o tym doniosła.

- Właściwie - odrzekł generał - wiedziałem o Carlu na długo wcześniej, zanim pański szef przyniósł nam jego dossier.

- Czemu pan z tym nic nie zrobił?

- Ponieważ zniszczyłoby to karierę kobiecie, którą szczerze podziwiam, nie mówiąc już o jej bliskim przyjacielu, który mieszka drzwiami w drzwiach z Jego Świątobliwością na trzecim piętrze Pałacu Apostolskiego.

- Wiedział pan, że Donati i Veronica byli kiedyś kochankami?

- Carlo też o tym wie. - Generał kiwnął głową. - Wie również, że monsinior wystąpił z zakonu po tym, jak zabito dwie osoby w Salwadorze. Dlatego tak bardzo chciał znaleźć się w radzie nadzorczej Banku Watykańskiego.

- Wiedział, że to będzie idealna przystań, bezpieczne miejsce do prania pieniędzy, bo Donati nigdy się nie ośmielił wystąpić przeciwko niemu.

Generał skinął głową z namysłem.

- Przeszłość monsiniora uczyniła go bezbronnym - powiedział po chwili. - A w Watykanie absolutnie nie powinno się takim być.

- A gdy usłyszał pan, że w Bazylice Świętego Piotra znaleziono Claudię Andreatti?

- Nie miałem wątpliwości, kto stał za jej śmiercią.

- Ponieważ pański informator Roberto Falcone powiedział panu, że przyjechała do Cerveteri, żeby się z nim zobaczyć - dokończył Gabriel. - A kiedy ja znalazłem Falconego w kąpielni z kwasu, zorientował się pan, że ma idealne rozwiązanie swojego problemu z Carlem. Włoskie rozwiązanie.

- Może nie w najściślejszym znaczeniu, ale tak, chyba tak było.

- Niemrugające oko przypatrywało się Gabrielowi przez chwilę. - A teraz wygląda na to, że znaleźliśmy się w punkcie wyjścia. Co robimy z Carlem?

- Wiem, co chcemy zrobić.

- Dużo ma pan twardych dowodów?

- Dość, żeby zarzucić *cordata* na jego mizerną szyję.

- W jaki sposób chce pan tego dokonać?

- Mam zamiar kazać mu bezzwłocznie zrezygnować ze stanowiska w Banku Watykańskim. Ale najpierw dam mu szansę wyznać swoje grzechy.

Generał się uśmiechnął.

- Zawsze uważałem, że spowiedź dobrze robi dla duszy.

*

Po lunchu Gabriel przeszedł na drugi brzeg rzeki i udał się do starego wyblakłego *palazzo* w Trastevere, który został przekształcony w stary wyblakły budynek mieszkalny. Wciąż miał klucz. Gdy wszedł, znów sprawdził w holu skrzynkę pocztową. Tym razem była pusta.

Wspiął się na trzecie piętro i wszedł do mieszkania. Wyglądało dokładnie tak, jak je zostawił prawie cztery miesiące temu, z jednym wyjątkiem: odcięto prąd. Usiadł więc przy jej biurku i obserwował, jak pełzające popołudniowe cienie z wolna zawłaszczają jej dobytek. W końcu, kilka minut po szóstej, usłyszał chrobot klucza w zamku. Drzwi się otworzyły i doktor Claudia Andreatti lekkim krokiem popłynęła ku niemu poprzez mrok.

*

Śmierć jej siostry zapobiegła kataklizmowi na skalę światową, dlatego też Paola Andreatti zasługiwała, by usłyszeć całą prawdę o tym, co się wydarzyło. Nie wersję prawdy według Biura, pomyślał Gabriel, ani na pewno nie wersję Watykanu. Musiała to być prawda bez uników i bez zważania na poufność w przypadku wpływowych postaci i instytucji. Prawda, którą będzie mogła zanieść na grób siostry, a kiedyś zabrać do swojego.

I tak Gabriel opowiedział jej całą historię swojej niesamowitej podróży od Bazyliki Świętego Piotra do jaskini w sercu Wzgórza Świętynnego, gdzie odnalazł dwadzieścia dwie kolumny z Pierwszej Świątyni króla Salomona i bombę, która mogła wywołać konflikt na skalę biblijną. Nie odzywała się ani słowem, dłonie trzymała równo złożone na kolanach. Oczy, które spoglądały na niego spośród wieczornych cieni, były identyczne z tymi, które patrzyły na niego wtedy z posadzki w bazylice. Głos, gdy w końcu przemówiła, był głosem kobiety, która odezwała się do niego w przelocie na schodach w Muzeach Watykańskich w dniu swojej śmierci.

- Co zrobicie z Carlem?

Odpowiedź Gabriela wyraźnie sprawiła jej fizyczny ból.

- I to wszystko? - zapytała.

- Jeśli włoska prokuratura wniesie przeciw niemu akt oskarżenia...

- Wiem, jak działa wymiar sprawiedliwości we Włoszech, panie Allon - przerwała mu. -

Sprawa będzie się ciągnęła latami i jest bardzo prawdopodobne, że on nigdy nie ujrzy celi więziennej.

- Czego pani chce, pani doktor?

- Sprawiedliwości dla mojej siostry.

- Ja nie potrafię jej pani dać.

- Więc po co kazał mi pan przyjechać do Rzymu?

- Dla prawdy - odparł. - Chciałem, żeby pani usłyszała prawdę. I nie tylko ode mnie. Od niego też.

- Kiedy? - zapytała.

- Jutro wieczorem.

Milczała przez chwilę.

- Gdyby Bóg istniał - odezwała się wreszcie - on zginąłby taką samą śmiercią jak moja siostra.

Tak, pomyślał Gabriel. Gdyby Bóg istniał.

Donati zadzwonił do Carla Marchesego następnego dnia późnym popołudniem z informacją, że Namiestnik Chrystusowy pragnie zamienić z nim kilka słów.

- Kiedy? - zapytał Carlo.
- Dziś wieczorem.
- Mam spotkanie.
- Odwołaj.
- O której?
- O dziewiątej - rzekł Donati. - Spiżowa Brama.

Czas został wybrany nieprzypadkowo, jednak Carlo chyba tego nie zauważył.

Nie uznał też za osobliwe, że ojciec Mark czeka, by go powitać. Carlo był człowiekiem, który wchodząc do budynku, nie musiał legitymować się na portierni. Carlo znał drogę od Spiżowej Bramy do apartamentów papieskich.

- Tędy. - Ojciec Mark chwycił Carla za łokieć z siłą, która wskazywała na to, że podnosi czasem coś więcej niż tylko kielich mszalny. Poprowadził go Schodami Królewskimi do Kaplicy Sykstyńskiej. Tam przeszli pod *Sądem Ostatecznym* Michała Anioła z jego niezwykłą wizją apokalipsy i Powtórnego Przyjścia Chrystusa, a następnie udali się szarozielonym tunelem do bazyliki. Gdy przechodzili na drugą stronę strzelistej nawy, Carlo zaczął zdradzać pierwsze oznaki niepokoju. Wzmógł się on gwałtownie, gdy ojciec Mark poinformował go, że udadzą się na kopułę schodami, nie windą. Schody były pomysłem generała Ferrariego. Chciał, żeby Carlo chociaż trochę pocierpiał na drodze do rozgrzeszenia.

Wspinali się nieco ponad pięć minut. Gdy dotarli do podestu na szczycie schodów, Carlo próbował się zatrzymać, żeby złapać oddech, ale ojciec Mark pchnął go lekko w kierunku galerii pod kopułą. Przy balustradzie stała postać w płaszczu przeciwdeszczowym, spoglądająca w dół na posadzkę bazyliki. Gdy Carlo wszedł, odwróciła się i patrzyła na niego bez słowa. Carlo stanął jak wryty, a potem się cofnął.

- Coś nie tak, Carlo? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Carlo obrócił się szybko i ujrzał Gabriela stojącego tam, gdzie wcześniej był ojciec Mark.

- O co tu chodzi, Allon?

- O sąd, Carlo.

Gabriel podszedł do Paoli. Ta znów patrzyła w dół, jakby nieświadoma obecności Carla.

- To tutaj stała Claudia na chwilę przed śmiercią. Ten, kto ją zamordował, zaszedł ją od tyłu i skręcił jej kark, a potem przerzucił przez balustradę, żeby to wyglądało na samobójstwo. To była ta łatwa część. Trudniej było ją w ogóle sprowadzić tu na galerię. - Gabriel umilkł. - Ale udało ci się wymyślić, jak to zrobić, prawda, Carlo?

- Nie miałem nic wspólnego z jej śmiercią, Allon.

Oświadczenie Carla, że jest niewinny, rozbrzmiało wysoko w kopule i szybko odeszło w niebyt, tak jak na to zasługiwało. Carlo wpatrywał się teraz w kark Paoli. Gabriel położył jej delikatnie dłoń na ramieniu.

- Tamtego wieczoru miała spotkać się z Donatim, żeby mu powiedzieć, że kierujesz swoim przestępczym imperium z Banku Watykańskiego. Ale odwołała spotkanie bez wyjaśnienia. O d w o ł a ł a je - podkreślił dobitnie - ponieważ ktoś kazał jej przyjść na kopułę Bazyliki Świętego Piotra. Ta osoba miała udzielić jej informacji, których potrzebowała, by cię zniszczyć. To był ktoś, komu ufała, z kim kiedyś pracowała. - Gabriel znowu przerwał. - Ktoś taki jak twoja żona.

Carlo najwyraźniej starał się odzyskać panowanie nad sobą, jednak nie pozwalała mu na to obecność Paoli. Wciąż wpatrywał się w jej kark. Dlatego nie zauważył, że metr za nim stanął generał Ferrari.

- Wcześniej tamtego wieczoru - podjął opowieść Gabriel - Claudia dostała SMS-a od Veroniki z prośbą, żeby tu przyszła. Zadzwoiła na komórkę Veroniki kilka minut przed dziewiątą, ale nikt nie odebrał. A to dlatego, że Veronica nie miała przy sobie komórki. T y ją miałeś, Carlo.

- Nie możesz tego udowodnić, Allon.

- Pamiętaj, gdzie stoisz, Carlo.

Paola zgromiła Carla oskarżycielskim spojrzeniem, a potem ruszyła powoli na spacer wokół galerii.

- Jednak komu można z całym zaufaniem powierzyć zadanie zabicia najlepszej przyjaciółki własnej żony? - zadał pytanie Gabriel.

- To musiał być ktoś, kto może dostać się bez problemu do Watykanu, kto nie musi się legitymować na portierni przed wejściem do pałacu. - Gabriel uśmiechnął się. - Znasz kogoś takiego, Carlo?

- Chyba nie wierzysz, że zabiłem tę biedaczkę własnymi rękami.

- Ja w i e m, że to zrobiłeś. I ona też wie. - Spojrzał na Paolę.

- Pomóż jej odnaleźć spokój duszy, Carlo. Powiedz, że zabiłeś jej siostrę, żeby ochronić swoją pozycję w Banku Watykańskim. Wyznaj swoje grzechy.

Obecność Paoli najwyraźniej przestała robić wrażenie na Carlu. Patrzył teraz na Gabriela z takim samym aroganckim uśmieszkiem, jaki miał na twarzy tej nocy, gdy wysłał zamachowca, by zabił Gabriela i Chiarę. Znowu był Carlem nietykalnym, Carlem nieznającym strachu.

- Należysz do bardzo małego klubu - rzekł Gabriel. - Jesteś jedyną osobą, która próbowała zabić moją żonę i wciąż chodzi po tej ziemi. Jeśli chcesz pozostać tu wśród nas, radziłbym ci niezwłocznie złożyć rezygnację w Banku Watykańskim. Jednak przedtem - dodał, spoglądając znów na Paolę - chcę, żebyś jej powiedział, dlaczego zamordowałeś jej siostrę.

- Możecie dostać moją rezygnację, ale...

- Twoja żona już wie - przerwał mu Gabriel. - Opowiedziałem jej wszystko, zanim Ojciec Święty udał się do Jerozolimy. Uwierzyła mi, bo pamiętała, że w wieczór, gdy zginęła Claudia, nie mogła znaleźć swojej komórki.

Włączanie do gry żony przeciwnika kłóciło się z osobistym kodeksem etycznym Gabriela, jednak taktyka przynosiła zamierzone efekty.

Twarz Carla była teraz purpurowa z gniewu. Gabriel wykorzystywał zdobytą przewagę.

- Ona ma zamiar od ciebie odejść, Carlo. Prawdę mówiąc, gdybym miał zgadywać, to prawdopodobnie myślała o tym już od dłuższego czasu. Przecież i tak nigdy nie kochała cię równie mocno, jak kochała Donatiego.

To wystarczyło, żeby Carlo z wściekłości stracił panowanie nad sobą. Rzucił się w kierunku Gabriela w ślepej furii, z twarzą nie do poznania wykrzywioną szaleńczo, z wyciągniętymi ramionami. Gabriel błyskawicznie odsunął się na bok i Carlo przechylił się przez balustradę. Wyciągnął jeszcze rozpaczliwie rękę. Gabriel próbował ją złapać, ale było już za późno. Potem chwycił Paolę i mocno zatkał jej uszy, żeby nie słyszała, jak ciało Carla zderza się z marmurową posadzką. Dopiero gdy generał Ferrari wyprowadził ją na taras na dachu, Gabriel spojrzął w dół. Tam zobaczył, jak osobisty sekretarz papieża klęczy na posadzce bazyliki, a koniuszkami palców przesuwając delikatnie po czole Carla. *Ego te absolvo*. I było po wszystkim.

*

Przez kolejne dwa dni Gabriel był więźniem swej małej pieczary za kotarą na odległym końcu pracowni konserwatorskiej. Pozostali członkowie personelu widywali go rzadko. Był

tam już, gdy przychodzili rano, i zostawał, otoczony kręgiem jaskrawego halogenowego światła, długo po tym, jak oni już poszli do domu. Chodziły plotki o jakiejś katastrofie za kotarą - o nieoczekiwanej utracie oryginalnego dzieła Caravaggia, o spartaczonym retuszu. Enrico Bacci, wciąż jeszcze gotujący się z wściekłości, że nie jemu przypadło to zlecenie, domagał się interwencji członków personelu, ale Antonio Calvesi odmówił. Calvesiemu opowiadano o niekończących się sesjach przed płótnem, gdy zbliżał się już koniec renowacji. Zresztą osobiście był świadkiem takiej męki wiele lat wcześniej we Florencji, kiedy to Gabriel, wówczas pracujący pod przybranym nazwiskiem, mozolił się przez dwadzieścia godzin bez przerwy, żeby skończyć przed terminem obraz Masaccia.

- Nie ma problemu - zapewnił Calvesi swój niedowierzający personel. - On po prostu osacza swój cel. Dziękujemy losowi, że to tylko obraz, a nie człowiek.

W końcu, rankiem trzeciego dnia, gdy pracownicy schodzili się powoli do pracy, zastali kotarę jaskini odsłoniętą, a malowidło wsparte na sztaludze, wyglądające, jakby właśnie ukończył je sam Caravaggio. Brakowało tylko człowieka, który je odrestaurował. Calvesi szukał go bezowocnie przez godzinę, po czym udał się do pałacu, aby osobiście przekazać wiadomości monsiniorowi Donatiemu. Caravaggio został wreszcie ukończony, zameldował. Natomiast Gabriel Allon, słynny konserwator dzieł starych mistrzów, emerytowany izraelski szpieg i zamachowiec oraz wybawca Ojca Świętego, zniknął gdzieś bez śladu.

OD AUTORA

Upadły anioł jest dziełem literackim. Nazwiska, postacie, miejsca i przedstawione wydarzenia są wytworem wyobraźni autora lub zostały wykorzystane do celów literackich. Wszelkie podobieństwo do osób realnych, żyjących i nieżyjących, instytucji, wydarzeń czy miejsc akcji jest całkowicie przypadkowe.

Jeśli ktoś z Czytelników wychodził na kopułę Bazyliki Świętego Piotra, z pewnością pamięta, że wzdłuż krawędzi galerii dla zwiedzających biegnie metalowa bariera zabezpieczająca. Usunąłem ją, aby uczynić morderstwo i przypadkowy upadek bardziej wiarygodnymi. Pracownia konserwatorska Pinakoteki Watykańskiej została opisana dokładnie, jednak absolutnie nie sugeruję, że istnieją jakiegokolwiek problemy związane z pochodzeniem niezwyklej watykańskiej kolekcji dzieł sztuki starożytnej, nawet przy współczesnych rygorystycznych standardach obowiązujących kustoszy. Natomiast Bank Watykański faktycznie ma długą i dobrze udokumentowaną historię finansowych nadużyć. Ostatnie z nich miało miejsce we wrześniu 2010 roku, kiedy to władze Włoch, przeprowadzając dochodzenie w sprawie prania brudnych pieniędzy, zajęły 30 milionów dolarów z funduszy banku i rozpoczęły śledztwo w sprawie dwóch jego wysokich urzędników. W następnym miesiącu policja sycylijska ogłosiła, że wykryła pralnię brudnych pieniędzy, korzystającą z konta w Banku Watykańskim należącego do księdza, którego wuj był wcześniej skazany za powiązania z mafią.

Siedziba główna Brygady do spraw Sztuki faktycznie mieści się w Rzymie na Piazza di Sant'Ignazio, a rola tej jednostki karabinierów w śledztwie w sprawie skazanego przemytnika dzieł sztuki starożytnej Giacomina Mediciego - jak i odzyskanie krateru Eufroniosa z nowojorskiego Metropolitan Museum of Art - zostały przedstawione wiernie. Na malowniczym placu w Sankt Moritz naprawdę znajduje się galeria dzieł sztuki, ale jestem całkowicie przekonany, że nie ma ona żadnych powiązań z wojującą szyicką organizacją Hezbollah. Libański Bank Bizantyjski nie istnieje, ale istnieje Libański Bank Kanadyjski - i to w nim, według urzędników amerykańskich, Hezbollah pierze przynajmniej część pieniędzy, które zarabia na globalnych operacjach przestępczych. To pewien anonimowy agent federalny, udzielając wywiadu dla „New York Timesa” w grudniu 2011 roku, pierwszy nazwał Hezbollah „rodziną Gambino, tylko o wiele potężniejszą”, a nie Uzi Nawot, fikcyjny szef izraelskiego wywiadu.

Massud Rahimi, oficer wywiadu irańskiego, który występuje w *Upadłym aniele*, został

stworzony przez autora, ale jego ściśle powiązania z Hezbollahem, ugrupowaniem często zwanym „terrorystyczną Drużyną A”, oparte są całkowicie na faktach. Hezbollah przeprowadził wiele zamachów terrorystycznych na zlecenie Iranu i z pewnością odegrałby znaczącą rolę w akcie zemsty Iranu za jakikolwiek atak na jego fabryki broni nuklearnej. Istnieje wręcz wiele dowodów sugerujących, że Izrael już znajduje się na celowniku Hezbollahu za próby zastopowania programu nuklearnego Iranu zamachami i aktami sabotażu. W styczniu 2012 roku władze Azerbejdżanu rozbiły komórkę terrorystyczną Hezbollahu, która rzekomo obrała za cel tamtejszego ambasadora Izraela i rabina z miejscowej szkoły żydowskiej. W lutym dyplomaci izraelscy w Gruzji i Indiach stali się ofiarami podobnego ataku. Wkrótce wybuchła bomba w mieszkaniu w Bangkoku, demaskując komórkę służb irańskich i Hezbollahu, która przygotowywała się do zabicia dyplomatów izraelskich w stolicy Tajlandii. Ale z drugiej strony żaden z tych incydentów nie był jakąś wielką niespodzianką. W lipcu 2006 roku Hossein Safiadeen, przedstawiciel Hezbollahu w Teheranie, oświadczył, że organizacja zamierza zabijać Izraelczyków i Żydów, gdzie tylko ich znajdzie, zapowiadając złowieszczo: „Nie będzie miejsca, w którym będą bezpieczni”. Naturalnie wypowiedź ta znalazła uznanie najwyższego przywódcy Iranu, ajatollaha Alego Chamenei; nazwał on Izrael „rakowatym guzem”, który trzeba usunąć. Mówi to człowiek, który tylko szuka możliwości realizacji owych gróźb przez jedno naciśnięcie guzika.

Święty płaskowyż w Jerozolimie, nazywany Wzgórzem Świątynnym przez Żydów, a Al-Haram al-Sharif przez muzułmanów, faktycznie pozostaje pod kontrolą muzułmańskiej straży Waqf. Na południowym murze oporowym Wzgórza naprawdę pojawiło się niebezpieczne wybrzuszenie w konsekwencji budowy meczetu Al-Marwani. Opis bogatego pod względem archeologicznym gruzu wrzucanego do Doliny Cedronu niestety również aż za bardzo odpowiada rzeczywistości. Tworząc punkt kulminacyjny swojej powieści, korzystałem z prac wielkiego brytyjskiego archeologa Charlesa Warrena, choć pozwoliłem sobie na sporo swobody, przemieszczając moich bohaterów w miarę potrzeby. Na przykład sekretny tunel, którym Gabriel Allon i Eli Lawon dotarli do wnętrza Wzgórza, został stworzony przez autora i jego istnienie absolutnie nie jest oparte na faktach.

Szkoda, że tego samego nie da się powiedzieć o poglądach i opiniach tych, którzy pełnią funkcję dozorców najświętszego miejsca na ziemi. W roku 1999 Ekrima Sa'id Sabri, ówczesny wielki mufti Jerozolimy, oświadczył, że „Żyd” spiskuje, by zniszczyć Al-Haram al-Sharif. „Żyd skłoni chrześcijanina, żeby wykonał tę robotę za niego” - wyjaśnił Sabri, który ma doktorat z uczelni Al-Azhar, najważniejszego ośrodka naukowego sunnickiego islamu.

„Taki jest sposób działania Żydów. Tak się objawia sam Szatan". W roku 2000, na krótko przed tym, jak papież Jan Paweł II udał się na historyczną pielgrzymkę do Izraela, której częścią była wizyta na Wzgórzu Świątynnym, Sabri zaprzeczył, żeby Holocaust kiedykolwiek miał miejsce. „Zginęło sześć milionów Żydów? Na pewno nie. Było ich o wiele mniej. Przestańmy w końcu opowiadać tę bajkę, którą Izrael wykorzystuje, żeby zdobyć międzynarodowe poparcie". To nie były słowa fundamentalistycznego duchownego z jakiegoś mało znaczącego salafickiego meczetu. Zostały one wypowiedziane przez człowieka, który kontroluje trzecie najświętsze miejsce islamu.

Dlatego też trudno się dziwić, że obecnie w oficjalnym światopoglądzie środowisk arabskich i islamskich dominuje tak zwane kłamstwo oświęcimskie (negacja Holocaustu), podobnie jak „kłamstwo świątynne". Praktycznie całe przywództwo Autonomii Palestyńskiej - nawet niektórzy z tych określanych na Zachodzie jako „reprezentujący poglądy umiarkowane" - zaprzecza, jakoby kiedykolwiek na Wzgórzu Świątynnym stała świątynia żydowska. Podczas szczytu w Camp David w roku 2000, kiedy to prezydent Bill Clinton niezamierzanie dążył do tego, by wynegocjować porozumienie w sprawie konfliktu arabsko-izraelskiego, Jasir Arafat stwierdził bez ogródek, że Świątynia nie stała w Jerozolimie, tylko w mieście Nablus. Jego wypowiedź zaszokowała prezydenta Clintona, który odparł: „Jako chrześcijanin, ja również uważam, że pod powierzchnią ziemi znajdują się pozostałości Świątyni Salomona". Główny negocjator bliskowschodniej ekipy Clintona, Dennis Ross, tak wyraził się później o wystąpieniu Arafata na szczycie: „Stworzył on nową mitologię, twierdząc, że Świątynia nie istnieje w tym miejscu. To była jedyna nowa idea, którą wyraził podczas piętnastu dni w Camp David".

W końcu swojej prezydentury Clinton próbował jeszcze kilka razy przywrócić pokój na Bliskim Wschodzie, między innymi przedłożył Izraelczykom i Palestyńczykom, podczas dramatycznego spotkania w Białym Domu, tak zwane Parametry Clintona. Dokument ten, zbiór nie podlegających dyskusji warunków ostatecznego porozumienia, przewidywał utworzenie państwa palestyńskiego ze Strefy Gazy i 96 procent Zachodniego Brzegu. Płaskowyż ze Wzgierzem Świątynnym, święte miejsce trzech religii abrahamowych, miałby się znajdować w państwie p a l e s t y Ń s k i m, natomiast Mur Zachodni (Ściana Płaczu) oraz Dzielnica Żydowska na Starym Mieście pozostawałaby pod zarządem Izraela. Premier Izraela Ehud Barak zaakceptował te warunki, ale Jasir Arafat, po wahaniach i unikach, odrzucił je. Prezydent Clinton w swoich pamiętnikach niezwykle szczerze opisał tego człowieka, którego „kolosalny błąd" pozbawił go historycznego sukcesu w polityce zagranicznej. „Jestem nieudacznikiem - powiedział Arafatowi w pełnej goryczy rozmowie

telefonicznej - i to pańska wina".

Jednak czy Świątynia Salomona, opisana niezwykle szczegółowo w Pierwszej Księdze Królewskiej i Księdze Kronik, istniała naprawdę? Najlepszym sposobem, by znaleźć odpowiedź na to pytanie, byłoby przeprowadzenie gruntownych, choć ostrożnych wykopaliśk na całym płaskowyżu Wzgórza Świątynnego, podczas których naukowcy izraelscy i palestyńscy pracowaliby razem, może pod nadzorem Organizacji Narodów Zjednoczonych. Biorąc pod uwagę przewrażliwienie wyznawców islamu oraz obecne realia polityczne, jest to mało prawdopodobne. Podobnie zresztą jak porozumienie w konflikcie arabsko-izraelskim, przynajmniej w najbliższej przyszłości. Obserwatorzy sytuacji na Bliskim Wschodzie są zgodni, że najprawdopodobniej niedługo dojdzie do kolejnego wybuchu zamieszek, do trzeciej intifady. Po obu stronach tego długotrwałego krwawego konfliktu dotyczącego ziemi dwukrotnie obiecaną będą eksplodować bomby, latać kule i ginąć dzieci. I pomyśleć tylko, że mogło się to zakończyć przed ponad dziesięciu laty, gdyby tylko Jasir Arafat znalazł odwagę, by wypowiedzieć jedno słowo: „Tak”.

PODZIĘKOWANIA

Ta powieść, podobnie jak poprzednie książki z serii o Gabrieli Allonie, nie powstałyby bez pomocy Davida Bulla, który naprawdę jest jednym z najlepszych konserwatorów dzieł sztuki na świecie. Każdego roku David przez wiele godzin wertuje moje rękopisy w poszukiwaniu błędów rzeczowych, a mógłby przecież w tym czasie stać przed sztalugami, przywracając do życia jakiś uszkodzony obraz. David nappełnił moje życie sztuką i humorem, a nasza cenna przyjaźń jest chyba największym nieoczekiwanym efektem ubocznym serii o Gabrieli Allonie.

Mam wielki dług wdzięczności wobec ojca Marka Haydu, dyrektora Towarzystwa Mecenasów Sztuki działającego przy Muzeach Watykańskich, za jego nieoceniony wkład w tę książkę, a także wobec pań: Sary Savodello, Caroliny Rei, Lorny Richardson i doktor Gabrielli Lalatty, wspaniałemu historykowi sztuki, która zabrała mnie i moją rodzinę na wycieczkę od wspaniałości Kaplicy Sykstyńskiej do podziemi Pinakoteki Watykańskiej, gdzie zespół konserwatorów zajmuje się przepiękną papieską kolekcją malowideł. Spotkaliśmy tam niezwykłą Franceskę Persegati, która wcale się nie przejęła, gdy jej powiedziałem, że wkrótce w zasłoniętej kotarą pieczarze pod strychem zacznie pracować pewien introwertyczny izraelski zamachowiec. Specjalne podziękowania dla ojca Kevina Lixeya, który towarzyszył mi, gdy szedłem w procesji przez ulice Rzymu w święto Bożego Ciała, tuż za papieżem Benedyktem XVI. Nasza wspólna kolacja przy świecach tamtego wieczoru była najwspanialszym punktem mego pobytu w Rzymie.

Pracując nad tą książką, rozmawiałem z wieloma decydentami i oficerami wywiadu izraelskiego i amerykańskiego. Dziękuję im wszystkim ogólnie, bo wolą pozostać anonimowi. Fred S. Zeidman, były przewodniczący Amerykańskiej Rady Pamięci o Holokauście, otworzył przede mną wiele drzwi w Izraelu i dostarcza mi nieustannej inspiracji swoim oddaniem sprawie ocalania pamięci pomordowanych w Shoah. Maxwell L. Anderson, znakomity dyrektor Dallas Museum of Art, cierpliwie odpowiadał na moje liczne pytania na temat ryzyka ponoszonego przez kustoszy przy nabywaniu dzieł sztuki starożytnej w świetle nowych wytycznych przyjętych w celu ochrony dziedzictwa kulturowego tak zwanych krajów źródłowych. Roger Cressey, dawniej członek Rady Bezpieczeństwa Narodowego, obecnie w Booz Allen Hamilton, jak zawsze pomógł mi lepiej zrozumieć sposób, w jaki n a p r a w d ę działa świat. Mojemu drogiemu przyjacielowi George'owi Weigelowi zawdzięczam cenne spostrzeżenia związane z historyczną wizytą papieża Jana Pawła II w

Ziemi Świętej w 2000 roku oraz wpływ na moje postrzeganie relacji między katolikami a państwem Izrael. „M” i „B” udzielili mi konsultacji w sprawie burzliwej sytuacji na Bliskim Wschodzie, dodając własne bezcenne komentarze.

Michael Oren, słynny naukowiec zajmujący się Bliskim Wschodem, obecnie pełniący funkcję ambasadora Izraela w Stanach Zjednoczonych, udzielił mi wielu ważnych informacji na temat wielkich imperiów, które zostawiły swój ślad i krew swoich żołnierzy na ziemi współczesnego Izraela. Jego piękna żona, Sally, i troje ich wspaniałych dzieci, Joaw, Lia i Noam, byli przy mnie często podczas podróży i stanowili dla mnie nieustanne źródło radości i miłości. Nasi drodzy przyjaciele Lior i Talia zaprosili mnie do swego domu na przedmieściach Tel Awiwu i pośpieszyli z pomocą, gdy natknąłem się na problem logistyczny na posterunku wojskowym przed wjazdem do Hebronu na Zachodnim Brzegu. Gabriel Motzkin i Emily Bilski, którzy mają pecha być najbliższymi sąsiadami Allonów na ulicy Narkissa, towarzyszyli nam podczas naszej pierwszej wizyty w Izraelu dwadzieścia lat temu i nasze rodziny spędziły razem wiele miłych wieczorów również w czasie mojej ostatniej wyprawy. Rachel i Elliott Abramsowie podzielili się ze mną swoją niezwykłą wiedzą na temat izraelskiej polityki podczas kolacji w Abu Gosz; Avner zabrał nas na nocne safari na Wzgórzach Golan, podczas którego uczestniczyliśmy w kilku szybkich pościgach za dzikami i szakalami. Jehuda Deutsch wziął nas na niezapomnianą wycieczkę po wykopaliskach w Mieście Dawida. Wciąż jeszcze słyszę, jak śpiewa majestatyczną pieśń Leonarda Cohena *Hallelujah*, żeby uspokoić nasze nerwy podczas wędrówki przez wąski ciemny Tunel Ezechiasza, gdy brodziliśmy po kostki w chłodnej jerozolimskiej wodzie źródlanej.

Serdeczne podziękowania dla Jitz Applbaum, Jogi Loshinsky'ego i Miri Sack z Fundacji Dziedzictwa Muru Zachodniego za to, że pozwolili nam wejrzeć w niesamowity świat leżący głęboko w ziemi wzdłuż krawędzi Wzgórza Świątynnego. Archeolodzy, którzy kopią w starożytnej ziemi w okolicy tunelu, prowadzą swoje prace z wielkim profesjonalizmem i wrażliwością, i ten właśnie duch przejawia się w fikcyjnej postaci Elego Lawona. W miarę jak przybiera na sile międzynarodowa kampania mająca na celu zdelegalizowanie państwa Izrael, starania archeologów, by wydobyć na światło dzienne starożytną przeszłość Żydów z Jerozolimy, nabierają coraz większego znaczenia. Zapożyczając frazę od Ariego Szamrona, oni w tych tunelach „prowadzą wojnę”. Na szczęście jest to taka wojna, jedyna na Bliskim Wschodzie, w której nie ma przelewu krwi.

Pragnę podziękować mojemu drogiemu przyjacielowi Doronowi Almogowi i jego uroczej żonie, Didi, za to, że tak wspaniale się mną zajmowali podczas mego pobytu w Izraelu. Doron przed przejściem na emeryturę służył jako komendant Południowego

Dowództwa Sił Obronnych Izraela, a w 1976 roku był pierwszym żołnierzem izraelskim na ziemi w Ugandzie podczas operacji Entebbe. Jednak Doron jest kimś więcej niż tylko jednym z posiadających najwięcej odznaczeń żołnierzy swego kraju; jest też humanistą, który poświęcił życie opiece nad najsłabszymi obywatelami Izraela, niezależnie od tego, czy są pochodzenia arabskiego, czy żydowskiego. Nigdy nie zapomnę popołudnia, które spędziliśmy razem w Aleh Negev, wiosce, którą on założył w południowym Izraelu, żeby opiekować się osobami dotkniętymi ciężkim kalectwem. Nie zapomnę też pięciorga członków rodziny Dorona, zamordowanych przez palestyńską samobójczynię, która dokonała zamachu w restauracji Maxim w Hajfie 4 października 2003 roku. W tym ataku zginęło jeszcze szesnaścioro innych niewinnych ludzi.

Pracując nad tą książką, przewertowałem setki książek, gazet i magazynów i przejrzałem setki stron internetowych. Jest ich zbyt dużo, by wszystkie tu wymienić. Jednakże nie mogę pominąć wspaniałej wiedzy i zdolności reporterskich takich osób, jak: Peter Watson i Cecilia Todeschini, Vernon Silver, Margaret M. Miles, Jason Felch i Ralph Frammolino, Sharon Waxman, Roger Atwood, Dore Gold, Paul Johnson, Hershel Shanks, Leen i Kathleen Ritmeyer oraz Simon Sebag Montefiore, którego mistrzowskie dzieło *Jerozolima. Biografia* jest chyba najwspanialszą książką na temat historii tego miasta na wzgórzu, o które toczy się odwieczna walka. Louis Toscano, mój drogi przyjaciel i wieloletni wydawca, naniósł mnóstwo poprawek na mój rękopis, podobnie jak moja redaktorka Kathy Crosby. Oczywiście, odpowiedzialność za wszelkie pomyłki i błędy drukarskie, które znalazły się w ukończonej książce, spada na mnie, nie na nich.

Mam szczęście posiadać wielu przyjaciół, którzy wypełniają moje życie pisarza miłością i śmiechem w trudnych chwilach, a są to zwłaszcza: rabin David Wolpe, Jane i Burt Bacharachowie, Stacey i Henry Winklerowie, Joy i Jim Zornowie, Mollie i Jack Bladesowie, Angelique i Jim Bellowie, Steve Capus i Sophia Faskianos, Enola i Stephen Carterowie, Andrea i Tim Collinsowie, Margarita i Andrew Pate'owie, Mirella i Daniel Levinasowie, Jane i Rob Lynchowie, i wspaniała rodzina Kobaków. Była Pierwsza Dama Barbara Bush i prezydent George H.W. Bush stanowią nieustanne źródło wsparcia przez całą moją karierę pisarską, podobnie jak ich niezwykła szefowa personelu, Jean Becker, która ze swoich biur w Houston i Kennebunkport faktycznie rządzi światem. Doug Banker dołożył starań, by czas, w którym nie pisałem, był wypełniony jak największą ilością zabawy i muzyki. Dr Benjamin Shaffer, wybitny waszyngtoński chirurg ortopeda, fachowo wyleczył mi kontuzję ramienia, która sprawiała, że pisanie było jeszcze bardziej bolesne niż zwykle. Dr David Jacobs, prawdziwy doktor House, pokazał naszej rodzinie, jak powinno się praktykować medycynę.

Bob Barnett, Michael Gendler i Linda Rappaport byli źródłem mądrych porad prawnych i sporej ilości śmiechu.

Specjalne podziękowania dla niezwyklej ekipy fachowców z HarperCollins, zwłaszcza dla następujących osób: Jonathana Burnhama, Briana Murraya, Michaela Morrisona, Jennifer Barth, Josha Marwella, Tiny Andreadis, Leslie Cohen, Leah Wasielewski, Marka Fergusona, Kathy Schneider, Brendy Segel, Carolyn Bodkin, Douga Jonesa, Karen Dziekonski, Archie Ferguson, Davida Watsona, Cindy Achar, Davida Korala i Leah Carlson-Stanisic.

Pragnę wyrazić głęboką wdzięczność i miłość moim dzieciom, Nicholasowi i Lily. Nie tylko pomagały mi w ostatecznych przygotowaniach rękopisu, lecz także były u mojego boku podczas niezwyklej podróży badawczej, od Bazyliki Świętego Piotra, przez grobowce etruskie w Cerveteri, do starożytnego akweduktu pod Jerozolimą. Wreszcie muszę podziękować mojej żonie, wybitnej dziennikarce NBC News, Jamie Gangel, która umiejętnie redagowała każdy z moich brudnopisów i wysłuchiwała mnie z niezwyklej wyrozumiałością, gdy zmagalem się z treścią i wątkami tej powieści, dwunastej w cyklu o Gabrielu Allonie. Bez jej cierpliwości i skrupulatności *Upadły anioł* nie zostałby ukończony w terminie. Mój dług wobec niej jest niezmierny, tak jak i moja miłość.